

Robert Ludlum

Droga do Omaha

Tom 1

Powieści *Roberta Ludluma* w Wydawnictwie Amber

TOŻSAMOŚĆ BOURNE'A I    KRUCJATA BOURNE'A [  
ULTIMATUM BOURNE'A PRZESYŁKA Z SALONIK TRANSAKCJA  
RHINEMANNA MANUSKRYPT CHANCELLORA  
PAKT HOLCROFTA  
WEEKEND Z OSTERMANEM  
DZIEDZICTWO SCARLATTICH  
TREVAYNE

Przełożył • ARKADIUSZ NAKONIECZNIK

Henry'emu Sulfonowi -  
ojcu chrześtnemu, znakomitemu **aktorowi**, niezawodnemu  
przyjacielowi i wspaniałemu **człowiekowi**

## PRZEDMOWA

Wiele lat temu niżej podpisany stworzył powieść zatytułowaną *Droga do Gandolfo* opartą na oszałamiającej przesłance, olśniewającym pomysłe, ktor\ powinien wstrząsnąć wszystkimi do głębi, co w obecnych czasach bynajmniej nie jest takie łatwe. Miała to być demoniczna opowieść > legionach sza t mu wyruszających z piekła po to, by popełnić odrażającą zbrodnię, opowieść, która zadałaby śmiertelny cios wszystkim wierzącym ludziom, bez względu na to, jaką konkretnie religię wyznają, gdyż ukazałaby, jak bardzo podatni na atak są wielcy duchowi przywódcy naszych czasów. Mówiąc krótko, tematem książki było porwanie biskupa Rzymu, boskiego namiestnika kochanego przez prostych ludzi na całym świecie, papieża Franciszka I.

Rozumiecie? Mocne, prawda? Cóż, miało takie być, ale nie było... Coś się stało. Nieszczęsny Głupiec, czyli pisarz, zajrzał tu i ówdzie, zapuścił żurawia, gdzie tylko się dało, po czym, ku swemu wiecznemu potępieniu zaczął rechotać. Nie wolno w podobny sposób traktować tak oszałamiającemu pomysłu, tak wspaniałej obsesji! (Tytuł też do luzu, nawiasem mówiąc). Mimo to Nieszczęsny Głupiec zaczął także myśleć, a to dla pisarza zawsze jest bardzo niebezpieczne. Do gry włączył się syndrom „co by było, gdyby...”

Co by było, gdyby osobnik moralnie odpowiedzialny za tę ohydłą zbrodnię nie był wcale złym facetem, lecz żywą legendą wojskowości, człowiekiem odstawionym na boczny tor przez polityków, o których hipokryzji mówił zbyt głośno i zbyt często! Co było. ud\by uwielbiany papież w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko porwaniu, pod warunkiem, że jego miejsce zajmie niezwykle podobny do niego kuzyn, niezbyt rozgarnięty śpiewak z La Scali, dzięki czemu prawdziwy biskup Rzymu będzie mógł zdalnie sterować Piotrowym Królestwem, bezpiecznie oddalony od ogłupiających meandrów watykańskiej polityki mrowia grzeszników pragnących wykupić sobie drogę do nieba dzięki ofiarom składanym na tacę? To dopiero historia, co?

Tak, słyszę was, słyszę! „Zdradził nas! Popłynął z prądem, bo tak mu było łatwiej!” (Często zastanawiałem się nad tym, o jakiej rzece myślą nudziarze wykrzykujący frazesy o „płynięciu z prądem”. Styksie? Nilu? Może Amazonce? Na pewno nie Kolorado, bo tam łatwo można wylądować na skałach).

Cóż, może to zrobiłem, a może nie. Wiem tylko, że przez te lata, które minęły od napisania *Drogi do Gandolfo*, wielu czytelników zadało mi listownie, telefonicznie lub bezpośrednio, grożąc użyciem fizycznej przemocy, następujące pytanie: „Co się stało z tymi pajacami?” (Oczywiście mieli na myśli złoćców, nie zaś ich chętną do współpracy ofiarę).

Szczerze mówiąc, ci pajace czekali na kolejny zwariowany pomysł. Pewnego wieczoru rok temu najbardziej nieznośna z moich muz wykrzyknęła nagle: „Na Jowisza, już go masz!” (Jestem pewien, że to był cytat).

Ponieważ w *Drodze do Gandolfo* Nieszczęsny Głupiec potraktował dość swobodnie wiele zagadnień związanych z religią i ekonomią, teraz przyznaje się bez oporów, że pisząc kolejne uczone dzieło pozwolił sobie na podobną swobodę w odniesieniu do prawa i sądownictwa tego kraju.

Lecz czy jest ktoś, kto postępuje inaczej? Nikt... naturalnie z wyjątkiem twojego i mojego adwokata.

Zadanie przedstawienia w powieści historii bardzo wątpliwego pochodzenia, autentycznej, choć nie udokumentowanej, wymagało od muzy, by w poszukiwaniu niezwykłej prawdy omijała z daleka wiele pozornie niezbędnych materiałów źródłowych, a już szczególnie dzieła Williama Blackstone'a \*. Mimo to nie obawiajcie się, znalazło się miejsce także i na moral:

Trzymajcie się z daleka od wymiaru sprawiedliwości, chyba że się wam uda przekupić sędziego lub wynająć mojego adwokata, co jest zupełnie nierealne, ponieważ ma mnóstwo pracy z utrzymaniem mnie na wolności.

W związku z tym mam prośbę do moich przyjaciół prawników (dziwne, ale prawie

wszyscy moi przyjaciele są prawnikami, aktorami lub maniakalnymi zabójcami; czyżby te profesje miały ze sobą coś wspólnego?): darujcie mi, jeśli niektóre prawne zagadnienia przedstawiłem powierzchownie albo w dość mglistych zarysach. Oczywiście w niczym nie zmienia to faktu, że mogłem mieć rację...

R.L.

\* Sir William Blackstone (1723-1780) -\*Angielski prawnik i autor podręczników prawniczych (przyp. tłum.)

8

Wrodzona skromność nakazała Robertowi Ludlumowi przemilczeć fakt, że kiedy *Droga do Gandolfo* ukazała się pod jego prawdziwym nazwiskiem, natychmiast stała się przebojem wydawniczym w osiemnastu krajach.

Czytelnicy mogli się z radością przekonać, że Ludlum ma równie wielki talent do pisania komedii, jak do tworzenia powieści sensacyjnych, trzymających w napięciu, a zarazem podejmujących ważne problemy.

## Osoby dramatu

### **MacKenzie Lochinvar Hawkins**

- były generał armii USA (były na żądanie Białego Domu, Pentagonu, Departamentu Stanu i niemal całego Waszyngtonu), dwukrotnie odznaczony Medalem za Odwagę, znany także jako Szalony Mac Jastrząb.

### **Samuel Lansing Devereaux**

- młody błyskotliwy adwokat, absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Harvard, przez jakiś czas służył w armii USA (bez większego entuzjazmu z jego udziałem współpracował z Jastrzębiem w Chinach (z opłakanyimi rezultatami dla wszystkich stron).

### **Jutrzenka Jennifer Redwing**

- także adwokat, także błyskotliwa, w dodatku nieprawdopodobnie atrakcyjna; absolutnie lojalna córka narodu Indian Wopotami.

### **Aaron Pinkus**

- ujmujący w obejściu olbrzym z bostońskich kregów prawniczych, wybitny adwokat i mąż stanu. fatalnym zrządzeniem losu pracodawca Sama Devereaux.

11

### **Desi Arnaz Pierwszy**

- zubożały łotrzyk z Puerto Rico, który uległ urokowi Jastrzębia. Pewnego dnia może zostać dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

### **Desi Arnaz Drugi**

- jak wyżej. W mniejszym stopniu obdarzony talentem przywódczym, ale za to geniusz w takich dziedzinach jak uruchamianie samochodów „na zwarcie”, otwieranie

zamków bez użycia klucza, naprawianie wyciągów narciarskich oraz przetwarzanie sosu czosnkowego na środek oszałamiający. .

**Vincent Mangecayallo**

- dzięki przywódcom mafii od Palermo po Brooklyn p r a w d z i w y dyrektor CIA (Centralnej Agencji Wywiadowczej). Tajna broń każdego rządu.

**Warren Pease**

- sekretarz stanu. Kula u nogi każdego rządu, ale za to w latach szkolnych kolega prezydenta.

∴∴> • **Cyrus M.**

- *czarny* t najemnik z dyplomem z chemii. Wyrolo\* wany przez ludzi z Waszyngtonu zaczął stopniowo identyfikować się z Jastrzębiem w pojmowaniu prawa.

**Roman Z.**

- serbski Cygan, współlokator celi zajmowanej przez wyżej wymienionego. Największą rozkosz sprawia mu całkowity chaos, oczywiście pod warunkiem, że dysponuje zdobytą w nieuczciwy sposób przewagą.

**Sir Henry Irving Sutton** s f\*

- jeden z najlepszych teatralnych aktorów charakterystycznych, a także, zupełnie przypadkowo, bohater kampanii północnoafrykańskiej podczas drugiej wojny światowej, ponieważ; „nie było tam żadnych cholernych reżyserów, którzy schrzaniłoby mi, przedstawienie”.

12

**Hyman Goldfarb**

- najlepszy napastnik, jaki kiedykolwiek zaszczycił swoją obecnością boiska National Football League. Po zakończeniu kariery piłkarza fatalnym zrzędzeniem losu został zwербowany przez Jastrzębia.

**Samobójcza Szóstka,**

czyli Książę, Dustin, Marlon, sir Larry, Sly oraz Telly - zawodowi aktorzy, którzy wstąpili do wojska i są uważani za najlepszy oddział antyterrorystyczny na świecie. Nie oddali jeszcze ani jednego strzału.

**Członkowie klubu golfowego Fawning Hill,**

czyli Brick, Doozie, Froggie, Moose oraz Smythie - pięciu facetów, którzy ukończyli dobre szkoły, należą do dobrych klubów i z zapałem bronią interesów kraju, naturalnie pod warunkiem, że w żaden sposób nie szkodzą ich interesom.

**Johnny Calfnose**

- rzecznik prasowy szczepu Wopotami; podnosi słuchawkę i zazwyczaj kłamie. Wciąż jeszcze nie zwrócił Jennifer kaucji za zwolnienie z aresztu. Czy można dodać coś jeszcze?

**Arnold Subagaloo**

- szef personelu Białego Domu. Potwornie się wścieka za każdym razem, kiedy ktoś przypomni mu, że nie jest prezydentem. Czy w a r t o dodać coś jeszcze?

Pozostałe osoby mogą nie mieć tak dużego znaczenia, choć koniecznie należy pamiętać, iż nie istnieje coś takiego jak małe role - są tylko słabi aktorzy, a z pewnością

żadnego z nich nie można zaliczyć do tej godnej pogardy kategorii. Każdy kontynuuje wielką tradycję Tespisa, oddając się sztuce całym ciałem i duszą, bez względu na to, jak niewielka rola przypadła mu (lub jej) w udziale. „Naszą grą bowiem poruszymy sumienie króla”.

A może kogoś jeszcze.

13

## PROLOG

Płomienie strzelały wysoko w nocne niebo, wywołując z ciemności pulsujące plamy cienia, plamy, które kładły się na pokrytych malowidłami twarzach Indian zebranych wokół ogniska. Wódz plemienia, przyodziany w uroczysty strój świadczący o jego urzędzie, w pióropuszu spływającym do samej ziemi, przemówił donośnym, władczym głosem:

- Przybyłem tutaj, by wam powiedzieć, że grzechy białego Człowieka nie dały mu nic poza konfrontacją ze złymi duchami, które pożrą go i pošlą w ogień wiecznego potępienia! Wierście mi, moi bracia, synowie, siostry i córki: dzień obrachunków jest już bliski, a zakończy się on naszym tryumfem!

Niektórych z jego słuchaczy niepokoił trochę fakt, że wódz także był biały.

- Skąd się urwał ten palant? - szepnął starszy wiekiem członek plemienia do siedzącej obok niego *squaw*.

- Ciii! - syknęła kobieta. - Przywiózł całą furgonetkę *rzeczy* z Chin i Japonii. Uważaj, Orle Oko, bo wszystko zepsujesz!

15

Małe obdrapane biuro na ostatnim piętrze rządowego budynku należało do minionej epoki, gdyż od sześćdziesięciu czterech lat i ośmiu miesięcy korzystał z niego wciąż ten sam użytkownik - ale bynajmniej nie dlatego, żeby w ścianach pokoju kryły się jakieś mroczne tajemnice, a także nie z powodu duchów unoszących się pod popękany sufit. Po prostu nikt inny n i e c h c i a ł z niego korzystać. Od razu należy też wyjaśnić jeszcze jeden szczegół: w rzeczywistości biuro nie znajdowało się na ostatnim piętrze, lecz n a d ostatnim piętrzem budynku. Dochodziło się do niego wąskimi drewnianymi schodami bardzo podobnymi do tych, po których wspinały się na balkony żony wielorybników z New Bedford, oczekując pojawienia się na horyzoncie znajomych sylwetek statków, co oznaczało, że ich Ahabom i tym razem udało się wrócić bezpiecznie ze wzburzonego oceanu.

Latem w pokoju było potwornie duszno, ponieważ znajdowało się w nim tylko jedno małe okno, zimą zaś potwornie zimno, gdyż drewniane ściany nie miały żadnej izolacji, a

okno klekotało bez przerwy, odporne na wszelkie próby uszczelnienia, wpuszczając do środka ostre podmuchy lodowatego wiatru. Ogólnie rzecz biorąc, pokój ów, zabytkowa nadbudówka wyposażona w meble nabyte na przełomie wieków, stanowił dla agencji rządowej, na której terenie się mieścił, coś w rodzaju Syberii. Jego poprzednim użytkownikiem był pewien indiański wyrzutek, który lekkomyślnie nauczył się czytać po angielsku i zasugerował swoim przełożonym, spośród których więk-

17

szość nie opanowała do końca tej umiejętności, że pewne ograniczenia nałożone na zamkniętych w rezerwacie Indian Nawaho wydają się nazbyt surowe. Podobno człowiek ów zmarł w tym pokoju podczas mroźnego stycznia 1927 roku i został odnaleziony dopiero w maju, kiedy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, w całym budynku zaś pojawił się niemiły zapach. Tą agencją rządową było, rzecz jasna, Biuro do Spraw Indian.

Wydarzenie to jednak nie odstraszyło następnego użytkownika pokoju, a wręcz przeciwnie, stanowiło dla niego zachętę. Samotną postacią w zwykłym szarym garniturze, pochyloną nad zamykanym biurkiem - które już właściwie przestało pełnić funkcję biurka, jako że usunięto wszystkie szuflady, żaluzjowa kłapa zaś utknęła na dobre w połowie drogi - był generał MacKenzie Hawkins, wojskowa legenda, bohater trzech wojen i dwukrotny zdobywca Medalu za Odwagę. Ten wielki człowiek, którego szczupłe, muskularne ciało zadawało kłam zaawansowanemu wiekowi, natomiast stalo-woszare oczy i ogorzała, poorana zmarszczkami twarz należały bez wątpienia do bardzo starego człowieka, jeszcze raz wyruszył do boju. Jednak po raz pierwszy w życiu nie walczył z wrogami jego ukochanych Stanów Zjednoczonych Ameryki, lecz z rządem tychże Stanów Zjednoczonych, w dodatku o coś, co wydarzyło się sto dwanaście lat temu.

Nie ma najmniejszego znaczenia kiedy - pomyślał, odwracając się ze skrzypnięciem na zabytkowym obrotowym krześle do stołu uginającego się pod ciężarem mnóstwa starych, oprawionych w skórę rejestrów i map. Zrobiły to te same srajdky, które wystrychnęły go na dudka, pozbawiły munduru i wysłały na wojskową emeryturę! Tak, dokładnie te same, wszystko jedno czy poubierane w kretyńskie fraczki sprzed stu lat, czy we współczesne, obcisłe na tyłku, fircykowane garniturki. To wszystko te same srajdky. Czas nie gra roli, ważne jest -tylko to, żeby dać im w kość!

Generał ściągnął niżej nad stół osłoniętą zielonym abażurem lampę na długim przegubie przypominającym gęsią szyję - na oko początek lat dwudziestych - i za pomocą dużego szkła powiększającego przez jakiś czas studiował rozłożoną mapę. Następnie odwrócił się raptownie do zdewastowanego biurka i przeczytał po raz kolejny ustęp, który zaznaczył w tomie akt o rozpadającej się ze starości okładce. Jego zazwyczaj zmrużone oczy były teraz szeroko otwarte i płonęły

18

podnieceniem. Sięgnął po oddany mu do dyspozycji jedyny przyrząd służący porozumiewaniu się na odległość - gdyby zainstalowano mu telefon, mogłaby wyjść na jaw jego obecność w biurze. Była to rura zakończona niewielkim lejkiem. Zagwizdał dwukrotnie do lejka, co oznaczało pilną wiadomość, a następnie czekał niecierpliwie na odpowiedź; otrzymał ją po trzydziestu ośmiu sekundach.

- Mac? - zachrypiało przedpotopowe urządzenie.

- To ja, Heseltine. Mam to!

- Na litość boską, nie gwizdź tak głośno, dobrze? Sekretarka pomyślała chyba, że to moja sztuczna szczeka.

- Wyszła już?

- Wyszła - odparł Heseltine Brokemichael, dyrektor Biura do Spraw Indian. - O co chodzi?

- Już ci powiedziałem. Mam to!

- To znaczy co?

- Największe draństwo, jakie kiedykolwiek wyprodukowały te srajdky, które wbiły nas znowu w cywilne ciuchy!

- Z przyjemnością dobiore im się do skóry. Gdzie to było i kiedy? ,« - W Nebrasce, sto dwanaście lat temu. f Cisza. A potem: " - Mac, wtedy nas jeszcze nie było na świecie! Nawet ciebie!

- To nie ma znaczenia, Heseltine. To to samo gówno. Ci sami dranie, którzy im to zrobili, załatwili sto lat później mnie i ciebie.
- Im, czyli komu?
- Kuzynom Mohawków znanych jako Wopotami. Przywędrowali do Nebraski w połowie dziewiętnastego wieku.
- I co?
- Pora zajrzeć do tajnych archiwów, generale Brokemichael. ?
- Daj mi spokój! Nikomu nie wolno tego robić!
- Tobie wolno, generale. Potrzebuję ostatecznego potwierdzenia i wyjaśnienia kilku niejasnych kwestii.
- Ale po co? Dlaczego?
- Dlatego, że Wopotami mogą się okazać prawowitymi właścicielami całego terenu wokół Omaha w Nebrasce.
- Oszalałeś, Mac! Przecież tam mieści się Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych!
- Wystarczy kilka brakujących cegiełek i utajnionych fragmen-

19

tów. Fakty są już na wierzchu... Spotkamy się w piwnicy, przy wejściu do archiwów, generale Brokemichael... A może powinienem powiedzieć: współprzewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, razem ze mną? Jeżeli mam rację, a jestem całkowicie pewien, że ją mam, to weźmiemy kundelki z Białego Domu i Pentagonu w takie obroty, że pozabierają swoje ogony dopiero wtedy, kiedy im na to pozwolimy.

Milczenie. A po chwili:

- Wpuszczę cię tam, Mac, ale potem zniknę i pojawię się dopiero wtedy, kiedy powiesz mi, że mogę znowu założyć mundur.
- W porządku. Aha, przy okazji: pakuję wszystko, co tu mam, i przenoszę się z powrotem do Arlington. Ten biedny sukinsyn, którego znaleźli dopiero wówczas, gdy jego zapaszek dotarł na parter, nie umarł na próżno!

Dwaj generałowie skradali się wzdłuż metalowych regałów zastawionych tomami zmurszałymi ze starości. Oświetlenie było tak słabe, że musieli korzystać z pomocy latarek. Przy siódmym szeregu regałów MacKenzie Hawkins zatrzymał się raptownie; strumień światła z jego latarki padał na rozsypujący się tom o popękanych okładkach.

*itf.* - To chyba to, Heseltine.

- Dobra. Ale nie wolno ci tego stąd wynieść!
  - Wiem, generale. Zrobię tylko kilka zdjęć.
- Hawkins wyjął z kieszeni miniaturowy szpiegowski aparat fotograficzny.

- Ile masz kaset? - zapytał były generał Heseltine Brokemichael, kiedy MacKenzie zdjął tom akt z regału i ruszył w stronę metalowego stołu.

- Osiem - odparł Hawkins, przerzucając poźółkle stronicę.
- Ja też mam kilka, gdyby ci zabrakło - powiedział Heseltine. - Nie dlatego, że się tak strasznie podnieciłem tym, co ci się wydaje, iż znalazłeś, ale dlatego, że to może być jakaś szansa odegrania się na Ethelredzie, i nie wypuszczę jej z ręki!

- Myślałem, że już wyrównaliście rachunki - zauważył MacKenzie, robiąc jedno zdjęcie za drugim.

- Nigdy!

20

Ethelred nic tu nie zawinił. Wszystko przez tego kretyńskiego prawnika z biura inspektora generalnego, Sama Devereaux. Narwany szczeniak z Harvardu. To on popełnił błąd, nie Brokey Bis. Po prostu pomylił dwóch Brokemichaelów, i to wszystko.

- Gówno prawda! Brokey Bis zrobił mnie w to jak amen w pacierzu!
- Wydaje mi się, że nie masz racji, ale nie przyszliśmy tu po to, żeby się nad tym zastanawiać... Brokey, potrzebuję jeszcze tomu, który stał na półce zaraz obok tego. Na

okładce powinien mieć liczbę CXII. Mógłbyś mi go przynieść?

Kiedy szef Biura do Spraw Indian odwrócił się i ruszył wzdłuż metalowego regału, Jastrzab wyjął z kieszeni brzytwę i wyciął piętnaście kartek z rozłożonego przed nim tomu, po czym ukrył je pod marynarką.

- Nie mogę go znaleźć - oznajmił Brokemichael.

- Trudno. I tak mam już wszystko, czego potrzebowałem.

- Co teraz, Mac?

- Minie dużo czasu, Heseltine, bardzo dużo czasu. Kto wie, czy nawet nie rok lub dwa, ale muszę się dokładnie przygotować. Tak dokładnie, żeby nikt nie znalazł nawet najmniejszej dziury.

- W czym?

-• W oskarżeniu, które zamierzam przedstawić rządowi Stanów Zjednoczonych -- odparł Hawkins, wyciągając z kieszeni zmieciowane cygareto i zapalając je zapalniczką z czasów drugiej wojny światowej. - Zaczekaj jeszcze trochę, Brokey.

- Na co, na litość boską?... Hej, nie pal! Tu nie wolno palić!

- Och, daj spokój. I ty, i twój kuzyn Ethelred zawsze zbyt mocno trzymaliście się przepisów, a kiedy nie pasowały do rzeczywistości, szukaliście następnych. Tego nie ma w przepisach, Heseltine, w każdym razie na pewno nie w tych, które możesz przeczytać. To siedzi w tobie, w twoich bebechach. Pewne sprawy są słuszne, a pewne nie, i to wszystko. Poczujesz to w środku.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Bebechy podpowiedzą ci, żeby poszukać tego, co nie było przeznaczone dla twoich oczu. Tego, co ukryto w różnych tajemnych miejscach, takich jak to.

- Mac, bredzisz od rzeczy! % - Daj mi rok lub dwa, Brokey, a wtedy zrozumiesz. Muszę to

21

dobrze rozegrać. Naprawdę dobrze. - Generał MacKenzie Hawkins ruszył w kierunku wyjścia z archiwów. - Niech to szlag trafi! - mruknął pod nosem. - Trzeba się wziąć ostro do roboty. Przygotujcie się, dostojni wojownicy plemienia Wopotami. Jestem wasz!

Minęło dwadzieścia jeden miesięcy, podczas których nikomu nie udało się przygotować na przyjęcie Grzmiającej Głowy, wodza plemienia Wopotami.

Prezydent Stanów Zjednoczonych przyspieszył krok idąc stalowoszarą korytarzem w podziemiach Białego Domu. Miał zaciśnięte usta, a oczy ciskały wściekle błyski. W ciągu kilku (sekund wyprzedził towarzyszące mu osoby. Jego wysoka szczupła postać była pochylona do przodu, jakby zmagająca się z przeciwnym (wiatrem. Wydawało się, że miotany niecierpliwością śpieszy ku polu bitwy, aby ocenić koszty krwawej wojny i czym prędzej obmyślić strategię, która pozwoli odeprzeć wroga hordy atakujące jego królestwo. Był niczym Joanna Darc szykująca wypad z obleżonego Orleanu lub jak Henryk V rozmyślający o rozstrzygającej bitwie pod Agincourt. Chwilowo jednak bezpośrednim celem jego wędrówki był Pokój Operacyjny usytuowany w najniższej części podziemi Białego Domu. Złapał za klamkę, gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i wkroczył do środka, a za nim jego zadyszana eskorta.

- Dobra, chłopaki! - ryknął. - Ruszcie głowami! Odpowiedziało mu milczenie, które dopiero po dłuższej chwili przerwał lekko drżący, piskliwy głos jednej z asystentek.

- Ale chyba nie tutaj, panie prezydencie...

- Co? Niby dlaczego?

- To jest męska toaleta, panie prezydencie. \*

- Jak to? W takim razie, co pani tutaj robi?

- Szłam za panem.

- A niech to! Za wcześnie skręciłem. Przepraszam. Dobra, idziemy. Szybko!

23

Duży okrągły stół w Pokoju Operacyjnym lśnił w blasku odbitego od sufitu światła. Na blacie można było dostrzec cienie siedzących wokół osób. Zarówno cienie, jak i rzucające je ciała były nieruchome,



natomiast zdumione twarze stanowiące część tych ciał •zwróciły się w stronę chudego mężczyzny w okularach stojącego za prezydentem przy przenośnej tablicy, na której widniały skomplikowane wykresy sporządzone czterema kolorami kredy. Te wizualne ułatwienia nie spełniły do końca swojej funkcji, jako że dwóch członków sztabu kryzysowego było daltonistami. Wyraz oszołomienia malujący się na obliczu młodego wiceprezydenta stanowił normalny widok, w związku z czym nie należało przywiązywać do tego większej wagi, a te rosnące podekscytowanie przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów, było zjawiskiem, nad którym nie dało się łatwo przejść do **porządku** dziennego.\*' ^^

- Do cholery, Washburn, nic nie...

- Washburn, generale.

»

- W porządku. Nie rozumiem, o co chodzi z tym wykretem prawnym.

\*

- To ta pomarańczowa linia, generale.

- Znaczy się, która?

>

- Właśnie mówię: pomarańczowa.

•«\*

- Proszę mi ją pokazać.

'»\*?

Wszystkie twarze zwróciły się w stronę generała.

>

- Co jest, Zack? - zapytał prezydent. - Nie widzisz?

- Trochę tu ciemno, panie prezydencie.

\*"

- Ale nie aż tak ciemno, Zack. Ja widzę ją doskonale.

- Ehm... Mam pewien drobny problem ze wzrokiem - powiedział generał, zniżając raptownie głos. - Czasem sprawia mi trudność rozróżnianie niektórych kolorów.

- Że co, Zack?

- Ja słyszałem, słyszałem! - wykrzyknął jasnowłosy wiceprezydent siedzący tuż przy przewodniczącym Kolegium. - On jest daltonistą!

- Jezus, Maria, Zack! Przecież jesteś żołnierzem!

- To niedawna sprawa, panie prezydencie.

, - Mnie się to przydarzyło już jakiś czas temu - poinformował wszystkich z ożywieniem zastępca szefa państwa. - Tylko z. tego powodu nie służyłem w prawdziwym wojsku. Oddałbym wszystko, żeby tylko pozbyć się tej przypadłości!

24

- Przestań chrzanić, gaduło - warknął śniadoskóry dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej i zmierzył wiceprezydenta ciężkim spojrzeniem półprzymkniętych oczu. - Już po pieprzonej kampanii wyborczej.

- Daj spokój, Vincent - wtrącił się prezydent. - Nie musisz używać takich słów. Jest wśród nas dama.

- Jaka tam dama, prezydencie. Założę się, że kobitka słyszała już gorsze rzeczy. - Dyrektor uśmiechnął się ponuro do zaczerwienionej z wściekłości kobiety, po czym zwrócił się do mężczyzny nazwiskiem Washburn i stojącego przed przenośną tablicą. - Panie ekspert, w jakie..... łajno wdepnęliśmy?

- Dużo lepiej, Vinnie - pochwalił go prezydent. - Bardzo ci

- Nie ma za co. Gadaj pan, panie prawnik. Co to za... eee... śmierdząca kupka?

- Wspaniale, Vinnie.

- Daj spokój, mistrzu. Wszyscy jesteśmy trochę wkurzeni. - Dyrektor CIA pochylił się do przodu w fotelu i spojrzał na doradcę prawnego Białego Domu. - Chłopcze, odłóż tę kredę i mów, o co chodzi. Tylko bądź tak dobry i postaraj się, żeby nie zajęło ci to całego tygodnia dobra?

- Jak pan sobie życzy, panie Mangecavallo - odparł prawnik, kładąc kredę na półeczkę pod tablicą. - Staralem się tylko zobrazować skalę historycznych precedensów oraz ich zależność od zmian prawa dotyczącemu ,-ns.:h indiańskich narodów.

- Jakich narodów? - przerwał mu arogancko wiceprezydent. - Przecież to są tylko plemiona, nie żadne narody!

- Mów dalej - warknął dyrektor CIA. - Traktuj go tak, jakby go tutaj nie było.

- Cóż, z pewnością wszyscy pamiętacie informację przekazaną przez naszego człowieka z Sądu Najwyższego o jakimś biednym, zapomnianym plemieniu Indian, które wystosowało petycję w sprawie traktatu z rządem federalnym. Ów traktat zaginął lub został wykradzony przez agentów tegoż rządu. Gdyby go odnaleziono, to zgodnie z jego postanowieniami znaczne obszary, na których obecnie znajdują się ważne instalacje w ojskow e. musiałyby przejść na własność tego plemienia.

Prezydent skinął głową.

25

- Tak, pamiętam. Nieźle się wtedy uśmialiśmy. Zdaje się, że przysłali nawet do Sądu Najwyższego jakiś długaczny list, którego nikt nie miał ochoty czytać.

- Niektórzy biedacy będą robić wszystko, byle tylko nie wziąć się do uczciwej pracy - zauważył wiceprezydent. - Tak, to naprawdę zabawne.

- Nasz prawnik wcale się nie śmieje - zauważył szef CIA.

- Istotnie, panie dyrektorze. Nasz człowiek poinformował nas także o pewnych pogłoskach, zapewne nie opartych na żadnych konkretnych podstawach, niemniej jednak na tyle interesujących, że pięciu lub sześciu sędziów zapoznało się mimo wszystko z treścią pozwu, a następnie skierowało go pod obrady Sądu. Niektórzy z nich są przekonani, że ustalenia zaginionego traktatu z tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku, zawartego między Indianami Wopo-tami i Czterdziestym Dziewiątym Kongresem Stanów Zjednoczonych, są wiążące także dla obecnego rządu USA.

- Chyba postradałeś zmysły! - ryknął Mangecavallo. - Nie mogą nam tego zrobić!

- Absolutnie nie do przyjęcia! - wycedził zgryźliwy sekretarz stanu ubrany w prążkowany garnitur. - Te matoly w togach nie przeżyją następnych wyborów.

- Wątpię, czy muszą się tym przejmować, Warren - odparł prezydent, kręcąc powoli głową. - Ale rozumiem, co masz na myśli. Jak wielokrotnie powtarzał nasz wspaniały informator: „Te typki nie zostałyby zatrudnione w charakterze statystów w *Ben Hurze*, nawet do scen w Koloseum”.

- Świetnie powiedziane - zgodził się wiceprezydent. - A kto to jest ten Benjamin Hurr?

- Nieważne - wtrącił się do rozmowy łysiejący, zażywny prokurator generalny, wciąż jeszcze łapiąc ciężko powietrze po szybkim marszu podziemnymi korytarzami. - Chodzi o to, że im nie zależy na głosach wyborców. Mają dożywotnie posady, a my nic nie możemy na to poradzić.

- Chyba że oskarżymy ich wszystkich o zdradę stanu - podsunął sekretarz stanu Warren Pease, uśmiechając się drapieżnie.

- O tym też możesz zapomnieć - zripostował prokurator generalny. - Są nieskazitelnie czysti. Sprawdziłem ich wszystkich wówczas, gdy zakwestionowali naszą decyzję w sprawie wprowadzenia podatku od udziału w wyborach.

26

- To wręcz żalosne! - wykrzyknął wiceprezydent, rozglądając się po pokoju szeroko otwartymi oczami, jakby szukał poparcia u zgromadzonych tu osób. - Co to jest pięćset dolarów za prawo do głosowania?

- Właśnie - zgodził się z nim aktualny gospodarz Białego Domu. - Porządni obywatele mogliby podpisać sobie ten wydatek od podstawy opodatkowania. W „The Bank Street Journal” ukazał się nawet ciekawy artykuł pewnego znakomitego ekonomisty, zresztą naszego współpracownika, który wykazał ponad wszelką wątpliwość, że po przeniesieniu aktywów z podsekcji C do rubryki planowane straty w...

- Chwila, moment - przerwał mu łagodnie dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Chłopak odsiaduje teraz dziesiątkę za przestępstwa finansowe... Cicho nad tą trumną, dobra, prezydencie?

- Naturalnie, Vincent... Naprawdę aż dziesięć lat?

- Masz pamiętać tylko tyle, że nikt z nas go nie pamięta - szepnął dyrektor CIA. - Zapomniałeś już, co nawyrabiał, zanim namierzili go ci z Departamentu Skarbu? Władował połowę budżetu obronnego w szkolnictwo, ale nikt nigdy nie zobaczył z tego ani centa.

- Ale opinia publiczna była zachwy...  
 - Dziób w luk, łebku.  
 - Dziób w luk, Vincent? Służyłeś w marynarce? Zdaje się, że to marynarskie wyrażenie.  
 - Powiedzmy, że pływałem na małych, szybkich łódkach, prezydencie. Karaibski teatr działań. Wystarczy?  
 - Na okrętach, Vincent. Miałeś coś wspólnego z Annapolis?  
 - Tak, był z nami taki jeden Grek, który potrafił wywęszyć łódź patrolową nawet w zupełnej ciemności.  
 - Okręt, Vincent, okręt... Choć może, jeśli masz na myśli jednostkę patrolową...  
 - Daj spokój, szefie. - Dyrektor Mangecavallo przeniósł spojrzenie na prokuratora generalnego.  
 - Może nie przyjrzelicie im się dość dokładnie, co? Może oni też mają coś na sumieniu?  
 - Wykorzystałem wszystkie zasoby FBI - odparł otyły prokurator generalny, poprawiając się w za małym dla niego fotelu i jednocześnie ocierając czoło brudną chusteczką. - Żaden z nich nie miał nawet mandatu za nieprawidłowe parkowanie, zupełnie jakby od urodzenia siedzieli tylko w szkółce niedzielnej.  
 - A co mogą wiedzieć te dupki z FBI? Mnie też chyba sprawdzali, nie? Zdaje się, że uznali mnie za najświętszego w całym mieście.  
 - Po czym zarówno Senat, jak i Izba Reprezentantów zatwierdziły twoją kandydaturę znaczną większością głosów. Nie uważasz, że to sporo mówi o sposobie, w jaki bilansujemy nasze konstytucyjne przychody i rozchody?  
 - Raczej same przychody, i to te gotówkowe, ale na razie dajmy sobie z tym spokój, dobra? Ten czworooki twierdzi, że pięciu albo sześciu sędziów skrzyło w niewłaściwą uliczkę, zgadza się?  
 - Na razie mamy do czynienia jedynie z nie sprecyzowanymi spekulacjami w kameralnym gronie - wyjaśnił Washburn.  
 - Znaczący się, są z nimi jeszcze jacyś kamerzyści, czy jak?  
 - Źle mnie pan zrozumiał. Chciałem powiedzieć, że ich podejrzenia otoczone są na razie tajemnicą. Do opinii publicznej nie dotarło ani jedno słowo na ten temat. Sami narzucili sobie ten reżim, aby *unctis viribus* \* nie narazić na szwank bezpieczeństwa narodowego.  
 - Źe jak?  
 - Na litość boską! - wykrzyknął Washburn. - Ten wspaniały kraj, ten naród, który tak kochamy, może znaleźć się w straszliwym niebezpieczeństwie, jeśli ci głupcy dojdą do wniosku, że wolno im postępować tak, jak podpowiada im sumienie. Możemy zostać starci z powierzchni ziemi!  
 - Dobra, tylko spokojnie - mruknął Mangecavallo, spoglądając po kolei na wszystkich siedzących przy stole. Ominął tylko twarze prezydenta i jego potencjalnego następcy. - Wygląda więc na to, że mamy niedużo czasu i pięciu albo sześciu głupków, nad którymi musimy popracować, zgadza się? Jako ekspert od tych spraw widzę, że trzeba będzie namówić ze dwa albo trzy kapuściane łby, żeby siedziały spokojnie na swoich grządkach, a ponieważ najlepiej ze wszystkich znam się na takiej robocie, zaraz zabieram się do pracy, *capiscel*  
 - Będzie pan musiał się pośpieszyć, panie dyrektorze - powiedział Washburn. - Nasz człowiek twierdzi, że za czterdzieści osiem godzin prezes Sądu Najwyższego poda sprawę do publicznej wiadomości. Podobno sędzia Reebock ujął to w taki sposób: „Ten cały rząd to nie jedyny pieprzniony bal wariatów w tym mieście”. Tylko zacytowałem jego słowa, panie prezydencie. Ja sam nie używam takich wyrażań.

*unctis viribus* (łac.) - wspólnymi siłami (przyp. tłum.).

28

Bardzo pana za to cenię, Washbopm.

Washburn, panie prezydencie.

Jego też. No, ruszcie głowami, panowie... i pani też, panno...

Trueheart, panie prezydencie. Teresa Trueheart. •

- \*
- Kim pani jest?
  - Osobistą sekretarką szefa personelu Białego Domu, panie prezydencie.
  - I nie tylko... - mruknął dyrektor CIA.
  - Dziób w luk,
  - Szefa personelu Białego... Do licha, a gdzie on się podział? Przecież mamy posiedzenie sztabu kryzysowego!
  - Codziennie właśnie o tej porze bierze masaż - poinformowała i głów? państwa panna Trueheart. r - Cóż, nie chciałbym go krytykować, ale...
  - Ma pan prawo krytykować, kogo pan zechce, panie prezydencie- przerwał mu wiceprezydent.
  - Prawdę mówiąc, Subagaloo od dłuższego czasu znajduje się w stanie znacznego napięcia nerwowego. Dziennikarze obrzucają go różnymi wyzwiskami, a to bardzo wrażliwy człowiek.
  - Nic nie wpływa tak dobrze na napięcie nerwowe jak porządny masaż! - oznajmił wiceprezydent. - Wiercie mi, przekonałem się o tym na własnej skórze.
  - Na czym więc stanęliśmy, panowie? Rzućmy okiem na kompas i wybierzmy fały.
  - Aye,, ye kapitanie!
  - Litości, panie wiceprezydencie... Ten nasz kompas, szefie, powinien wskazywać księżyc w pełni, bo na razie pętamy się bez sensu jak pijani lunatycy, tylko że nikomu nie jest do śmiechu.
  - Panie prezydencie, jako pański sekretarz obrony pozwolę sobie zauważyć, że cała ta sytuacja jest całkowicie niedorzeczna - odezwał się niezwykle niski mężczyzna, którego głowa ledwo wystawała ponad blat stołu, oczy zaś spoglądały z dezaprobatą na dyrektora CIA. - Nie możemy pozwolić, żeby tym idiotom z Sądu Najwyższego roіło się całkowite zniszczenie systemu bezpieczeństwa kraju z powodu jakiegoś dawno zapomnianego traktatu z indiańskim plemieniem, o którym nikt nigdy nie słyszał!
  - Przepraszam, ja słyszałem o Wopotapi – wtrącił ponownie

29

wiceprezydent. - Co prawda historia Ameryki nie była moim ulubionym przedmiotem, ale pamiętam, że bardzo rozbawiła mnie ich nazwa. Myślałem jednak, że zostali wymordowani lub wymarli z głodu albo przydarzyło im się coś jeszcze głupszego.

Krótkie milczenie przerwał donośny szept Vincenta Mangecaval-lo, który, wpatrując się w człowieka znajdującego się zaledwie o jedno uderzenie serca od najwyższego urzędu w państwie, powiedział:

- Działniesz coś jeszcze, kurzy mózdzku, a wylądujesz w betonowej bieliźnie na dnie Potomacu. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Ależ, Vincent!

- Słuchaj no, prezydencie: zdaje się, że jestem głównym facetem od bezpieczeństwa w tym kraju, zgadza się? No więc, mówię ci, że ten szczeniak ma najbardziej rozkładaną jadaczkę w całym mieście. Mógłbym go zapuszkować ze sto razy za to, co powiedział albo zrobił, nie wiedząc, co robi ani co mówi.

- To nieuczciwe!

- Bo to nie jest uczciwy świat, synu - zauważył spocony prokurator generalny, po czym zwrócił się do prawnika stojącego przy tablicy. - W porządku, Blackburn...

- Washburn.

- Skoro tak twierdzisz... Przejdźmy do sedna sprawy, a kiedy mówię sedno, to wiem, co mam na myśli! Na początek dowiedzmy się, kto jest tym sukinsynem, tym cholernym zdrajcą, tym chodzącym zaprzeczeniem patriotyzmu, tym, który odważył się złożyć tę antypaństwową skargę?

- Każe się nazywać wodzem Grzmiącą Głową, prawdziwym Amerykaninem - odparł Washburn. - Nasz informator twierdzi, że pozew, który złożył jego prawnik, uznano za jeden z najlepiej sformułowanych w historii wymiaru sprawiedliwości. Podobno trafi do podręczników jako wzorcowy przykład dokumentu tego rodzaju.

- Do podręczników, niech mnie szlag trafi! - wybuchnął prokurator generalny, ponownie ocierając czoło brudną chusteczką. - Każę obedrzeć tego durnego banana ze skury, jest skończony przestał istnieć. Nie zatrudnią go nawet do sprzedawania polis ubezpieczenio-

wych w Bejrucie, nie mówiąc już o jakiegokolwiek posiadzie związanej z prawem! Nie zbliży się do niego żadna firma i nie dostanie pracy nawet w Leavenworth. Jak on się nazywa?

30

- Cóż... - pisnął Washburn drżącym falsetem. - Tak się niefortunnie składa że w tej sprawie mamy chwilowe kłopoty...

- Kłopoty? Jakie kłopoty? - Warren Pease, którego lewe oko przejawiało w chwilach podniecenia niemiłą skłonność do uciekania gdzieś w bok, wysunął naprzód głowę jak zgwałcony kurczak. - Podaj nam tylko nazwisko, ty idioto!

- Nie ma żadnego nazwiska - wykrztusił Washburn.

- Bogu dzięki, że ten kretyn nie pracuje dla Pentagonu! - parsknął miniaturowy sekretarz obrony. - Założę się, że nie mogliśmy się wtedy doszukać co najmniej połowy naszych rakiet.

- Wydaje mi się, że są w Teheranie - pośpieszył z pomocą prezydent - Nie mam racji, Oliver?

- Moje stwierdzenie było czysto retoryczne, panie prezydencie. - Ledwo widoczna zza stołu głowa szefa Pentagonu poruszyła się kilkakrotnie w lewo i prawo. - Poza tym to wszystko zdarzyło się wiele lat temu i żaden z nas nie miał z tym nic wspólnego. Pamiętaj pan, panie prezydencie.

- Tak, tak. Oczywiście.

- Do cholery, Blackboard, dlaczego nie ma żadnego nazwiska?

- W grę wchodzi prawny precedens, proszę pana, a co się tyczy mojego nazwiska, to... Zresztą, nieważne.

- Co to znaczy: nieważne, ty idioto? Chcę znać nazwisko!

- Nie to miałem na myśli...

- Tylko co, do jasnej cholery?

- *Non nomen amicus curiae* - wymamrotał prawnik głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

-- Co ty, klepiesz zdrowaśki? - zapytał dyrektor CIA, wybałuszając ze zdumieniem oczy.

- Precedens powstał w roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym, kiedy Sąd Najwyższy przyjął pozew złożony w imieniu powoda przez anonimowego adwokata.

- *Zabiję go!* - warknął otyły prokurator generalny, a z jego brzucha dobiegło złowróżbne burczenie.

- Zaczekaj! - ryknął sekretarz stanu. Jego lewe oko wyczyniało przedziwne, nie kontrolowane harce. - Chcesz nam powiedzieć, że pozew, który złożyli Wopotami, został przygotowany przez a n o n i m o w e g o przeciwnika lub prawników?

- Tak, proszę pana. Wódz Grzmiąca Głowa przysłał swego

31

przedstawiciela, młodego zucha, który niedawno rozpoczął samodzielną karierę adwokacką, na wypadek gdyby należało wnieść jakieś uzupełnienia, ale Sąd, kierując się zasadą *non nomen amicus curiae*, uznał pozew za całkowicie wystarczający.

- Więc nawet nie wiemy, kto wypichcił to świństwo? - ryknął prokurator generalny. Burczenie w jego brzuchu przybrało jeszcze bardziej na sile.

- U nas w domu nazywamy to bąbelkami - szepnął wiceprezydent do swego zwierznika.

- A my gotowaniem grochówki - odparł prezydent i mrugnął konspiracyjnie.

- Na litość boską! - zawył prokurator. - Nie, to nie do pana, panie prezydencie, ani nie do chłopaka. Mówię do pana Bakwasha...

- Nazywam się... Nieważne.

- Chce pan nam wmówić, że nie możemy się dowiedzieć, kto spłodził te wycpiny, które zawróciły w głowie pięciu niedorozwiniętym sędziom Sądu Najwyższego i mogą całkowicie unicestwić centralny splot nerwowy naszego systemu bezpieczeństwa narodowego?

- Wódz Grzmiąca Głowa poinformował Sąd, że w odpowiednim czasie, kiedy decyzja Sądu Najwyższego zostanie podana do publicznej wiadomości, a jego naród odzyska należne mu prawa, ujawni nazwisko człowieka, który pomógł im przygotować pozew.

- To miło z jego strony - odezwał się przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów. - Wtedy wsadzimy tego sukinsyna do rezerwatu razem z jego czerwonoskórymi kolesiami i zetrzemy tę całą hałastrę z mapy.

- Żeby to osiągnąć, panie generale, musiałby pan zetrzeć z mapy całe miasto Omaha w stanie Nebraska

Zwołane w nagłym trybie spotkanie w Pokoju Operacyjnym dobiegło końca. Przy stole pozostali jedynie prezydent i sekretarz stanu.

- A niech to, Warren - powiedział szef państwa. - Poprosiłem, żebyś został, bo czasem mam wrażenie, że zupełnie nie rozumiem tych facetów.

- Żaden z nich na pewno nie uczęszczał do n a s z e j szkoły, współlokatorze.

32

- Jasne, ale nie o to mi w tej chwili chodzi. Oni wszyscy strasznie się podniecają: wrzeszczą, przeklinają, wymachują rękami...

- Przecież obaj wiemy, że ci z niższych sfer łatwo ulegają emocjom. Nie mają zakodowanej genetycznie powściągliwości. Pamiętasz, jak żona dyrektora upiła się i zaczęła śpiewać z tyłu kaplicy o *Reillym, co muil icitn<> ziiiza!* Odwrócili się tylko ci chłopcy, którzy mieli fundowane stypendia.

- Niezupełnie - bąknął ze wstydem prezydent. - Ja też się odwróciłem.

- Nie wierzę!

- No, w każdym razie zerknąłem. Myślę, że coś do niej wtedy czułem. Zaczęło się na lekcji tańca, w trakcie fokstrota.

- Wredna suka, zawracała w głowie wszystkim po kolei. Zdaje się, że już tylko to ją podniecało.

- Być może, ale wracając do dzisiejszego spotkania: chyba nie sądzisz, że z tej indiańskiej hecy może wyniknąć coś poważnego?

- Skądże znowu! Po prostu Reebock znowu próbuje zaleźć ci za skórę, bo wciąż podejrzewa, że wykopałeś go ze Stowarzyszenia Absolwentów

- Przysięgam, że to nie ja!

- Wiem, bo ja to zrobiłem. Pod względem politycznym jest nawet do przyjęcia, ale ma złą prezencję i okropnie się ubiera. W smokingu wygląda wręcz żałośnie. Poza tym gada, co mu ślina na język przyniesie, w dodatku częściej przeciwko nam niż za nami. Słyszałeś przecież, co mówił ten Washboard: Reebock powiedział naszemu człowiekowi, że „ten cały rząd to nie jedyny pieprzony bal wariatów w tym mieście”. Potrzebujesz czegoś więcej?

- Ale dlaczego oni tak bardzo się unieśli? Szczególnie Vincent Manja... Manju... no, Mango-coś-tam.

- To kwestia temperamentu. W jego żyłach płynie włoska krew.'

- Być może masz rację, Warren. Mimo to w dalszym ciągu mnie to martwi. Jestem pewien, że Vincent był znakomitym oficerem marynarki, ale obawiam się, że może stać się zupełnie nieobliczalny, jak wiesz kto...

- Proszę, panie prezydencie! Niech pan nie przywołuje dawnych koszmarów!

- o nie chcę dopuścić, by same znowu się pojawiły, stary przyjacielu.

.Posłuchaj, Warren: Vincent nie potrafi się dogadać ani

33

z prokuratorem generalnym, ani z Szefami Sztabów, ani z Departamentem Obrony. W związku z tym chciałbym, żebyś go trochę okiełznał i utrzymywał z nim bliższe kontakty. Masz się stać jego zaufanym przyjacielem.

- Przyjacielem Mangecavalla?!

- Wymaga tego racja stanu, stary druhu. Nie wolno nam dopuścić do ogólnonarodowego nieszczęścia.

- Przecież z tego nic nie będzie!

- Oczywiście, że nie, ale wyobraź sobie światowe reakcje, kiedy ta sprawa wyjdzie na światło dzienne. Jesteśmy krajem prawa, a Sąd Najwyższy nie rzuca słów na wiatr. Na twoich barkach spoczywa

wielka odpowiedzialność, przyjacielu.

- Ale dlaczego ja?
- Już ci wyjaśniłem, Warty!
- Dlaczego nie wiceprezydent? Mógłby informować mnie o wszystkim na bieżąco.
- Kto? > - Wiceprezydent!
- A jak on się właściwie nazywa?

**Było** ciepłe letnie popołudnie. Aaron Pinkus, być może najlepszy prawnik w Bostonie, a na pewno jeden z najsympatyczniejszych i najłagodniejszych gigantów tego miasta, wysiadł z limuzyny na eleganckim przedmieściu Weston i uśmiechnął się do szofera, który otworzył drzwi samochodu.

- Paddy, powiedziałem już Shirley, że taki wielki wóz wystarczająco rzuca się w oczy, ale ta idiotyczna czapeczka z błyszczącym daszkiem, którą widzę na twojej głowie, sprawia, że nawiedzają mnie smutne myśli o grzechu pychy.

- Nie u starego Południowca, panie Pinkus - odparł mocno zbudowany kierowca, którego siwiejące włosy musiały kiedyś tworzyć gęstą, płomienscie rudą strzechę. - I tak mamy na sumieniu więcej grzechów, niż znajdzie się świeczek w fabryce wosku, a poza tym powtarza pan to od lat, ale bez większego efektu. Pani Pinkus jest bardzo upartą kobietą.

- Pani Pinkus zbyt często przypieka sobie mózg pod suszarką u fryzjera... Ja tego nie powiedziałem, Paddy.

- Oczywiście, proszę pana.

- Nie wiem, jak długo tu zostanę, więc może skreć w najbliższą przecznicę, zatrzymaj się za rogiem...

- ...i trzymaj palec na sygnalizatorze - dokończył z uśmiechem Irlandczyk i najwyraźniej zachwycony spiskiem. - Dam panu znać natychmiast jak tylko zobaczę samochód pana Devereaux, żeby zdążył pan wyjść tylnymi drzwiami.

35

- Wiesz co, Paddy? Gdyby nasza rozmowa trafiła do protokołu, przegralibyśmy każdą sprawę bez względu na to, czego by dotyczyła.

- Na pewno nie, jeśli to pan występowałby w naszej obronie.

- I znowu pycha, stary przyjacielu. Oprócz tego sprawy kryminalne stanowią tylko margines mojej działalności.

- Przecież pan nie popełnia żadnego przestępstwa!

- Mimo wszystko to dobrze, że nikt nie protokołuje naszej rozmowy... Czy prezentuję się odpowiednio, żeby stanąć przed obliczem wielkiej damy?

- Jeszcze tylko poprawię panu krawat. Trochę się przekrzywił.

- Dziękuję ci, Paddy.

Kierowca zajął się poprawianiem krawata, Pinkus zaś skierował spojrzenie na okazały, błękitno-szary wiktoriański dom otoczony ogrodzeniem z pomalowanych na biało sztachet, z lśniącymi, także białymi obramowaniami wokół okien i poniżej krawędzi dachu. W rezydencji tej mieszkała groźna pani Lansing Devereaux III, matka Samuela Devereaux, potencjalnie znakomitego prawnika, a chwilowo osobnika stanowiącego całkowitą zagadkę dla jego pracodawcy, Aarona Pinkusa.

- Gotowe, proszę pana. - Kierowca cofnął się o krok i skinął z zadowoleniem głową. - Dla każdej osoby poci przeciwnej przedstawia pan teraz wspaniały widok.

- Paddy, to nie randka, lecz tylko wynikająca z bezinteresownego współczucia próba zdobycia informacji.

- Wiem, szefie. Od jakiegoś czasu Sam jest trochę nieswój.

- Więc ty też to zauważyłeś?

- Jasne. W tym roku już z dziesięć razy kazał mi pan odebrać go z lotniska. Jak już powiedziałem, zachowywał się jakoś dziwnie, ale wcale nie dlatego, żeby był zawiany. On ma jakieś kłopoty, panie Pinkus. Ma na głowie mnóstwo poważnych kłopotów.

- A w tej głowie mieści się wybitny prawniczy umysł, Paddy. Zobaczmy, może uda nam się dowiedzieć, co to za kłopoty.

- Powodzenia, proszę pana. Zniknę z pola widzenia, ale będę pod ręką. Kiedy usłyszysz pan sygnał, proszę brać nogi za pas.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego czuję się jak stary żydowski Casanova, który nie mógłby

wdrapać się na ogrodzenie, nawet gdyby dobierała mu się do pośladek cała sfora wściekłych psów?

36

Pytanie trafiło w próżnię, gdyż kierowca obiegnął maskę samochodu, wskoczył do środka i ruszył, żeby zniknąć z pola widzenia, ale być pod ręką.

Podczas trwającej wiele lat znajomości z synem Eleanory Devereaux, Aaron spotkał tę kobietę zaledwie dwa razy. Po raz pierwszy wtedy, kiedy Samuel zgłosił się do niego do pracy, kilka tygodni wcześniej ukończywszy wydział prawa Uniwersytetu Harvard. Przepuszczalnie matka chciała poznać warunki, w jakich miał pracować jej syn, podobnie jak przed każdym wyjazdem na letni obóz zaznajamiała się z warunkami wypoczynku i kwalifikacjami wychowawców. Drugie spotkanie - zarazem jedyne, jakie odbyło się na stopie towarzyskiej - nastąpiło podczas przyjęcia wydanego przez Snkusów na cześć wracającego z wojska Sama Devereaux; powrót należał do najdziwniejszych wydarzeń, jakie znają stosownie :roniki, gdyż doszedł do skutku z ponad pięciomiesięcznym opóźnieniem

Pięć miesięcy... - rozmyślał Aaron, idąc w kierunku furtki w białym płocie. Niemal półroczny okres, o którym Sam nie chciał nic mówić. Stwierdził jedynie, że zabroniono mu udzielać jakichkolwiek informacji na ten temat i dał do zrozumienia, że chodziło o jakąś ściśle tajną operację rządową. Aaron Pinkus nie zamierzał wówczas nakłaniać porucznika Devereaux do złamania tajemnicy wojskowej, ale dręczyła go ogromna ciekawość wypływająca zarówno z pobudek osobistych, jak i zawodowych. Postanowił więc wykorzystać swoje znajomości w Waszyngtonie.

Pewnego dnia zadzwonił do Białego Domu pod prywatny numer prezydenta i opowiedział głowie państwa o gnębiącym go problemie.

- Myślisz, że mógł brać udział w jakiejś tajnej operacji? - zapytał prezydent.

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby się do tego nadawał.

- Oni czasem na to idą, Pinky. Wiesz, pozornie najgorsza obsada czasem okazuje się najlepsza. Tak między nami, to całe mnóstwo tych długowłosych reżyserów o kosmatych myślach ładuje na ekran tylko takie rzeczy. Czy uwierzysz, że parę lat temu jeden z nich chciał, żeby Myrna powiedziała słowo na „g”?

- Tak, to rzeczywiście poważny problem, panie prezydencie. Wiem, że jest pan bardzo zajęty, więc...

- Nie wygłupiaj się, Pinky. Właśnie oglądamy z mamuszką *Koło*

37

*fortuny*. Wciąż ze mną wygrywa, ale wcale się tym nie przejmuję. To przecież ja jestem prezydentem, nie ona.

- Bardzo słusznie. Czy mógłby pan dowiedzieć się czegoś w tej sprawie?

- Jasne, już sobie zapisałem. Devereaux... D-e-v-a-r-o, zgadza się?

- Może być.

Dwadzieścia minut później odebrał telefon od prezydenta.

- A niech to, Pinky! Zdaje się, że w to wdepnąłeś!

- W co, panie prezydencie?

- Moi ludzie powiedzieli mi, że „poza terytorium Chin” - tak to właśnie ujęli - „nic, co robił ten Devereaux, nie miało najmniejszego związku z rządem Stanów Zjednoczonych”. Tak sobie to zapisałem. Przycisnąłem ich trochę, ale oni na to, że „z pewnością nie chciałbym wiedzieć...”

- Tak, oczywiście. To się nazywa „iść w zaparte”, panie prezydencie.

- Ostatnio chyba wszyscy się w to bawią.

Aaron przystanął na ścieżce i spojrzał na dostojny budynek, myśląc o Samie Devereaux oraz o niezwykle, a nawet nieco wruszającym sposobie, w jaki był wychowywany w tym starannie odrestaurowanym zabytku z epoki znacznie przyjemniejszej niż obecna. Dom jednak nie zawsze był tak zadbane; kiedyś tylko stwarzał pozory szlacheckiego pochodzenia, teraz zaś pysznił się świeżo odmalowaną fasadą i wypielegnowanym trawnikiem. Ostatnio - to znaczy po powrocie Sama z pięciomiesięcznego, tajemniczego wygnania - nie żałowano



wydatków na prace pielęgnacyjne. Pinkus siłą nawyku zapoznawał się dokładnie z życiorysami wszystkich swoich pracowników, głównie po to, by później uniknąć srogiego zawodu lub świadomości, że popełnił omyłkę. Życiorys młodego Devereaux zwrócił jego uwagę w takim stopniu, że często przejeżdżał koło starego domu w Weston zastanawiając się, jakie tajemnice kryją się za jego wiktoriańskimi ścianami.

Ojciec Sama, Lansing Devereaux III, należał do elity bostońskiego świata towarzyskiego na równi z Cabotami i Lodge'ami, różnił się natomiast od nich jednym, dość istotnym szczegółem: obracając wielkimi sumami, uwielbiał podejmować ryzyko, w związku z czym znacznie łatwiej tracił pieniądze, niż je zarabiał. Był dobrym człowie-

38

kiem, choć nieco gwałtownego usposobienia. Dał szansę wielu; ludziom, sam jednak doprowadził do finału niewiele spośród swoich śmiałych zamierzeń. Umarł przed telewizorem podczas wiadomości giełdowych kiedy Sam miał dziewięć lat, pozostawiając żonie i synowi znakomite nazwisko, wspaniałą rezydencję oraz środki finansowe zdecydowanie niewystarczające na utrzymanie poziomu życia i zachowanie pozorów, z których Eleanor za żadną cenę nie chciała zrezygnować

W rezultacie Samuel Lansing Devereaux stał się wyjątkiem wśród bogaczy stypendium pozwoliło mu na naukę w Phillips Andover, gdzie roznosił potrawy w szkolnej stołówce, a podczas zabaw obsługiwał bar z przekąskami. Kiedy jego coraz bardziej odlegli krewni brali udział w dorocznych regatach, on pracował przy remoncie drogi, którą jechali nad morze. Przede wszystkim jednak uczył się jak szalony zdając sobie doskonale sprawę, że jedynie wykształcenie może zapewnić mu powrót do świata dostatku, a poza tym miał serdecznie dość roli obserwatora przyjemnego życia, jakie wiedli inni, i pragnął stać się jego uczestnikiem.

W Harvardzie zaczął otrzymywać znacznie wyższe stypendium, które uzupełniał wcale niebagatelnymi dochodami uzyskiwanymi z korepetycji udzielanych braciom i siostrom kolegów z uczelni; czasem zapłata była jeszcze bardziej atrakcyjna, gdyż nie miała nic wspólnego z finansami. Po studiach rozpoczął obiecującą karierę w firmie Aarona Pinkusa, przerwana jednak w godny pożałowania sposób przez Pentagon, rozpaczliwie poszukujący prawników, którzy mogliby zająć się oskarżaniem, broniem i sądzeniem personelu wojskowego oczekującego na rozprawy w bazach zarówno na terenie kraju, jak i poza jego granicami. Wojskowe komputery, wykazujące faszystowskie sympatie, wyszukały dawno zapomniane odroczenie udzielone niejakemu Samuelowi Lansingowi Devereaux, wkrótce potem zaś armia wzbogaciła się o przystojnego, choć mało wartościowego żołnierza, obdarzonego znakomitym prawniczym umysłem, którego to umysłu nie omieszkano użyć, a nawet, co teraz było całkowicie oczywiste, nadużyć.

Co mu się stało? - zapytywał w duchu Aaron Pinkus. Jakie okropne wydarzenia z przeszłości wróciły teraz, by go prześladować, uniemożliwiając prawidłowe funkcjonowanie genialnemu mózgowi,

39

który potrafił znajdować proste drogi wśród najbardziej zawiłych prawnych abstrakcji i umiał doszukać się źdźbła zdrowego rozsądku nawet w największym stosie pozbawionych "znaczenia banałów wzbudzając powszechny podziw zarówno praktyków, jak i teoretyków prawa?

Coś na pewno się stało - pomyślał Aaron, podchodząc do dużych frontowych drzwi z tafelkami artystycznie rżniętego szkła w górnej części. Przede wszystkim skąd Samuel wziął pieniądze na remont domu? Owszem, Pinkus nie był skąpy wobec swego najlepszego i ulubionego pracownika, ale nie do tego stopnia, by ofiarować mu co najmniej sto tysięcy dolarów na remont rodzinnej rezydencji. Skąd się wzięła ta forsa? Narkotyki? Prane pieniądze? Nielegalny handel bronią? W przypadku Sama Devereaux żadne z tych podejrzeń nie miało najmniejszego sensu. Spartoliłby każde przedsięwzięcie tego rodzaju, gdyż" - Bogu niech będą dzięki - był jednym z nielicznych naprawdę uczciwych ludzi żyjących na tym zarobaczonym świecie. Nie wyjaśniało to jednak najważniejszego, czyli pieniędzy. Kilka lat temu, kiedy Aaron wspomniął mimochodem o zaawansowanym remoncie, którego postępowanie mógł obserwować, przejeżdżając obok budynku w drodze do domu, Samuel bąknął coś o zamożnym krewnym, który odszedł na tamten świat, pozostawiając po sobie dość

pokażny spadek.

Pinkus sprawdził bieżące rejestry spraw spadkowych i przekonał się, że nic takiego w rzeczywistości się nie wydarzyło. W głębi swego religijnego serca był całkowicie pewien, że obecne niepokoje Sama mają jakiś związek z tamtym, nie wyjaśnionym przypiływem gotówki. Ale jaki? Być może odpowiedź kryje się we wnętrzu tego wspaniałego starego domu. Nacisnął przycisk i zgodnie z oczekiwaniem usłyszał basowe uderzenie polifonicznego gongu.

Dopiero po minucie drzwi otworzyły się i stanęła w nich tęgawa kobieta w średnim wieku ubrana w nakrochmalony, biało-zielony strój służącej.

- Słucham pana? - zapytała odrobinę chłodniej, niż należało.

- Przyszedłem do pani Devereaux - poinformował ją Aaron. - Jestem z nią umówiony.

- A, to pan - mruknęła służąca jeszcze bardziej lodowatym tonem. - Mam nadzieję, że będzie panu smakowała ta jej herbatka rumiankowa, bo ja mam już jej powyżej uszu. Wchodzi pan.

40

- Dziękuję. - Znakomity, choć niezbyt okazałej postury prawnik wszedł do holu wyłożonego różowym norweskim marmurem; kalkulator w jego głowie natychmiast zaczął obliczać szacunkowy koszt tej inwestycji. - A co pani pija najchętniej, moja droga? - zapytał ni w pięć, ni w dziewięć.

- Szklaneczkę whisky! - odparła kobieta, po czym ryknęła śmiechem i z rozmachem walnęła łokciem w szczupłe ramię Pinkusa.

- Będę o tym pamiętał, kiedy któregoś dnia zaproszę panią na herbatę do Ritza.

- Ale będzie wtedy ubaw, no nie, maluchu? Że co, proszę?

- Wał pan prosto w te podwójne drzwi - ciągnęła jakby nigdy służąca, wskazując lewą stronę holu. - Ważniara czeka na pana. mam jeszcze robotę.

Z tymi słowami kobieta odwróciła się i pomaszzerowała zamaszystym krokiem po drogocennej podłodze, by zniknąć "za schodami prowadzącymi spiralnie w górę.

Aaron podszedł do podwójnych drzwi, otworzył prawe skrzydło i zajrzał do środka. W drugim końcu ozdobnego wiktoriańskiego pokoju na obitej białym brokatem sofie siedziała Eleanora Devereaux. Obok niej, na zabytkowym stoliku, stał srebrny serwis do kawy. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał: trzymająca się prosto, drobnokoścista kobieta o postarzałej twarzy i wielkich błękitnych oczach, które mówiły znacznie więcej, niż chciałyby wyjawiać ich właścicielka

- Ogromnie mi miło, że znowu panią widzę, pani Devereaux.

- Ja także bardzo się cieszę, panie Pinkus. Proszę, zechce pan wejść i usiąść.

- Dziękuję.

Aaron wkroczył na bezcenny orientalny dywan i zajął miejsce w wyściełanym białym brokatem fotelu, stojącym po prawej stronie sofy, który pani Devereaux wskazała mu lekkim ruchem arystokratycznej głowy.

- Sądząc z donośnego śmiechu, jaki dobiegał z holu, wnoszę, że zdążył pan już poznać naszą służącą, kuzynkę Córę - powiedziała wielka dama.

- Kuzynkę?...

- Czy uważa pan, że przebywałyby w tym domu, gdyby nią nie

41

była? Fakt, że niektórym nieco bardziej się poszczęściło w życiu, nakłada na nich pewne obowiązki, czyż nie tak?

- *Noblesse oblige*, szanowna pani. Bardzo ładnie to pani ujęła.

- Być może, ale szczerze mówiąc wolałabym, żeby nigdy tego nie wymyślono. Nie tracę jednak nadziei, że pewnego dnia zakrzusi się whisky, którą ciągle podkrada, i w ten sposób uwolni mnie od wszelkich zobowiązań.

- To logiczny wniosek.

- Ale chyba nie przyszedł pan po to, żeby rozmawiać o Córce, prawda? Napije się pan herbatki rumiankowej? Ze śmietanką czy cytryną? Słodzi pan?

- Proszę o wybaczenie, pani Devereaux, ale muszę odmówić. Jestem starym

człowiekiem, który ma zdecydowaną awersję do wszelkich olejków eterycznych.

- Znakomicie! To dokładnie tak samo jak ja. W takim razie pozwoli pan, że naleję mu czegoś innego. - Wzięła do ręki dzbanek z Limoges stojący obok srebrnego serwisu. - Trzydziestoletnia brandy, panie Pinkus. Te olejki eteryczne z pewnością nikomu nie zaszkodzą. Zawsze sama myję zastawę, żeby Córce nie zaczęły przychodzić do głowy jakieś głupie myśli.

- Wyśmienity pomysł, pani Devereaux - odparł Aaron. - A ja nie wspomnę ani słowem mojemu lekarzowi, żeby z kolei jemu nie zaczęły przychodzić do głowy niestosowne pomysły.

- *L'chaim*, panie Pinkus - powiedziała Eleanora Devereaux, nalewając sporą porcję trunku, po czym podniosła swoją filiżankę.

- *A votre santé*, pani Devereaux.

- Nie, nie, panie Pinkus. Co prawda ród Devereaux pochodzi z Francji, ale przodkowie mojego męża przybyli do Anglii już w piętnastym wieku. Dokładnie rzecz biorąc, zostali wzięci do niewoli podczas bitwy pod Crecy, lecz potem zasymilowali się tak bardzo, że utworzyli własne armie i otrzymali tytuły szlacheckie. Jesteśmy w pełni angielską arystokracją.

- Cóż więc powinienem powiedzieć?

- Może „Za nasze sztandary”?

- Czy to zawołanie ma związek z religią?

- Myślę, że tak, oczywiście zakładając, iż jest pan pewien, że On jest po pańskiej stronie. - Oboje wypili po niewielkim łyku i odstawili filiżanki na delikatne spodeczki. - To był bardzo dobry początek,

42

- panie Pinkus. Czy teraz zajmiemy się już interesującą nas sprawą, to znaczy moim synem?

- Myślę, że postąpilibyśmy ze wszech miar roztropnie - odparł Aaron, spoglądając na zegarek. - Dokładnie w tej chwili powinno rozpocząć się spotkanie z jego udziałem, dotyczące pewnego bardzo skomplikowanego zagadnienia, które na pewno potrwa co najmniej kilka godzin. Jak już jednak ustaliliśmy podczas naszej rozmowy telefonicznej w ciągu ostatnich miesięcy pani syn często zachowywał się w zupełnie nieoczekiwany sposób. Równie dobrze może ni z tego, ni z owego opuścić spotkanie w trakcie najbardziej zażartej dyskusji i wrócić do domu.

- Lub pojechać do muzeum, do kina albo, Boże broń, na lotnisko i wsiąść do samolotu odlatującego nie wiadomo dokąd – uzupełniła Eleanora Devereaux. - Doskonale zdaję sobie sprawę z porywczych działań mojego syna. Nie dalej niż dwa tygodnie temu po powrocie z niedzielnej mszy zastałam na kuchennym stole list, w którym wyjaśniał, że musiał nagle wyjechać i że wkrótce do mnie zatelefonuje. Zatelefonował podczas obiadu. Ze Szwajcarii

-- Nasze bolesne doświadczenia są bardzo podobne, dlatego też nie będę zajmował pani czasu wyliczaniem zdarzeń, z którymi miałem do czynienia nie tylko osobiście, jako jego przyjaciel, jako właściciel firmy.

- Panie Pinkus, czy mojemu synowi grozi utrata jego dotychczasowej pozycji?

- Na pewno nie, jeśli będzie to zależało ode mnie. Zbyt długo szukałem następcy, żeby teraz tak łatwo zrezygnować. Postąpiłbym jednak nieuczciwie, wmawiając pani, że stan, z jakim mamy obecnie do czynienia, jest możliwy do zaakceptowania. Nie jest, bo wpływa niekorzystnie zarówno na Sama, jak i na firmę.

- Całkowicie się z panem zgadzam. Co możemy zrobić? Co ja mogę zrobić?

- Czy może mi pani powiedzieć o swoim synu coś, co rzuciłoby nieco światła na jego coraz bardziej zagadkowe zachowanie? Naturalnie zdaję sobie sprawę, iż spełnienie mojej prośby może naruszyć obszary pani życia, które do tej pory były chronione przed ciekawskim wzrokiem obcych natrętów, ale proszę mi wierzyć, że kieruje mną wyłącznie czysto ludzki niepokój i zawodowa troska. Zapewniam

43

panią, że wszystko, co usłyszę, zachowam w ścisłej tajemnicy, tak jak to się zawsze dzieje między prawnikiem a jego klientem, choć naturalnie nigdy nie śmiałybym nawet marzyć, że mogłaby się pani zwrócić właśnie do mnie.

- Panie Pinkus, kilka lat temu to ja nawet nie odważyłam się poprosić pana o zajęcie się moją sprawą. Gdybym wówczas była w stanie sprostać pańskim

wymaganiom finansowym, być może udałoby mi się odzyskać znaczne sumy pieniędzy, które różni ludzie byli zobowiązani wypłacić memu zmarłemu mężowi.

- Jak to?...

- Lansing Devereaux ułatwił wielu kolegom przeprowadzenie niezwykle lukratywnych przedsięwzięć w zamian za udział w zyskach, jakie *zaczną* spływać po zwróceniu się inwestycji. Po jego śmierci tylko niewielu z nich dotrzymało zobowiązań. Bardzo niewielu.

- Zobowiązań? P i s e m n y c h zobowiązań?

- Lansing nie należał do ludzi przywiązujących wagę do szczegółów. Pozostawił jednak po sobie liczne zapiski, a także nieco steno-gramów.

- Ma je pani?

- Oczywiście. Powiedziano mi jednak, że nie mają żadnego znaczenia.

- Czy pani syn potwierdził tę opinię?

- Nigdy nie pokazałam mu tych papierów i nigdy tego nie zrobię... Pod wieloma względami miał bardzo trudną młodość, co z pewnością wywarło korzystny wpływ na jego charakter, ale po co rozdrapywać stare rany?

- Możliwe, że pewnego dnia zajmiemy się tymi „bezwartościowymi papierami”, ale tymczasem wróćmy do meritum sprawy. Co przydarzyło się pani synowi w wojsku? Wie pani coś na ten temat?

- Miał dobre wejście, jak mawiają Anglicy. Służył zarówno w kraju, jak i za granicą jako prawnik w stopniu oficera i jak mi powiedziano, dał się poznać z jak najlepszej strony, szczególnie podczas pobytu na Dalekim Wschodzie. Następnie, już w stopniu majora, został adiutantem inspektora generalnego. To chyba maksimum tego, co mógł osiągnąć.

- Daleki Wschód? - powtórzył Aaron. Jego czułe anteny natychmiast wychwyciły alarmujący sygnał. - Co on robił na Dalekim Wschodzie?

**-Był** w Chinach, ma się rozumieć. Prawdopodobnie nic pan o tym nie wie, ponieważ jego zasługi zostały wyciszone, jak mawiają politycy, ale to właśnie on wynegocjował z władzami w Pekinie uwolnienie tego zwariowanego amerykańskiego generała, który odstrzelił... hmm... intymne części jakiegoś okropnie ważnego pomnika w Zakazanym Mieście.

- Mówi pani o Szalonym MacKenziem Hawkinsie?!

- Rzeczywiście, chyba tak właśnie się nazywał.

- O tym największym kretynie na świecie, który o mało nie doprowadził do wybuchu trzeciej wojny światowej? Sam był j e g o obrońcą.

- Tak, w Chinach. Wygląda na to, że dobrze się spisał. Aaron odzyskał głos dopiero po kilkakrotnym przełknięciu śliny.

- Pani syn nigdy mi o tym nie mówił... - wyszeptał ledwo słyszalnie.

- Cóż, wie pan, jacy są ci wojskowi. Wszystko trzymają w tajemnicy

- W tajemnicy... - jęknął z rozpaczą znakomity bostoński prawnik. - Pani Devereaux, czy Sammy kiedykolwiek...

§\*- Sam albo Samuel, panie Pinkus.

'- Tak, oczywiście. Czy po rozstaniu z armią Sam wspominał coś o generale Hawkinsie?

- Nigdy na trzeźwo, nigdy też nie wymieniał jego tytułu ani nazwiska. Chyba powinnam wyjaśnić, że kiedy został zwolniony z wojska i wrócił do Bostonu, nieco później niż go oczekiwaliśmy, nawiasem mówiąc....

Proszę to wytłumaczyć nie mnie, lecz dostawcy, od którego nie odebrał dwudziestu pięciu kilogramów wędzonego łososia.

- Proszę?

- To nic ważnego. Co pani mówiła?

- No więc, zadzwonił wówczas do mnie jakiś pułkownik z Inspektoratu Generalnego i powiedział, że Sam przeszedł w Chinach przez „maksymalną wyzmaczkę” Zapytałam go, co to znaczy, a on wtedy zrobił się strasznie nieuprzejmy i powiedział, że „każda porządna żona żołnierza powinna wiedzieć, co to znaczy”. Wyjaśniłam mu, że nie jestem żoną Sama, lecz jego matką, a ten nieuprzejmy człowiek odburknął coś w tym sensie, że „ten palant od początku wydawał mu się trochę szurnięty” i że powinnam liczyć się z tym, że przez kilka

miesiący będzie przechodził gwałtowne zmiany nastroju\* a kto wie czy nie złapie za butelkę.

- Jak pani na to zareagowała?

>

- Będąc żoną Lansinga Devereaux nauczyłam się kilku rzeczy. Doskonale wiem, że gdy mężczyzna zaczyna kipieć, ponieważ działa w zbyt wielkim napięciu nerwowym, najlepiej jest pozwolić mu wypuścić parę. Te różne wyzwolone kobiety doskonale wiedzą, jak się to robi. Głównym zadaniem mężczyzny jest obrona jaskini przed dzikimi lwami; pod tym względem nic się nie zmieniło, a z biologicznego punktu widzenia nawet nie powinno się zmienić. To on bierze zawsze na siebie główny ciężar uderzenia.

- Zaczynam rozumieć, po kim Sam odziedziczył tę niezwykłą bystrość umysłu.

- Mylisz się, Aaronie... Mogę tak do ciebie mówić?

- Sprawisz mi tym wielką przyjemność... Eleanoro.

- Bystrość umysłu, przenikliwość, czy jak chcesz to sobie nazwać, są przydatne tylko wtedy, kiedy towarzyszy im wyobraźnia. Dysponował nią mój Lansing, ale żyliśmy w czasach całkowitej dominacji mężczyzn, co sprawiło, że nie zdołałam dostarczyć mu koniecznej przeciwwagi, jaką stanowi ostrożność.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Eleanoro.

- Może jeszcze trochę brandy?

- Czemu nie? Czuję się jak uczeń stojący przed nauczycielem, opowiadającym mu o rzeczach, o których ten nie miał zielonego pojęcia. Powinienem teraz wrócić do domu i paść przed żoną na kolana.

- Tylko nie przesadzaj. Lubimy czasem myśleć, że to my wami manipulujemy.

- Wróćmy jednak do twojego syna - zaproponował Pinkus, po czym opróżnił dwoma łykami filiżankę. - Stwierdziłaś, że nigdy nie wymieniał generała Hawkinsa z nazwiska ani tytułu, ale dałaś jednocześnie do zrozumienia, że nie będąc całkowicie trzeźwym, czynił jakieś aluzje na jego temat. Co wtedy mówił?

- Gadał bez ładu i składu o Jastrzębiu - tak właśnie go nazywał - odparła cichym głosem Eleanor, odchyliwszy głowę do tyłu. - Twierdził, że Jastrząb był autentycznym bohaterem i wojskowym geniuszem. Wszyscy uwielbiali go, kiedy był potrzebny, ale opuścili natychmiast, gdy tylko stał się niewygodny, mimo że realizował

46

ich fantazje i marzenia. Przeraziło ich to, ponieważ doskonale zdawali sobie sprawę, że te fantazje i marzenia, gdyby wprowadzić je w życie, doprowadziły by do nieszczęścia. Jak wszyscy fanatycy, którzy nigdy nie brali udziału w prawdziwej walce, nie widzieli nic atrakcyjnego w kompromitacji i śmierci.

- A Sam?

- Twierdził, że nigdy nie zgadzał się z Jastrzębiem i nigdy nie chciał mieć z nim nic wspólnego, ale został do tego zmuszony - nie mam pojęcia w jaki sposób. Czasem, kiedy po prostu chciał porozmawiać, opowiadał nieprawdopodobne historie, całkowite brednie - na przykład o nocnym spotkaniu z wynajętymi mordercami na polu golfowym. Wymienił nawet nazwę klubu golfowego na Long Island.

- Long Island w Nowym Jorku?

- Tak. Bredził też coś o tym, jak negocjował wielomilionowe kontrakty z angielskimi zdrajcami na placu Belgravii w Londynie, z byłymi nazistami na fermie drobiowej w Niemczech, a nawet z arabskimi szejkami na pustyni. W rzeczywistości ci szejkowie byli rzekomo władcami slumsów w Tel Awiwie i nie chcieli dopuścić do tego, żeby w wyniku wojny JomKippur egipska armia pozbawiła ich władzy. Powiadam ci, Aaronie, to są zupełnie szalone historie.

- Zupełnie szalone... - powtórzył słabym głosem Pinkus, czując nieprzyjemny ciężar w żołądku. - Są? Czy mam rozumieć, że w dalszym ciągu je opowiada?

- Nie tak często jak dawniej, ale wraca do nich; kiedy jest bardzo przygnębiony albo wypije o jedno martini za dużo, ucieka do swojej ostoji.

- Ostoji? Myślisz o czymś w rodzaju jaskini?

- Nazywa to „ostoją w *chateau*".

„;,  
, .<•

- *Chateau* w sensie bardzo dużego domu albo zamku?

Tak, wspomina czasem o czymś takim w Zermatt w Szwajcarii, o jakiejś lady Annie i wuju Zio. Mówię ci, całkowita fantazja. Zdaje się że coś takiego określa się słowem paranoja.

- Mam nadzieję... - mruknął Pinkus.

- Proszę?

\*!\*\*\*

- Nic takiego. Czy Sam spędza dużo czasu w swojej „ostoi”? •\*

- Opuszcza ją od czasu do czasu tylko po to, żeby zjeść ze mną kolację. Właściwie to jest całe wschodnie skrzydło budynku, z osobnym

47

wejściem i wszystkimi niezbędnymi urządzeniami. Sam zatrudnia nawet własną służbę - tak się dziwnie składa, że są to sami muzułmanie. Wydaje mu się, że tylko on ma klucze...

- Ale to nieprawda? - podchwycił natychmiast Aaron.

- Oczywiście, że nie. Ludzie z firmy ubezpieczeniowej stanowczo zażądali, żeby ktoś jeszcze miał dostęp do tej części budynku, więc pewnego dnia Córa ukradła mu klucze i kazała zrobić duplikaty... Aaronie! - Eleanora Devereaux spojrzała prosto w głęboko osadzone oczy prawnika i bezbłędnie odczytała wypisaną w nich wiadomość. - Czy naprawdę sądzisz, że moglibyśmy dowiedzieć się czegoś, przeszukując jego „ostoję”? Czy to aby nie będzie niezgodne z prawem?

- Jesteś jego matką, moja droga, i masz wiele powodów, by troszczyć się o stan jego umysłu. To ważniejsze od jakiegokolwiek prawa. Zanim jednak podejmiesz decyzję, chciałbym zadać ci jeszcze jedno lub dwa pytania... W ciągu minionych lat w tym wspaniałym domu przeprowadzono wiele poważnych prac remontowych. Oglądając go z zewnątrz, oceniłem wydatki na około stu tysięcy dolarów, lecz teraz, kiedy zobaczyłem jego wnętrze, jestem skłonny przyjąć, że kwota była kilkakrotnie większa. Czy Sam mówił ci, skąd pochodzą te pieniądze?

- Nie za bardzo... Powiedział tylko, że po zwolnieniu z wojska przebywał w Europie z tą swoją tajną misją i wówczas sporo zainwestował w dzieła sztuki, a dokładniej rzecz biorąc, w niedawno odkryte dzieła sztuki sakralnej. Wkrótce potem ceny raptownie poszły w górę, dzięki czemu udało mu się dużo zarobić.

- Rozumiem - odparł Aaron Pinkus. Ciężar w żołądku jeszcze się zwiększył. Wydawało mu się, że z bardzo daleka dobiegł groźny odgłos gromu. - Dzieła sztuki sakralnej... A co mówił o tej lady Annie, o której wspomniałaś?

- Zupełne głupoty. Mój nieszczęsny syn ubzdurał sobie, że lady Anna, jego, jak to określił, jedyna prawdziwa miłość na tym świecie, opuściła go i uciekła z papieżem.

- Na wielkiego Boga Abrahama... - jęknął Pinkus i sięgnął po filiżankę z brandy.

- My, anglikanie, nie wierzymy w nieomylność papieża. Jest możliwym do zaakceptowania, choć może nieco pretensjonalnym symbolem, ale niczym więcej.

48

- Myślę, że nadszedł czas, byś podjęła decyzję, Eleanoro - powiedział Pinkus, przełknąwszy jednym haustem resztę brandy. Och, żeby ten rozszerzający się ból w żołądku gdzieś zniknął! - Mam na myśli wyprawę do „ostoi” twój syna.

- Naprawdę uważasz, że może nam to pomóc?

- Nie jestem pewien, co uważam, ale jestem pewien, że powinniśmy spróbować.

W takim razie chodźmy. - Lady Devereaux wstała nieco chwiejnie z sofy i wskazała podwójne drzwi. - Klucze są w doniczce z kwiatami w holu. Doniczka z kwiatami... To wcale nie tak łatwo wymówić, jak się wydaje. Sam spróbuj, Aaronie.

- Doniczka z kwiatami, doniczka z kwiatami, kwietniczka z donami... - wymamrotał pod nosem Pinkus, usiłując stanąć pewnie na nogach, ale nie bardzo wiedząc, gdzie one się właściwie podziały.

Zatrzymali się przed grubymi ciężkimi drzwiami prowadzącymi do ostoi Samuela Lansinga Devereaux, a jego matka, przy niewielkiej pomocy wziętego prawnika, który teraz stał się także jej prawnikiem, przekręciła klucz w zamku. Wszedłszy do *sanctum sanctorum*, znaleźli się najpierw w wąskim korytarzyku, który niebawem zamienił się w obszerny hol. Przez imponujące drzwi z grubymi szybami wpadały do środka promienie popołudniowego słońca; tedy wchodziło się z zewnątrz do wschodniego skrzydła budynku. Skręcili w prawo. Przez

otwarte drzwi. na jakie natrafili, prowadziły do pogrążonego w ciemności pokoju. Okiennice były szczelnie zamknięte.

- Co to jest? - zapytał Aaron.

- Zdaje się, że jego gabinet - odparła Eleanora, mrugając raptownie powiekami. - Nie pamiętam, kiedy byłem tu po raz ostatni. Chyba po zakończeniu remontu, kiedy Sam oprowadził mnie po całym skrzydle.

- Rozejrzyjmy się tutaj. Wiesz, gdzie zapala się światło?

- Włącznik powinien być na ścianie.

Był. Blask trzech stojących lamp oświetlił pokryte sosnową boazerią ściany pokoju. Ściany te jednak były prawie niewidoczne, gdyż wisiało na nich mnóstwo starannie oprawionych fotografii, między nimi zaś znajdowały się wycięte byle jak i przyklejone taśmą samoprzylepną wycinki prasowe.

%\*- Boże, jaki tu bałagan! - wykrzyknęła matka właściciela gabinetu. - Każę mu to natychmiast posprzątać!

49

- Na twoim miejscu nawet bym nie próbował - zauważył Pinkus, podchodząc do ściany po lewej stronie pokoju. Wiszące tu zdjęcia prasowe przedstawiały głównie odzianą w biały habit zakonnicę rozdającą żywność i ubrania ubogim ludziom różnych ras. „Siostra Anna dociera ze swoim przesłaniem do najdalszych zakątków kuli ziemskiej” - głosił podpis pod zdjęciem przedstawiającym slumsy w Rio de Janeiro. Nad panoramą miasta dominowała usytuowana na wysokim wzgórzu ogromna figura Chrystusa. Inne wycinki zawierały wariacje na ten sam temat: fotografie atrakcyjnej zakonnicy w Afryce, Azji, Ameryce Środkowej i w koloniach dla trędowatych na Pacyfiku oraz tytuły - „Siostra Anna, anioł miłosierdzia”, „Wysłanniczka nadziei”, a wreszcie „Dobra Anna kandydatką na świętą?”

Aaron założył okulary w stalowych oprawkach i zajął się studiowaniem oprawionych w ramki fotografii. Wszystkie-wykonano w okolicy obfitującej w szarotki, najczęściej z Alpami w tle, widniejące zaś na nich osoby były szczęśliwe, roześmiane i beztrudne. Kilka z nich Pinkus rozpoznał bez żadnych kłopotów: nieco młodszy Sam Deve-reaux; wysoka, agresywna postać zbzikowanego generała, Szalonego MacKenziego Hawkinsa; atrakcyjna blondynka w szortach i staniczku, będąca bez wątpienia Dobrą Anną; wreszcie jakiś krępy, jowialny gość w krótkim, fartuchu, spod którego wystawały nogawki skórzanych spodni na szelkach. Kto to mógł być? Twarz wydawała się znajoma, ale... Nie, tylko nie to. Nie! Neeeeee!

- Bóg Abrahama opuścił nas... - wyszeptał Aaron Pinkus zbielełymi wargami.

- O czym mówisz, Aaronie? - zapytała Eleanora Devereaux.

- Prawdopodobnie nie pamiętasz tego, bo wówczas ta sprawa nic dla ciebie nie znaczyła. - Pinkus mówił szybko niepewnym, wyraźnie drżącym głosem. - Kilka lat temu Watykan znalazł się w poważnych tarapatkach finansowych. Pieniądze wypływały ze skarbca obfitym strumieniem, zasilając tak nieprawdopodobne przedsięwzięcia jak trzeciorzędne opery, wesołe miasteczka i rozrzucone po całej Europie ośrodki rehabilitacji prostytutek. Powiadam ci, zupełne wariactwo. Ludzie myśleli, że papież oszalał, że jest *pazzo*. Niespodziewanie, tuż przed ostatecznym upadkiem Wiecznego Miasta, upadkiem, który doprowadziłby do paniki na ogólnoświatowym rynku inwestycji, wszystko wróciło do normy. Papież odzyskał kontrolę nad sobą

50

i znowu zaczął zachowywać się jak dawniej. Środki przekazu na całym świecie uznały, że wyglądało to tak, jakby był jednocześnie dwiema osobami jedna to *pazzo*, druga to dobry i spokojny człowiek, którego wszyscy kochają.

- Mój drogi panie Pinkus, to wszystko nie ma dla mnie ani krzty sensu

- Spójrz! - wykrzyknął Aaron, wskazując pulchną, uśmiechniętą na jednej z fotografii. - To on!

- - To znaczy kto?

- Papież! Stąd właśnie wzięły się pieniądze. Okup! Dziennikarze mieli rację, było dwóch ludzi! Generał Hawkins i twój syn porwali papieża!... Eleanoro? - Aaron odwrócił się od ściany. - Eleanoro!

Lądy Devereaux osunęła się bez przytomności na podłogę.

-Nikt nie jest zupełnie czysty - powiedział spokojnie dyrektor Mangecavallo głosem, w którym wyraźnie dało się słyszeć niedowierzanie. Mówił do dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach siedzących po przeciwnej stronie stołu w słabo oświetlonej kuchni w McLean w stanie Wirginia. - To nienormalne; rozumiecie? Może za słabo szukaliście, co, Palczasty?

- Mówię ci, Vinnie, sam byłem zaszokowany - odparł niski, otyły mężczyzna, dotykając węzła białego jedwabnego krawata pod kołnierzykiem czarnej koszuli. - Tak jak powiedziałaś, to nienormalne, a nawet nieludzkie. W jakim świecie żyją ci sędziowie? W takim bez zarzków?

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie - zwrócił mu łagodnie uwagę Vincent, po czym przeniósł badawcze spojrzenie na drugiego ze swoich gości. - A co ty powiesz, Mięcho? Chyba nie sfuszerowaliście roboty?

- Coś ty, Vin! - zaprotestował potężnie zbudowany mężczyzna o beczkowatej piersi, w geście protestu wyciągając przed siebie wielkie ręce. Ten dla odmiany miał różową koszulę i czerwony krawat. - Odwaliliśmy pierwszorzędną robotę. Przecież rozkaz przyszedł z samej góry, zgadza się? Ściągnęliśmy nawet z Atlanty chłopców Hymiego Goldfarba, a kto zna się na tym lepiej od nich?

- Tak, chłopcy Hymiego mają swoje sposoby - zgodził się dyrektor CIA. Nalał sobie kolejny kieliszek chianti i wyjął z kieszeni na piersi cygaro Monte Cristo. - Znacznie lepsze niż federalaki

z Hooverowa. Ci potrafią tylko zasypywać nas jakimiś głupotami o wszystkich stu trzydziestu siedmiu kongresmanach i dwudziestu sze senatorach, którzy zatwierdzili mnie na tym stołku, nie licząc mnf.:., innych śmieci, ma się rozumieć. Fidrygałki!

- Jakie gałki Vinnie? - zainteresował się Palczasty.

- Nieważne. Po prostu nie mogę tego zrozumieć. Żaden z tych sześciu cholernych sędziów nie ma na sumieniu nic, do czego mogli byśmy przyczepić? To niewiarygodne! - Mangecavallo wstał od stołu, zapalił cygaro, po czym zaczął przechadzać się wzdłuż pociemniałej ściany obwieszonej zdjęciami papieży, świętych i różnych przyprą Nagle zatrzymał się, a kłęb dymu, który właśnie wypuścił z ust, utworzył nad jego głową coś w rodzaju diabelskiej aureoli. - Wrócimy do samego początku - powiedział, stojąc bez ruchu. - Trzeba się dokładnie przyjrzeć.

- Czemu, Vinnie?

- Tym czterem albo pięciu liberalnym pajacom, którzy nie potrafią normalnie myśleć. Dlaczego ludzie Goldfarba nic na nich nie znaleźli?... Weźmy na przykład tego czarnego kocura. Czy komuś przyszło do głowy, że na przykład w dzieciństwie mógł uprawiać hazard? Nie wpadliście na pomysł, żeby sięgnąć aż tak daleko? Błąd!

- Vin, on jako mały chłopiec śpiewał w chórze kościelnym i służył do mszy. Mówię ci, to prawdziwy anioł ze łbem jak ceber.

- A ta pannica? To gruba ryba, *zgadza się?* Czyli jej mąż musi trzymać gębę na kłódkę i udawać, że jest tym zachwycony, co nie może być prawdą, bo przecież jest mężczyzną. Może ona nie daje mu zrec, a wścieka się jak diabli, ale boi się pisnąć choć słówko. Ludzie nie lubią rozgłaszać takich rzeczy.

- Nic z tego, Vin - odparł Mięcho, kręcąc ze smutkiem głową. - Co dzień przysyła jej kwiaty do biura i rozpowiada wszystkim, jaki jest z niej dumny. Może dlatego, że sam jest adwokatem i cholernie zależy mu na tym, żeby mieć dobre układy z Sądem Najwyższym. Nawet tam pracuje jego żona.

-«• Cholera!... Hej, a co z tym irlandzkim safandulą? Może gołał sobie z po którejs z tych ich parad? Moglibyśmy przygotować całą tet - wszystko ściśle tajne, względy bezpieczeństwa narodo wego, i tak dalej. Przekupimy paru świadków, którzy przysięgną, że widzieli, jak wychodzi na bani z biura. Powinno się udać. W dodatku



z takim nazwiskiem na pewno ciągnie go do dziewczynek, to naturalna sprawa.

- Nic z tego, Vin - westchnął Mięcho, ponownie kręcąc głową. - Facet jest tak porządny, że aż żal dupę ścisnąć. Wszyscy wiedzą, że nigdy nie pije więcej niż kieliszek białego wina, a jeśli chodzi o dziewczynki, to omija je z daleka.

- Więc może coś w drugą stronę?

- Nie ma szans, Vin. To prawdziwy harcerz.

- Niech to szlag trafi... Już dobrze, dobrze. Nie ruszymy tych dwóch WASP-ów\*, bo nasi ludzie mają dobre układy z bankierami w lepszej części miasta. Dostaliśmy polecenie, żeby nie narażać się śmietance towarzyskiej. Wcale mi się to nie podoba, ale muszę wykonywać rozkazy. W takim razie wychodzi na to, że musimy się zająć naszym rodakiem.

- Tylko nie to Vinnie! - zaprotestował Palczasty. - Zalaż za skórę wielu naszym chłopcom, jakby w ogóle nie wiedział, kim jesteśmy. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Cóż, może więc damy mu do zrozumienia, że my wiemy, kim o n jest?

- Dobra, ale jak to zrobić?

- A skąd mam wiedzieć, do jasnej cholery? Ludzie Goldfarba powinni byli coś znaleźć, cokolwiek! Może pobił parę zakonnic w szkółce parafialnej albo może ukradł i opchnął monstrancję, żeby kupić sobie harleya i przyłączyć się do gangu motocyklistów? Czy ja naprawdę muszę sam o wszystkim myśleć? Na pewno ma jakiś słaby punkt, musi go mieć! Takie tłuściochy zawsze go mają.

- Mięcho też jest tłustawy...

- Stul dziób, Palczasty. Z ciebie też żaden patyk.

- Nie możesz go ruszyć, Vin - wtrącił się różowo-czerwony Mięcho. - To prawdziwy *erudito*, potrafi tak nawijać, że puchną najtęższe mózgi, a w dodatku jest czyściutki niczym śpioszki niemowlaka. Czasem tylko trochę wnerwia ludzi, bo śpiewa arie operowe, a ma kiepski głos. Chłopcy Goldfarba wzięli się przede wszystkim za niego, bo jak większość Żydów, uważają się za liberałów, a on na

- W ASP (White Anglo-Saxon Protestant) - biały protestant pochodzenia anglosaskiego. Z tej grupy społecznej tradycyjnie wywodzą się ludzie należący do elit politycznych, finansowych i naukowych USA (przyp. tłum.).

54

pewno nim nie jest. Mieli coś w rodzaju politycznej motywacji, kapujesz?

- Do cholery, co z tym wszystkim ma wspólnego polityka? Stanęliśmy przed paskudnym problemem, największym w historii tego kraju, a wy chrzanicie mi tu jakieś dyrdymały o polityce!

- Hej, Vinnie! - zaprotestował płacząco Palczasty. - Przecież po ty kazałeś szukać czegoś na tych sędziów.

-• Dobra, dobra... - warknął Mangecavallo, po czym wypuścił kłęb dymu i zajął miejsce przy kuchennym stole. - Potrafię się (zorientować kiedy coś nie gra. Z czym więc zostaliśmy? Musimy uratować naszą kochaną ojczyznę, bo bez naszej kochanej ojczyzny |zostaniemy na lodzie. Czy wyrażam się jasno?

Palczasty skinął głową.

- A jakże. Ja tam nie chcę mieszkać nigdzie indziej.

- Ja bym nawet nie mógł - dodał Mięcho. - Gdzie bym się podział z Angeliną i siedmiorgiem bachorów? W Palermo jest okropnie gorąco, a ja się bardzo pocę. Angie miałaby jeszcze gorzej, bo ona poci {się nawet bardziej ode mnie. Powiadam wam, chłopcy, potrafi zasmrodzić cały pokój...

-- To obrzydliwe - wycedził Mangecavallo, utkwivszy spojrzenie swoich ciemnych oczu w otyłym ziomku. - To naprawdę obrzydliwe. Jak możesz mówić takie *rzeczy o matce swoich dzieci?*

- To nie jej wina, Vin. Wszystko przez te gruczoły.

- Ty sam cuchniesz jak zapleśniały ser' wiesz o tym?... *Basta*, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. - Dyrektor CIA ponownie wstał z krzesła i puszczając kłęby dymu z cygara, zaczął przechadzać się po kuchni. Zatrzymał się tylko na chwilę, by podnieść przykrywkę garnka stojącego na ogniu, ale natychmiast wypuścił ją, oparzywszy sobie palce o gorący metal. - Co ona pichci, na litość boską? To wygląda. Na małpie mózdzki- warknął machając ręką.

- Służąca, Vinnie?

- Służąca? Jaka służąca? Mówisz o tej *contessie*, która całymi dniami przesiaduje z Rosą? Nic nie robią, tylko szydełkują i gadają, gadają i szydełkują niczym dwie stare sycylijskie dziwki, które próbują sobie przypomnieć, kto kogo czterdzieści lat temu utopił w Cieśninie ^Messymk. Ona nie gotuje. Oprócz tego nie myje też okien, nie sprząta chałupy i nie zmywa garów. Wciąż łążą z Rosą po supermarketach i kupują jakieś świństwa, których ja nie dałbym nawet kotom.

55

- Pozbądź się jej, Vin. TM"
- Jakiś ty mądry! Rosa mówi, że ona jest jak jedna z jej sióstr, tyle że znacznie miłsza i nie tak brzydka... Same sobie zjedzą te gówna, my stąd wychodzimy. Względem bezpieczeństwa narodowego, chwytnie?
- Jasne, Vinnie - potwierdził Palczasty, kiwając wielką głową o lekko skrzywionym nosie.
- Tak jak w forcie, kiedy tubylcy zaczęli się buntować.
- Jezu, co wspólnego mają z tym tubylcy?... Zaczekaj... Zaczekaj! „Autentyczny Amerykanin”, tak?... Gdyby tak się dało...
- Co takiego, Vin?
- Nie możemy ruszyć sędziów, zgadza się?
- Zgadza się, Vinnie.
- W związku z tym Sąd Najwyższy może nas wszystkich spuścić z wodą w klozecie, zgadza się?
- Zgadza się, Vin.
- Otóż wcale niekoniecznie... Przypuśćmy, na razie tylko p r z y p u ś ć m y, że ten ważny indiański wódz, który wywołał największy kryzys w historii tego państwa, jest bardzo złym człowiekiem, zboczonym indywidualistą pozbawionym ciepłych uczuć, za to pełnym wrednych zamiarów. Rozumiecie, co mam na myśli? Załóżmy, że gówno go obchodzi jego czerwonoskórzy bracia i że zależy mu tylko na zdobyciu rozgłosu i kupy forsy? Jeśli uda nam się pokazać go w taki sposób, będziemy mieli go w rękę! Zawsze tak się robi.
- Bo ja wiem, Vin... - bąknął niepewnie Mięcho. - Przecież sam mówiłeś, że ten typek z Białego Domu - ten z kolorową kredą - powiedział wam, że pięciu albo sześciu sędziów płakało jak bobry czytając pozew tego Siedzącego Byka, i że była tam cała litania - sam użyłeś tego słowa, Vin. Ja też słyszałem to i owo o tym, co kiedyś wyrabiali z Indiancami nasi tatuśkowie. Powiem ci szczerze, Vin, kiedy tak sobie tu siedzimy we trójkę - jasne, że ty jesteś najmądrzejszy, ja pętam się gdzieś daleko z tyłu, a Palczasty w ogóle się nie liczy - to nie wierzę, żeby jakiś palant otumaniał takich łebskich sędziów jakimiś bzdurami. To nie miałyby żadnego sensu.
- Wbij sobie do łba, *amico*, że nie szukamy sensu, ale drogi wyjścia z poważnego narodowego kryzysu. W tej chwili ten kryzys nazywa się Grzmiąca Głowa. Powiedźcie Goldfarbowi, żeby wysłał swoich chłopców do Nebraski.

Nebraska... Nebraska... - zamruczał Hyman Gold-Ifarb do telefonu, jakby nazwa tego stanu została włączona do jednego z psalmów Starego Testamentu. Siedząc za eleganckim biurkiem w eleganckim gabinecie mieszczącym się w eleganckim Phipp Plaza Atlancie, wznosił oczy ku sufitowi, po czym opuścił je i spojrzał z zadowoleniem na siedzącą przed nim szczupłą, dobrze ubraną parę w średnim • wieku; średni wiek oznaczał w tym przypadku około czterdziestu pięciu lat, czyli zaledwie kilka mniej, niż liczył sobie umięśniony, opalony Goldfarb, wbity w obcisły biały garnitur, który <sup>podkreśla</sup> jego wciąż jeszcze budzące podziw atletyczne kształty. - A więc mam wysłać moich najlepszych ludzi do tej zakichanej Nebraski, żeby uganiaли się za jakimś kłębkim mgły, za cholernym złudzeniem optycznym, które każe się nazywać Grzmiącą Głową, wodzem Wo-potami? Czy dobrze cię zrozumiałem? Jeśli tak, to żałuję, że nie zostałem rabinem, którym powinienem być zostać, lecz znacznie gorzej | wykształconym graczem w futbol.

Hyman Goldfarb umilkł. Przez dłuższą chwilę słuchał w milczeniu, od czasu do czasu odsuwając słuchawkę i wzdychając donośnie. Wreszcie kiedy wyczerpały się zapasy jego cierpliwości, przerwał rozmówcy

Może zechcesz zwrócić uwagę na to, co mam ci do powiedzenia, dzięki czemu zaoszczędzisz trochę pieniędzy?... Dziękuję. A teraz

- słuchaj: nawet jeśli istnieje ktoś taki jak wódz Grzmiąca Głowa, to (nigdzie nie można go odnaleźć. Moi ludzie twierdzą, że on nie istnieje. Kiedy wymieniali jego imię wśród niedobitków Wopotami (mieszkających w tym żalonym rezerwacie, odpowiadało im milczenie ; albo jakieś niezrozumiałe szepty w indiańskim narzeczu. Można by sobie wyobrazić, że jest się w jakiejś katedrze w samym środku dżungli, gdzie zawsze można dostać mnóstwo alkoholu, a Grzmiąca Głowa jest bardziej mitem niż rzeczywistością, czymś w rodzaju ikony (albo pła totemicznego, któremu wierni składają hołdy. Krótko mówiąc nie wierzę, żeby ktoś taki naprawdę istniał... Myślę natomiast, że twoje pytanie... Czy naprawdę musisz tak okropnie krzyczeć?...
- Wydaje mi się mój łatwo ekscytujący się przyjacielu, że wódz Grzmiąca Głowa stanowi symboliczny amalgamat - nie, to nie wiąże się z życiem seksualnym - wąsko pojmowanych dążeń, bez wątpienia szlachetnej natury, mających związek z niewłaściwym traktowaniem przez rząd problemu amerykańskich Indian. Być może za tym

## 57

;

pseudonimem kryje się grupka uczonych z Berkeley lub Uniwersytetu Nowojorskiego, uczonych, którym udało się dokopać do jakiegoś precedensu mogącego sprawić trochę kłopotu sądom niższej instancji. Oszustwo, przyjacielu, co prawda bardzo sprytnie, ale jednak zwykle oszustwo.

Goldfarb ponownie odsunął słuchawkę i przymknął oczy. Eleganckie biuro wypełnił wściekły, metalicznie brzęczący głos. "

- Co ty chrzaniysz?! - ryknął niewidoczny rozmówca. - Ten wspaniały kraj lada chwila może znaleźć się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a ty posuwasz takie głodne kawałki? Słuchaj, panie mądry: pewien facet z Langley w Wirginii kazał ci przekazać, żebyś czym prędzej znalazł jakiegoś haka na tę Grzmiącą Głowę. Nikt z nas nie chce wracać do Palermo, kapujesz?

- Owszem, nawet bez tych zbędnych rozwlekłości. *Per cento anno, signore*. Będziemy w kontakcie. - Konsultant CIA odłożył słuchawkę, odchylił się do tyłu wraz z fotelem i westchnął głęboko. - Boże, dlaczego właśnie ja? - zapytał potrząsając głową. - Jesteście zupełnie pewni? - Zwrócił się do siedzącej przed biurkiem pary.

- Nie sformułowałabym tego aż tak mocno, Hyman - odparła kobieta z wyraźnym angielskim akcentem świadczącym o pochodzeniu z prowadzonej od wielu pokoleń szlachetnej hodowli. - Nie, nie jesteśmy pewni. Wątpię, czy ktokolwiek mógłby być pewien, ale nawet jeśli istnieje jakiś wódz Grzmiąca Głowa, to nigdzie nie można go znaleźć, jak wyraźnie dałeś do zrozumienia dżentelmenowi, z którym przed chwilą rozmawiałeś.

Użyłem waszego sformułowania, ma się rozumieć. Poza tym protestuję przeciwko określeniu dżentelmen.

- Nie bez powodu, jak przypuszczam - odezwał się z identycznym angielskim akcentem towarzysz kobiety. - Zastosowaliśmy plan C. Podawaliśmy się za antropologów z Cambridge badających wspa niałe, choć bliskie wyginięcia plemię, którego przodkowie zostali na początku siedemnastego wieku przyłączeni do Korony przez sir Waltera Raleigha. Gdyby ktoś taki jak Grzmiąca Głowa naprawdę istniał, zgodnie ze wszelką logiką powinien przybiec do nas w podskokach, żeby potwierdzić prawa swego na r> -a także domaga\* się odszkodowania za poniesione straty. Nie zrobił jednak tego, więc doszliśmy do wniosku, że nie istnieje.

## 58

- Ale istnieje pozew złożony w Sądzie Najwyższym - zwrócił im konsultant CIA. - To pełne kretynstwo.

Całkowite szaleństwo - zgodził się Anglik. - Co teraz zrobimy, Hyman? Domyślam się, że trafiłeś „prosto pod lufę”, jak mawialiśmy \\ tajnych shiznach Jej Królewskiej Mości, choć ja osobiście zawsze byłem zdania, że określenie to jest nadmiernie melodramatyczne.

- Może tak, a może nie - odparł Goldfarb. - Mamy do czynienia z idiotyczną farsą, która w każdej chwili może zacząć przynosić tragiczne efekty... O czym ci przekleci sędziowie myślą, do cholery?

- Przypuszczam, że o prawie i praworządności - powiedziała kobieta. - Starają się osiągnąć te cele bez zważania na koszty, które my wszyscy uznalibyśmy za zdecydowanie zbyt duże. Pozostawiając na boku tę sprawę, muszę stwierdzić, mój drogi Hy, że człowiek, z którym rozmawiałeś przez telefon, a któremu odmawiasz tytułu dżentelmena, ma rację. Najważniejsze w tej chwili jest ustalenie, kto ukrywa się w przebraniu Grzmiącej Głowy.

- Ależ, Daphne, przecież sami przed chwilą przyznaliście, że nie mogliście go znaleźć!

-- Być może nie szukaliśmy wystarczająco dokładnie. Co ty na to, Reggie'!

- A to dopiero! Pozwolę sobie przypomnieć, że przeczesaliśmy ten okropny rezerwat wzdłuż i wszerz, ale bez żadnych rezultatów. Z nikim nie dało się dogadać.

Wiem, mój drogi, ale czy pamiętasz, że natrafiliśmy na jedną z osób?, która robiła wszystko, żeby utrudnić porozumienie?

- Ach, ten - mruknął Anglik z odrazą. - Paskudny szczeniak. W dodatku ponury jak noc.

- Kto taki? - zapytał gwałtownie Goldfarb.

- Wcale nie ponury, Reggie, tylko zamknięty w sobie i mało komunikatywny. Widziałam jednak, patrząc w jego oczy, że rozumie każde słowo.

- Kto to był? - naciskał konsultant CIA.

- Pewien indiański zuch, tak na oko najwyżej dwudziestoparoletni. Twierdzi, że prau i nie zna angielskiego, a kiedy zadawaliśmy mu pytania, tylko kręcił głową. Szczerze mówiąc, nie zwróciłam wtedy na niego większej uwagi. W dzisiejszych czasach spotyka się mnóstwo niesympatycznych młodych ludzi..

59

- Był dość nieskromnie ubrany - wtrącił się Reginald. - Właściwie miał na sobie niewiele więcej niż przepaskę biodrową. Raczej odrażające. A kiedy wskoczył na konia, udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że nie należy do najlepszych jeźdźców.

- O czym wy mówicie, do licha? - zapytał Goldfarb ze zdumieniem.

- Po prostu spadł - wyjaśniła Daphne. - Ujeżdżanie nie jest chyba jego najmocniejszą stroną.

- Zaraz, chwileczkę! - wykrzyknął Goldfarb, pochylając nad biurkiem swą potężną pierś. - Powiedziałeś, że nie zwróciliście wtedy na niego uwagi. W takim razie dlaczego teraz o nim pomyśleliście?

- Cóż, drogi Hy, ze względu na okoliczności staramy się myśleć o wszystkim.

- Wydaje się wam, że wiedział coś, czego nie chciał wam powiedzieć?

- To możliwe, ale...

- Udałoby się wam go odnaleźć?

- Och, tak. Widziałem, jak wychodził ze swojego namiotu.

- Z namiotu? Oni mieszkają w namiotach?

- Oczywiście, Hyttian - odparł Reginald. - W namiotach ze skóry. Przecież to Indianie. Czerwonoskórzy, jak mawia się w waszych filmach.

- Coś mi tu cholernie śmierdzi! - warknął Goldfarb, podnosząc słuchawkę telefonu i wykręcając numer. - Namioty ze skóry! Teraz już nikt nie używa czegoś takiego... Nie rozpakowujcie się - rozkazał, po czym skoncentrował uwagę na słuchawce. - Manny?... Znajdź Łopatę i walcie prosto na lotnisko. Polecicie learem do Nebraski.

Indiański młodzieniec zupełnie nagi, jeśli nie liczyć czegoś w rodzaju dziwacznej skórzanej spódniczki okrywającej mu biodra, stał przed wielkim, pomalowanym w kolorowe wzory namiotem i wrzeszczał co sił w płucach:

- Mac, oddaj mi ubranie! Nie możesz mi tego zrobić! Mam już tego dosyć... Wszyscy mamy tego dosyć! My nie mieszkamy w tych cholernych namiotach, nie śpimy na gołej ziemi, nie gotujemy nad ogniskiem i chodzimy do toalety, nie do jakiegoś cholernego lasu

60

A skoro już jestem przy tym, to możesz sobie zabrać tę pieprzoną, narowistą chabetę i

odesłać do Geronima, żeby ją sobie sam ujeździł. Nienawidzę koni i nie jeżdżę na nich... Nikt z nas nie jeździ konno, na litość boską! Jeździmy chevroletami, fordami, a nawet cadillacami, ale nie konno, do jasnej cholery!... Mac, słyszysz mnie? Odezwij się wreszcie! Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za pieniądze i dobre intencje, a nawet za te idiotyczne kostiumy z Hollywoodu, ale czy ty naprawdę nie rozumiesz, że posunąłeś się za daleko?

- Widziałeś film, który o mnie nakręcili? - rozległ się ryk <sup>E</sup>vz wnętrza namiotu - Ten sukinsyn, który mnie grał, seplenił jak małe dziecko. Mało mnie szlag nie trafił!

- Mac, nie o tym teraz mówię. To szaleństwo, w które nas wciągasz, zupełnie nam się nie podoba. Dostaniemy w tyłek i zrobimy z siebie pośmiewisko dla innych rezerwatów.

- Na pewno nie! Choć przyznam, że określenie: dostaniemy w tyłek, brzmi bardzo interesująco.

- Może dla ciebie, kurzy mózdzku! Minęły już trzy miesiące, a wciąż nie ma żadnej reakcji. Trzy miesiące zupełnego wariactwa, biegania prawie na golasa albo w kostiumach, od których swędzi skóra i robią się pęcherze na dupie. Trzy miesiące parzenia sobie palców przy ognisku i ganiań za potrzebą do lasu, w trujące bluszcze...

- Latryny pod gołym niebem zawsze stanowiły nieodzowny składnik żołnierskiego Acia, chłopcze Nie narzekaj też na rozdzielenie płci - armia nigdy nie zgodziłaby się na nic innego.

- Nie jestem w żadnej armii, nie jestem żołnierzem i chcę dostać z powrotem moje ubranie!

Lada dzień, synu, lada dzień! - odparł grzmiący głos z namiotu. - Przekonasz się!

- Nie, ty wariacie, nie lada dzień, lada miesiąc ani lada rok! Te stare pierniki z Sądu Najwyższego siedzą pewnie w swoich gabinetach i śmieją się do rozpuku, a ja nie znajduję pracy nawet w kolegium do spraw wykroczeń na Samoa... Daj spokój, Mac. Przyznaj się, że nic z tego nie wyszło. Pomysł był świetny i całkiem możliwe, że dałoby się w nim znaleźć ziarenko sensu, ale teraz zrobiła się z tego kupa śmierdzącego gówna.

-Chłopcze, sto dwanaście lat temu nasi ludzie przeszli przez piekło zgotowane im przez brutalnych, aroganckich białych ludzi.

; Teraz należy się nam godna rekompensata. Cóż oznacza jeszcze kilka marnych dni?

- Mac, przecież nic cię z nami nie łączy!

- Moje stare żołnierskie serce podpowiada mi, że jesteśmy jedną rodziną. Nie opuszczę was w potrzebie.

- A gdybyśmy bardzo cię poprosili? Opuść mnie, oddaj mi ubranie i powiedz tym dwóm kretynom, którzy ciągle włóczą się za mną, żeby zostawili mnie w spokoju.

- Jesteś zbyt niecierpliwy, młody przyjacielu. Nie pozwolę, żebyś naraził naszych współplemieńców na...

- Naszych? Mac, ty zupełnie postradałeś zmysły. Pozwól, że coś ci wyjaśnię. To tylko drobny formalny szczegół, o którym do tej pory nie wiedziałeś, ale myślę, że teraz nadeszła odpowiednia pora. Otóż cztery miesiące temu, kiedy zaczął się ten kretyński taniec wojenny, zapytałem mnie, czy zdałem egzamin adwokacki, a ja powiedziałem ci, że jestem pewien, że tak. W dalszym ciągu jestem pewien, że zdałem to cholerstwo, ale gdybyś poprosił mnie o zaświadczenie, to niestety nie mógłbym tego zrobić. Tak się składa, że nie otrzymałem jeszcze oficjalnego zawiadomienia i mogę na nie czekać jeszcze nawet dwa miesiące; to całkiem normalne, ale jednocześnie absolutnie niedopuszczalne w sytuacjach, kiedy w grę wchodzi kontakt z Sądem Najwyższym.

Zza skóry zasłaniającej wejście dobiegł przepelniony niedowierzaniem ryk.

- O czym ty gadasz, do stu piorunów?!

- O tym, że bez specjalnego zezwolenia, które musi być poprzedzone kilkoma podaniami i udzielone na piśmie, żaden prawnik, który nie ma świstka potwierdzającego zdanie egzaminu adwokackiego, nie może występować przed Sądem Najwyższym ani składać jakichkolwiek pozwów. Ostrzegałem cię o tym. Sprawa zostałaby unieważniona, nawet gdyby zapadł wyrok korzystny dla ciebie co jest zresztą mniej więcej tak prawdopodobne jak to, że ja nauczę się jeździć konno!

Ryk, który rozległ się teraz, był dłuższy i znacznie groźniejszy od poprzedniego.

- Jak mogłeś mi to zrobić?!

- Ty to zrobiłeś, Mac, nie ja! Kazałem ci podać nazwisko oficjalnie zatwierdzonego

prawnika, ale ty powiedziałaś, że nie możesz

62

tego zrobić, bo on już nie żyje, więc tymczasem wykorzystasz precedens i *non nomen* z tysiąc osiemset dwudziestego szóstego roku.

- Sam go wygrzebałeś! - odparł ryk.

- Rzeczywiście, a ty byłeś mi bardzo wdzięczny. Teraz proponuję ci, żeby wygrzebał swojego poprzedniego prawnika, bo jak nie, to możesz pożegnać się ze sprawą.

Ryk zamienił się niespodziewanie w miauczenie przestraszonego kotka.

- Nie mogę...

- Dlaczego?

- On nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

- Przecież wiem, skoro nie żyje! Nie chodzi mi o jego ciało, tylko o papiery, ustalenia, powiązania... Wszystko dałoby się jeszcze wydobyć.

- Na pewno by mu się to nie podobało - odparł kotek, który tymczasem przeistoczył się w piszczącą mysz.

- Przecież o niczym się nie dowie! Posłuchaj, Mac: prędzej czy później któryś ze wścibskich urzędników sądowych w Waszyngtonie dowie się, że jestem szczeniakiem, który dopiero co skończył studia i jeszcze nie prowadził samodzielnie żadnej sprawy, i natychmiast podniesie okropny wrzask. Nawet gdyby twój pozew był oparty na jakichś sensownych podstawach, sędzia Reebock unicestwiłby go jednym uderzeniem pioruna, żeby zemścić się za ośmieszenie jego świętej instytucji oraz jego samego, ma się rozumieć. Nic by ci nie dało nawet poparcie jednego albo dwóch sędziów, oczywiście zakładając, że zdołałbyś je uzyskać, co jest całkowicie niemożliwe. Zapomnij o tym, Mac. To już koniec. Oddaj mi ubranie i wypuść mnie stąd, żebym...

- Dokąd pojedziesz, synu? - Głos niewidocznej myszy przybrał odrobin<sup>^</sup> na siłę.

- Może na Samoa, oczywiście z zaświadczeniem o zdaniu egzaminu w kieszeni.

- Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał coś takiego powie-dzieć, bo zawsze uważałem cię za sensownego faceta - dobiegł z wnętrza namiotu głos, który odzyskał już niemal całą poprzednią siłę - ale teraz widzę, że cholernie się pomyliłem.

- Przydałby się rym, Mac. Co z moim ubranie?

- Masz, ty żółtoskóry kojocie!

63

Zasłona ze skóry uchylła się i z czarnej czeluści wyleciały, jedna za drugą, części męskiej garderoby.

- Czerwonoskóry, Mac. Nie żółtoskóry, tylko czerwonoskóry. Zapamiętasz? - Przyodziany w skózaną spódniczkę zuch wyłapywał po kolei spodniki, koszulę, szare flanelowe spodnie i granatowy sweter. - Dziękuję, Mac. Bardzo ci dziękuję.

- Na razie jeszcze nie masz za co, chłopcze. Dobry oficer nigdy nie zapomina o towarzyszach broni, nawet wtedy, jeśli stchórzyli podczas bitwy... Sporo mi pomogłeś, nie ma dwóch zdań. Prześlij swój nowy adres tej pijanej wywłóce, którą nazywasz Orlą Dupą.

- Orlim Okiem - poprawił go zuch, wyskakując ze spódniczki i zakładając spodniki. - Poza tym to ty dostarczałeś mu whisky całymi skrzynkami - dodał, sięgając po niebieską koszulę. - Zawsze uważałem, że dajesz mu za dużo.

- Spójrzcie na tego świętoszkowatego Indianina, który zdradza własne plemię! - zagrział niewidoczny manipulator.

- Odpieprz się, Mac! - wrzasnął młody człowiek, wskakując w buty i wpychając do kieszeni pasiasty krawat. - Gdzie jest mój camaro, do jasnej cholery?

- Ukryty za wschodnim pastwiskiem, sześćdziesiąt skoków jelenia w prawo od sowsiej sosny.

- Sześćdziesiąt czego?... Od jakiej przeklętej sowy?

- Nigdy nie byłeś zbyt mocny w terenie. Orla Dupa sam mi to powiedział.

- Orle Oko. To mój wujek, a od chwili kiedy tu się zjawiłeś, nie był trzeźwy nawet przez dziesięć sekund!... Wschodnie pastwisko? Gdzie to jest?

- Orientuj się według słońca, synu. Słońce to kompas, który cię nigdy nie zawiedzie, ale nie zapomnij posypać broni popiołem, żeby nie zdradził cię błysk stali.

- Kretyn! Kompletny kretyn! - wrzasnął młody indiański zuch i pognął prosto na zachód.

W chwilę potem rozległ się potworny ryk, skóra zasłaniająca wejście odchyliła się na zewnątrz i z namiotu wyłonił się bardzo wysoki mężczyzna w spodniach z koziej skóry i wspaniałym pióropuszu, świadczącym o piastowanej przez-niego najwyższej godności w szczepie Olbrzym zmrużył oczy, wetknął do ust zmiętolone cygaro i zaczął je

64

żuć z wściekłością. Na jego ogorzałej, pokrytej głębokimi zmarszczkami twarzy malowała się niepewność, być może zmieszana nawet z odrobiną strachu,

- Niech to szlag trafi! - zaklął pod nosem MacKenzie Haw-kins. - Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę musiał to zrobić. - Sięgnął do kieszeni spodni z koziej skóry i wyjął z niej komórkowy

telefon. - Informacja? Proszę mi podać numer bostońskiej rezydencji

\_ Sama Devereaux...

Samuel Lansing Devereaux jechał powoli drogą prowadzącą z Waltham do Weston w samym środku piątkowowiecznego szczytu. Jak zwykle prowadził bardzo ostrożnie, jakby poruszał się trójkołowym rowerkiem po polu bitwy pełnym szarżujących czołgów, ale dzisiaj szło mu jeszcze gorzej niż zwykle. Nie z powodu ruchu, bo ten był zawsze taki sam, lecz w związku z pulsującym bólem w oczach połączonym z łomotaniem w piersi i nieprzyjemnym uczuciem pustki w żołądku. Wszystkie te objawy stanowiły rezultat ostrego ataku depresji. Nie był w stanie śledzić zmiennych poruszeń otaczających go pojazdów, więc skoncentrował się tylko na jadących przed nim, mając nadzieję, że uda mu się w porę nacisnąć hamulec, by uniknąć zderzenia. Przewiesił ramię przez otwarte okno i wymachiwał nim bez przerwy; w pewnej chwili sunąca po sąsiednim pasie furgonetka podjechała tak blisko, że Sam wrzasnął przeraźliwie i odruchowo zacisnął rękę na jej bocznym lusterku. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że jego ręka odjedzie gdzieś daleko, pozostawiając go na środku autostrady.

Nic gorszego nie mogło go spotkać. Jak to powiedział ten wielki francuski dramaturg? Nie mógł sobie przypomnieć ani jego nazwiska, ani dokładnego brzmienia zdania po francusku, ale te słowa najlepiej oddawały jego obecny stan. Boże, musi jak najprędzej wrócić do domu, do swojej ostoji, nastawić głośno muzykę i pozwolić płynąć wspomnieniom tak długo, aż kryzys wreszcie minie... Anouilh, tak się nazywał ten cholerny dramaturg! A zdanie. *On ne pouvait plus que*

66

*crier.i*. Do cholery, znacznie lepiej brzmi to po angielsku niż w Kulawej francuszczyźnie, którą ledwo pamiętał. „Nie pozostało mi już nic oprócz krzyku”. Otóż to! Głupie, ale prawdziwe - pomyślał Sam, wrzasnął przeraźliwie i skręcił na pomoc w zjazd do Weston, nieświadom, że kierowcy i pasażerowie pobliskich samochodów przyglądają mu się z takimi minami, jakby właśnie byli świadkami dokonującego się na ich oczach aktu sodomii. Wrzask trwał jeszcze jakiś czas, a potem Sam Devereaux wcisnął pedał gazu, na jego twarzy zaś pojawił się szeroki uśmiech, jakiego nie powstydziliby się Alfred E. Neuman Trzy jadące za nim samochody zderzyły się z łoskotem.

Wszystko zaczęło się dosłownie kilka minut po tym, jak wyszedł z biura po spotkaniu z rozwrzeszczanym stadem spokrewnionych blisko ze sobą szefów rodzinnej firmy, która miała wszelkie szanse znaleźć się po kolana w paskudnie cuchnącym gównie. Problem polegał nie tyle na kryminalnym charakterze przedsięwzięcia, ile na nieuleczalnej głupocie kierujących nim ludzi. Sam musiał posunąć się\* do groźby, że jeśli nie posłuchają jego rady, to będą musieli poszukać sobie innego prawnika, on zaś, owszem, złoży im wizytę w więzieniu, ale wyłącznie towarzyską. Choć z pewnością zagmatwane, prawo dawało jednak jasno do zrozumienia, że dziadkowie i babcie nie mogą umieszczać swoich wnucząt - szczególnie w wieku od sześciu miesięcy do dwunastu lat - w radzie nadzorczej firmy, przyznając im jednocześnie pensje wyrażające się cyfrą z sześcioma zerami. Przetrwał nawałnicę irlandzkich obelg, zgodził się na wieczne potępienie za działanie na niekorzyść klanu Dongallenów, po czym uciekł do swego ulubionego baru oddalonego o dwie przecznice od siedziby kancelarii adwokackiej Aarona Pinkusa.

- Cześć, Sammy - powitał go barman, kiedy Devereaux klapnął na stołek najbardziej

oddalony od wejścia. - Widzę, że miałaś ciężki dzień. Zawsze potrafię poznać, kiedy są szanse na to, żeby dwa albo trzy kielonki zamieniły się w więcej. Może lepiej usiądziesz z tej strony baru?

- Zrób mi przysługę, OToole, i nie mów z tym cholernym akcentem. Ostatnie trzy godziny spędziłem z twoimi przekłętymi ;rodakami

- Słowo daję, Sam, oni są najgorsi! Szczególnie ci, którzy mają dom z dwiema toaletami, a stać ich tylko na zatrudnianie takich jak ty. Mamy jeszcze wczesną godzinę, więc pozwól, że naleję ci to co

67

zwykle, włączę telewizor i postaram się trochę cię odprężyć... **Dzisiaj** nie ma żadnego meczu, więc nastawię kanał z wiadomościami.

- Dzięki, Tooley.

Devereaux skinął z wdzięcznością głową i odebrał swojego drinka. Barman włączył telewizor. Nadawano właśnie program o czymś, co jak należało przypuszczać, obecnie najbardziej interesowało widzów - w tym przypadku były to dobre uczynki jakiejś tajemniczej osoby.

- „...kobieta, której udało się zachować wieczną młodość dzięki bezinteresownej dobroci i poświęceniu, o anielskiej twarzy i cudownie czystym spojrzeniu... - informował widzów donośny głos, podczas gdy kamerzysta wykonał zbliżenie odzianej w biały habit zakonnicy rozdającej podarunki chorym dzieciom w jakimś wstrząsanym wojną kraju Trzeciego Świata. - Nazywają ją siostrą Dobrą Anną - ciągnął pompatyczny głos - ale to wszystko, co świat wie na jej temat. Podobno ona sama nie ma najmniejszego zamiaru poszerzyć tej wiedzy. Nie wiadomo, jak się nazywa ani skąd pochodzi. Należy przypuszczać, że tajemnica ta spowita jest w całun trudnego do wyobrażenia bólu i poświęcenia...”

- Tajemnica, niech mnie szlag trafi! - ryknął Samuel Lansing Devereaux, spadając ze stołka. - Jeżeli kogokolwiek coś naprawdę bolało, to tylko mnie, ty suko!

- Sammy, Sammy! - wykrzyknął z przerażeniem Gavin OToole. Wymachując rękami, popędził do swego przyjaciela i klienta, żeby jak najprędzej go uciszyć. - Zamknij się, do jasnej cholery! Ta kobieta to prawie cholerna święta, a nie wszyscy moi klienci są protestantami, rozumiesz? - OToole przeciągnął Devereaux na drugą stronę baru, rozejrzał się ostrożnie dokoła i zniżył głos. - Wygląda na to, że paru z nich poczuło się głęboko dotkniętych tym, co mówisz. Nie bój się, Hogan da sobie z nimi radę. Siadaj i stul pysk!

- Tooley, ty nic nie rozumiesz! - wyjęczał znakomity bostoński prawnik, walcząc z napływającymi mu do oczu łzami. - Kocham ją jak nikogo na świecie...

- Tak już lepiej - szepnął OToole. - Mów dalej.

- Ona kiedyś była dziwką, a ja ją uratowałem!

- Może jednak lepiej nic nie mów.

- Potem uciekła z wujkiem Zio! Z n a s z y m sakiem Zio Przekabacił ją!

- Z jakim wujkiem? Co ty wygadujesz, chłopcze?

68

- To *znaczy*, on był właściwie papieżem, zawrócił jej w głowie i zabrał ze sobą do Rzymu, do Watykanu...

- Hogan, zatrzymaj przez chwilę tych palantów! Szybko, Sammy, wychodzisz przez kuchnię! Wątpię, czy udałoby ci się dotrzeć do frontowych drzwi.

Ten niewinny epizod stał się powodem ostrego ataku depresji. Czy niczego nieświadomy świat nie może pojąć, że nurtująca miliony ludzi tajemnica jest doskonale znana pewnemu choremu z miłości, zdolnemu prawnikowi, który wyprowadził Annę - wielokrotnie zamężną dziwkę z Detroit - na drogę cnoty, by zaraz potem stracić ją na rzecz szalonego wujka Zio?... - rozmyślał Devereaux, pędząc na pomoc mało uczęszczaną drogą prowadzącą do Weston. No, wujek Zio może nawet nie był szalony. Tylko że jego poglądy na życie różniły się diametralnie od wyznawanych przez pewnego młodego, chorego z miłości prawnika. Poza tym wujek Zio był także papieżem Franciszkiem I, najbardziej ukochanym papieżem XX wieku, który umożliwił swoje porwanie na rzymskiej Via Appia Antica, ponieważ powiedziano mu, że niebawem umrze, w związku z czym doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli na tronie świętego Piotra zasiądzie bliźniaczko do niego podobny kuzyn, niejaki Guido Frescobaldi z opery La Scala Minuscoló,



który będzie otrzymywał przekazywane drogą radiową instrukcje od prawdziwego papieża ukrytego w jakimś niedostępnym alpejskim zakątku. Udało się! Przynajmniej na jakiś czas... Przez kilka tygodni Mac Hawkins i Zio wychodzili na blanki *chateau* Machenfeld koło Zermatt i tłumaczyli przez krótkofalówkę niezbyt rozgarniętemu, pozbawionemu muzycznego słuchu Frescobaldiemu, co ma robić w służbie Świętej Sprawy.

A potem wszystko się rozpadło - i to z hukiem nie mniejszym od tego, jaki towarzyszył narodzinom ziemi Alpejskiej powietrze sprawiło, że wujek Zio - czyli Franciszek I - wrócił do zdrowia, natomiast Guido Frescobaldi potknął się i zmiął swoim opasłym cielskiem radiostację, przez co Watykan znalazł się na skraju ekonomicznej przepaści. Środek zaradczy, choć oczywisty, był niezmiernie bolesny; jednak dla Sama Devereaux znacznie bardziej bolesna okazała się utrata Zrehabilitowanej Anny, która wysłuchiwała wszystkich tych bzdur szeptanych jej do ucha przez wujka Zio, kiedy codziennie rano grali w warcaby. Zamiast poślubić niejakiego Samuela Lansinga Devereaux, postanowiła „poślubić” niejakiego Jezusa Chrystusa,

69

którego referencje - co Sam musiał przyznać z bólem serca - były o niebo lepsze, natomiast niektóre bardziej ziemskie cechy zdecydowanie gorsze - szczególnie jeśli wzięło się pod uwagę życie, jakie jeszcze do niedawna prowadziła wspaniała Nawrócona Anna. Mój Boże, nawet najgorsze dzielnice Bostonu wyglądają lepiej niż kolonie trędowatych! W każdym razie prawie zawsze...

„Życie maszeruje wciąż naprzód, Sam. Walka trwa bez przerwy, więc nie spuszczaaj nosa na kwintę, nawet jeśli zdarzy ci się dostać w skórę, tylko bierz dupę w troki i od razu ruszaj naprzód!”

Słowa wypowiedziane przez najniższą formę życia we wszechświecie, stanowiące ostateczny, niemożliwy do podważenia argument przemawiający za seksualną abstynencją i ścisłą kontrolą urodzeń. Generał MacKenzie Hawkins, Szalony Mac Jastrząb, zaprzeczenie zdrowego rozsądku, niszczyciel wszystkiego, co dobre i normalne. Te pompatyczne słowa, ta bezmyślna wariacja na temat wojskowej psychoanalizy były wszystkim, co ów ohydny robał potrafił zaofiarować Samowi w chwili nieszczęścia.

- Ona mnie opuszcza, Mac. Odchodzi z nim!

- Zio to porządny gość, synu. Jest znakomitym dowódcą, a my, którzy zaznaliśmy samotności dowódczych stanowisk, darzymy się nawzajem głębokim szacunkiem.

- Ależ, Mac, przecież to ksiądz! Najbardziej księżowski ksiądz, jakiego można sobie wyobrazić, bo sam papież! Nie będą mogli ze sobą tańczyć, przytulać się, mieć dzieci ani nic z tych rzeczy!

- No, może masz trochę racji, jeśli chodzi o te dwie ostatnie sprawy, ale czyżbyś zapomniał, jak Zio tańczy tarantellę?

- Ale przy tarantelli w ogóle się nie dotykają! Owszem, kręcą się w kółko i wymachują nogami, ale nie zbliżają się do siebie nawet na chwilę!

- To pewnie przez czasnek. Albo przez to wymachiwanie nogami.

- W ogóle mnie nie słuchasz. Ona popełnia największy błąd w życiu. Kto jak kto, ale ty powinienesz zdawać sobie z tego sprawę! Na litość boską, przecież byłeś jej mężem, co zresztą wcale mi nie pomagało przez tych kilka ostatnich tygodni.

- Wstrzymaj ogień, synu. Byłem żonaty z nimi wszystkimi, ale żadnej nie wyszło to na złe. Z Anną szło mi chyba najtrudniej - nic w tym dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę jej przeszłość - ale nawet ona w końcu zrozumiała, co staram się jej powiedzieć.

70

- A co takiego starałeś się jej powiedzieć, Mac?

- Że może stać się lepsza, pozostając jednocześnie sobą.

Parszywiec! Devereaux szarpnął kierownicą w lewo, by uniknąć zderzenia z barierką, która zdradziecko wyskoczyła przed samochód z prawej strony. Ze wszystkimi, mój Boże! Jak on to zrobił? Cztery najbardziej zachwycające i utalentowane kobiety na świecie wychodziły kolejno za mąż za pozbawionego piątej klepki żołnierza, po kolejnych rozwodach przeprowadzanych może nie w atmosferze przyjaźni, ale za to w ciepłe nie słabnącego ognia miłości - łącząc się dobrowolnie i z entuzjazmem w jedyny w swoim rodzaju klub, który nazwały „Haremem Hawkinsa”. Wystarczyło, żeby kiwnął palcem, a śpieszyły mu z pomocą,

bez względu na porę i miejsce, w którym tej pomocy potrzebował. Zazdrość? Nie czuły jej, gdyż Mac dał im wszystkim wolność, zrywając łańcuchy, którymi były skute, zanim pojawił się w ich życiu. Sam mógł się z tym wszystkim pogodzić, gdyż podążając z biegiem wydarzeń, które doprowadziły go do *chateau* Machenfeld, w chwilach emocjonalnego kryzysu korzystał z pomocy każdej z byłych żon Hawkinsa. Wszystkie z wielkim zapałem - a nawet namiętnością - starały się wydobyć go z opałów, w jakich się znalazł z winy ich eks-meza, wykazując przy tym wiele budzącej podziw fachowości.

Wszystkie pozostawiły po sobie niezniszczalne ślady zarówno na jego duszy, jak i ciele, a także nadzwyczajne wspomnienia. Najwspanialsza z nich wszystkich była jednak Anna o posągowej sylwetce i popielatych włosach. Wielkie błękitne oczy Anny spoglądały na świat z niewinnością znacznie bardziej realną od rzeczywistości stanowiącej jej przeszłość. Nie kończący się ciąg pytań dotyczących niemal każdego tematu był równie zaskakujący jak apetyt, z jakim pochłaniała kolejne książki, z których wielu z pewnością nie była w stanie od razu pojąć, ale które prędzej czy później na pewno zrozumiała, nawet jeśli przez miesiąc musiałyby studiować w kółko te same pięć stron. Była prawdziwa Lnn a nadrabiająca stracone lata. Nigdy jednak nie użalała się nad sobą, zawsze natomiast chętnie dzieliła się wszystkim z innymi mimo brutalności, z jaką zabrano jej przeszłość. A jak się potrafiła śmiać Błękitne oczy błyszczały wtedy figlarnym, lecz w żadnym razie nie złośliwym poczuciem humoru. Nigdy nie bawiła się cudzym kosztem. Boże, jak bardzo ją kochał!

A mimo to ta zwariowana suka wybrała wujka Zio i jego cholerne kolonie trędowatych zamiast wspaniałego życia u boku Sama Deve-

71

reaux, znakomitego prawnika, w przyszłości bez wątpienia sędziego Samuela Lansinga Devereaux, który mógł zawsze wziąć udział w dowolnych regatach dokoła przylądka Cod. Kompletna wariatka!

Pośpiesz się! Jedź szybko do domu, zamknij się w swojej ostoi i oddaj się wspomnieniom o nie odwzajemnionej miłości. „Bo lepiej pokochać i zostać odtrąconym, niż nigdy nie zaznać smaku miłości”. Co za kretyn to powiedział? \*

Skreślił w ulicę, przy której stał jego dom. Jeszcze tylko kilka minut, a potem będzie mógł wreszcie nastawić bezcenną płytę, wsłuchać się w donośne jodłowanie i zatopić w cudownych, uroczych wspomnieniach...

Niech to jasna cholera! Tam, przed domem! Czy to możliwe? Jezu, tak! Limuzyna Aarona Pinkusa! Czyżby coś z matką? Może wtedy, kiedy siedział w barze OToole'a i wrzeszczał na telewizor, wydarzyło się coś strasznego? Jeśli tak, to nigdy sobie tego nie wybaczy!

Zatrzymał się z piskiem opon za wielgachnym pojazdem Aarona, wyskoczył z wozu i pognął w kierunku drzwi, kiedy nagle zza samochodu wyłonił się kierowca Pinkusa.

- Paddy, co się stało?! - ryknął Devereaux. - Czy moja matka...

- Nic jej nie jest, Sammy. Co prawda nie słyszałem takiego słownictwa od lądowania na plaży Omaha, ale...

- Co takiego?

- Na twoim miejscu wszedłbym tam, chłopcze.

Devereaux podbiegł do furtki, otworzył ją, a następnie pognął do drzwi, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu klucza. Klucz okazał się jednak niepotrzebny, gdyż drzwi otworzyła mu kuzynka Córa. Nie znajdowała się w najlepszej formie.

- Co się stało? - powtórzył Sam.

- Starsza pani i ten kurdupel nawalili się w trzy dupy, zalali się jak meserszmity i schlali się jak dwa karasie - poinformowała go Córa, a następnie czknęła i beknęła donośnie.

- O czym ty mówisz, do wszystkich diabłów? Gdzie oni są?

- U ciebie, chłoptasiu.

- U mnie?... Chcesz powiedzieć, że...

- *Tis better to have loved and lost z Than never to have loved at all* - cytat z autobiograficznej powieści *The Way of Ali Flesh* Samuela Butlera, angielskiego pisarza i poety (1835-1902) (przyp. tłum.).

72

- To właśnie chcę powiedzieć, panie duży.

- Przecież nikomu nie wolno tam wchodzić! Ustaliliśmy raz na zawsze że...

i - Wygląda na to, że ktoś nie dotrzymał umowy.

| - O, mój Boże! - ryknął Samuel Lansing Devereaux, po czym "przełapował przez hol wyłożony różowym norweskim marmurem i popędził w górę po kręconych schodach.

Zmniejszyć moc silników przy podchodzeniu do lądowania - powiedział spokojnie pilot, spoglądając przez okienko z lewej strony kabiny i zastanawiając się, czy żona przygotowała zgodnie z obietnicą befsztyk na obiad. - Otworzyć klapy.

- Pułkowniku Gibson! - odezwał się podniesionym głosem radiooperator, zakłócając tok myśli dowódcy.

- Klakson na posterunku, sierżancie. O co chodzi?

- Nie ma pan połączenia z wieżą, panie pułkowniku!

- Właśnie przed chwilą się rozłączyłem. Jest taki piękny zachód słońca, wszyscy dokładnie wiemy, co trzeba robić, a ja mam całkowite zaufanie do mego pierwszego oficera i do ciebie, znakomity radiotelegrafisto, więc...

- Klakson, włącz się! To znaczy, proszę się włączyć, panie pułkowniku!

Dowódca samolotu spojrzął na siedzącego obok niego drugiego pilota i ze zdumieniem ujrzał wybałuszone oczy oraz rozdziawione szeroko usta.

- Nie, nie mogą nam tego zrobić!... - jęknął pierwszy oficer.

Czego, na litość boską? - Gibson natychmiast pstryknął przełącznikiem. - Proszę powtórzyć ostatnią wiadomość. Nie zrozumieliśmy jej, bo akurat graliśmy w kości.

- Dowcipniś z pana, pułkowniku. Przy okazji proszę przekazać temu cwaniakowi, który siedzi po pańskiej prawej stronie, że owszem, możemy to zrobić, bo dostaliśmy rozkaz od samego dowódcy rozpoznania

- Powtarzam: proszę powtórzyć wiadomość. Cwaniak po mojej prawej stronie znajduje się w stanie szoku.

- Tak samo jak my, Klakson! - rozległ się drugi głos z wieży do kolegi Gibsona, także pułkownika. - Wyjaśnimy wam

73

wszystko, jak tylko sami się dowiemy, o co chodzi, a na razie po prostu zastosujcie się do wskazówek dotyczących uzupełnienia paliwa.

- Uzupełnienia?... Co ty gadasz, do nagłej cholery? Przecież odwaliliśmy nasze osiem godzin! Przeczesywaliśmy Aleuty i Cieśninę Beringa tak blisko Matki Rosji, że prawie czuliśmy zapach ich barszczu. Teraz jest pora na obiad, a dokładniej rzecz biorąc, na świeży befsztyk z cebulką!

- Przykro mi, ale na razie nie mogę nic więcej powiedzieć. Ściągniemy was najszybciej, jak będzie można.

- Czy to alarm?

- Na pewno nie w związku z Matką Rosją, tyle wiemy na pewno.

- I tyle w zupełności mi wystarczy. W takim razie to zapewne małe zielone ludziki?

- Macie działać na CINCSAC pod kontrolą SCD. Czy to ci wystarczy, Klakson?

- Przynajmniej w takim stopniu, żeby zrezygnować z befsztyka - nadeszła ponura odpowiedź. - Zawiadomcie moją żonę, dobrze?

- Jasne. Współmałżonkowie oraz wszyscy żyjący krewni będą niezwłocznie informowani o każdej zmianie rozkazów.

- Hej, pułkowniku! - odezwał się pierwszy oficer. - W centrum Omaha, przy Farnam Street, jest taka niewielka knajpka. Nazywa się „Doogies”. Około ósmej powinna tam przyjść rudowłosa dziewczyna, reaguje na imię Scarlet O. Podaję wymiary: dziewięćdziesiąt pięć na siedemdziesiąt na osiemdziesiąt pięć. Czy byłby pan uprzejmy...

- Wystarczy, kapitanie. Trochę pan przesadził... „Doogies”, powiada pan?

Ogromny EC-135, znany jako „Lusterko” i przeznaczony do prowadzonego bez chwili przerwy przeszukiwania nieba przez dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych, wzniósł się na pułap sześciuset metrów i skręcił na północny wschód. Wkrótce potem, lecąc wzdłuż

Missouri, opuścił przestrzeń powietrzną Nebraski i znalazł się nad stanem Iowa. Wieża kontrolna w bazie Offutt, stanowiącej światowe centrum dowodzenia Strategicznych Sił Powietrznych, poleciła pułkownikowi Gibsonowi ustawić zakodowany kurs północno-zachodni i przygotować się do spotkania z latającą cysterną. Nie było mowy o żadnej dyskusji. Co prawda 55 Skrzydło Rekonesansu Strategicznego

74

stacjonowało właśnie w Offutt, niemniej jednak, podobnie jak siostrzane 544 Skrzydło Wywiadu Strategicznego, prowadziło rozpoznanie dokładnie na całym świecie i było podporządkowane rozkazom superkomputera Cray X-MP, oficjalnie stanowiącego własność - AFGWC, czyli Air Force Global Weather Control \*. Kilku najbardziej *zaufanych* pracowników SAC\*\* podejrzewało, że instytucja ta nie ma nic wspólnego z przepowiadaniem pogody.

- Co tam się dzieje, do jasnej cholery? - warknął pułkownik Gibson.

- *Ja* najbardziej chciałbym wiedzieć, co się będzie działo w

- odparł z wściekłością kapitan. - Cholera!

Pentagonie, w udekorowanym flagami gabinecie wszechpotężnego sekretarza obrony, maleńki człowieczek o wychudzonej twarzy i w lekko przekrzywionej peruce siedział na trzech poduszkach za ogromnym biurkiem i pluł do słuchawki.

- *Już* ja ich wszystkich zdymam! Na Boga, tak urządzę tych cholernych dzikusów, że będą mnie błagać na kolanach o truciznę, ale ja im jej oczywiście nie dam! Nikt nie będzie mi bruździł!... Będę trzymał wszystkie EC-135 w powietrzu, nawet gdyby miały przez tydzień nie dotknąć kołami lotniska!

\* Jestem po twojej stronie, Feliksie - odparł lekko zaskoczony przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów. - Co prawda nie znam się specjalnie na samolotach, ale czy nie wydaje ci się, że one muszą ... **jednak** czasem lądować. Jutro po południu będziemy mieli u powietrzu wszystkie stowudziestki i pięć z Ott uli. Nie wydaje ci się, że powinniśmy przenieść część ciężaru na inne bazy?

- W żadnym wypadku, Corky. Omaha stanowi najważniejsze ; miejsce ' nie możemy cofnąć się ani o krok. Nie oglądałeś filmów? t Wystarczy, żebyś ustąpił tym czerwonoskórym choćby o centymetr, a oni zaraz zakradną się od tyłu i zdejmą ci skalp! > - Ale co zrobimy z maszynami i załogami?

- Ty o niczym nie wiesz, Corky! Nigdy nie słyszałeś o zasadzie: przylatuj - odlatuj?

\* Światowe Centrum Kontroli Meteorologicznej Sił Powietrznych (przyp. tłum.).

\*\* Strategie Air Command - Dowództwo Lotnictwa Strategicznego (przyp. tłum.).

- Widocznie byłem wtedy w Wietnamie.

- Do roboty, Corky! - ryknął sekretarz obrony i odłożył z trzaskiem słuchawkę na widełki.

Generał brygady Owen Richards, głównodowodzący Strategicznych Sił Powietrznych, spoglądał w milczeniu na dwóch przybyszów z Waszyngtonu. Obaj mieli na sobie czarne płaszcze, oczy zasłaniały im ciemne okulary, na głowach zaś tkwiły identyczne ciemnobrązowe kapelusze - nie zdjęli ich nawet w obecności oficera w spódnicy, pani major, która przyprowadziła ich do gabinetu generała. Richards przypisał ten brak dobrego wychowania błędemu, w jego mniemaniu, przekonaniu, że wszystkich wojskowych należy traktować tak samo, bez względu na płeć. On sam zawsze otwierał drzwi przed swoją sekretarką, która co prawda miała jedynie stopień sierżanta, ale była kobietą, co w tym wypadku miało decydujące znaczenie. Jednak po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że zachowanie ludzi z Waszyngtonu nie miało nic wspólnego z brakiem wychowania; to byli po prostu wariaci, bo kto inny w upalny letni dzień założyłby ciężki czarny płaszcz i nie zdjął przyciemnianych okularów w pograżonym w półmroku pomieszczeniu? Żaluzje w

oknach były opuszczone, żeby nie wpuścić do środka gorących promieni słońca zniżającego się ku zachodniemu horyzontowi. Tak, to na pewno wariaci - pomyślał Owen. Zwyczajne świry.

- Panowie - rozpoczął spokojnie mimo obaw, które skłoniły go do dyskretnego wysunięcia dolnej szuflady biurka, gdzie spoczywała jego służbowa broń. - Zapewne dysponujecie odpowiednimi dokumentami, skoro udało wam się dotrzeć aż tutaj, ale, szczerze mówiąc, wolałbym obejrzeć je osobiście... Trzymać ręce na widoku, bo rozwalę was na kawałki! - ryknął nagle, wyciągając z szuflady czterdziestkę-piątkę.

- Przecież chciał pan zobaczyć nasze dokumenty - odezwał się ten z lewej.

- Jak mamy je panu pokazać? - zapytał ten z prawej.

- Dwoma palcami! - zażądał generał. - Jeśli któryś z was schowa pod płaszcz całą dłoń, rozmażę go na tamtej ścianie.

- Wojenna przeszłość uczyniła pana nadmiernie podejrzliwym.

76

- Masz rację, chłopie. Spędziłem dwa lata w Waszyngtonie... Dobra, połóżcie je na biurku. - Mężczyźni postąpili zgodnie z poleceniem. - Do cholery, przecież to nie są żadne dokumenty, tylko ręczne notatki!

- Opatrzone podpisem, który pan z pewnością rozpozna - powiedział agent stojący z lewej strony. - Zna pan też z pewnością numer telefonu, pod który może pan zadzwonić, gdyby koniecznie chciał pan uzyskać bezpośrednio potwierdzenie.

- Biorąc pod uwagę to, czego ode mnie chcecie, domagałbym się potwierdzenia nawet od samego prezydenta. - Richards podniósł słuchawkę czerwonego telefonu, nacisnął cztery guziki i po chwili skrzywił się boleśnie, usłyszawszy głos sekretarza obrony. - Tak jest, proszę pana. Oczywiście. Tak, otrzymałem rozkazy. - Odłożył słuchawkę, po czym skierował szkliste spojrzenie na dwóch intruzów. - Cały Waszyngton oszalał - wyszeptali zbiegającymi wargami.

- Nie, Richards. Nie cały Waszyngton, tylko kilku ludzi w Waszyngtonie - odparł przyciszonym głosem agent z prawej strony. - Wszystko musi pozostać w najściślejszej tajemnicy. Do jutra, do godziny szóstej wieczorem, Dowództwo Lotnictwa Strategicznego ma przestać funkcjonować. Musicie się stąd wycofać.

- Dlaczego, na litość boską?!

- Ma to stanowić manewr pozorujący, który powinien nie popuścić do uchwalenia nowego prawa, z naszego punktu widzenia absolutnie nie do przyjęcia.

- Jakiego prawa?! - ryknął generał.

- Prawdopodobnie sprzyjającego komunistom - wyjaśnił drugi wysłannik ze stolicy. - Komuchy mają swoich ludzi w Sądzie Najwyższym..

- Komuchy?... O czym wy mówicie, do wszystkich diabłów? Przecież Związek Radziecki już nie istnieje, a ten cholerny Sąd Najwyższy składa się wyłącznie z ludzi prezydenta!

- Pozory, żołnierzu. Wbij sobie jedno do tego swojego umun-aronanego mózgu: nie oddamy tej bazy! To nasz najważniejszy środek nerwowy!

- A komu mielibyśmy ją oddać?

- Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Zapamiętaj hasło: WOP-fACK. To ci powinno wystarczyć.

77

- Wop\*... atak? Włosi przygotowują inwazję na Omaha?

- Ja tego nie powiedziałem. Nie mieszamy się do nieporozumień między grupami etnicznymi.

- Więc co powiedziałeś, do jasnej cholery?

- Sprawa o najwyższym stopniu tajności, generale. Chyba sam pan rozumie.

- Może rozumiem, a może nie rozumiem, ale co się stanie z moimi czterema samolotami, które wtedy będą w powietrzu?

- Zabawcie się z nimi w przylatuj - odlatuj.

- Co tak i e o? - zawył Owen Richards, zrywając się z fotela.

- Wykonujemy rozkazy przełożonych, generale. Pan powinien zrobić to samo.

Eleanora Devereaux i Aaron Pinkus siedzieli obok siebie na dwuosobowej skórzanej kanapie w prywatnym gabinecie Sama Devereaux, mieszczącym się w odrestaurowanym wiktoriańskim domu w Weston w stanie Massachusetts. Mieli śmiertelnie blade twarze, otwarte usta i szkliste, nieruchome oczy. Milczeli, gdyż żadne z nich nie było w stanie wykrztusić ani słowa; nieartykułowane bełkoty i jęk, jakie wydobyły się z gardła Sama, stanowiły zupełnie jednoznaczną odpowiedź na pytanie, które zadali mu jakiś czas temu. Sytuacji bynajmniej nie poprawił fakt, że Samuel Lansing Devereaux, wstrząśnięty odkryciem jego tajemnicy, rzucił się ku ścianie zawieszonych zdjęciami oraz wycinkami z gazet i znieruchomiał przy niej z rozłożonymi szeroko rękami, starając się zakryć jak najwięcej kompromitujących materiałów.

- Samuelu, mój synu... - wychrypiał wreszcie wiekowy Aaron Pinkus, odzyskawszy władzę nad językiem.

- Nie mów do mnie w ten sposób! - zaprotestował Devereaux. - O n tak powtarzał.

- To znaczy kto? - zapytała wciąż jeszcze półprzytomna Eleanora.

- Wujek Zio...

- Nie masz żadnego wujka o takim imieniu, chyba że chodzi ci

- Wop - pogardliwe określenie Włocha lub osoby pochodzenia włoskiego (przyp. tłum.).

78

o Sepaoura Devereaux, który ożenił się z Kubanką i musiał przeprowadzić się do Miami.

- Obawiam się, że on nie jego ma na myśli, Eleanoro. O ile nie zawodzi mnie moja stara pamięć, to wydaje mi się, że *zio* znaczy po włosku właśnie wujek. Podczas negocjacji w Mediolanie aż roilo się od takich wujków. Nie sposób było ich wszystkich ^spamiętać. Twój syn mówi po prostu wujek wujek, rozumiesz?

- Ani trochę.

- Ma na myśli...

- Nie mów tego! - pisnęła lady Devereaux, zakrywając szlachetnie ukształtowane arystokratyczne uszy.

- ...papieża Franciszka - dokończył najlepszy prawnik w Bostonie w stanie Massachusetts. Jego twarz przypominała teraz oblicze sześciotygodniowego nieboszczyka, którego nie przyjęto do chłodzi. - Sammy.. Samuelu... Sam... Jak mogłeś to zrobić?

- To bardzo skomplikowana sprawa, Aaronie...

- To wręcz niewiarygodne! - zagrzmiał Pinkus, nie panując nad jęsem. - Żyjesz w innym świecie!

Masz rację - zgodził się Devereaux. Opuścił ramiona, padł na kolana i ruszył w kierunku owalnego stolika stojącego przed miniaturową kanapą. - Zrozum mnie, nie miałem wyboru! Musiałem zrobić wszystko co kazał mi ten potwór...

- Włącznie z porwaniem papieża! - wyskrzeczwał Pinkus, któremu głos ponownie odmówił posłuszeństwa.

- Przestańcie! - wrzasnęła Eleanora Devereaux. - Nie chcę tego słuchać!

- Myślę, że powinnaś, droga Eleanoro, więc, jeśli wybaczysz mi moje szorstkie słowa, natychmiast zamilcz. Mów dalej, Sammy. Ja też wolałbym tego nie słuchać, ale, na Boga Abrahama, który włada wszechświatem i który też będzie musiał wyjaśnić mi parę rzeczy, jak to się stało? Bo stało się, co do tego nie mam żadnych wątpliwości! prasa i telewizja miały rację: było dwóch ludzi. Dowody wiszą na tej ścianie. Było dwóch papieży, a ty porwałeś tego prawdziwego!

- Niezupełnie... - jęknął Devereaux, łapiąc z trudem powietrze. - Zio doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku i... W p o r z ą d k u ?

Pinkus nachylił się tak nisko, że jego broda prawie się zetknęła blatem stolika do kawy.

79

- No tak. Nie czuł się najlepiej i... Ale to zupełnie inna historia. Ostatecznie okazało się, że był najsprytniejszy z nas wszystkich, ale naprawdę nie stawiał żadnego oporu!

- Jak do tego doszło, Sam? Na pewno przez tego zwariowanego generała MacKenziego Hawkinsa, zgadza się? Jest na wszystkich fotografiach. To on zmusił cię, żebyś został największym porywaczem w dziejach ludzkości! Czy mam rację?

- W pewnym sensie masz, a w pewnym nie masz.
- Jak to było, Sam? Jak? - zapytał błagalnym tonem wiekowy prawnik, wachlując egzemplarzem „Penthouse'a” bliską omdlenia Eleanorę Devereaux.
- W tym piśmie jest kilka znakomitych artykułów... Bardzo naukowych.
- Sammy, błagam cię, nie rób mi tego! Oszczędź mnie i swoją kochaną matkę, która wydała cię w bólu na świat, a teraz lada chwila może wymagać pomocy, której nie będziemy mogli jej udzielić. W imię Boga Wszechmogącego, któremu jutro w synagodze złożę stanowczy protest, co cię opętało, żeby wziąć udział w tym ohydny przedsięwzięciu?
- Przyznam, Aaronie, że opętanie jest słowem znakomicie pasującym do domniemanego - podkreślam: domniemanego - kryminalnego przedsięwzięcia, do którego nawiązujesz.
- Ja nie muszę do niczego nawiązywać, Sam. Wystarczy, że wskażę bardzo konkretne dowody widoczne na ścianach tego pokoju!
- Szczerze mówiąc, nie wszystkie z nich mają ścisły związek z...
- Chcesz, żebym powołał na świadka p a p i e ż a ?
- Watykan nie zgodziłby się na to.
- W wypadku ujawnienia tych zdjęć całą normalną procedurę sądową diabli by wzięli! Czy naprawdę niczego cię nie nauczyłem?
- Mógłbyś podtrzymać głowę mamy?
- Chyba lepiej, że zemdlą. O co chodzi z tym opętaniem?
- Widzisz, Aaronie... Jako adwokat MacKenziego Hawkinsa musiałem towarzyszyć mu przy przeglądaniu tajnych materiałów dotyczących jego działalności od drugiej wojny światowej aż do wojny w Indochinach. Takie prawo przysługuje każdemu oficerowi wywiadu odchodzącemu na emeryturę.
- I co z tego?
- Przyjaciele Maca z armii dorzucili do tego swoje trzy grosze.

80

Podczas służby w Złotym Trójkącie popełniłem drobny błąd, oskarżając niejakiego generała Ethelreda Brokemichaela o handel narkotykami, podczas gdy naprawdę zajmował się tym jego kuzyn Heseltine Brokemi-chael. Kumple Ethelreda cholernie się wściekli, a ponieważ tak się złożyło, że wszyscy byli przyjaciółmi Hawkinsa, zgodzili się włączyć w jego grę.

- W jaką grę? Heseltine... Ethelred... Narkotyki, Złoty Trójkąt!

Popełniłeś błąd, ale przecież natychmiast wycofałeś oskarżenie, zgadza się? -- Za późno. Wojskowi okazali się gorsi niż Kongres. Ethelred nie dostał trzeciej gwiazdki, a jego kolesie uznali, że to moja wina i sprzymierzyli się z Hawkinsem.

| - Jeden z tych sukinsynów przypiął mi do przegubu teczkę, \* nalepił na nią kartkę z napisem „ściśle tajne”, a ja podpisałem przy wyjściu świstek potwierdzający, że wyniosłem dwa tysiące sześćset czterdzieści jeden stronich tajnych dokumentów, w znakomitej większości nie mających nic wspólnego z Hawkinsem, który przez cały czas stał z niewinna miną przy moim boku.

Aaron Pinkus przymknął oczy i opadł na kanapę, opierając się ramieniem o nieprzytomną Eleanorę Devereaux.

- A więc miał cię w ręku... mniej więcej na pięć miesięcy - stwierdził, ostrożnie unosząc powieki.

- Gdybym się nie zgodził, cofnąłby moje zwolnienie z wojska albo wsadzi! na dwadzieścia lat do Leavenworth.

- Czyli pieniądze pochodziły z okupu...

- Jakie pieniądze? - przerwał mu Sam.

- Te, które tak rozrzutnie przeznaczyłeś na remont domu. Setki tysięcy dolarów! To był twój udział w okupie, zgadza się?

- W jakim okupie?

- Za papieża, ma się rozumieć. Dali wam okup, żebyście go uwolnili

- Nie dostaliśmy żadnego okupu. Kardynał Ignatio Quartz odmówił - niema pieniędzy.

- Jaki kardynał?!

- To zupełnie inna historia. Quartz był bardzo zadowolony z Guida

- Guida?
- Aaronie, ty krzyczysz.. - wymamrotała Eleanora.

81

- Guido Frescobaldi - wyjaśnił Devereaux. - Kuzyn Zio jest podobny do niego jak bliźniak. Pętał się w trzecim zespole La Scali i czasem dostawał jakieś małe rólki.
- Wystarczy! - Znakomity bostoński prawnik odetchnął głęboko kilka razy, starając się za wszelką cenę nie stracić panowania nad sobą, a następnie powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił: - Sam, wróciłeś do domu z mnóstwem pieniędzy, których nie odziedziczyłeś po żadnym zamożnym Devereaux. Skąd je wzięłeś?
- Noo... Sprawy przedstawiały się w ten sposób, Aaronie, że jako główny partner otrzymałem udział w likwidowanym kapitale zakładowym spółki.
- Jakiej spółki? - zapytał Pinkus drżącym głosem.
- Spółki Shepherda.
- Spółki Sheph...
- Tak jak w Dobrym Pasterzu\*.
- Tak jak w Dobrym Pasterzu... - powtórzył Aaron, sprawiając wrażenie człowieka pogrążonego w głębokim transie. - Udział w likwidowanym kapitale zakładowym...
- Każdy z inwestorów, których było czterech, wniósł po dziesięć milionów dolarów, tworząc spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością z udziałem dwóch głównych partnerów. Ma się rozumieć, każdy z nich ponosił ryzyko jedynie do wysokości swojego wkładu, jeśli zaś chodzi o spodziewane zyski, to miały one dziesięciokrotnie przekroczyć wkłady... Ostatecznie sprawy ułożyły się w taki sposób, że żaden inwestor nie chciał wycofać wkładu, traktując go jako coś w rodzaju dobroczynnego daru w zamian za zachowanie anonimowości.
- Anonimowości?... Anonimowość warta czterdzieści milionów dolarów?
- Mieli to zagwarantowane na piśmie. Osobiście przygotowałem wszystkie dokumenty.
- Ty?! Maczałeś palce w tej farsie?
- Nie z własnej woli - zaprotestował Devereaux. - Nie miałem wyboru.
- Ach tak! Te dwa tysiące paręset stronich tajnych dokumentów. Cofnięcie zwolnienia albo dwadzieścia lat w Leavenworth.
- Albo coś jeszcze gorszego. Mac powiedział mi, że jeśli Pentagon

*Good Shepherd* - Dobry Pasterz (przyp. tłum.).

82

*zaząda* czyjejś głowy, to istnieje wiele znacznie bardziej dyskretnych sposobów, żeby ją zdobyć, niż stawianie delikwenta przed plutonem egzekucyjnym.

- Tak, tak\* rozumiem... Sam, twoja kochana matka, która obecnie znajduje się w stanie głębokiego szoku, wspomniała mi, że wyjaśniłeś jej, jakoby pieniądze pochodziły z handlu przedmiotami kultu religijnego...

<sup>1</sup> Dokładnie rzecz biorąc, w statucie spółki jako cel jej działania podano „obróć pozyskanymi przedmiotami kultu religijnego”. Myślę, że dość zgrabnie to sformułowałem.

- Dobry Boże... - wymamrotał Pinkus. - A tym pozyskanym przedmiotem kultu religijnego okazał się nie kto inny jak papież Franciszek I, którego porwaliście!

- Wydaje mi się, Aaronie, że to dość swobodne uogólnienie, w dodatku znacznie rozmijające się z prawdą.

- Co ty bredzisz, do diabła? Spójrz na ściany, na te fotografie!

- Ze swojej strony pozwolę sobie zaproponować, żebyś to ty, Aaronie, przyjrzał im się nieco dokładniej. Prawo karne definiuje porwanie jako „uprowadzenie osoby lub osób siłą albo podstępem i przetrzymywanie ich wbrew woli w celu uzyskania korzyści, w tym także finansowych”. Choć, jak przyznałem, początkowe plany przewidywały właśnie takie działanie, to uległy one daleko idącym zmianom w związku z chęcią, żeby nie powiedzieć entuzjastyczną, współpracą obiektu naszego działania. Trudno powiedzieć, aby fotografie, o których byłeś uprzejmy wspomnieć, przedstawiały tenże obiekt pozostający w stanie jakiegokolwiek przymusu. Wręcz przeciwnie - wydaje się zdrowy i bardzo zadowolony.

Sam, powinienes jak najszybciej *znaleźć* się w wyscielanej celi! Czy ten potworny czyn,



którego się dopuściłeś, nie wgiął ani trochę twojego moralnego pancerza?

- Przynaję, Aaronie, że krzyż, który dźwigam na swoich barkach, ogromnie mi ciąży.

- Nie jest to najlepsza metafora, na jaką mogłeś się zdobyć... W gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi, ale powiedz mi, w jaki sposób odstawiliście go do Rzymu?

On i Mac wpadli we dwójkę na ten pomysł. Jastrząb nazwał to „wyjątkowo delikatną misją”, a Zio zaczął śpiewać arie operowe.

- Jestem wykończony... - szepnął Aaron Pinkus. - Żałuję, że doczekałem tego dnia, że nie ogłuchłem w porę, by nie usłyszeć

83

żadnego słowa, które wypowiedziano w tym pokoju, i że na czas nie straciłem wzroku.

- A jak, według ciebie, ja się czuję w każdym dniu mojego życia? Straciłem kobietę, którą kocham jak nikogo na świecie, ale nauczyłem się jednej rzeczy, Aaronie: życie musi trwać dalej!

- Cóż za oryginalne sformułowanie.

- Już po wszystkim. Tamto minęło, należy do przeszłości. Chyba nawet się cieszę, że dzisiaj zdarzyło się to, co się zdarzyło. W pewien sposób stałem się wolny. Teraz mogę znowu wziąć się ostro do pracy, bo wiem, że ten ponury sukinsyn już nigdy nie zbliży się do mnie nawet na kilometr!

Rzecz jasna, dokładnie w tej chwili zadzwonił telefon.

- Jeśli to z biura, powiedz im, że poszedłem do synagogi - szepnął Pinkus. - Nie jestem przygotowany na spotkanie z zewnętrznym światem.

- Ja odbiorę - powiedział Sam, podnosząc się z klęczek i ruszając w stronę biurka. - Mama jest z nami - przynajmniej w pewnym sensie - a lepiej, żeby Córa nie rozmawiała z nikim przez telefon. Wiesz, Aaronie... Teraz, kiedy już wszystko zostało powiedziane, naprawdę czuję się znacznie lepiej. Wiem, że z twoją pomocą mogę stawić czoło nowym wyzwaniom, pokonywać najtrudniejsze przeszkody...

- Odbierz ten cholerny telefon, Sammy. Głowa mi pęka.

- Tak, oczywiście. Przepraszam.

Devereaux podniósł słuchawkę, powitał grzecznie rozmówcę, wysłuchał odpowiedzi, po czym zaczął przeraźliwie wrzeszczeć. Jego matka poderwała się gwałtownie z kanapy, przewróciła stół do kawy i rozciągnęła się jak długa na podłodze.

- Sammy! - wykrzyknął rozpaczliwie Aaron Pinkus, miotając się między nieprzytomną Eleanorą a jej synem, który w niepohamowanym przypiływie paniki zrywał ze ścian wszystkie oprawione w ramki fotografie i roztrzaskiwał je na podłodze. - Sam, opanuj się!

- Potwór! - ryczał Devereaux. - Ohydny robal! Najwstrętniejszy dwunóg, jaki kiedykolwiek stapał po powierzchni ziemi! Jakim prawem..

- Sammy, twoja matka! Ona mogła umrzeć!

- Nie ma obawy! Nie wiedziałaby jak - parsknął Devereaux. Podbiegł do ściany za biurkiem i tam kontynuował dzieło zniszczenia. - On jest chory, chory, chory!

- Nie powiedziałem zachorować, tylko umrzeć - odparł Aaron, kłękając z wysiłkiem i unosząc rękami głowy kobiety. Miał nadzieję, że ten widok wywrze jakieś wrażenie na szalejącym synu. - Myślę, że powinieneś jej okazać trochę zainteresowania.

- Zainteresowania? A czy on kiedykolwiek się mną interesował? Nie, tylko rozwałił mi życie na kawałki, a potem starannie wdeptał każdy z nich w ziemię! Rozerwał mi serce, nadał je niczym balon i...

- Nie mówię o nim, Sam, tylko o niej. O twojej matce.

- Cześć, mamó. W tej chwili jestem zajęty.

Pinkus wyjął z kieszeni sygnalizator i kilka razy nacisnął guzik. Chyba kierowca\* Paddy Lafferty, domyślił się, że chodzi o coś bardzo ważnego,

85

Domyślił się. Kilka sekund później Paddy wdarł się do budynku przez wejście we wschodnim skrzydle i poinformował kuzynkę Córę głosem starego sierżanta nawykłego do wydawania rozkazów, że jeśli natychmiast nie zejdzie mu z drogi, to rzuci ją na pastwę kompanii wygodniałych piechurów marzących tylko o tym, by oddać się zabawie z jakąś apetyczną kobietką.

- O rety! A gdzie oni są, krzykaczu?

Sam Devereaux siedział za biurkiem przywiązany do fotela. Nogi i ręce miał skrepowane prześcieradłem zdjętym z łóżka i porwanym na strzępy przez byłego sierżanta Patricka Lafferty'ego. Porwanym, ma się rozumieć, po uprzednim znokautowaniu Sama i znalezieniu sypialni.

Devereaux potrząsnął głową i zamrugał szybko powiekami.

- Napadło mnie pięciu narkomanów na głodzie - zaryzykował.

- Niezupełnie, chłopcze - odparł Paddy, przytykając mu do ust brzeg szklanki z wodą. - Chyba że zaliczasz do tej kategorii takich jak ja, ale nie radzę ci tego robić ani na starym Południu, ani nawet w knajpie OToole'a.

- Ty mi to zrobiłeś?

- Nie miałem wyboru, Sam. Kiedy człowiek jest tak wycieńczony walką, że traci kontakt z rzeczywistością, trzeba czym prędzej pomóc mu wrócić do normy. Nie ma się czego wstydić, chłopcze.

- Byłeś w wojsku? Na polu bitwy?... Z MacKenziem Hawkinsem?

- Skąd znasz to nazwisko, Sammy?

- Walczyłeś u jego boku?

- Nigdy nie dostąpiłem zaszczytu, żeby osobiście poznać tego wielkiego człowieka, ale widziałem go na własne oczy! We Francji przez dziesięć dni dowodził naszą dywizją. Powiadają ci, chłopcze: Mac Jastrząb był najlepszym dowódcą w całej armii. Paddy wyglądał przy nim jak tancerka z baletu. Lubiłem starego George'a, ale nie dorównywał Macowi klasą.

- Zaraz oszaleję! - zawył Devereaux, szarpiąc więzy. - Gdzie jest moja matka?... Gdzie jest Aaron? - dodał szybko, rozglądając się po pustym pokoju.

- Z twoją matką, chłopcze. Zaniósłem ją do sypialni. Pan Pinkus został, żeby podać jej trochę brandy. To pomoże jej zasnąć.

86

- Aaron i moja matka?...

- Odrobinę elastyczności, kolego. Zachowujesz się tak, jakby twoja dziewczyna przyszła na randkę z workiem cementu na głowie. Masz, łyknij sobie wody... Dałbym ci whisky, ale boję się, że mogłoby ci to zaszkodzić. Masz oczy jak kot, który właśnie usłyszał jakiś hałas.

- Przestań! Cały mój świat rozpada się na kawałki!

- Nie przesadzaj, Sam. Pan Pinkus poskłada go z powrotem. To [najlepszy specjalista w swoim fachu... O, już idzie. Skrzypnęło to coś, | co zostało z twoich drzwi.

Do gabinetu, powłócząc nogami, wszedł Aaron Pinkus. Wyglądał tak, jakby właśnie wrócił z wyprawy na szczyt Matterhornu.

- Musimy porozmawiać, Samuelu - powiedział, siadając ciężko w fotelu naprzeciwko biurka. - Czy mógłbyś zostawić nas samych, rPaddy? Kuzynka Córa zaprasza cię do kuchni na befsztyk z poledwicy.

- Befszyk?

- Zakrapiany irlandzkim ale.

- Wygląda na to, że pierwsze wrażenie nie zawsze jest ostatnie, prawda, panie Pinkus?

- Masz całkowitą rację, Paddy.

- A co ze mną?! - ryknął Devereaux. - Może by tak mnie ktoś uwolnił?

- Do końca naszej rozmowy zostaniesz dokładnie tam, gdzie teraz jesteś, Samuelu.

- Zawsze nazywałeś mnie Samuelem, kiedy jesteś na mnie wściekły.

- Wściekły? Dlaczego miałbym być na ciebie wściekły? Przecież *tylko* wpłatałeś mnie i moją kancelarię adwokacką w najbardziej ohydny i niemoralny zbrodnię w historii cywilizacji od czasów Średniego Państwa Egiptu cztery tysiące lat temu. Wściekły? Nie, Sam. To nie wściekłość, tylko, co najwyżej, histeria.

- Chyba już sobie pójdę, szefie.

- Dam ci później znać, Paddy. Rozkoszuj się swoim befsztykiem tak, jakby to miał być ostatni posiłek w twoim życiu.

- A ja życzę panu powodzenia, panie Pinkus.

- Jeśli za godzinę nie dam znaku życia, przyjdź tutaj i zanieś mnie do synagogi

Lafferty wyszedł pośpiesznie z pokoju; w chwilę później rozległo się przeraźliwe skrzypnięcie roztrzaskanych drzwi. Aaron splótł przed sobą dłonie i powiedział spokojnie:

- Przypuszczam, że osobą, która do ciebie zadzwoniła, był nie kto inny jak generał MacKenzie Hawkins. Czy mam rację?
- Doskonale wiesz, że masz rację! Ten szcur ściekowy nie ma prawa mi tego robić!
- A co konkretnie zrobił?
- Rozmawiał ze mną!
- Czy istnieje jakieś prawo zabraniające ludziom porozumiewać się z sobą?
- Na pewno, przynajmniej jeśli chodzi o nas dwóch. Przysiągł na Regulamin Armii USA, że do końca swego nędznego, plugawego życia nie odezwie się do mnie ani słowem!
- Uznał jednak za stosowne złamać przysięgę, z czego należy wnioskować, że miał ci do powiedzenia coś bardzo ważnego. Co to było?
- A co mnie to obchodzi?! - wrzasnął Devereaux, ponownie usiłując zerwać krepujące go więzy. - Usłyszałem tylko, że leci do Bostonu, żeby się ze mną spotkać, a potem wszystko dokoła oszalało...
- To ty oszalałeś, Sam... Kiedy tu będzie?
- Skąd mam wiedzieć?
- Słusznie. Przecież straciłeś zdrowy rozsądek i poddałeś się bezrozumnej panice... Zakładając jednak, że ma ci do powiedzenia coś bardzo ważnego - a na pewno tak jest, skoro zdecydował się złamać obietnicę - możemy przypuszczać, że zjawi się w Bostonie lada chwila.
- W takim razie ja natychmiast odlatuję na Tasmanię - oświadczył stanowczo Devereaux.
- Tego akurat nie wolno ci zrobić - odparł równie stanowczo Pinkus. - Nie wolno ci przed nim uciekać, nie wolno ci go unikać...
- Wymień jeden powód! - przerwał mu gwałtownie Sam. - Choć jeden cholerny powód, dla którego nie miałbym go unikać, oczywiście oprócz tego, że mógłbym go od razu zamordować. To chodzący sygnał alarmowy z „Titanica”!
- Przecież nie może wiecznie trzymać nad twoją głową - a także i nad moją, bo od początku jestem twoim pracodawcą - tego miecza, jakim jest wiedza o twoim uczestnictwie w najpotworniejszej zbrodni w historii ludzkości.
- To nie ty wyszedłeś z archiwum z ponad dwoma tysiącami stron tajnych akt w teczce, tylko ja!

88

- Ten pozornie groźny fakt traci całkowicie na znaczeniu w porównaniu z dowodami, które przed chwilą starałeś się usunąć ze ścian tego pokoju... Skoro już o tym wspominałeś: czy istniał jakiś powód, by kraść te akta?
- Czterdzieści milionów powodów - odparł Devereaux. - Jak sądzisz, w jaki sposób ten szalaniec zdobył kapitał potrzebny do założenia spółki?
- Szantaż?...
- Od mafii aż do jakichś Angoli, którzy nie bardzo zasłużyli sobie na Krzyż Wiktorii, i od byłych nazistów, o reputacji tkwiącej po kolana w kurzym łajnie, do arabskich szejków, którzy dorabiali się fortun, chroniąc swoje inwestycje u Izraelu. Zlepił to wszystko w jedną cuchnącą kulę, rzucił ją i kazał mi jej szukać.
- Dobry Boże, a twoja matka była pewna, że to tylko majaczenia wywołane alkoholem! Mordercy na polu golfowym, Niemcy na fermie drobiu, Arabowie na pustyni... Oni wszyscy naprawdę istnieli!
- Czasem zdarza mi się wypić trochę więcej, niż powinienem.
- O tym też mi wspominała. A więc Hawkins wygrzebał tych drani w tajnych aktach i musiał do podporządkowania się jego żądaniom'
- Oto jak nisko może upaść... Oto na jakie wyżyny może się wznieść umysł człowieka! M, ;,»
- Co się stało z twoim moralnym pancerzem, Aaronie? ... •, Z pewnością nie miał służyć ochronie takich śmieci. Nawet w połączeniu z dowodami, które widziałeś na tych ścianach"
- Nawet!
- Po czyjej stronie ty właściwie stoisz?
- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Między tymi sprawami nie istnieje żaden związek.
- Z mojego punktu widzenia wygląda to zupełnie inaczej. Aaron Pinkus pochylił głowę,

przyłożył obie dłonie do czoła i odetchnął głęboko kilka razy.

- Dla każdego, choćby najpoważniejszego problemu musi się znaleźć jakieś rozwiązanie. Jeśli nie na tym świecie, to na pewno na tamym.

- Wolałbym na tym, oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Zgadzam się z tobą - odparł stary prawnik. - Dlatego

89

właśnie weźmiemy dupy w troki i ruszymy naprzód, Jak byłeś uprzejmy niedawno sam to sformułować.

- Naprzód, to znaczy ku czemu?

- Ku wspólnej konfrontacji z generałem MacKenziem Hawkinsem.

- Zrobiłbyś to?

- Mam w tym także własny interes, Sammy. Poza tym chciałbym przypomnieć ci pewien truizm związany z naszym zawodem, prawdziwy, bo niezmiernie ważny... Prawnik, który reprezentuje samego siebie, jest skończonym osłem. Twój generał Hawkins może dysponować wspaniałym żołnierskim umysłem i zadziwiać świat niekonwencjonalnym postępowaniem, ale z całą skromnością muszę stwierdzić, że wątpię, czy zdoła dotrzymać pola Aaronowi Pinkusowi. <

Przystrojony we wspaniały pióropusz wódz Grzmiąca Głowa wypluł na ziemię przeżutą resztkę cygara i wrócił do obszernego namiotu, gdzie oprócz naturalnych w takim miejscu wytworów kultury amerykańskich Indian, takich jak sztuczne skalpy, znajdowało się wodne łóżko oraz sprzęt elektroniczny, z którego byłby dumny nawet Pentagon - był dumny, jeśli chodzi o ścisłość, gdyż sprzęt został ukradziony właśnie z tej instytucji. Westchnąwszy głośno - westchnienie miało świadczyć zarówno o smutku, jak i o gniewie wodza - Grzmiąca Głowa zdjął ostrożnie pióropusz, położył go na ziemi, po czym sięgnął do kieszeni spodni z kozłej skóry i wyjął z niej kolejne cygaro niewiadomej marki i raczej podłej jakości, następnie wetknął je sobie do ust na głębokość co najmniej pięciu centymetrów i zaczął intensywnie przeżuwać. Potem podszedł do łóżka i zwałił się na jego rozfalowaną powierzchnię. Niemal w tej samej chwili rozległ się sygnał komórkowego telefonu, który także znajdował się w kieszeni spodni. Sygnał powtarzał się przez dłuższy czas, który wódz spędził, usiłując zapanować nad gwałtownymi falami wywołanymi jego nagłym uwaleniem się na łóżko. Wreszcie udało mu się dźwignąć do pozycji siedzącej i oprzeć obie nogi na stałym gruncie.

- Co jest? - warknął, wyszarpnąwszy aparat z kieszeni. - Mam teraz zebranie rady szczepu!

- Daj spokój, wodzu. Jedyne zebrania, jakie jeszcze tam u was się odbywają, urządzają psy przy ognisku.

90

- Nigdy nie wiadomo, kto akurat dzwoni.

- Myślałem, że tylko ja znam ten numer?

- Zawsze trzeba brać pod uwagę możliwość, że nieprzyjacielowi uda się wejść na tę samą częstotliwość.

- O czym...

- Po prostu zachowaj czujność, chłopcze. O co chodzi?

- Pamiętasz tę angielską parę, która wczoraj dopytywała się o ciebie? Tych, przed którymi udawaliśmy niedorozwiniętych Indian.

- Co z nimi?

- Wrócili, ale nie sami. Jeden z tych nowych wygląda na coś, co uciekło z klatki bez wiedzy właściciela, a drugi bez przerwy kicha. Albo ma cholerny katar, albo coś go kręci w nosie.

- Widocznie co nieco zwąchali

- Na pewno nie tym kinolem...

- Nie mówię o nowych, tylko o Anglikach. Założę się, że to przez tego waszego idiota, który uważa się za prawnika.

- Daj spokój, Grzmiąca Głowo! Charlie był świetny, tyle że zwałił się z tej przeklętej

kobyły. Nie pisał im ani słówka, a baba gapiła się bez przerwy na jego ochraniacz na jaja...

- Przepaskę biodrową, synu. Może to przez tego konia...
- A może przez przepaskę biodrową - zasugerował rozmówca. W tej samej chwili Grzmiąca Głowa, uniesiony falą wydymającą winylową powłokę, runął ponownie na łóżko.
- Auuu!
- Co, ty też myślisz, że nasz prawniczy orzeł jednak ma coś w sobie? \
- Nic nie myślę! To przekłete wyposażenie wyprowadza mnie z równowagi!
- Sam je zaprojektowałeś, Grzmiąca Głowo.
- Radzę ci, żebyś przestał się spoufalać, chłopcze. Jesteś tylko szeregowcem i powinieneś mówić do mnie: wodzu.
- Dobra, wodzu. Od tej pory będziesz sam jeździł do miasta i kupował sobie te paskudne cygara...
- Nie miałem na myśli niczego poważnego, synu. Po prostu chce utrzymać logiczny porządek zależności służbowej. Oprócz tego twierdzą, że personel pomocniczy nie jest mobilizowany po to, żeby ganiać po polu bitwy w przepaskach biodrowych. Czy -to jasne?

91

- Powiedzmy... A więc, jak ci się wydaje? Chodzi mi o to, co mogli wywachać.
- Nie to, co oni mogli wywachać, młody człowieku, ale co wywachał ktoś, kto przysłał im posiłki. Te Angole nie wróciły z własnej woli. Skierował ich jakiś doświadczony oficer liniowy, który chce uzyskać potwierdzenie wcześniejszych ustaleń. To jasne jak Porkchop Hill.
- Jaka rąbanka\*?...
- Gdzie oni teraz są, chłopcze?
- Przy stoisku z pamiątkami. Kupują całe naręcza i są bardzo przyjaźni, nawet ten wół. Aha, przy okazji: dziewczęta... przepraszam: *squaws*... są w siódmym niebie. Właśnie dotarła świeża dostawa z Tajwanu.
- Grzmiąca Głowa zmarszczył brwi, zapalił cygaro, po czym powiedział:
- Nie rozłączaj się. Muszę przez chwilę pomyśleć. - Kiedy wewnątrz namiotu wypełniło się gęstym dymem, Jastrząb przemówił ponownie: - Niedługo Angole wyjadą z moim nazwiskiem.
- Też tak sądzę.
- Niech więc jeden z naszych uciskanych braci powie im, że mój namiot stoi dwieście skoków antylopy za północnym pastwiskiem, tuż obok godowego miejsca bizonów, przy wielkich dębach, na których orły składają swoje cenne jaja. To odosobnione miejsce, w którym mogę porozumiewać się z duchami lasu i oddawać kontemplacji. Dotarło?
- Nie rozumiem ani słowa. Owszem, mamy parę krów, ale ani jednego bizona, a jeśli chodzi o orły, to widziałem kiedyś parę w zoo w Omaha.
- Ale chyba znajdzie się jakaś puszcza?
- No, może las. Nie pamiętam, żeby były w nim jakieś wielkie drzewa.
- Do licha, synu, po prostu zaprowadź ich do tego lasu, dobra?
- Którą ścieżką? Wszystkie są w miarę wygodne, ale parę jest w lepszym stanie niż pozostałe. W tym sezonie turyści zupełnie nie dopisali, więc...
- Dobrze myślisz, chłopcze! - wykrzyknął Grzmiąca Głowa. -

*Porkchop* - rąbanka (przyp. tłum.).

92

- Znakomita taktyka! Powiedz im, że znajdują mnie dużo szybciej, jeżeli się rozdziela. Ten, kto dotrze do mnie jako pierwszy, zawoła pozostałych. Cały czas będą blisko siebie.
- Biorąc pod uwagę fakt, że ciebie tam nie będzie, ta znakomita taktyka nie jest warta funta kłaków. Pogubią się i tyle.
  - Mam nadzieję, synu.
  - Co takiego?
  - Nieprzyjaciel zastosował bardzo oryginalną strategię. Nie ma w tym nic złego - do licha, sam robiłem to przez większą część kariery! - ale nie możemy dopuścić, by

wpłynęło to niekorzystnie na realizację naszych planów. W obecnej sytuacji najlepszym rozwiązaniem, jakie mógłby wybrać nieprzyjaciel, jest frontalny atak; on jednak próbuje osaczyć nas ze wszystkich stron, prowadząc ostrzał z moździerzy nabitych głodnym pieprzeniem

- Znowu nie nadążam, wodzu.

- Antropolodzy poszukujący resztek wielkiego plemienia? - rsknął po^aulliwie Grzmiąca Głowa. Dzikusy znad Shenandoah, irzyłaczeni przez Waltera Raleigha do Korony Brytyjskiej? Naprawdę ierzyłeś w te bzdury?

- No, to nawet możliwe. Wopotami dotarli tu ze wschodu.

Owszem: z doliny rzeki Hudson, ale nie znad Shenandoah! Jeśli chodzi o ścisłość, to zostali wyparci przez Mohawków, bo nie potrafili uprawiać ziemi, nie umieli hodować bydła, a zimą wogóle nie wychodzili z namiotów. Nie byli żadnym wielkim szczepem, tylko gromadą nieudaczników, którzy odkryli swoje powołanie dopiero w połowie ubiegłego wieku, kiedy dotarli do Missouri. Natychmiast wzięli się za oszukiwanie i korumpowanie białych osadników!

- Wiesz o tym wszystkim?

- Niewiele jest spraw w historii waszego plemienia, o których bym nie wiedział... Nie, synu, ktoś musi się kryć za tym mydleniem oczu. a ja się dowiem, kto to taki. A teraz do roboty! Wyślij ich do lasu.

Dwadzieścia trzy minuty później członkowie ekspedycji wysłanej przez Hymana Gokifarba ruszyli jeden po drugim czterema ścieżkami prowadzącymi u głąb gęstego lasu. Postanowili się rozdzielić, jako że pozornie jednoznaczne i proste wskazówki, które otrzymali przy stoisku z pamiątkami, okazały się niezmiernie zagmatwane i wielo-

93

znaczne; gromada wrzeszczących *squaws* nie potrafiła między sobą uzgodnić, którą z czterech ścieżek należy wybrać, żeby najprędzej dotrzeć do namiotu wielkiego wodza Grzmiącej Głowy. Zdaje się, że namiot ów uważano za coś w rodzaju świętej samotni.

Czterdzieści sześć minut później wszyscy członkowie ekspedycji byli już pojmani i przywiązani za ręce do pni okazałych drzew. Usta zakneblowano im sztucznymi skórkami bobrowymi, ich samych zapewniono zaś, że niebawem zostaną uwolnieni, pod warunkiem jednak, że nie wyplują knebli i nie *zaczną* wzywać pomocy. Gdyby tak uczynili, odczuliby na sobie, a szczególnie na swoich skalpach, gniew uciskanego i wykorzystywanego ludu. Każdy z intruzów został potraktowany indywidualnie, zgodnie ze swoją płcią i stanowiskiem. Angielska dama okazała się znacznie twardsza od swego partnera, który usiłował zastosować jakiś skomplikowany dalekowschodni sposób obrony, co zaowocowało niemal natychmiastowym wywichnięciem lewego stawu łokciowego. Niższy, kichający Amerykanin próbował prowadzić negocjacje, sięgając jednocześnie powoli do tkwiącego za paskiem pistoletu, za co spotkała go kara w postaci kilku złamanych żeber. Najtrudniejszego jednak osobnika wódz Grzmiąca Głowa - *alias* MacKenzie Lochhwar Hawkins (we wszystkich oficjalnych dokumentach dotyczących jego osoby skrzętnie pomijano środkowy człon nazwiska) - pozostawił sobie na koniec. Jastrząb zawsze hołdował zasadzie, iż największe wyzwanie powinno stanowić jednocześnie ostatnią barierę dzielącą od osiągnięcia celu. Przecież nie można było wziąć do niewoli Rommla zaraz po pierwszym starciu z Afrikakorps. Byłoby w tym coś... niewłaściwego.

Tym razem wyzwanie przybrało postać imponującą pod względem czysto fizycznych rozmiarów, wyposażoną natomiast w dość ograniczone możliwości intelektualne. Mimo że osilek był od niego co najmniej dwa razy młodszy, Hawkins szybko uzyskał przewagę, wykonując kilka gwałtownych uników i zadając w jpi ostem unymi palcami dwa ciosy w wielgachny żołądek przeciwnika. Z ust olbrzyma wytrysnął strumień niedawno spożytej, więc jeszcze prawie nie strawionej indiańskiej żywności, dzieła zaś dopełniło zadane z góry uderzenie, które skierowało wielką głowę w dół, ku kompromitującym dowodom słabości żołądkowej.

- Twoje nazwisko, stopień i numer służbowy, żołnierzu!

- Co ty gadasz? - wystękał nieszczęśnik, któremu ochroniarz Jastrzębia nadał niedawno przydomek „wołu”.
  - Dobra, wystarczy nazwisko twoje i twojego pracodawcy. Szybko!
  - Ja tam nie mam żadnego nazwiska i dla nikogo nie pracuję.
  - Na ziemię!
  - Człowieku, litości!
  - A niby dlaczego? Niewiele brakowało, a pobrudziłbyś mi koszule. Padnij, żołnierzu!
  - Kiedy to strasznie cuchnie!
  - Nie tak bardzo jak cała wasza czwórka. Mów, co ci każe, więźniu!
  - Tu jest mokro!... Już dobrze, dobrze. Nazywają mnie Łopata.
  - W porządku, może być pseudonim. Kto tobą dowodzi?
  - O czym ty gadasz?
  - Dla kogo pracujesz?
  - Co ty, jesteś szurnięty?
  - W porządku, żołnierzu. Pożegnaj się z resztą zawartości żołądka.
- Smakowało ci nasze żarcie? No to masz, pojedz sobie, miłośniku  
{Indian!
- Jezu, sam se pojedz! Nic ci nie powiem. Czerwonoskórzy!
  - Słucham?
  - On grał u nich... Pozwól mi wstać, na litość boską!
  - Grał u nich?... Potrzebuję czegoś więcej, ty czyścicielu latryn!
  - Co za kit próbujesz mi wepchnąć?
  - Jesteś blisko, cholernie blisko! Jak on grał, nie mogli im wepchnąć żadnej bramki. Nie potrzebował ochraniaczy, po prostu spał piłkę i gonił do końcowej linii... Żydowski Herkules...
  - Żydowski Herkules? Czerwonoskórzy?... Święty Jezu na des-corołce, był tylko jeden taki gracz w całej historii ligi! Hymie iura^an'
  - Ja nic nie wiem! Ty to powiedziałeś!
  - Nie masz najmniejszego pojęcia, co powiedziałem, żołnie-•zu. - Jastrząb mówił cicho, lecz bardzo szybko, przywiązując gigantyczne cielsko do drzewa. - Złoty Goldfarb, kto by pomyślał... Przecież to ja osobiście wciągnąłem go do armii, kiedy pracowałem w Pentagonie!

95

- Nigdy tego nie słyszałeś, Łopato. Uwierz mi, nigdy tego nie słyszałeś!... Muszę stąd szybko zniknąć. Przyślę kogoś po was, idioci, ale gdyby ktoś pytał, to ty nic mi nie mówiłeś, rozumiesz?
- Pewnie, że nie mówiłem! Ale cieszę się, że mogłem ci pomóc, wodzu.
- To drobnostka, synu. Czekają nas znacznie ważniejsze zadania. Niebawem szarpniemy za najczulszy nerw w całym Śpiącym Miasteczku. Złoty Goldfarb, coś takiego!... Teraz potrzebuję szybko mojego cholernego prawnika i wiem dokładnie, gdzie powinienem szukać tego niewdzięcznego pierdoły!

Vincent Mangecavallo, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, spoglądał na trzymaną w rękę słuchawkę specjalnego telefonu zabezpieczonego przed podsłuchem z takim wyrazem twarzy, jakby był to powiększony do gigantycznych rozmiarów wirus jakiejś okropnej, zaraźliwej choroby. Kiedy histeryczny głos dobiegający z urzędnika ucichł na chwilę, dyrektor CIA przyłożył słuchawkę do ucha i zaczął szybko mówić cichym, lecz groźnym głosem:

- Słuchaj no, ty wyfraczony pieczony ogryzku! Robię, co mogę, przy pomocy ludzi, którym wy potrafilibyście tylko zapłacić, ale nie umielibyście się z nimi dogadać. Chcesz się zamienić? Proszę bardzo, przynajmniej będę mógł się porządnie uśmieć, kiedy utopisz się w wazie z zupą... Chcesz usłyszeć coś jeszcze?-- Man-gecavallo umilkł na chwilę, po czym kontynuował znacznie bardziej przyjaznym tonem. - Czy ja cię oszukuję? Przecież wszyscy możemy znaleźć się w tej wazie. Na razie mamy jedno wielkie zero. Ten cały Sąd jest czysty jak myśli mojej matki, a nasz piłkarzyk też nie jlał jeszcze znaku życia.

- Przepraszam, że się uniosłem, przyjacielu - powiedział sekretarz stanu z drugiego końca linii.  
- Ale chyba sam rozumiesz, w jak niezręcznej sytuacji znajdziemy się podczas najbliższego spotkania na szczycie. Boże, co za wstyd! W jaki sposób prezydent ma prowadzić negocjacje z pozycji siły, wykorzystując autorytet swojego urzędu, jeśli Sąd Najwyższy może w każdej chwili pozwolić, żeby jakieś zupełnie nieznane, maleńkie indiańskie plemię unieszkodliwiło całą naszą pierwszą linię obrony? Tu chodzi o niebo nad naszymi głowami! Rozumiesz, chłoptasiu?

96

-- Domyślam się, *bambino vecchio*.

To jedna z tych rzeczy, których nigdy nie mogłem u was zrozumieć. W jaki sposób chłoptas może być jednocześnie stary?

- Przypuszczam, że wszystko przez te krawaty. W dobrych szkołach uczniowie noszą krawaty, więc wyglądają jak mali staruszkowie. To bardzo proste.

- Może coś w rodzaju *vecchia maledizione difamiglia*, he?

- Przypuszczam, że w szerokim sensie istnieje pewien związek. To bardzo ładnie brzmi, przyjacielu.

- My tak nie uważamy. Za to się ginie.

- Że co, proszę?

- Nieważne. Po prostu potrzebowałem trochę czasu, żeby pomyśleć.

- Ja to robię bez przerwy. Niespodziewane dywagacje.

- Jasne. W takim razie podrywajmy teraz na temat spotkania szczycie. Po pierwsze, czy szef nie mógłby go odwołać, tłumacząc nagłym atakiem grypy albo półpaśca?

- To by wywarło bardzo niekorzystne wrażenie. Odpada.

- W takim razie może udar mózgu żony? Dam radę to załatwić. %

- Też nie, stary przyjacielu. Musiałby wtedy wznieść się ponad osobistą tragedię i z heroizmem spełniać obowiązki głowy państwa. To jego obowiązek.

- Skoro tak, to chyba naprawdę siedzimy po uszy w zupie... Chwila, moment, chyba na coś wpadłem! A co by się stało, gdyby prezydent oficjalnie poparł tę indiańską petycję, jak tylko Sąd Najwyższy przystąpi do publicznego rozpatrywania sprawy?

- Jesteś głupi jak tapir!

- Kto?

- Wariat! Na jakiej podstawie miałby ich poprzeć? Zrozum, tu nie chodzi tylko o opowiedzenie się za albo przeciw! To poważny, autentyczny problem. Nie można go wykorzystać do zbijania kapitału wyborczego. Trzeba zająć konkretne stanowisko, a to oznacza naruszenie ustanowionej przez konstytucję równowagi władzy. Cokolwiek powie narazi się albo władzy wykonawczej, albo sądowniczej. Tak czy inaczej wszyscy przegrywają!

- Jezu, ale ty lubisz wielkie słowa! Nie chodzi mi o żadne naruszenie, tylko o to, żeby wszyscy przekonali się na własne oczy, że prezydent troszczy się nawet o najuboższych

97

obywateli - tak jak próbowali robić komuniści, tyle że im się nie udało. Poza -tym on przecież doskonale wie, że ma dwadzieścia dwie inne bazy lotnictwa strategicznego w kraju i jedenaście albo dwanaście za granicą. O co więc chodzi?

- O sprzęt wartości siedemdziesięciu miliardów dolarów, którego nie da się nigdzie przenieść!

- A kto o tym wie?

- Inspektor generalny i wszyscy jego ludzie!

"-\*

- Przejmujesz się drobnostkami. Przecież możemy ich wszystkich przymknąć. Ja się tym zajmę.

- Jesteś nowy w tym mieście, Vincent. Zanim twoje zbiry dotrą na miejsce, pojawią się pierwsze przecieki. Siedemdziesiąt miliardów natychmiast urośnie do ponad stu, a po pierwszej próbie uciszenia plotek do dziewięciuset miliardów. Upadek wszystkich banków w kraju byłby przy tym jak kaszka z mlekiem. Zanimbyśmy się obejrzeli, Kongres dobrałby nam się do skóry za ukrywanie ważnych politycznie faktów sprzed ponad stu lat, faktów, z którymi nigdy nie mieliśmy nic wspólnego, i choć dla nikogo nie ulegałoby wątpliwości, że zachowaliśmy się najrozsądniej, jak można było w takiej sytuacji, nie tylko wsadziliby nas do



więzienia i kazali zapłacić potwornie wysokie grzywny, ale na dokładkę zabraliby nam służbowe limuzyny!

- *Basta!* - ryknął Mangecavallo, przykładając słuchawkę do drugiego ucha. - Przecież to kompletne wariactwo!

- Witaj w prawdziwym waszyngtońskim świecie, Vincent... Czy jesteś całkowicie pewien, że nie mamy nic, powiedzmy... przekonującego, na któregoś z tych sześciu kretyńców? A co z czarnuchem? Zawsze wydawało mi się, że okropnie zadziera nosa.

- Dobrze ci się wydawało, ale akurat on jest chyba najczystszy i najsprytniejszy z nich wszystkich.

- Serio?

- Tak, a zaraz za nim jest twój rodak, jeżeli akurat jego chciałeś wymienić w następnej kolejności.

- Szczerze mówiąc, tak... Ale to nic osobistego. Bardzo lubię operę.

- To na pewno nic osobistego, bo opera bardzo lubi ciebie. \*\*  
Szczególnie *Signor Pagliacci*.

- Ach tak. Ci wikingowie...

- Tak, wikingowie... Skoro już mówimy o grzmotach...

98

- A mówimy?

- Przynajmniej ty... Wciąż czekamy na wiadomość o wodzu Szalonej Dupie, który każe się nazywać Grzmiącą Głową. Musimy go znaleźć, bo wtedy może uda nam się wygrzebać z tego bagna.

- Naprawdę? W jaki sposób?

- Ponieważ jako osoba składająca pozew musi osobiście stawić się przed sądem. Ma taki obowiązek.

- Rozumiem, ale co to zmienia?

- Przypuścimy - na razie tylko przypuścimy - że okaże się kompletnym wariatem, który zacznie ryczeć ze śmiechu i wrzeszczeć, że to wszystko był tylko żart i że sfabrykował historyczne dokumenty, żeby narobić trochę zamieszania? I co ty na to?

- Genialnie, Vincent! Ale jak zamierzasz to zrobić?

- Dam sobie radę. Mam na specjalnej liście płac paru lekarzy. To tak samo jak z używaniem środków chemicznych nie dopuszczonych oficjalnie do obiegu.

- Wspaniale! W takim razie na co jeszcze czekasz?

- Muszę najpierw *znaleźć* tego sukinsyna!... Zaczekaj chwilę, pieczeniarku Oddzwonię do ciebie. Mam połączenie na drugiej tajnej linii.

- Pośpiesz się, chłoptasiu.

- Przestań wyzywać mnie od dzieci! - ryknął szacowny dyrektor CIA i przerwał połączenie, po czym nacisnął jeden po drugim dwa guziki. - Tak, o co chodzi?

- Wiem, że nie powinienem dzwonić do ciebie osobiście, ale pomyślałem, że mógłbyś nie uwierzyć, gdybyś usłyszał to od kogoś innego

- Kto mówi, do cholery?

- Goldfarb.

- Hyrnie Huragan? Człowieku, zawsze uważałem cię za najlepszego...

- Zamilcz, idioto. Teraz zajmuję się czym innym.

- Tak, jasne, ale czy pamiętasz finał Pucharu Ligi w siedemdziesiątym, trzecim, kiedy...

- Byłem tam, kolego, więc jak mógłbym nie pamiętać? Teraz jednak mamy do czynienia z sytuacją, z którą powinieneś się zapoznać, zanim podejmiesz jakiegokolwiek kroki... Grzmiąca Głowa wymknął się z sieci

99

- C o t a k i e g o ?

- Rozmawiałem ze wszystkimi członkami naszej grupy operacyjnej - nawiasem mówiąc, rachunek otrzymasz za pośrednictwem tego podejrzanego motelu w Virginia Beach. Doszli do identycznych wniosków, które może są trochę trudne do zaakceptowania, ale wygląda mi na to, że będziemy musieli się z nimi pogodzić.

- O czym ty gadasz, do stu diabłów?

- Ten Grzmiąca Głowa jest w rzeczywistości nikim innym jak tylko Wielką Stopą, mitycznym stworzeniem żyjącym podobno w lasach Kanady, istotą, która jednak niczym nie różni się od człowieka.

- Że c o?

- Druga możliwość jest taka, że to Yeti, legendarny Człowiek Śniegu z Himalajów, który przebył dwa kontynenty, aby rzucić klątwę na rząd Stanów Zjednoczonych... Życzę miłego dnia.

Generał MacKenzie Hawkins, zgarbiony, w wymiętym szarym garniturze z gabardyny, siedł przez budynek Bostońskiego Portu Lotniczego im. Logana, rozglądając się w poszukiwaniu męskiej toalety. Znalazłszy ją, wpełznął się do środka wraz z ogromnych rozmiarów torbą podróżną, postawił ją na podłodze i spojrzął w długie lustro mieszczące się nad rzędem umywalk; dwaj mężczyźni w mundurach linii lotniczych myli właśnie ręce. Całkiem niezłe - pomyślał - może poza kolorem peruki. Odrobinę zbyt ruda i trochę za długa z tyłu. Natomiast okulary w wąskiej metalowej oprawce znakomicie spełniły swoją funkcję; zsuwając się nieco na orlim nosie nadawały mu wygląd roztrągniętego n.uiko\\iM. jajogłowego myśliwiec, który nigdy nie potrafiłby z wojskową sprawnością znaleźć męskiej ubikacji na zatłoczonym dworcu lotniczym. Właśnie wojskowość, a raczej jej brak, stanowiła podstawę obecnej strategii Jastrzębia. Musiał ukryć wszelkie ślady świadczące o jego profesji; wszyscy wiedzieli, że Boston leży na terytorium rządzonego przez jajogłowych, on zaś musiał na najbliższe dwanaście godzin wtopić się w tłum, by przeprowadzić rekonesans i przyjrzeć się Samowi Devereaux w jego naturalnym środowisku.

Sam wydawał się mieć nieznaczne obiekcje co do ponownego spotkania; Mac z wielkim bólem podjął decyzję, że jeśli okaże się to konieczne, użyje wobec niego siły. Czas był teraz czynnikiem decydującym, Jastrzęb zaś potrzebował prawniczego doświadczenia Sama tak szybko, jak to tylko możliwe. Liczyła się każda godzina, aczkolwiek

101

zgodziłby się poświęcić nawet kilka godzin, byle tylko skłonić prawnika do opowiedzenia się za świętą sprawą... Wypada skreślić słowo święta - pomyślał generał. Mogłoby wywołać niemiłe wspomnienia.

Mac umył ręce, po czym zdjął okulary i ochlapał twarz wodą, bardzo uważając, żeby nie poruszyć rudej peruki, która niezbyt mocno siedziała mu na głowie. W torbie ma tubkę z klejem, więc jak tylko wróci do hotelu...

Wszystkie myśli dotyczące peruki zniknęły jak zdmuchnięte powiewem wiatru, gdyż Jastrzęb wyczuł bliską obecność czyjś ciała. Wyprostowawszy się ujrzał stojącego tuż za nim mężczyznę w lotniczym mundurze; nieznajomy uśmiechał się szeroko, odsłaniając liczne braki w uzębieniu. Drugi mężczyzna wpychał szybko w szparę pod drzwiami gumowe kliny uniemożliwiające otwarcie drzwi od zewnątrz. Błyskawiczne oględziny obu osobników ujawniły oczywisty fakt: linia lotnicza, która zatrudniłaby takich oprychów, z (pewnością) nie zajmowała się przewozem pasażerów, lecz przemytem kradzionych samochodów i prowadzeniem nielegalnych kasyn gry.

- Trochę *aqua* na twarz, co, człowieku? - zapytał z wyraźnym hiszpańskim akcentem szeroko uśmiechnięty osobnik, przyglądając czarne włosy, wymykające się spod czapki pilota. - To dobrze ochlapać się zimną *agua* po długim locie, co nie?

No pewnie! - wykrzyknął drugi typek, zbliżając się do Hawkinsa. Ten z kolei miał czapkę zsuniętą nieregularnie na bok. - To dużo lepiej, niż wsadzić głowę do klozetu, co nie, mistrzu?

Czy te uwagi mają jakiś cel? - zapytał były generał, spoglądając na przemian na obu

mężczyzn. Z oburzeniem zauważył, że mieli rozpięte kołnierzyki koszul.

No, to chyba niezbyt przyjemne wsadzić łeb do sracza, co?

- Całkowicie się z panem zgadzam - odparł Jastrząb. Nagle zrozumiał, że stało się coś, co uważał za całkowicie niemożliwe. - Chyba nie pracujecie dla kontrwywiadu wojskowego?

- Moglibyśmy wsadzić cię łbem do sracza, ale to pewnie nie byłoby mądre, zgadza się?

- Najzupełniej. Człowiek, który mnie oczekuje, nie zatrudniłby ludzi takich jak wy. Nauczył się ode mnie, żeby nigdy tego nie robić.

- Ej, ty! - warknął drugi fałszywy oficer linii lotniczych, zbliżając się do Jastrzębia od strony drzwi. - Chcesz nas obrazić? Może nie podoba ci się, jak mówimy? Nie jesteśmy dla ciebie dość dobrzy, co?

102

- Słuchajcie uważnie, *soldados estupidos!* Nigdy podczas mojej wojskowej kariery nie pozwoliłem, żeby czyjaś przynależność rasowa, religia albo kolor skóry miały jakikolwiek cholerny wpływ na ocenę jego -kwalifikacji. Dałem awanse oficerskie tyłu czarnym, żółtkom Hiszpance m jak nikt inny na moim stanowisku, i to nie dlatego, że byli czarni, żółci albo gadali z hiszpańskim akcentem, ale dlatego, że byli lepsi od swoich rywali! Czy to jasne?... Wy nie dorastacie im nawet do pięt. Jesteście zerami.

- Starczy tego, cwaniaczku - przerwał mu pierwszy osiłek. Uśmiech zniknął z jego twarzy dokładnie w tej samej chwili, kiedy w dłoni pojawił się nóż o długim ostrzu. - Strasznie dużo gadasz. Teraz daj nam portfel, zegarek i w ogóle wszystko, czego my, hiszpańskie zera, możemy potrzebować.

- Muszę przyznać, że masz niezły tupet - odparł Hawkins. - Czy mógłbyś mi jeszcze wyjaśnić, dlaczego miałbym to zrobić?

- Dlatego! - wrzasnął napastnik, zbliżając nóż do jego twarzy.

- Chyba żartujesz!

Jastrząb chwycił mężczyznę za nadgarstek i wykonał gwałtowny obrót, wykręcając ramię opryszka z taką siłą, że nóż natychmiast upadł na podłogę. Niemal jednocześnie Hawkins uderzył łokciem w gardło mężczyzny stojącego za nim, ponowił atak, lokując cios *chi sai* na jego czole, a następnie zajął się ponownie osobnikiem z brakami w uzębieniu, który tymczasem zdążył osunąć się na podłogę, trzymając się za obolałe ramię.

- Dobra, wypierdki! To była krótka lekcja nagłego przejścia do kontrofensywy!

- Do czego? - wymamrotał szczerbaty nieborak, próbując dosięgnąć noża, przydepniętego natychmiast przez Hawkinsa. - Dobra, za słaby jestem dla ciebie - przyznał niedawny napastnik. - Wygląda na to, że trzeba będzie wrócić do celi.

- Zaczekaj chwilę, *amigo zonzó* - mruknął Hawkins, marszcząc czoło i zastanawiając się nad czymś intensywnie. - Myślę, że możesz wybrać znacznie lepsze rozwiązanie. Twoja taktyka nawet nie była zła, tyle że nie najlepiej ją zastosowałeś. Spodobał mi się pomysł z mun-, durami i gumowymi klinami. Świadczy to o pewnej elastyczności w granicach wyznaczonego zadania. Zabrakło wam pomysłu na wypadek, gdyby przeciwnik zastosował jakiś niespodziewany manewr. W ten sposób mszczą się błędne analizy, synu!... Muszę także przyznać,

103

że przydałoby mi się paru adiutantów, którzy byli na pierwszej linii frontu. Może nadalibyście się do tego, oczywiście pod warunkiem, że wpoję wam podstawowe zasady dyscypliny. Macie jakiś środek lokomocji?

- Że co?

- Samochód albo inny pojazd, najlepiej nie należący do żadnej żywej ani zmarłej osoby, którą można by odnaleźć na podstawie numeru rejestracyjnego.

- No, mamy podrasowanego oldsmobile'a ze środkowego zachodu. Jego właściciel jeszcze się nie skapował, że dostał *duplicado* ze starym silnikiem mazdy.

- Znakomicie. Jedziemy, *caballeros!* Po półgodzinnym przeszkoleniu i wizycie u fryzjera otrzymacie co prawda tymczasowe, ale za to bardzo dobrze płatne posady... Naprawdę spodobał mi się pomysł z mundurami! Użyteczny, a co najważniejsze, z klasą.

- Pan jest *loco*, mister!

- Wcale nie, synu, wcale nie. Zawsze starałem się śpieszyć z pomocą ludziom nie mogącym upominać się głośno o uznanie swoich praw. Teraz także przyświeca mi właśnie ten cel... Dobra,

chłopcze, stań prosto i wciągnij brzuch. Chcę, żebyście obaj dobrze się prezentowali. Pomóż mi podnieść z podłogi twojego przyjaciela, i w drogę!

Devereaux ostrożnie uchylił prawe skrzydło ciężkich błyszczących drzwi prowadzących do ekskluzywnych biur kancelarii adwokackiej Aarona Pinkusa i wyjrzał na korytarz. Zerknął ukradkiem w lewo, potem w prawo, potem jeszcze raz w lewo i jeszcze raz w prawo, a następnie skinął głową. Na ten znak dwaj potężnie zbudowani mężczyźni w brązowych garniturach wkroczyli do korytarza; Sam stanął między nimi i cała trójka ruszyła w kierunku wind na końcu holu.

- Obiecałem córce, że w drodze do domu kupię wątusza - powiedział prawnik do swojej obstawy.

- My się tym zajmiemy - odparł z czymś w rodzaju pretensji w głosie mężczyzna idący po jego lewej stronie.

- Ona karmi Lafferty'ego befsztykami z polędwicy - poskarżył się drugi ze znacznie większą pretensją.

104

- Dobra, dobra. Przy okazji kupimy ze dwa steki. Już w porządku

- Może lepiej cztery - zaproponował ochroniarz idący po lewej stronie - Kończymy służbę o ósmej, a tamci goryle na pewno wyczują zapach.

- Najładniej pachnie wysmażony tłuszcz - dodał jego kolega ze wzuL.\_ - utkwionym nieruchomo przed siebie. - Czuć go jeszcze prze? parę godzin.

- Niech będzie - zgodził się Sam. - Cztery steki i wątusza.

- A co z ziemniakami? - zapytał ochroniarz z lewej strony. - Wszyscy lubimy ziemniaki.

- Po szóstej wieczorem Córa nie gotuje ziemniaków - oznajmił prawnik pozwalając sobie na skąpy uśmiech. - Czasem ma kłopot z trafieniem do kuchni.

- W takim razie sam je upiekę - podjął decyzję lewy ochroniarz.

- Mój polski kolega nie może się obejść bez „kartofli”.

- Kartofli, ty dupo wołowa. Mój szwedzki kolega powinien zostać na stałe w Norwegii, prawda, panie D.?

- Jak uważacie.

Drzwi rozsunęły się i cała trójka weszła do windy, gdzie z niejakim zdziwieniem ujrzała dwóch umundurowanych mężczyzn, którzy prawdopodobnie wjechali na najwyższe piętro przez pomyłkę, gdyż nic nie wskazywało na to, by mieli zamiar wysiąść. Sam skinął im uprzejmie głową i odwrócił się twarzą do zamykających się drzwi, po czym znieruchomiał jak słup soli, wpatrując się przed siebie wybałuszonymi oczami. Jeśli nie zawiodła go wyostrzona, jak u każdego prawnika, spostrzegawczość, to każdy z umundurowanych mężczyzn stojących w głębi windy miał na kołnierzu marynarki miniaturową swastykę! Udając, że rozprostowuje zdrtwiałą kark, Devereaux pokręcił głową w lewo i w prawo; tak, to rzeczywiście swastyki! Napotkał spojrzenie jednego z mężczyzn który uśmiechnął się do niego szeroko; przyjemne wrażenie psu> liczne braki w uzębieniu nieznanego. Skonfundowany Sam szybko odwiu) uło> • L vz j uz po ch\uli oclpav\i u- '\* . \ \ . mcim: było bardzo proste. W gwarze nowojorskiego Broadwayu Boston określano mianem „sceny prób”. Najwidoczniej w teatrze Wilbur albo Shuberta wystawiali jakąś sztukę, której akcja rozgrywała się w czasach drugiej wojny światowej. Dopiero po tym przetarciu przedstawienie mogło trafić na wielkie sceny Broadwayu. Mimo wszystko

105'

aktorzy nie powinni paradować po mieście w takich kostiumach. Często jednak słyszał, że to zupełnie zwariowani ludzie. Niektórzy z nich do tego stopnia utożsamiali się z odtwarzanymi przez siebie rolami, że grali je przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czyż nie tak dawno temu pewien angielski Otello nie próbował zabić Desdemony w żydowskich delikatesach na Czterdziestej Siódmej Ulicy?

Drzwi windy rozsunęły się i Devereaux wyszedł do zatłoczonego holu. Natychmiast przystanął, zaczęła, aż obstawa zajmie miejsca po jego obu stronach, po czym cała trójka ruszyła w kierunku wyjścia z budynku, lawirując między ludzkimi ciałami i zaporami z aktówek.

Na zewnątrz, przy krawężniku, czekała na nich limuzyna Aarona Pinkusa.

- Można by pomyśleć, że jesteśmy w Belfaście i kryjemy się przed tymi kretynami, którzy podkładają bomby, gdzie tylko się da - zauważył siedzący za kierownicą samochodu Paddy Lafferty, kiedy trzech pasażerowie usadowili się w tylnej części pojazdu: Devereaux ściśnięty między dwoma potężnymi torsami. - Prosto do domu, Sam? - zapytał szofer, włączając się do ruchu.

- Dwa przystanki, Paddy - odparł Devereaux. - Wątlusz i steki.

- Zamówienie Córy? Robi niezły befsztyk, pod warunkiem, że przypomnisz jej w porę, żeby zdjęła go z patelni. W przeciwnym razie dostaniesz podeszwę polaną obficie bourbonem. Kup trzy kawałki, Sam. Dostałem polecenie, aby zostać z tobą i przywieźć cię znowu do miasta około wpół do dziewiątej.

- To będzie razem pięć - zauważył polski ochroniarz.

- Dzięki, Stosh, ale nie jestem aż tak głodny...

- To nie dla ciebie, tylko dla drugiej zmiany.

- A, tak. Na pewno wyczują żarcie. Chyba wiesz dlaczego, prawda? To przez ten paseczek tłuszczu, który tak cudownie się rumieni i pachnie, że aż...

- Już dobrze, dobrze! - krzyknął rozpaczliwie Devereaux, usiłując przerwać rozwijającą się w najlepsze pogawędkę, by zadać bardzo ważne, przynajmniej w jego mniemaniu, pytanie.

- Wątlusz, pięć kawałków poledwicy, paseczki rumieniącego się tłuszczu i zmysł powonienia chłopców z drugiej zmiany! Wszystko ustalone. A teraz powiedz mi, dlaczego Aaron chce ściągnąć mnie do miasta o wpół do dziewiątej wieczorem?

- Przecież to był twój pomysł, Sammy! Pani Pinkus uważa zresztą, że znakomity.

106

- Jak to?

- Zostałeś zaproszony na wieczorek do jakiejś galerii sztuki. Co o tym myślisz? Słyszałem, jak sama mówiła, że chodzi o wieczorek, co oznacza, że możesz zalać się w trąbkę i nikogo nie będzie to obchodzić.

- Do galerii sztuki?...

- Przecież mi mówiłeś, że masz jakiegoś gogusiowatego klienta, który uważa, że jego żona ma na ciebie ochotę, co jemu zupełnie nie przeszkadza. Powiedziałeś panu Pinkusowi, że nie pójdziesz na to przyjęcie, a on poinformował o tym panią Pinkus, która wyczytała w gazecie, że będzie tam jakiś senator, więc stanęło na tym, że wszyscy idziecie.

- Banda pasożytów i sępów politycznych!

- To śmietanka towarzyska, Sammy.

- Bez różnicy.

- Więc wrócimy z tobą, Paddy? - zapytał ochroniarz siedzący z prawej strony Devereaux.

§--• Nie, Knute. Nie będzie czasu. Przyprawicie wóz pana D., a chłopcy z drugiej zmiany przyjadą za wami swoim.

- Jak to, nie będzie czasu? - zaprotestował Stosh. - Wystarczy, że pudrucisz nas do centrum. Samochód pana D. okropnie buja na zakrętach.

- Jeszcze tego nie naprawiłeś, Sam?

- Zapomniałem.

- Trudno, Stosh, będziesz musiał się z tym pogodzić. Szef uwielbia jeździć swoim małym buickiem, ale szefowa ma na ten temat inne zdanie. Ta limuzyna to jej osobisty rydwan, między innymi ze względu na tablice rejestracyjne, których on nienawidzi, a już szczególnie przy takich okazjach jak dziś wieczorem.

- Politycy i pasożyty... - mruknął Sam.

- Bez różnicy, co? - zauważył Knute.

NiMacKenzie Hawkins wpatrywał się przez przednią szybę skradzionego uldsmohe!"a w numer rejestracyjny jadącej z przodu limuzyny. Białe litery umieszczone na zielonym tle układały się w nazwisko PINKUS, jakby jego brzmienie miało wywołać strach w sercach przechodniów. Może i coś by z tego wyszło, gdyby samo nazwisko było trochę bardziej przerażające - pomyślał Mac, mimo to

bardzo rad, że zauważył limuzynę przed budynkiem, w którym pracował Devereaux. Jeśli chodzi o nazwisko, to należało ono do tych, których Jastrząb nie zapomni do końca życia. Przez długie tygodnie współpracy ze spółką założoną przez Hawkinsa Sam wykrzykiwał niemal bez przerwy: „Co by na to powiedział Aaron Pinkus?!” Wreszcie Hawkins nie mógł tego dłużej wytrzymać i na jakiś czas umieścił rozhisteryzowanego prawnika w odosobnieniu. Dziś jednak krótka rozmowa telefoniczna z kancelarią adwokacką potwierdziła fakt, że Sam w jakiś sposób - jeden Bóg tylko wie w jaki - pogodził się z Aaronem Pinkusem, którego nazwisko wywoływało w umyśle Hawkinsa jak najgorsze skojarzenia.

Potem sprawa była bardzo prosta: wystarczyło pokazać nowo pozyskanym i świeżo przeszkolonym współpracownikom pochodzącą sprzed sześciu lat fotografię Devereaux i nakazać im nieprzerwane kursowanie w górę i w dół jedyną windą dojeżdżającą na ostatnie piętro budynku. Mieli czekać na pojawienie się człowieka widzianego na zdjęciu, a następnie podążyć za nim dyskretnie, dokądkolwiek by się udał, utrzymując łączność z oficerem dowodzącym operacją za pomocą krótkofalówek, które Hawkins wydobyl ze swej podróźnej torby. „Tylko niech wam nie strzelą do głowy jakiejś głupoty, *caballeros*. Zagarnięcie mienia na szkodę rządu Stanów Zjednoczonych jest zagrożone karą do trzydziestu lat więzienia, a ja dodatkowo mam kradziony samochód z mnóstwem waszych odcisków palców”.

Mac przypuszczał, że Sam uda się po pracy do swego ulubionego baru. Nie dlatego, żeby jego dawny sojusznik był alkoholikiem - nawet okazując maksimum złej woli, trudno byłoby go uznać za takiego - ale po ciężkim dniu lubił czasem wychylić szklaneczkę albo i dwie. Niech mnie szlag trafi - pomyślał Jastrząb na widok Sama opuszczającego budynek w towarzystwie dwuosobowej eskorty. Czy to możliwe, żeby człowiek był aż tak podejrzliwy i niewdzięczny? Żeby spośród wszystkich bezsensownych, odrażających pomysłów wybrać akurat ten, to znaczy osobistą ochronę! A dopuszczenie do tajemnicy z pewnością równie odrażającego Aarona Pinkusa było najzwyczajszą zdradą, niegodną prawdziwego Amerykanina! Jastrząb miał pewne wątpliwości, czy jego niedawno pozyskani współpracownicy okażą się przydatni w nowej sytuacji. Uważał jednak, że doświadczony oficer powinien wygzekwować od podwładnych maksimum ich umiejętności bez względu na to, jak dobrze zdołał ich przygotować do walki. Zerknął na nich ukradkiem, ściśniętych obok niego na przednim

108

siedzeniu Przecież nie mógł dopuścić do tego, żeby potencjalny przeciwnik znalazł się za jego plecami w tak ciasnej przestrzeni, jaką jest wnętrze samochodu!

Ostrzyżeni i ogoleni prezentowali się bez wątpienia o niebo lepiej niż do tej pory, mimo że obaj kołysali rytmicznie głowami w takt południowoamerykańskiej muzyki dobiegającej z radia.

- Baczność, chłopaki! - ryknął Jastrząb, wyłączając radio.

- Co jest, *locol* - zapytał ze zdziwieniem szczerbaty adiutant siedzący przy oknie.

- To znaczy uwaga. Macie uważać na to, co wam powiem.

- A może byś tak dał nam trochę forsy, co? - zagadnął drugi adiutant, z którym Mac stykał się łokciem.

- Wszystko we właściwym czasie, poruczniku. Postanowiłem awansować was obu do stopnia porucznika, ponieważ muszę obarczyć was dodatkowymi obowiązkami. Rzecz jasna, będzie miało to wpływ na zwiększenie waszego wynagrodzenia... A tak przy okazji, to jak się właściwie nazywacie?

- Jestem Desi Arnaz - przedstawił się mężczyzna spod okna.

- Ja też - poinformował Hawkinsa ten siedzący pośrodku.

- Świetnie. D-Jeden i D-Dwa, w kolejności zgłoszeń. A teraz uważajcie

- Na co?

- Po prostu słuchajcie. Natrafiliśmy na pewne komplikacje stworzone przez przeciwnika, komplikacje, które będą wymagały od was zdecydowania i a Być może będziecie musieli się rozdzielić, żeby podstępem skłonić wroga do opuszczenia stanowisk, co umożliwi nam błyskawiczne osiągnięcie...

- Na razie skapowałem te komplikacje - przerwał mu D-Je-den - Często słyzałem to w

sądzie, tak samo jak wyrok skazujący. Reszty nie jestem pewien...

W związku z tym Jastrząb przeszedł na płynny hiszpański, którego nauczył młodości, dowodząc na Filipinach oddziałami partyzanckimi walczącymi przeciwko Japończykom.

- *Comprende?* - zapytał, zakończywszy wyjaśnienia.

- *Absolutamente!* - wykrzyknął D-Dwa. - Kroimy kurczaka na kawałki i wykładamy przynętę, żeby złapać lisa!

- Znakomicie, poruczniku. Nauczyliście się tego podczas rewolucji w Ameryce Łacińskiej?

109

- Nie, *senor*. Jak byłem mały, moja mama czytała mi bajeczki.

- Nieważne, skąd czerpiesz wiedzę, ważne, żebyś potrafił ją wykorzystać. Dobra, a więc tak właśnie zrobimy... Święty Jezu na trampolinie! Co ty masz na kołnierzyku?!

- O co chodzi, człowieku? - zapytał D-Jeden, wstrząśnięty nagłym wybuchem Hawkinsa.

- I ty też! - ryknął Hawkins. - Koszule! Kołnierzyki waszych koszul! Przedtem były schowane pod marynarkami...

- Bo nie mieliśmy krawatów - wyjaśnił D-Dwa. - Przecież sam kazałeś nam kupić dwa czarne krawaty, zanim pójdziemy do tego wieżowca z bajerancką windą... A koszule wcale nie są nasze. Mieli je jacyś paskudni *gringos* na motorach. Spotkaliśmy ich przed knajpą na autostradzie. Zaczęli do nas szurać, więc daliśmy im trochę w kość. Motocykle opyliliśmy handlarzowi, ale koszule zostawiliśmy. Nieźle, co nie?

- Idioci! Przecież te znaki to swastyki!

- Swa... co?

- Są całkiem ładne - zauważył D-Dwa, dotykając miniaturowych symboli Trzeciej Rzeszy. - Na plecach mamy dużo większe...

- Natychmiast oderwijcie je z kołnierzyków i pod żadnym pozorem nie zdejmujcie uniformów!

- Czego? - zainteresował się D-Jeden.

- Marynarek, wy kretyni! Nie wolno wam ich zdjąć. - Jastrząb umilkł na chwilę, gdyż jadąca przed nimi limuzyna Pinkusa zwolniła i skręciła w boczną ulicę. Hawkins zrobił to samo. - Jeśli Sam mieszka w tej okolicy, to raczej zamiata podłogi, niż pisze pozwy.

Okolica składała się z niskich, ponurych budynków, do których wchodziło się przez wąskie drzwi wciśnięte między niezliczone małe sklepiki. Dokładnie w ten sposób musiały wyglądać na przełomie stuleci wielkie amerykańskie miasta pełne emigrantów przybyłych ze Starego Kontynentu. Brakowało jedynie dwukołowych wózków, ulicznych przekupniów i wielojęzycznego gwaru. Limuzyna zatrzymała się przed sklepem rybnym; Mac nie mógł zrobić tego samego, ponieważ aż do najbliższej przecznicy nie było żadnego wolnego miejsca do zaparkowania. Najbliższe znajdowało się w odległości jakichś trzydziestu metrów. Samochód Pinkusa będzie stamtąd prawie niewidoczny.

- Nie podoba mi się to - mruknął.

- Znaczy się co? - zapytał D-Jeden.

110

- Mogli zastosować manewr omijający.

- Manewry! - wykrzyknął z przerażeniem D-Dwa, wybałuszając oczy - Hej, *loco*, my nie chcemy żadnych manewrów, żadnej wojny! Jesteśmy spokojnymi złoczyńcami, to wszystko!

- Złoczyńcami?

- To też ciągle powtarzają w sądzie - wyjaśnił opryszek siedzący przy oknie. - Tak samo jak komplikacje i wyrok skazujący.

- Nie ma żadnych manewrów ani żadnej wojny, synu. Jest tylko pewien tchórzliwy, niewdzięczny paskudoczyńca, którego obstawa mogła nas zauważyć... Słuchaj, D-Jeden: my tu zostaniemy, a ty idź do tego sklepu rybnego i pokręć się tam trochę. Możesz udawać, że chcesz, kupić coś na obiad. Cały czas bądź z nami w kontakcie. Nie wydaje mi się, żeby mieli tam tylne wyjście. Co prawda mogliby się zamienić ubraniami, ale nasz obiekt utopiłby się w ciuchach swoich goryli. Mimo to nie możemy ryzykować. Jest teraz w rękach zawodowców, a to oznacza, że musimy pokazać, co naprawdę potrafimy!

- Czy ta cała paplanina znaczy, że mam mieć na oku tego wysokiego faceta ze zdjęcia?

-- Tak jest, poruczniku. Zwracam wam jednak uwagę, że wobec przełożonego nie należy używać lekceważących określeń.

-- Dobra jest!

- Teraz! - wrzasnął Jastrząb i zahamował gwałtownie. D-Jeden wyskocz, samochód u. zatraskując za sobą drzwi. Mac natychmiast ruszył ostro z miejsca. - Jak tylko zaparkuję - zwrócił się do D-Dwa - przejdiesz na drugą stronę ulicy i cofniesz się trochę, tak żebyś mógł obserwować limuzynę i wejście do sklepu. Zawiadomisz mnie natychmiast, jak tylko ktoś wybiegnie ze środka i wsiądzie do niej albo do jakiegoś innego wozu.

- Przecież to samo robi Desi Pierwszy, no nie? - zapytał D-Dwa, wyjmując z kieszeni krótkofalówkę.

- Ale może wpaść w zasadzkę, choć szczerze mówiąc, nie wydaje mi się to prawdopodobne. Staralem się trzymać w znacznej odległości za obserwowanym obiektem, toteż nie sądzę, żeby zorientowali się, że podążamy za nimi.

- Śmiesznie pan gadasz.

- Zająć wyznaczone pozycje! - rozkazał Jastrząb, zatrzymując się na wolnym miejscu przy krawężniku. Natychmiast wyłączył silnik, D-Dwa natomiast wyskoczył z samochodu, okrążył maskę i z chyżością

111

dobrze ułożonego psa gończego przemknął na drugą stronę ulicy. - Całkiem niezłe, *caballero* - mruknął Mac, sięgając do kieszeni po cygaro. - Obaj macie spore możliwości. Znakomity materiał na podoficerów.

W tej samej chwili ktoś zapukał lekko w szybę. Na chodniku stał policjant, nakazując ruchem pałki, by Mac natychmiast ruszył z miejsca. Zdezorientowany Jastrząb rozejrzał się dokoła i po przeciwnej stronie jezdni, tuż przed identycznym, cudownie pustym miejscem przy krawężniku, dostrzegł znak zakazujący zatrzymywania się i postoju.

Sam wybrał odpowiedniego wążka, jak zwykle podziękował greckiemu sklepikarzowi szczerem, choć może niezbyt poprawnie wymówionym *Epharistó*, na co odpowiedziano mu uprzejmym *...eroo*, i uregulował rachunek. Dwaj nie przejawiający większego zainteresowania rybami ochroniarze gapili się z nudów na wiszące na ścianach zdjęcia wysp Morza Egejskiego. Kilku klientów siedzących przy plastikowych stolikach i rozmawiających po grecku z pewnością nie miało zamiaru niczego kupować. Powitali grzecznie dwóch nowych gości, natomiast pojawienie się trzeciego, ubranego w trudny do zidentyfikowania mundur, wywołało całkowicie odmienną reakcję. Mężczyzna przeszedł w głąb sklepu, gdzie zaczął z zainteresowaniem oglądać ladę chłodniczą pełną porąbanych kawałków lodu. Zorientowawszy się, że znajduje się pod obstrzałem wielu spojrzeń, wyjął z kieszeni przenośną krótkofalówkę, podniósł ją do ust i zaczął coś mówić.

- *Fascistas!* - wykrzyknął brodaty Zorba siedzący przy stoliku najbliżej nieznanego. - Spójrzcie! Gada ze szkopami!

Podstarzali partyzanci z Salonik zerwali się z miejsc i jak jeden mąż rzucili się do ataku na znienawidzonego przeciwnika sprzed pięćdziesięciu lat. Dwaj ochroniarze Sama doskoczyli z wyciągniętą bronią do swego podopiecznego, natomiast napadnięty osobnik powalił Greków kilkoma zadanymi z zawodową precyzją ciosami i wybiegł ze sklepu, zatrzymawszy się w drzwiach tylko po to, by sięgnąć do dużego akwarium z żywymi rybami.

- Ja go widziałem! - ryknął Sam, uwalniając się z troskliwego uścisku swoich opiekunów. - Miał swastykę na kołnierzyku! Był w windzie!

112

- W jakiej windzie? - zapytał skandynawski goryl.

- W tej, którą zjeżdżaliśmy na parter!

- Nie widziałem tam żadnych swastyk na kożuchach - oświadczył polski najemnik.

- Nie powiedziałem na kożuchach, tylko na k o ł n i e r z y k a c h !

- Śmiesznie pan mówisz.

- A ty śmiesznie słuchasz! On jest gdzieś blisko, czuję to!



- To znaczy co? - zapytał Knute.
- Titanica. Idzie kursem na zderzenie - na zderzenie ze mną. Wiem i i sii. To najbardziej podstępny sukinsyn, jakiego kiedykolwiek wydało piekło. Wynosmy się stąd!
- Jasne, panie D. Kupimy steki na targu mięsnym i pojedziemy prosto do domu.
- Chwileczkę! - wykrzyknął Devereaux. - Właśnie że nie... Dajcie nasze marynarki trzem spośród tych wałkom, którzy siedzą przy stolikach, i zapłaćcie im, żeby wsiedli do,, limuzyny Aarona i pojeździli trochę po okolicy. Ty wyjdź pierwszy, Knute, i powiedz Paddy'emu żeby wysadził ich koło jakiejś knajpy po drodze do domu Pinkusa. Tam się z nim spotkamy. Stosh, wezwij taksówkę, żebyśmy mogli wszystko skoordynować.
- Zupełnie wariactwo, panie D.! - zauważył Stosh, lekko zaskoczony decyzją Sama. - To znaczy, chcę powiedzieć, że jest pan zupełnie do siebie niepodobny, proszę pana.
- Cofam się w czasie, Stanley, a miałem mistrza za nauczyciela. On naprawili.-ji i >:J u N hitski Czuję to. Ale tym razem popełnił błąd.
- Jaki błąd... proszę pana? - zapytał Knute.
- Posłużył się autentycznym żołnierzem. Co prawda mundur leżał na nim jak na zdechłym kurczaku, ale chyba zwróciliście uwagę na jego postawę i krótko obcięte włosy? Na kilometr śmierdziało od niego rządowy;; i i tajnymi służbami!

Hej, *loco*, gdzie jesteś?

- Za rogiem, w cholernym korku! Który to z was?
- Desi *lJ* to. Desi *Uno* jest ze mną.
- Się masz, *loco*. Jesteś większy szajbus niż narąbana papuga.
- Jak przebiega rozwój sytuacji?
- ~ Przystań pieprzyć, człowieku. O mało mnie nie zabili!

113

- Była wymiana ognia?
- Z rybami? Nie chraźń głupot. Rzuciła się na mnie jakaś banda brodatych staruchów. Żaden nie gadał po angielsku.
- To zupełnie bez sensu, D-Jeden.
- Bo tu w ogóle wszystko jest bez sensu! A już najbardziej ten wysoki *gringo*, na którego coś szykujesz.
- Wyrażajcie się jaśniej, poruczniku.
- Przebrał paru staruchów w fikuśne ubrania i kazał im jeździć tą wielgachną gablotą. Chyba myślał, że się nie pokapujemy. Durny *gringo*!
- W czym się nie pokapujecie?
- Że czeka na inny wóz. Jeden z jego *amigos* stoi przed sklepem i ma na wszystko oko.
- Cholera, nie zdążę na czas! Zgubimy go! ,^-,
- .. - Nie martw się, *loco*...
- Mam się nie martwić? Liczy się każda godzina! '
- Słuchaj no, jak daleko można gadać przez te twoje radyjka?
- To wojskowe przenośne radiostacje komórkowe najnowszej generacji. Na lądzie ich zasięg wynosi ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, na wodzie dwa razy więcej
- Nie będziemy pływać w gablotach, więc wszystko w porządku.
- O czym ty mówisz, do wszystkich diabłów?
- Pojedziemy za tym *gringo* i jego *amigos*.
- Pojedziecie?... Czym, na legiony Cezara?
- Desi *Dos* skombinował ekstra chevroletę. Spokojna makowa, będziemy się meldować.
- Ukradliście samochód?
- Niczego nie ukradliśmy. Tak jak sam mówisz: to dobra *strategia*. Zgadza się, *locol*

Paddy Lafferty wcale nie był zachwycony obecnością trzech brodatych wiekowych Greków na tylnym siedzeniu limuzyny Pinkusa. Po pierwsze, cuchnęli jak mieszanka śniętych ryb i bakławy. Po drugie, naciskali po kolei każdy guzik, jaki udało im się znaleźć niczym niedorozwinięte umysłowo dzieci pokazywane czasom w tele wizji. Po trzecie,

wyglądali idiotycznie w marynarkach należących do Sama, Stosha i Knute'a. Po czwarte, istniało poważne podejrzenie, że

114

jeden z nich dwukrotnie wysmarkał nos w welurowe zasłony wiszące w oknach. Po piąte... Ech, co za sens wyliczać wszystko? I tak będzie musiał poddać samochód gruntownemu przeglądowi, zanim pozwoli do niego wsiąść pani Pinkus.

Paddy bynajmniej nie miał żadnych zastrzeżeń wobec tego, co robił Sam. Wręcz przeciwnie - było to bardzo ekscytujące i z pewnością stanowiło urozmaicenie codziennych rutynowych zajęć... Tyle że Lafferty nic z tego nie rozumiał. O co naprawdę w tym wszystkim chodzi, wiedzieli jedynie Devereaux i pan Pinkus. Wyglądało na to, że kilka lat temu Sammy wdepnął w jakąś paskudną sprawę, a teraz ktoś próbował go znaleźć, aby wyrównać rachunki. Paddy'emu w zupełności wystarczyło takie wyjaśnienie. Bardzo lubił Devereaux, mimo że młody prawnik był w gorącej wodzie kąpany i czasem zachowywał się w dość dziwny sposób, ale w oczach szofera każdy, kto znał nazwisko jednego z największych dowódców w dziejach armii USA, generała MacKenziego Hawkinsa, zasługiwał na szczególne uznanie. W obecnych czasach zbyt mało ludzi, szczególnie z kręgów yuppies, potrafiło okazać należyty respekt starym żołnierzom. Miło było wiedzieć, że wśród wielu pozytywnych cech Sama znajdowało się również poczucie wdzięczności dla autentycznych bohaterów narodowych.

Wszystko to przemawiało na korzyść pana Pinkusa i jego ulubionego pracownika. ... ; ;^oi natomiast przemawiał fakt, że nie ujawnili nikomu pewnych istotnych informacji. Na przykład: kto właściwie ścigał Sama? Dlaczego to robił? Jak wyglądali napastnicy? Z pewnością znajomość odpowiedzi na te pytania znacznie pomogłoby ochronie Devereaux. No, może niekoniecznie „dlaczego”, bo tu w grę mogły wchodzić różne prawne zawiłości, ale „kto” i „jak ten ktoś wygląda” było bez wątpienia niezmiernie ważne. Tymczasem powiedziano im, żeby czekali na sygnał od Sama, który podniesie alarm natychmiast, iak tylko spostrzeże swoich prześladowców. Cóż, Lafferty nigdy nie był oficerem, ale nawet zwykły sierżant znał krótką, zwięzłą odpowiedź, na jakiej zasługiwało takie rozumowanie. Jak by powiedział wielki żołnierz Mac Jastrzab: „Nie wystawia się na wabia najlepszego człowieka w oddziale”.

Nagle rozległ się brzęczyk zainstalowanego w limuzynie telefonu, przerywając kierowcy rozmyślenia wywołane wspomnieniami o dziejijjtóęcitt wspaniałych dniach we Francji, kiedy wielki bohater dowodził fjego oddziałem Wyjął aparat ze schowka i przyłożył go do ucha.

115

- Lafferty, słucham?
- Tu Sam Devereaux! - rozległ się donośny głos..
- Domyśliłem się. Co się stało, Sammy? • ..
- Śledzi cię ktoś?
- Niestety nie, mimo że cały czas patrzę w lusterko wstę...
- A nas tak!
- To bez sensu, chłopcze. Jesteś pewien? ..
- Całkowicie! Dzwonię z knajpy przy drodze do Waltham. „Wstręciuszeki Nanny” czy coś w tym rodzaju...
- Sammy, zmykaj stamtąd na jednej nodze! Nikt nie powinien cię tam widzieć. Pan Pinkus na pewno nie byłby zadowolony.
- Co? Dlaczego?
- - Czy automat wisi jakieś trzy metry od szafy grającej? ,
- Mniej więcej.
- Spójrz teraz w lewo, na długi owalny bar za platformą...
- Zgadza się, jest bar i platforma, a na niej tancerze... O, Boże! Oni wszyscy są nadzy! Mężczyźni i kobiety!
- Właśnie o tym mówię, chłopcze. Na twoim miejscu wziąłbym czym prędzej nogi za pas.
- Kiedy nie mogę! Knute i Stosh wyszli przyjrzeć się temu chevroletowi, który za nami jechał, a potem zatrzymał się, kiedy my się zatrzymaliśmy. To prawdziwi zawodowcy, Paddy. Zauważyli, że mamy ogon. Tak go nazwali, Paddy. Odprawili taksówkę, a teraz poszli załatwić sprawę.
- Będę tam za niecałe dziesięć minut, Sammy! Wyrzucę tych greckich arcybiskupów

przy najbliższej stacji benzynowej i od razu ruszam na północ. Znam świetny skrót, chłopcze. Dziesięć minut!

Hej, *loco*, jesteś tam?

- Jeśli wskazówki, które mi podaliście, są prawidłowe, to powinienem być u was za jakieś pięć minut. Właśnie :mijam restaurację z neonem w kształcie czerwonego kurczaka.

- Stamtąd nie będzie nawet pięciu minut.

- Jak się przedstawia obecna... To znaczy, co się dzieje?

- - Dobrze się spisaliśmy. Mamy dla ciebie niespodziankę, foel

- Dziesięć-cztery!

•-;•

116

- Przecież jeszcze nie ma szóstej...

- Wyłączam się!

Niecałe trzy minuty później skradziony oldsmobile ze środkowego **zachodu** zajechał z piskiem opon na parking przed „Wstręciuszkami **Nanny**”. Za kierownicą siedział żujący cygaro MacKenzie Hawkins, **rozglądając** się dokoła w poszukiwaniu swoich podkomendnych. **Niemal** od razu dostrzegł D-Dwa stojącego po przeciwnej stronie **wyasfaltowanego** placu i wymachującego czymś, co wyglądało na **duży** podarty koc. Hawkins dodał gazu i popędził w kierunku **obdarzonego zdolnościami mechanicznymi adiutanta**. **Z bliska okazało się**, że rolę flagi sygnalizacyjnej odgrywał nie koc, lecz para spodni. **Hawkins wyskoczył** z samochodu, przystanął na chwilę, by poprawić **zbyt długą, nadmiernie rudą i zdecydowanie za luźną perukę**, po czym **podszedł do rzeźmieszka**.

- Co macie do zameldowania, poruczniku? - zapytał ostrożnie, - I co to jest, do cholery? - dodał wskazując na spodnie.

- To spodnie, *loco*. A co myślałeś?

- Widzę, że to spodnie, ale co z nimi robisz?

- Chyba lepiej, że ja je mam niż ten zły *amigo*, który je nosił, no **nie**? Dopóki ja mam te, a Desi *Uno* drugie, to obaj głupi *amigos* **nigdzie nie uciekną**

- Obaj... Obstawa? Ochroniarze? Gdzie oni są? I gdzie jest obiekt?

- Chodź ze mną, *loco*.

D-Dwa zaprowadził Jastrzębia za budynek, gdzie przyjeżdżały **jedynie samochody z zaopatrzeniem i śmieciarki**. **Przy wielkiej wywrotce parkował - tak blisko, że nie można** było otworzyć drzwi - chevrolet **coupe**. Drogie drzwi zabezpieczono przed otwarciem owijając wokół **klamki brudny** obrus i przywiązując go do tylnego zderzaka. **Wewnątrz** -jeden na przednim siedzeniu, drugi na tylnym - znajdowali się **dwaj goryle Devcreaux**. **Obaj przyciskali do szyb wściekle, nabiegłe krwią** twarze. Bliższe oględziny ujawniły fakt, że są ubrani jedynie w **slipy**, natomiast dwie pary butów z wetkniętymi w nie skarpetkami **stoją przy tylnym kole samochodu**.

- **Rozsunęliśmy szybki** z drugiej strony, żeby nam się nie podusili - **poinformował Hawkinsa** D-Dwa.

— **Bardzo słusznie** - pochwalił go Mac. - Zgodnie z Konwencją **Genewską jeńcom wojennym** należy zapewnić humanitarne **traktowanie**. **A gdzie jest D-Jeden, do stu diabłów?**

— **117**

- Tutaj, *loco* - odezwał się Desi Pierwszy, wychodząc zza chevroleta. Był zajęty przeliczaniem sporego zwiłta banknotów. - Ci *amigos* powinni znaleźć sobie lepszą robotę albo lepsze baby. Gdyby nie ten facet z fotografii, nawet nie wartałoby machnąć ręką.

- Nie wolno pozbawiać więźniów ich osobistej własności nie przedstawiającej żadnego zagrożenia - stwierdził stanowczo Jastrzęb. - Oddajcie im to.

- Hej, chwileczkę! - zaprotestował D-Jeden. - Co jest złego w *dinerośl* Jeśli kupuję coś od ciebie, to płacę. Ty kupujesz coś ode mnie, to płacisz. Osobista własność to coś, co ma się na stałe, no nie? Nikt nie trzyma forsę na stałe, więc to nie jest własność!

- Przecież oni nic od ciebie nie kupują.

- A to? - zapytał D-Jeden, podnosząc w górę spodnie. - I to? - dodał szybko, wskazując dwie pary butów.

- Przecież im to ukradliście!

- Takie jest życie, *loco*. Albo strategia, jak sam gadasz.
- Co prawda tracimy czas, ale powiem wam to teraz: obaj wykazaliście godną pochwałę inicjatywę w warunkach bojowych. Stanowicie chlubę tego oddziału, w związku z czym niniejszym udzielam wam pochwały.
- Klawo!
- Dostaniemy więcej *dinerośl*
- Tą sprawą zajmiemy się później. **Teraz** najważniejsze jest zadanie. Gdzie jest obiekt?
- Znaczy się, ten chudzielec z fotki? \*
- Właśnie, żołnierzu.
- W środku. Jezu, gdybym tam wlaźł, to moja mamuśka i ksiądz proboszcz daliby mi do wiwatu, że hej! - wykrzyknął D-Dwa, żegnając się szybko.
- Taką paskudną dają tu whisky, synu?
- Paskudne *entretenimiento*. Jak wy tu mawiacie: *repugnante*?
- Nie wydaje mi się, żebyśmy tak mawiali. Masz na myśli słowo odrażające?
- No... połowa. Druga połowa jest OK.
- Nie rozumiem was, poruczniku.
- Wszystko się trzęsie. Góra i dół.
- Góra i... Na święte hordy Dżyngis-chana! Chcesz powiedzieć, że.

118

- iTo właśnie chcę powiedzieć, *loco!* Zajrzałem tam i przyuważyłem tego *gringo*, którego nie lubisz. Najpierw gadał przez telefon, a potem poszedł do wielgachnego okrągłego baru, przy którym tańczy ta cała jafastra... *Desnudo, senior!*

- I?...
- Jest w porządku. Gapił się na *mujeres*, nie na *hombres*.
- Święty Jezu na trampolinie! Musimy go uratować! Do boju, chłopcy!
- Nagle spomiędzy samochodów stojących na parkingu przed „Wstręciuszk ; ' Nanny" wyskoczył z piskiem opon mały zielony buick. Nabierając prędkości wjechał na placyk za budynkiem zahamował gwałtownie kilka metrów przed Hawkinsem i jego podkomendny ii i'. Zza kierownicy wysiadł mężczyzna mizernej postury, o szczupłej, nieprzeniknionej twarzy i błyszczących ciemnych oczach
- Myślę, że już wystarczy - powiedział.
- A kim ty, do cholery, jesteś, krasnalu? - ryknął MacKenzie Hawkins.
- Człowiekiem małego wzrostu, ale za to wielkiego ducha, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.
- Złamię go na pół, ale postaram się nie robić mu za dużej krzywdy - powiedział D-Jeden, ruszając naprzód.
- Przybywam w pokoju, nie z przemocą - odparł pośpiesznie kierowca buicka. - Chcę przeprowadzić z panem negocjacje oparte na warunkach powszechnie uznawanych w cywilizowanym świecie.
- Stój! - wrzasnął Jastrząb do D-Jednego. - Powtarzam: kim jesteś i co to mają być za negocjacje?
- Nazywam się Aaron Pinkus...
- Ty jesteś Pinkus?
- Nie kto inny, szanowny panie. Przypuszczam, że pod tą idiotyczną I powszechnie uwielbiany generał MacKenzie Hawkins'?
- Nie kto inny, szanowny panie - odparł Mac. Dramatycznym gestem ściągnął źle dopasowaną perukę z ostrzyżonej na wojskowego jeża głów i wyprostował się, prezentując w całej okazałości szerokie barki, - Czy mamy sobie coś do powiedzenia?
- I to nawet bardzo dużo, generale. Za pańskim pozwoleniem, lubię myśleć o sobie jako o pańskim rywalu dowodzącym siłami, które

119

postanowiły stawić panu czoło w tej niewielkiej potyczce, jaka nas już niedługo czeka. Czy ma pan coś przeciwko temu?

- Przyznam panu jedno, komendancie Pinkus: myślałem, że mam wyśmienitych adiutantów, ale pan ich przechytrył. Nie mogę temu zaprzeczyć.

- Obawiam się, że musi pan zrewidować swoją ocenę sytuacji. Ja nie ich przechytryłem, lecz pana. Tkwił pan na tamtej zatłoczonej uliczce przeszło godzinę, dzięki czemu udało mi się sprowadzić mojego buicka i wsiąść panu na ogon, kiedy ruszył pan za limuzyną Shirley.

- Że co, proszę?

- Pańscy dwaj ludzie istotnie są znakomici, po prostu znakomici. Szczerze mówiąc, chętnie zatrudniłbym ich u siebie. Trudne zadanie w sklepie rybnym, obserwacja terenu prowadzona w wysoce profesjonalny sposób z zacienionej bramy po drugiej stronie ulicy, wreszcie błyskawiczne uruchomienie samochodu bez kluczyków!... To mi się po prostu nie mieści w głowie. Jak oni tego dokonali?

- Prosta sprawa, *comandante* - odparł pokraśniały z zadowolenia D-Dwa. - Widzisz pan, trza wziąć trzy druciki, obrać z izolacji, a potem...

- Milcz! - ryknął Jastrząb, wpatrując się gorejącym wzrokiem w Pinkusa. - Ty stary łobuzie, jak śmiesz twierdzić, że mnie przechytryłeś?!

- Podejrzewam, że jesteśmy w tym samym wieku - zauważył znakomity bostoński adwokat.

- Nie tam, skąd pochodzę!

- A szkoda, bo czasem, kiedy dokucza mi ten odłamek szrapnela, który utkwił mi tuż przy kręgosłupie...

- Pan był w wojsku?

- Trzecia Armia, generale. Ale wracajmy do meritum sprawy. Owszem, przechytryłem pana, ponieważ zapoznałem się dokładnie z przebiegiem pańskiej służby oraz z opisem pańskich niekonwencjonalnych, ale za to cudownie skutecznych metod działania na polu bitwy. Musiałem to zrobić ze względu na Sama.

- Sama? Właśnie z nim muszę się spotkać!

- Owszem, uczyni pan to, generale, tylko że ja będę obecny przy waszej rozmowie.

Nagle rozległ się donośny ryk potężnego silnika, oznajmiający przybycie na miejsce zdarzeń limuzyny Aarona Pinkusa. Kiedy jadący

120

autostradą Paddy Lafferty dostrzegł stojący za budynkiem samochód swego chlebobdawcy, niewiele myśląc szarpnął gwałtownie kierownicą, pomknął przez chodnik i parking, by z przeraźliwym piskiem opon ^trzymać wielki cza n pojazd nie dalej niż trzy metry od niewielkiej grupki. Nie zwlekając otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz; postawa silnie zbudowanego sześćdziesięcioletniego Irlandczyka świadczyła tym, że jest przygotowany na każdy, nawet najgwałtowniejszy atak

- Proszę się odsunąć, panie Pinkus! - ryknął. - Nie wiem, co pan tu robi, ale gwarantuję, że ten drań nie zdąży pana dotknąć!

- Jestem ci ogromnie wdzięczny za troskliwość, Paddy, lecz demonstracja siły jest w tej chwili zupełnie niepotrzebna. Nasze negocjacje przebiegają w pokojowej atmosferze.

- Negocjacje?..

- Ewentualnie narada, jeśli wolisz. Panie Lafferty, czy mogę przedstawić panu MacKenziego Hawkinsa, o którym z pewnością już pan niejedno słyszał?

- Święta Mario i Józefie! - wyszeptał wstrząśnięty kierowca.

- Znaczy się, ten *loco* to generał? - zapytał z niedowierzaniem Desi Pierwszy.

- *El soldutlo magnifico!* - wykrztusił Desi Drugi, wpatrując się rozszerzonymi oczami w Jastrzębia.

- Nie uwierzy pan, panie generale - zapiszczał Paddy nieswoim głosem - ale niedawno o panu myślałem. Zawsze wymawiam pańskie nazwisko z największym podziwem. - Nagle stary szofer wyprężył się na baczność i przyłożył rękę do czoła w nienagannym salucie. - Sierżant artylerii Patrick Lafferty do pańskiej dyspozycji, panie generale! Nigdy nie marzyłem o takim...

Przerwał mu narastający wrzask, początkowo z trudem przedzierający się przez warkot silników aut pędzących autostradą, ale szybko przybrał na sile wraz z łomotem pędzących stóp.

- Paddy, Paddy! Widziałem limuzynę! Gdzie jeste, Paddy?... Na litość boski\* Lafferty, odezwij się!

- Tutaj Sam! Biegiem marsz, żołnierzu!

-- Słuch - Zza rogu budynku wyłonił się zasapany De-vereaux. jego wzrok zdążył dostosować się do panującego tu cienia, Patrick Lafferty zrobił użytek ze swego chrapliwego głosu sierżanta:

121

- Baczość, chłopcze! Masz zaszczyt poznać jednego z najwspanialszych ludzi naszych czasów, generała MacKenziego Hawkinsa!

- Cześć, Sam.

Devereaux przez chwilę stał jak sparaliżowany; spomiędzy jego na wpół rozchylonych warg wydobył się przeraźliwy jęk, a wybałuszone oczy zasnuła mgła panicznego przerażenia. Nagle odwrócił się na jednej nodze jak spłoszona czapla i wymachując rozpaczliwie ramionami pognął na oślep w kierunku zachodzącego słońca.

- Za nim, adiutanci!

- Paddy! Zatrzymaj go, na litość boską!

Dwaj podwładni Jastrzębia okazali się szybsi od mającego już swoje lata szofera. D-Jeden dopadł Sama na ułamek sekundy przed tym, zanim ten zdołał wskoczyć do ruszającej właśnie z parkingu furgonetki, D-Dwa zaś chwycił go za głowę, jednym ruchem zdarł mu krawat z szyi i wepchnął mu go do ust.

- Ależ, chłopcze! - wykrzyknął z oburzeniem sierżant artylerii Patrick Lafferty. - Wstyd mi za ciebie! Czy tak należy okazywać szacunek jednemu z najznakomitszych ludzi, jacy kiedykolwiek nosili mundur?

- Mmmmmfff! - protestował Samuel Lansing Devereaux, po czym zamknął z rezygnacją oczy.

Przyjemna kwatery, komendancie Pinkus. Bardzo przyjemna - oświadczył MacKenzie Hawkins, pojawiając się w drzwiach łazienki należącej do hotelowego apartamentu, w którym wznowiono rozpoczęte pod gołym niebem negocjacje. Garnitur z szarej gabardyny został zastąpiony przez spodnie z koziej skóry i indiańską kurtkę, ale bez pióropusza. - Bez wątplenia należy pan do najwyższych kręgów dowódczych.

- Czasem załatwiam tu interesy, a Shirley też lubi zajrzeć od czasu do czasu - wyjaśnił odruchowo Aaron. Całą uwagę skoncentrował na leżącym przed nim na biurku grubym pliku kartek pokrytych maszynowym pismem. Oczy adwokata, schowane za grubymi szklami, były szeroko otwarte i błyszczące. - To niewiarygodne! - szepnął.

No - Cóż, byłem kiedyś w Winstonem w Cheaquers - odparł Jastrząb - dlatego nie posunąłbym się aż tak daleko. Powiedziałem tylko, że jest tu przyjemnie. Sufit jest trochę za nisko, a te historyczne ryciny na ścianach są co najwyżej trzeciej kategorii. Poza tym gryzą się z resztą wystroju i zawierają wiele błędów formalnych.

- My, bostończycy, staramy się zapoznać turystów z naszą przeszłością - wymamrotał Pinkus, nie odrywając wzroku od maszynopisu. - Idealna dokładność nie ma nic wspólnego z wiarygodnym autentyzmem.

- Ale Dante przepływający się przez rzekę...

— Niech pan spróbuje przepłynąć się przez kanał portowy w Bos-

— 123

tonie - przerwał mu Aaron, sięgając po następną kartkę. - Skąd pan to wziął?! - wykrzyknął nagle, zdejmując okulary i kierując spojrzenie na Hawkinsa. - Ten dokument spisał jakiś znakomity znawca prawa i historii. Kto to był?

- On - odparł MacKenzie, wskazując ruchem głowy pogrążonego w szoku Devereaux, który siedział na kanapie wciśnięty między swoich dwóch ochroniarzy, Stosha i Knute'a. Mógł poruszać zarówno nogami, jak i rękami, ale usta miał zaklejone samoprzylepną taśmą

ośmiocentymetrowej szerokości. Naturalnie generał Hawkins kazał wcześniej posmarować mu usta wazeliną, aby być w zgodzie z postanowieniami Konwencji Genewskiej dotyczącymi metod traktowania jeńców wojennych. Po taśmę sięgnięto z tego prostego powodu, że nikt, nie wyłączając adiutantów generała stojących teraz za kanapą ze złowieszczą skrzyżowanymi ramionami, nie był już w stanie słuchać rozpaczliwego kwilenia Devereaux.

- Samuel?- zapytał z niedowierzaniem Aaron Pinkus.

- No, może nie osobiście, ale z pewnością znacznie się do tego przyczynił, więc właściwie można uznać go za współodpowiedzialnego.

- Mmmmmff! - rozległ się stłumiony, aczkolwiek gwałtowny protest. Devereaux poderwał się gwałtownie z miejsca, szarpnął się naprzód i padł jak długi na podłogę, by natychmiast zacząć gramolić się na nogi, unosząc w stronę generała twarz wykrzywioną dziką wściekłością.

- Adiutanci!

Niczym wytrawni komandosi Desi Pierwszy i Desi Drugi przeskoczyli przez kanapę - jeden z nich postawił nogę na oparciu, drugi zaś na głowie Knute'a - przygwoździli Sama do podłogi i spojrzeli na Jastrzębia, oczekując dalszych poleceń.

- Znakomicie, panowie.

- Nic dziwnego, że zdecydował się pan właśnie na nich - powiedział z podziwem Pinkus, stając za biurkiem. - Czy to Rangarsi?

- W pewnym sensie - odparł Hawkins. - Specjalizują się w ochronie lotnisk... Podnieście go, posadźcie w fotelu przed biurkiem i weźcie między siebie.

- Nie chciałbym was zbyt krytykować - zwrócił się Aaron do dwóch niefortunnych ochroniarzy Sama - ale wydaje mi się, że

124

moglibyście sporo się od nich nauczyć. Ci żołnierze wykazują godne podziwu zrozumienie dla konieczności podjęcia błyskawicznej akcji, a ich metod bezkrwawego obezwładniania przeciwnika - mówię o zabraniu wam spodni - są godne najwyższego uznania.

- Jasne, *comandante* - wykrzyknął radośnie D-Dwa, uśmiechając się szeroko. - Jak zdrowo stukniesz *gringo* i zabierzesz mu portki, to przynajmniej wiesz, że nie będzie latał po ulicy i wzywał pomocy

-• Wystarczy, poruczniku. Nie wszyscy cywile doceniają zalety koszarowego humoru.

- Świetna sprawa! - zawołał D-Jeden.

- Chyba zgodzi się pan ze mną, panie generale - powiedział Aaron Pinkus - że w dalszych negocjacjach powinni uczestniczyć pan, San i ja.

Całkowicie się z panem zgadzam. Należy rozszerzyć dwustronne rozmowy aby mógł w nich brać udział także nasz młody przyjaciel.

- W takim razie może zechciałby pan przywiązać go do fotela - nie za mocno, ma się rozumieć - tak jak niedawno uczynił pan...  
prz ei - sierżant Lafferty.

- Zdaje się, że kazał mu pan odejść? :

- - Owszem.

- Nie szkodzi. Ja tu jestem... Baczność, adiutanci! Możecie się udać posiłek.

- Hej, *loco*, na co nam posiłki? Starczy nas dwóch.

- Nie dyskutujcie, poruczniku. Wrzucie coś na ruszt i zameldujcie się tu za godzinę. - MacKenzie sięgnął do kieszeni spodni z kozłej skóry wydobył plik pieniędzy, odliczył kilka banknotów i wręczył je Desi pierwszemu.

- - Oto nadzwyczajny dodatek do waszego żołdu, który przyznaję wam w dowód uznania za waszą nadzwyczajną sprawność

- To mają być nasze *diner osi* - zapytał wyraźnie rozczarowany D-Dwa

- Jedyne premia, poruczniku. Dodatek do zasadniczych *dineros*, które t ..\_\_\_\_'. później. Macie na to słowo oficera.

- Dobra, dobra, generale - odparł D-Jeden. - Mamy mnóstwo pana słów, tylko z forszą coś kiepskawo.

- Młody człowieku, zbliżyliście się niebezpiecznie do granicy niesubordynacji ( o prawda nasz i bliska współpraca podczas realizacji

tej misji wymaga dość znacznej poufałości, ale nie wszyscy tu obecni muszą to rozumieć.

- Ja też nic nie rozumiem.

- Kupcie sobie coś do żarcia i wróćcie tu za godzinę. Od-maszerować! - Desi Pierwszy i Desi Drugi wruszyli ramionami i skierowali się do drzwi. Desi Drugi na odchodnym zerknął jeszcze na trzy zegarki na przegubie lewej ręki. Kiedy opuścili apartament, Jastrząb skinął głową do Aarona Pinkusa.

- Jako mój jeńiec, a jednocześnie, nieco wbrew tradycji wojennej, gospodarz, zechce pan wydać odpowiednie polecenia swoim oddziałom.

- Jako kto? Ach, rozumiem... - Pinkus zwrócił się do wciąż jeszcze oszołomionych Stosha i Knute'a. - Panowie... - zaczął z wahaniem, starannie dobierając słowa. - Chwilowo jesteście zwolnieni z wykonywania swoich dotychczasowych obowiązków. Gdybyście zechcieli zjawić się jutro w kancelarii, księgowość wypłaci wam wynagrodzenie za dzisiejszy dzień. W pełnej wysokości, ma się rozumieć.

- Wsadziłbym ich do paki! - warknął Hawkins, wtykając sobie cygaro do ust. - To kompletne matoty! Zaniedbanie obowiązków, niekompetencja i tchórzostwo na polu walki! Powinni trafić prosto przed sąd wojenny.

- My, cywile, załatwiamy te sprawy w nieco odmienny sposób, panie generale. Zaniedbywanie obowiązków i niekompetencja to zjawiska, których obecność wśród najstabilniej wykwalifikowanej siły roboczej jest wręcz niezbędna. W przeciwnym razie zwierzchnicy tych ludzi, najczęściej równie niekompetentni, ale potrafiący się lepiej wystawiać, nie mogliby w żaden sposób uzasadnić swoich wysokich poborów... Idźcie już, panowie. Naprawdę uważam, że powinniście rozważyć propozycję podniesienia swoich kwalifikacji, tak by dorównać podwładnym pana generała.

Stosh i Knute, z minami świadczącymi o poważnie zranionych uczuciach, wymknęli się szybko z pokoju.

- Cóż, generale - powiedział Aaron Pinkus. - Jesteśmy sami.

- Mmmfff! - stęknął Devereaux.

- Mówiąc to miałem na myśli także ciebie, Samuelu. Nawet gdybym chciał o tobie zapomnieć, to z pewnością nie byłoby to łatwe.

- Mmmfff?

126

- Przestań jęczeć, chłopcze •-•- rozkazał 'Jastrząb. przecież wolne ręce i możesz odlepić tę taśmę **oczywiście pod** warunkiem, że nie zaczniesz od **mu** wrzeszczeć jak opętany. Nie bój się, usta zostaną na miejscu, **Co** szczerze mówiąc bardzo tego żałuje. Sam zaczął odklejać taśmę **najpierw** bardzo powoli, a potem, w nagłym przypływie masochizmu, szarpnął gwałtowniej? Wy wając j\$ do końca, kwiknął rozdzierając^po czym zaczął wykonywać prac^ dziwne ruchy ustami, jakbip' chciał^rzekonać się, czy jeszcze działają.

- Wyglądasz jak chiri^ wieprzek w okresie rui - poinformował go 'MacKenzie.

- A ty wygdzasz jak karykatura Indianina, który wam dla psychicznie chorych! - ryknął Devereaux, z miejsca. - Zrobili ci lobotomię, czy co? dlaczego wygadujesz takie brednie? Dlaczego niliy ja mam być odpowiedzialny za bzdur, który leży na^biurku Aarona? Przecież od widziałem cię na oczy **aai** się z tobą nie kontaktowałem, ty oślizgły ze wszystkich flfcaków!

- Wciąż jeszcze trifehę się dartffwujesz w jach, prawda, chłopcze!

- Muszę panu powiedzieć, generale - wtrącił się Pinkus - '& kiedy występuje przed sądem, jest chłodny i opiniowany niczym James Stuart. To prawdziwy wzór zimnego wyrachowania.

- Bo tam przynajmniej wiem, co robię! - wybuchnął Sam. - Kiedy gdzieś w pobliżu jest ten cholerny sukinsyn, nie mogę być niczego pewny, bo on zawsze albo mi o czymś nie powie, albo mnie beczelnie okłamie!

- Używasz niewłaściwej terminologii, młody przyjacielu. To się nazywa dezinformacją zapewniającą bezpieczeństwo...'

- To się nazywa głodnym pieprzeniem zapewniającym **moje** unicestwienie! A teraz



odpowiedz mi na jedno pytanie: dlaczego jesteś odpowiedzialny... Nie, jeszcze raz. W jaki sposób mogę być odpowiedzialny za jakąś przeklętą głupotę, której dokonales, skoro od ładnych paru lat nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa?

- Konieczne jest małe sprostowanie - wtrącił się grzecznie, ale stanowczo. Pinkus. - Generał Hawkins stwierdził, iż twoja współodpowiedzialność polega jedynie na tym, że inspirowales całe przedsięwzięcie, wzmiankowana inspiracja zaś może być interpretowana na

127

wiele sposobów, w związku z czym twoja rzeczywista odpowiedzialność czy też bezpośrednie związki z rzeczonym przedsięwzięciem mogą być uznane za wysoce wątpliwe lub nawet w ogóle nie istniejące.

- Przestań odgrywać prawnika przed tym przerosniętym mutantem, Aaronie. Wobec prawa, które on uznaje, prawa dżungli przypominają popołudniową herbatkę w angielskim ogrodzie różanym. To dzikus czystej krwi, pozbawiony jakiegokolwiek moralności!

- Chyba powinieneś sprawdzić sobie ciśnienie krwi, synu.

- A ty powinieneś oddać głowę do wypchania! Dobra, a teraz gadaj, co zrobiłeś i dlaczego chcesz mnie w to wplątać.

- Bardzo proszę! - wtrącił się po raz kolejny Pinkus, spoglądając przeproszająco na Hawkinsa. - Pozwoli pan, generale, że coś wyjaśnię? Jak prawnik prawnikowi, rzec by można.

- My, dowódcy, najlepiej wiemy, jak postępować z podwładnymi - odparł MacKenzie. - Szczerze mówiąc żywiłem nadzieję, że oczyściwszy flanki ruszy pan szybko w tym kierunku. Właśnie dlatego ujawniłem panu główny zamysł mojej operacji - naturalnie nie taktykę ani środki, jakich zamierzam użyć, lecz dalekosiężny cel, który chciałybym osiągnąć. Ludzie tacy jak my rzadko czynią sekrety z tego rodzaju informacji.

- Znakomita strategia, generale. Ma pan moje całkowite poparcie.

- Twoje poparcie?! - wykrzyknął Devereaux. - A co on takiego robi, do diabła? Maszeruje na Rzym?

- Zrobiliśmy to, synu - odparł cicho Jastrząb. - Pamiętasz?

- Bardzo pana proszę, generale, aby zechciał pan nie poruszać tego tematu w mojej obecności - powiedział Aaron lodowatym tonem.

- Sądziłem, że pan wie...

- Od Samuela?

- Skądże znowu. Bałby się o tym mówić.

- Więc skąd?

- Ten irlandzki artylerzysta opowiedział mi o pańskim uderzeniu na tajną kwaterę Sama. Artylerzyści zawsze podkreślają swój udział w takich operacjach, żeby wywrzeć wrażenie na dowództwie.

- Wspomniał pan, że sierżant przywiązał chłopca do fotela, a potem sam pan przyznał, że kazał mu pan odejść...

- I co z tego?

128

- Obyłoby się bez przywiązywania, gdyby nie wpadł przynajmniej w taka histerię jak dzisiaj. A dlaczego taki doskonale opanowany prawnik

- - żałuję, że nie udało mi się poznać Sama od tej strony - miałby wpadać w histerię? Tylko dlatego, że w wyniku pańskiego nagłego autokultu wyszło na jaw coś, o czym nikt, a szczególnie pan, nigdy nie miał się dowiedzieć!

-\*= Pańskiemu rozumowaniu nie sposób czegokolwiek zarzucić.

- Kiedy zadzwoniłem do Sama, rzucił słuchawkę na widełki, ale nie zrobił tego wystarczająco szybko, bo zdążyłem usłyszeć jakiś głos. Należał do człowieka, który był bliski utraty panowania nad sobą. Dzisiaj, kiedy spotkaliśmy się na parkingu, rozpoznałem ten głos. Należał do pana, komendancie Pinkus. Wykrzykiwał pan wtedy jakieś okropne rzeczy o pewnej operacji dotyczącej Watykanu

-- Znakomity pokaz logicznej dedukcji - przyznał Aaron, uznając swoją porażkę.

-! Znakomity pokaz kretyńskiego pieprzenia! - ryknął Devereaux. - Ja tu jestem! Istnieje! Jeśli mnie ukłujecie, będę krwawił...

-- To pomysł całkowicie niestosowny, Samuelu.

- A co tu j e s t stosowne? Muszę wysłuchiwać bredzeń dwóch uciekinierów z pruskiej pętli czasowej! Moja przyszłość, moja kariera, całe moje życie może roztrzaskać się na tysiąc kawałków jak rozbite lustro.

- Bardzo ładnie, synu - przerwał mu Hawkins. - Można się wzruszyć.

- Ukradł to francuskiemu dramatopisarzowi nazwiskiem A-nouilh - wyjaśnił znakomity bostoński prawnik. - Samuel zawsze potrafi nas czymś zaskoczyć, generale.

- Przestańcie! - wrzasnął Devereaux. - Żądam, by mnie Wysłuchano'

- Jestem pewien, że słyszą cię aż w Waszyngtonie, w tajnym archiwum G-2, gdzie trzymają te wszystkie tajne akta.

- Mam prawo do zachowania milczenia... - wymamrotał Sam i ciężko dysząc opadł bez sił na fotel.

- Czy pozwolisz, abym przerwał to milczenie, skoro narzuciłeś je tylko własnej osoba- ' - zapytał Pinkus.

- Mmmff... - padła zduszona odpowiedź.

- Dziękuję Twoje pytanie, Samuelu, dotyczy przede wszystkim

129

materiałów dostarczonych przez generała Hawkinsa. Rzeczywiście nie miałem dość czasu, aby dokładnie się z nimi zapoznać, ale nawet z tego, co udało mi się wychwycić doświadczonym okiem, które już od niemal pięćdziesięciu lat ma okazję widywać podobne dokumenty, wynika jasno, że są one wręcz niesamowite. Rzadko kiedy miewam do czynienia z tak przekonującym pozwem. Historyk prawa, który go sformułował, musiał dysponować niewiarygodną cierpliwością i równie wielką wyobraźnią, aby połączyć w całość mnóstwo pozrywanych nici, wiedząc jednocześnie, że gdzieś muszą istnieć dodatkowe dokumenty, które mogą wypełnić treścią puste miejsca. Gdyby miało się okazać, że tak jest w istocie, wnioski, jakie należałoby wyciągnąć, byłyby oczywiste i nie podlegające dyskusji. Czy udało się odnaleźć te dokumenty, generale?

- To oczywiście tylko plotki - odparł Jastrząb, marszcząc tajemniczo brwi - ale słyszałem, że można je zdobyć tylko w jednym miejscu, to znaczy w tajnych archiwach Biura do Spraw Indian.

- W tajnych archiwach? - Aaron Pinkus spojrział ostro na generała, po czym usiadł raptownie przy biurku i zaczął się przyglądać wybranym kartkom z leżącego przed nim stosu, zwracając uwagę nie tyle na treść, ile raczej na wygląd dokumentów. - Na brodę Abrahama... - szepnął. - Znam te znaki wodne! Mogły zostać skopiowane tylko przez kopiarke najwyższej klasy. Taką, jakie mają w agencjach rządowych...

- Bez wątplenia, komendancie - potwierdził Hawkins, po czym umilkł raptownie. Widać było, że żałuje swojej chępliwości. Zerknął na Sama, który wpatrywał się w niego wybałuszonymi oczami, odchrząknął i wyjaśnił: - Jajogłowi... znaczy się, uczeni, też dostają najlepszy sprzęt. [

- Ale nie aż t a ki dobry... - wyszeptał Devereaux zbielełymi wargami. \

- Tak czy inaczej, generale - podjął Pinkus - większość tych dokumentów - mówię o d o k u m e n t a c h , nie o maszynopisie - to kopie reprodukcji, a więc kopie kopii!

- Słucham? - Hawkins zaczął raptownie przeżuwać cygaro.

- W czasach kiedy jeszcze nie istniały koparki, wykonywano najpierw fotografie, a później fotostaty zagrożonych zniszczeniem dokumentów, i zastępowano nimi oryginalne materiały archiwalne.

130

- Komendancie, nie interesują mnie techniczne szczegóły...

- A powinny, generale - przerwał mu Aaron. - Pański anonimowy współpracownik być może wpadł na trop nie ujawnionego przez wiele dziesiątków lat oszustwa, ale wszystko wskazuje na to, że na poparcie swoich oskarżeń przedstawił dokumenty wykradzione ze ściśle tajnych archiwów państwowych, gdzie były przechowywane ze względu na szeroko pojmowane wymogi bezpieczeństwa narodowego.

- Że co? - wymamrotał MacKenzie, świadom tego, że oczy Sama prawie wyszły z orbit.

- Takie znaki wodne ma jedyny w swoim rodzaju, specjalny gatunek papieru o doskonałej trwałości, znakomicie znoszący warunki panujące w sejfach i lochach. O ile się nie mylę, został wynaleziony na przełomie wieków przez Tomasza Edisona i był stosowany w ograniczonym zakresie w archiwach państwowych w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym lub tysiąc dziewięćset jedenastym

- W ograniczonym zakresie?... - zapytał Devereaux przez zaciśnięte zęby, wciąż nie spuszczać oczu z Hawkinsa.

- Wszystko jest względne, synu. W tamtych czasach deficyt budżetowy, jeśli w ogóle istniał, wynosił nie więcej niż kilkaset tysięcy dolarów. Nadmierne używanie tego szalenie drogiego papieru mogłoby doprowadzić do załamania finansów państwa, dlatego też jego zastosowanie było mocno ograniczone.

- Ograniczone do czego, Aaronie?

**Pinkus skierował wzrok na MacKenziego Hawkinsa i oznajmił bardzo podobnym do tego, jakiego sędziowie używają podczas ogłaszania wyroku:**

- Do dokumentów, które decyzją rządu Stanów Zjednoczonych miały pozostać utajnione przez co najmniej sto pięćdziesiąt lat!

- A niech mnie! - wykrzyknął Jastrząb, po czym gwizdnął przeciągle spojrzawszy do brody. - I co, synu? Czy nie jesteś dumny, jak to ujął pan komendant, stałeś się inspiratorem tak doniosłego projektu.

- Jakiego pieprzonego projektu? - zaskrzeczał Devereaux. - I jakim cholernym inspiratorem?

- Czyżbyś nie pamiętał, jak często mówiłeś o poniewieranych ludziach żyjących na tej ziemi i o tym, jak niewiele się robi, żeby im

131

pomóc? Niektórzy mogliby nazwać tę gadaninę bezsensownym mieleniem ozorem, ale ja nigdy tego nie zrobiłem, ponieważ szanowałem twój punkt widzenia, synu. Naprawdę.

- Nigdy nie szanowałeś niczego ani nikogo, kto nie byłby na tyle silny, żeby jedną ręką wepchnąć cię do grobu!

- To nieprawda, synu, i ty doskonale o tym wiesz - odparł MacKenzie tonem urażonej niewinności, grożąc Samowi palcem. - Pamiętasz te wszystkie dyskusje, jakie prowadziłeś z dziewczętami? Każda z nich wyrażała później przede mną szczerą szacunek i podziw dla ciebie i twoich filozoficznych przekonań. Szczególnie Anna, która...

- Nigdy nie wymawiaj przy mnie tego imienia! - zawył Sam, zatykając sobie uszy.

- Nie mam pojęcia dlaczego, synu. Nawet teraz często z nią rozmawiam, szczególnie kiedy zdarzy jej się wplątać w jakąś paskudną sytuację, do czego przejawia niezwykle zdolności, i powiem ci, Sam, że ona w dalszym ciągu bardzo cię lubi.

- Jak mogła mi to zrobić? - rozpaczał Devereaux, trzęsąc się z wściekłości. - Zamiast wyjść za mnie, poślubiła Jezusa!

- Na Abrahama... - westchnął ciężko Pinkus. - Nie mogę być stroną w tej dyskusji.

- Po prostu wybrała większy kaliber, synu, jeśli wybaczysz mi tę przenośnię... Wysłuchaj mnie, chłopcze. Szukałem tych uciskanych, szukałem ludzi pokrzywdzonych przez system i poświęciłem wszystkie siły, żeby im pomóc. Myślałem, że będziesz ze mnie dumny. Bóg mi świadkiem, jak bardzo się starałem...

Hawkins opuścił głowę, wtulając podbródek w rozpięty kołnierzyk indiańskiej kurtki, i wbił spojrzenie w pokrytą wykładziną hotelową podłogę.

- Przystań chrzanić, Mac! Nie wiem, co robiłeś ani co starałeś się zrobić, ale wiem na pewno, że nie chcę tego wiedzieć!

- Może jednak powinieneś, Sam.

- Chwileczkę, jeśli można... - wtrącił się Pinkus, spoglądając na skruszony Jastrzębia. - Myślę, iż nadeszła odpowiednia pora, bym sięgnął do dość rozległych zasobów mojej prawniczej wiedzy i wydobył z nich konkretny, choć może niezbyt często stosowany paragraf. Dokonane bez specjalnego zezwolenia wtargnięcie do tajnych archiwów państwowych jest zagrożone karą; do trzydziestu lat pozbawienia wolności.

132

- Naprawdę? - zapytał generał, wpatrując się z uwagą w wykładzinę, jakby pragnął odkryć na niej jakiś ukryty wzór.

-- Naprawdę. A ponieważ widzę, że ta informacja nie wywarła na panu żadnego wrażenia, mogę z ulgą założyć, iż pański anonimowy współpracownik uzyskał w legalny sposób dostęp do dokumentów, które zechciał mi pan przedstawić.

- Nieprawda! - wrzasnął Sam. - On je ukradł! Tak samo jak wtedy w G-2! Ta nędzna karykatura człowieka, ta największa pomyłka wojskowości, ten król złodziejasków znowu to zrobił! Wiem, że tak jest, bo go znam! Znam to ukradkowe spojrzenie paskudnego chłopczyka, który zlał się w łóżko, ale wmawia wszystkim dokoła, że to deszcz padał pod kołdrą. On to zrobił!

- Ocena dokonywana w stanie białej gorączki najczęściej mija się z prawdą. Samuelu - zauważył Pinkus, kręcąc sceptycznie głową.

- Ocena dokonywana po długotrwałej, obiektywnej obserwacji najczęściej jest stuprocentowo słuszna - odparł Devereaux. - Jeśli ciastka są polewane lukrem, a ty przyłapiesz sukinsyna na tym, jak oblizuje sobie palce, to możesz być pewien, że masz przestępcę. Poza tym wydaje mi się, że sądy w tym kraju wiedzą, co to *znaczy* recydywa.

- Cóż, generale - mruknął Aaron, spoglądając na Hawkinsa ponad zsuniętymi na czubek nosa okularami. - Oskarżenie poruszyło istotną kwestię, czyniąc aluzję do pańskich dawnych dokonań, które pan wcześniej osobiście potwierdził, przyznając się do kradzieży tajnych akt wydziału G-2. Być może w grę wchodzi tu jakieś wrodzone skłonności, ale obawiam się, że byłoby bardzo trudno to udowodnić.

- Komendancie Pinkus, od tego prawniczego wodolejstwa zupełnie zakreśliło mi się w głowie. Jeśli mam być szczery, to nie rozumiem połowy tego, co...

- Kłamca! - przerwał mu Sam, po czym zaczął wykrzykiwać jak dziecko przedrzeźniające rówieśnika: - Pada pod kołdrą, pada pod kołdrą, pada pod kołdrą!...

- Zamilcz, Samuelu! - skarcił go znakomity bostoński adwokat. - Myślę, że możemy w bardzo prosty sposób uprościć procedurę, generale - zwrócił się ponownie do Jastrzębia. - Kierując się zawodową uprzejmością nie pytałem do tej pory o nazwisko pańskiego niezwykle uzdolnionego współpracownika, obawiam się jednak, że teraz będę musiał to uczynić. Gdyby pojawił się przed

133

sądem, mógłby odeprzeć zarzuty mojego młodego przyjaciela i wyjaśnić całą kwestię.

- Nie wydaje mi się właściwe, proszę pana - odparł Hawkins z niewzruszoną miną - aby jeden oficer żądał od drugiego złamania danego słowa, w tym wypadku odnoszącego się do dochowania tajemnicy. Takie postępowanie mogłoby ewentualnie zdarzyć się wśród osób niższych rangą, osób, które nie cenią sobie tak wysoko honoru, a ich kręgosłupy moralne są wykonane z materiału nie tak twardego jak stal.

- Ależ, generale, czy ktoś poniósłby z tego powodu jakąkolwiek szkodę? Przecież ten znakomity pozew nie był jeszcze rozpatrywany przed żadnym sądem. - Aaron roześmiał się cicho. - Gdyby był, z pewnością wszyscy byśmy o tym słyszeli, gdyż cały nasz system prawny, a także Departament Obrony, ogarnęłoby kolosalne zamieszanie. Sam pan widzi, generale Hawkins, że ujawniając nazwisko tego geniusza nic pan nie straci, choć z pewnością także nie zyska... - Nagle dobronudny uśmiech zniknął z twarzy Pinkusa, a jego miejsce zajął grymas przerażenia. - Dobry Abrahamie, błagam, nie opuszczaj mnie... - wyszeptał, wpatrując się w pozbawioną jakichkolwiek uczuć twarz MacKenziego Hawkinsa. - Ten pozew już został złożony, prawda?

- Można powiedzieć, że znalazł się tam, gdzie miał dotrzeć.

- Ale chyba nie w żadnym sądzie?

- Obawiam się, komendancie, że w pańskim rozumowaniu znajduje się pewna luka.

- A więc jednak?...

- Niektórzy twierdzą, że tak.

- Przecież prasa i telewizja nie zająknęły się na ten temat ani słowem, a może mi pan wierzyć, że dziennikarze pchaliby się jeden przez drugiego, żeby nadać taką wiadomość!

- Istnieje powód, dla którego tak się nie stało.

- Jaki powód?

- Hyman Goldfarb.
- Hyman... co? #> ; ? :
- Goldfarb.
- Brzmi znajomo, ale za nic nie mogę **sobie** przypomnieć...
- Grał kiedyś w futbol.

Na kilka sekund twarz Aarona **Pinkus** odmłodziła o dwa dziesięć lat.

134

- Hymie Huragan? Żydowski Herkules? Naprawdę go znasz, Mac... To znaczy, generale?
- Czy go znam? Osobiście wciągnąłem go do roboty.
- Naprawdę?... Był nie tylko najlepszym napastnikiem w historii Ligi, ale przełamał stereotyp... powiedzmy, nadmiernie ostrożnego mężczyzny żydowskiego pochodzenia. Lew Judei, postrach obrońców, wraz z Mosze Dajaniem duma amerykańskich boisk!
- Był też kanciarzem...
- Proszę mi tego oszczędzić, generale! Zapamiętałem go jako bohatera i wzór do naśladowania dla nas wszystkich. Nadzwyczaj inteligentny, potężny olbrzym, z którego byliśmy tacy dumni... Jak to, kanciarzem?
- Co prawda nigdy nie postawiono go w stan oskarżenia, ale istniały ku temu konkretne powody.
- Oskarżenia, powody?... O czym pan mówi, do licha?
- Dużo pracuje dla rządu - nieoficjalnie, ma się rozumieć. Jeśli mam być szczery, to ja wprowadziłem go w tę robotę. Zaczynał od współpracy z wojskiem.
- Czy byłby pan łaskaw mówić do *rzeczy*, generale?
- Kiedyś pracowaliśmy nad nowym rodzajem amunicji. Sporo ściśle tajnych danych przedostało się na zewnątrz, a my nie mogliśmy przyłapać drania, który to zrobił, mimo że zlokalizowaliśmy miejsce przecieku. Wtedy spotkałem Goldfarba, który uruchamiał firmę konsultingową specjalizującą się w sprawach bezpieczeństwa - wyglądał tak, że gdybym wałnął sobie jego podobiznę na podkoszulek i pojechał do Japonii, to Godzilla zemdłaby ze strachu - i powiedziałem mu, żeby zajął się tą sprawą. Nie wdając się w szczegóły, można powiedzieć, że on i jego ludzie potrafią dotrzeć do miejsc, o których inspektorowi generalnemu nie śniło się nawet w najgorszych koszmarach.
- No dobrze, ale co wspólnego ma Hyman Goldfarb z ciszą, jaka zapanowała po złożeniu pańskiego niewiarygodnego pozwu w sądzie? Przecież zaraz potem powinno się rozpętać piekło na ziemi!
- Cóż, w naszej zwariowanej stolicy nie ma *rzeczy* niemożliwych dla Hymiego, Od początku jego reputacja rosła jak babka drożdżowa, aż wreszcie wszyscy w mieście chcieli korzystać z jego usług - naturalnie z myślą o tym, żeby zaszkodzić konkurencji. Lista agencji

135

rządowych, które są jego klientami, przypomina najnowsze wydanie *Kto jest kim w Waszyngtonie*. Ma mnóstwo wpływowych przyjaciół, którzy wyprą się w żywe oczy, że kiedykolwiek mieli z nim coś wspólnego, nawet gdyby wrywać im włosy szczypczykami. Wystarczy, żeby uniósł brwi, a na jego biurku znajdą się wszystkie dowody, których potrzebuje. Właśnie dlatego zrozumiałem, że znajdujemy się blisko złotej żyły.

- Złotej żyły?... - Aaron potrząsnął raptownie głową, jakby chciał uciszyć cymbały, które rozdzwoniły mu się we wnętrzu czaszki. - Czy byłby pan łaskaw wyrażać się nieco jaśniej?

- Jego ludzie ruszyli moim tropem, komendancie Pinkus. Chcieli zwabić mnie w pułapkę, pojąć i uciszyć. Przejrzałem ich jak otwartą książkę.

- Zwabić, porwać i uciszyć?... Ruszyli pańskim tropem?...

- Długi czas po złożeniu pozwu w sądzie. Oznaczało to, że został potraktowany poważnie, ale cała sprawa jest trzymana pod kocem, żeby przypadkiem nie wyniosła wszystkich na Księżyc. A więc co robią chłopcy z Waszyngtonu? Wynajmują Hymiego Huragana, żeby rozwiązał problem. Odszukać, pojąć i zniszczyć! Powiadam panu, przejrzałem ich bez trudu.

- Ależ, generale, sądy niższego szczebla są tak przeciążone różnymi sprawami, że... - Na twarzy Aarona Pinkusa ponownie pojawił się grymas przerażenia, a głos zamarł mu w gardle. - Och, mój Boże... To nie był?...

- Zna pan reguły, komendancie. Osoba występująca przeciwko rządowi może zwrócić się bezpośrednio do najwyższej instancji, oczywiście pod warunkiem, że sprawa jest istotnie dużej wagi.

- Nie wierzę... Nie mógł pan tego zrobić!

- Obawiam się, że zrobiłem. Wystarczyło przekonać kilku urzędników i zostaliśmy wpuszczeni od razu do największego akwarium.

Do jakiego akwarium?! - zawył całkowicie zdezorientowany Devereaux. - Co ten degenerat usiłuje nam wcisnąć?

- Obawiam się, że wcisnął to już komuś innemu - odparł słabym głosem Aaron. - Skierował ten znakomity pozew, oparty na materiałach skradzionych z państwowych archiwów, bezpośrednio do Sądu Najwyższego.

- Chyba żartujesz!

- Chciałbym, aby tak było, ze względu na nas wszystkich. -

136

Niespodziewanie Pinkus odzyskał głos i wyprostował się dumnie. - Teraz przynajmniej możemy wysondować głębokość tego szaleństwa. Kto jest rzecznikiem strony skarżącej, generale? Wystarczy jeden telefon, by ujawnić jego nazwisko.

- Nie byłbym tego taki pewien, komendancie.

- Proszę?

- Dotarłem tutaj dopiero dziś rano.

- I co z tego?

- Widzi pan, pewien młody indiański zuch dopuścił się małej nieścisłości - w żadnym wypadku nie wolno jej mylić z kłamstwem - odnośnie swoich egzaminów adwokackich, które...

- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, generale! Kto wystąpi przed sądem w roli pełnomocnika oskarżenia?

- On - odparł MacKenzie Hawkins, wskazując na Sama.

Vincent Francis Assisi Mangecavallo, znany w pewnych wąskich kręgach jako Vinnie Bam-Bam albo Ragu, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, przechadzał się nerwowo po swoim gabinecie w Langley w stanie Wirginia. W tej akurat chwili sprawiał wrażenie bardzo sfrustrowanego, zakłopotanego człowieka. W dalszym ciągu nie otrzymał żadnej wiadomości! Czy coś się mogło nie udać? Przecież plan był tak prosty, tak pewny, całkowicie bezbłędny! A równa się B, B zaś równa się C, z czego wynika, że A równa się C... Jednak gdzieś w środku tego prostego równania Hyman Goldfarb i jego ludzie potracili głowy, a człowiek Vincenta, najlepszy specjalista w swojej dziedzinie, zaginął bez wieści. Wielka Stopa! Człowiek Śniegu! Co się stało z Huraganem? Kto przepuścił przez wyżymaczkę jego tak bardzo zachwalany mózg? I gdzie się podział ten żalosny wypierdek, którego Vincent uratował w Vegas przed koniecznością spłacenia wcale niemałego długu, umieścił na rządowej liście płac, i w imię ogólnonarodowego bezpieczeństwa kazał chłopcom od kasyn zapomnieć o długu tegoż wypierdka? Zniknął bez śladu! Ale dlaczego? Mały Joey Zasłonka był zachwycony faktem, że skontaktował się z nim ważny przyjaciel z dawnych lat, kiedy to wszyscy wykorzystywali Joeya do śledzenia różnych gości na obszarze od doków Brooklynu po eleganckie kluby na Manhattanie. Joey był znakomity w swoim fachu. Nikt nie zauważyłby go nawet wtedy, gdyby stanął na środku wypełnionego po brzegi publicznością Stadionu Jankesow. Nikt nigdy nie potrafił dostrzec Joeya - równie szybko wtapiał się we wzór

138

tapety jak w tłum na *stacji metra*. Miał do tego talent, a jego dodatkowym atutem był trudny do *zapamiętania* wygląd. Nawet jego twarz była szara i *nijaka*... *Gdzie on zniknął*, do cholery? Chyba *•wiednął*, że *lepiej mu będzie* u boku starego *przyjaciela niż bez niego*, tym bardziej że chłopcy od kasyn mogli w każdej chwili przypomnieć sobie o nie uregulowanym długu. To po prostu nie miało sensu. Nic nie miało sensu!

Zadzwoń} tek t on ukryty w najniższej szufladzie po prawej stronie dyrektorskiego biurka. Mangecav|JJo rzucił się biegiem do aparatu. Którejś nocy osobiście zainstalował tę linię, korzystając z pomocy fachowców o niebo bardziej doświadczonych od tak zwanych ekspertów Agencji. Nikt ze sfer rządowych nie znał tego numeru; Mange-

cavallo podał go jedynie najważniejszym ludziom, którzy wykonywali dla niego najbardziej istotne zadania.

- Tak? - szczerzył dyrektor CIA.

- Tu Mały Joey, Bam-Bam - dobiegł ze słuchawki piskliwy głosik.

- Gdzie byłeś, do jasnej cholery? Nie meldowałeś się od trzydziestu sześciu godzin!

- Bo przez cały ten czas kręciłem głową we wszystkie strony i taszczyłem dupsko z miejsca rui miejsce za j u k ; ; nś pieprzonym *zuccon*\*!^!

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Poza tym zakazałeś mi dzwonić do domu, choć i tak nie mam twojego numeru, a już szczególnie szukać cię przez tę twoją wielką szpiegowską centralę.

- Zgadza się. I co z tego?

- To, że nie miałem zbyt dużo wolnego czasu, bo musiałem przesiadać się z samolotu na samolot, opieprzać panienki sprzedające bilety, opłacać kierowców taksówek, którzy mieli wielką ochotę napluć mi w twarz, i przekupywać starego gliniarza, który kiedyś wsadził mnie za kratki, żeby zechciał sprawdzić dla mnie u swoich kumpli z drogówki, do kogo naprawdę należy wielka limuzyna z zabawnymi numerami rejestracyjnymi.

- Już dobrze, dobrze. Powiedz mi tylko, co się stało. Zdobyłeś coś, co mógłbym wykorzystać?

- Jeśli nie ty, to na pewno ja to zrobię. Ta układanka ma więcej [•kawałków niż siekana sałatka warzywna, a wszystkie razem są dużo 'więcej' warte, niż ja byłem winien tym palantom z Vegas.

139

^ - Hej, Joey! To było ponad dwanaście kawałków!

- Tutaj mam przynajmniej dwa razy tyle, Bam-Bam.

- Nie nazywaj mnie tak, dobrze? - poprosił Mangecavallo. - Ta ksywka jakoś nie pasuje do mojego stanowiska.

- O rety, Vinnie! Może donowie nie powinni byli posyłać cię do szkoły? Jeśli nie będziesz okazywał skromności, ludzie nie będą otaczać cię należnym szacunkiem.

- Przestań chrzanić, Joey. Przysięgam ci na grób mego ojca, że zawsze się będę o ciebie troszczył.

- Twój ojciec żyje, Vinnie. Widziałem go w ubiegłym tygodniu u Cezara. Ostro działa w Vegas, i to nie tylko z twoją matką.

- *Basta...* Nie jest w Lauderdale?

- Podać ci numer pokoju? Tylko nie odkładaj słuchawki, jeśli odbierze jakaś panienka.

- Wystarczy, Joey. Trzymaj się ściśle tematu, bo jak nie, to przekonamy się, czy chłopcy z Vegas puszczają długi w niepamięć, *capiscel* Mów wreszcie, co się stało.

- Dobra, dobra, tylko tak sobie gadałem... Co się stało? Jezu, Vinnie! Zapytaj się lepiej, co się nie stało! - Mały Joey Zastónka nabrał głęboko powietrza i zaczął opowieść: - Goldfarb wysłał ekipę do tego indiańskiego rezerwatu. Domyśliłem się od razu, jak zobaczyłem Łopatę walącego prosto do budki z żarciem obok największego wigwamu. Jezu, ten to potrafi zjeść! Zaraz za nim posuwał ten kościsty *gibrone*, który ciągle kicha, ale to, co mu wypycha kieszeń, to wcale nie jest paczka klebneków. Pokręciłem się blisko nich i usłyszałem, jak dwoje znajomych Łopaty pyta z takim śmiesznym akcentem o Grzmiącą Głowę, którym i ty się interesujesz. Powiadają ci, cholernie im zależało, żeby go dorwać... Wycofałem się na bezpieczną odległość, a wtedy cała czwórka - jest z nimi baba - wypadła jak oparzona ze -sklepiku z pamiątkami. Pognali połą drogą do lasu, a dalej każde z nich poszło inną ścieżką...

- Ścieżką? - przerwał mu Mangecavallo. - Znaczą, że niby wąsko?

- Ścieżką, Bam-Bam... przepraszam, Vincenzo. Najprawdziwszą ścieżką. Wąsko, ciemno, dokoła krzaki i drzewa. Prawdziwy las, rozumiesz?

- A czego się spodziewałeś? Przecież to rezerwat. !\*!

140

- No więc oni sobie poszli, a ja czekałem, czekałem, czekałem...

- Ja też czekam, Joey! - przypomniał mu dyrektor CIA.

- Już dobrze, dobrze. Wreszcie z lasu wypadł ten twój ważny Indianin, to na pewno był on,

bo miał na głowie wielki pióropusz, prawie do samego tyłka, skreślił do podejrzanego namiotu i wszedł do środka. Powiadam ci, Vinnie, nie wierzyłem własnym oczom! Wylaż minutę albo dwie później, ale to już był zupełnie inny facet!

- Co ty palisz, Joey?

- Naprawdę, Vinnie! Niby ten sam, ale zupełnie inny. Wyglądał jak jakiś pieprzony urzędas - okularki, krzywo wsadzona ruda peruka i wielka torba podróżna... Od razu się domyśliłem, że ma zamiar zmyć się z rezerwatu i że nie chce wyglądać na Indianina.

- Czy to będzie bardzo długa historia, Joey? - zapytał błagalnym tonem Mangecavallo. - Może przeszedłbyś wreszcie do rzeczy?

- Ty chcesz dostać zamówiony towar, a ja chcę ci pokazać, że mam znacznie więcej, niż zamawiałeś... Dobra, spróbuję się streszczać. Pojechał na lotnisko w Omaha i kupił bilet do Bostonu - ja też, ma się rozumieć. A teraz będzie ważna sprawa, Bam-Bam: pokazałem panience od biletów moją fałszywą legitymację i zapytałem o dużego faceta w kretyńsko dobranej peruce. Ona też zwróciła na nią uwagę, bo tak bardzo chciała mi pomóc, że musiałem szepnąć jej, że to poufna sprawa i nie trzeba robić za dużo szumu. W każdym razie podała mi nazwisko, które było na jego karcie kredytowej...

- Dyktuj! - wykrzyknął dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, chwytając długopis.

- Jasne, Vinnie. Duże m, małe a, małe c, duże k, kropka, Hawkins, g-e-n, kropka, USA, małe e, małe m, kropka. Przepisałem sobie wszystko, choć nie mam pojęcia, co to znaczy.

- To znaczy, że twój Indianin nazywa się Hawkins i jest emerytowanym generałem... Niech mnie jasna cholera! To generał!

- Jest jeszcze coś, Vinnie. Myślę, że powinieneś to usłyszeć...

- M u s z ę to usłyszeć. Dawaj!

- W Bostonie znowu wsiadłem mu na ogon, ale tam wszystko stanęło na głowie, zupełnie wariactwo. Na lotnisku spotkał się w męskiej alicie z dwoma Hiszpańcami, których nigdy wcześniej nie widziałem, wyszli szybko przed dworzec i wsiadli do oldsmobile'a z rejestracją Ohio albo Indiany. Wskoczyłem do taryfy i dałem kierowcy pięć

141

dych, żeby ich nie zgubił, ale wtedy zaczął się zupełny dom wariatów. Wyobraź sobie, że ten indiański urzędas zawiózł Hiszpańców do pieprzonego fryzjera, a potem, tak mi dopomóż Bóg, pojechali do parku nad rzeką, gdzie ten wielki palant kazał im maszerować przed sobą po trawie i wymachiwać nogami, a on wrzeszczał na nich jak najęty! Mówię ci, poplątanie z pomieszaniem.

- Może ten emerytowany generał jest z paragrafu ósmego. To się czasem zdarza, sam wiesz.

- Że niby wywalili go z wojska, bo przestał odróżniać czołgi od samolotów i kazał salutować ciężarówkom?

- Przecież czytasz gazety, no nie? Tak samo jest z naszymi donami: im wyżej wlezie, tym bardziej miękko ma pod sufitem. Pamiętasz Tłustego Salerno w Brooklynie?

- Czy pamiętam? Ho, ho! Chciał, żeby w stanie Nowy Jork uprawiano wyłącznie oregano, i narobił bigosu w sądzie w Waszyngtonie, bo wrzeszczał, że jest dyskryminowany.

- Właśnie o tym mówię, Joey. Jeśli ten Duże M, małe a, małe c Hawkins, emerytowany generał świrus, i wódz Grzmiąca Głowa to ten sam człowiek, tak jak ty podejrzewasz, a ja się całkowicie z tobą zgadzam, to znaczy, że będziemy mieli następnego Tłustego Salerno wrzeszczącego w sądzie o dyskryminacji.

- To on jest Włochem, Vinnie?

- Nie, Joey. Nawet nie jest Indianinem. Co było potem?

- Potem ten wielki palant i jego dwaj Hiszpance wladowali się z powrotem do oldsmobile'a - właśnie wtedy musiałem wetknąć mojemu szoferakowi następną pięćdziesiątkę - pojechali do centrum i zatrzymali się na ruchliwej ulicy. Tamci dwaj wysiedli, zajrzeli do sklepu z ciuchami i weszli do jakiegoś wielgachnego budynku, a twój czworooki indiańsko-generalski urzędas został w wozie. Wtedy musiałem dać jeszcze dwie pięćdziesiątki mojemu cholernemu taksówkarzowi, bo zaczął mi jęczeć, że jeśli zaraz nie wróci do domu, to żona zdzieli go na powitanie gorącą patelnią. I bardzo słusznie, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie... Po jakiejś godzinie przed budynek zajechała wielka limuzyna, wsiadło do niej trzech facetów, a dwaj Hiszpance wskoczyli do oldsa i ruszyli za tamtą gablotą. Wtedy ich zgubiłem.



- Zgubiłeś?... Co chcesz przez to powiedzieć, Joey?

142

- Nic się nie martw, Bam-Bam.

- Joey!

- Przepraszam Vincencie Francisie Assisi...

- Tylko bez przesady.

- Już dobrze, dobrze. Z całego serca proszę o wybaczenie...

- Wyrwę ci to serce, jeśli mi natychmiast nie powiesz, dlaczego mam się nie martwić!

- Zgubiłem ich w mieście, ale wcześniej zdążyłem zapisać numer tej wielkiej gabloty. Nie uwierzyłyś, ale jednocześnie przypomniałem sobie nazwisko pewnego bostońskiego gliniarza, który zapuszkował mnie dwadzieścia lat temu i który, jak sobie obliczyłem, powinien mieć teraz około sześćdziesiątki, czyli powinien jeszcze pętać się po tym świecie, bo z tego, co pamiętam, byliśmy prawie równolatkami, więc...

- Joey, ja nienawidzę długich historii!

- Dobra, dobra. No więc, pojechałem do niego do domu - nic nadzwyczajnego, biorąc pod uwagę, że całe życie harował ciężko na państwowej posiadzie - i wychyliliśmy po szklaneczkę za stare dobre czasy..

- Joey, doprowadzisz mnie do obłędu!

- Już dobrze, dobrze. Dałem mu pięć setek i poprosiłem, żeby wykorzystał swoje znajomości i spróbował ustalić, do kogo należy wielgachna limuzyna ze śmiesznymi tablicami rejestracyjnymi, a może *leż*, dokąd pojechała z oldsem na ogonie, a może nawet, gdzie jest w tej chwili... Czy uwierzysz, że na pierwsze pytanie dostał odpowiedź dosłownie między jedną szklaneczką whisky a drugą?

- Joey, mam już ciebie dosyć!

- *Calma, calma*, Bam-Bam. W ten sposób dowiedziałem się, że limuzyna należy do jednego z najlepszych prawników w Bostonie, niejakiego Żydka nazwiskiem Pinkus, Aaron Pinkus, którego wszystkie grube i drobne ryby uważają za superuczciwego i nietykalnego. Uczciwszy uszy, jest czysty jak niemowlak. Wiem, że to niemożliwe, ale to prawda, Vinnie.

- Widocznie jest większym spryciarzem, niż oni wszyscy razem wzięci! Co jeszcze powiedział ci twój koleś?

- Że mniej więcej od dwudziestu minut gabloty stoi przed hotelem Cztery Pory Roku na Boylston Street.

143

- A co z oldsem i fałszywym Indianinem? Gdzie o n się podział, do wszystkich diabłów?

- Nie wiemy, gdzie jest olds, ale mój stary przyjaciel sprawdził jego numery rejestracyjne. To niesamowite, Vinnie, Nigdy w to nie uwierzysz.

- Sprawdź mnie.

,<

- To wóz wiceprezydenta!

Magdalenę! - zawołał wiceprezydent Stanów Zjednoczonych ze swego gabinetu, odłożywszy z trzaskiem słuchawkę na widełki. - Gdzie jest ten nasz zakichany oldsmobile?

- W domu, złotko - dobiegł z salonu śpiewny głos Drugiej Damy.

- Jesteś pewna, gołąbeczko?

- Oczywiście, króliczku. Nie dalej jak wczoraj dzwoniła pokojówka. Pomocnik ogrodnika jechał nim do pracy, ale na autostradzie zgasł silnik i nie chciał już zapalić.

- Mój Boże, zostawił go na drodze?

- Skądże znowu, kurczaczku. Kucharz wezwał pomoc drogową i przyholowali go do domu. A dlaczego pytasz?

- Przed chwilą rozmawiałem z tym okropnym człowiekiem z CIA - wiesz, z tym, którego nazwiska nigdy nie mogę wymówić. Podobno nasz samochód widziano w Bostonie, a w nim mnóstwo groźnych przestępców. Pytał, kiedy im go pożyczyłem. Zdaje się, że możemy mieć problemy z naszym *image*.

- Nie chrzań! - wrzasnęła przeraźliwie Druga Dama i wpadła do gabinetu. Na głowie miała różowe papiloty.  
- Jakiś cholerny sukinsyn musiał go nam podpieprzyć! - ryknął wiceprezydent.  
- Jesteś pewien, że nie pożyczasz go któremuś z tych swoich podejrzanych koleśków, ty kretynie?  
- Jasne, że nie, głupia dziwko! Jeśli już ktoś chciałby go pożyczyć, to raczej twoi narwani przyjaciele!

Niczego nie osiągniemy, obrzucając się histerycznymi oskarżeniami - stwierdził dobitnie, lecz drżącym głosem, Aaron Pinkus, kiedy MacKenzie Hawkins powalił Sama Devereaux na

144

podłogę i usiadł na nim okrakiem, unieruchamiając mu ramiona. Na wykrzywiona wściekłym grymasem twarz Sama opadały drobinki popiołu z cygara generała. - Proponuję, żebyśmy wszyscy wzięli na wstrzymanie tak mawiają teraz młodzi ludzie, i spróbowali zastanowić się nad naszym położeniem.

- Co byście powiedzieli o plutonie egzekucyjnym zaraz po tym, jak pozbawią mnie prawa wykonywania zawodu? - wysyczał Devereaux przez zaciśnięte zęby.

- Daj spokój, Sam - odparł uspokajającym tonem Hawkins. - Teraz już się tego nie robi. Wszystko przez tę przeklętą telewizję.

- Prawda, zapomniałem. Kiedyś mi tłumaczyłeś, że chodzi o opinię publiczną. Dałeś mi wtedy do zrozumienia, że istnieją znacznie lepsze sposoby: na przykład wyprawa na rekiny, z której wraca tylko dwóch uczestników. Aimia-,1 s rzech, albo polowanie na kaczki, podczas którego nagle wokół delikwenta pojawia się dziesięć mokasynów\*, choć nikt nigdy nie widział w tej okolicy żadnego węża. Piękne dzięki, ty skrelymuh robaku!

- Chciałem tylko, żebyś przypadkiem nie zaczął brykać, bo chodziło mi o twoje bezpieczeństwo. Anna powtarza to po dziś dzień.

- Już ci mówiłem, żebyś nigdy nie wymieniał przy mnie tego imienia!

- Najwyraźniej brakuje ci dobrej woli, chłopcze.

- Jeśli można, generale... - wtrącił się Pinkus z za biurka. - Jeżeli mu w tej chwili czegokolwiek brakuje, to na pewno znajomości sytuacji. Myślę, że należy nadrobić to zaniedbanie.

- Sądzi pan, komendancie, że da sobie z tym radę?

- W każdym razie powinien spróbować. Spróbujesz, Samuelu, czy mam zadzwonić do Shirley i powiedzieć jej, że nie pojechaliśmy na otwarcie galerii, ponieważ zabrałeś jej limuzynę, wpakowałeś do środka gromadę stanch Greków i zmusiłeś mnie, twój chlebowódca, bym zajął się twymi osobistymi problemami - które, nawiasem mówiąc, w dziwny sposób wiążą się z moimi?

- Wolalbym raczej pluton egzekucyjny, Aaronie.

- Ja także. Podjąłeś słuszną decyzję. Zdaje się, że Paddy będzie

- Mokasyn - jadowity wąż występujący na podmokłych terenach Ameryki Północnej (przyp. tłum.).

145

musiał oddać do pralni zasłony z limuzyny... Niech mu pan pozwoli wstać, generale. Może usiąść w moim fotelu.

- Bądź grzeczny, Sam - powiedział Hawkins, podnosząc się ostrożnie z podłogi. - Przemocą niczego nie osiągniesz.

- Taki pogląd stanowi zaprzeczenie sensu twojego istnienia, bandyto - odparł Devereaux, gramoląc się z wysiłkiem na nogi, po czym mocno utykając podszedł do fotela wskazanego mu przez Pinkusa i klapnął ciężko, wpatrując się w swego pracodawcę. - A wiec, o co w tym wszystkim chodzi, Aaronie?

- Zapoznam cię z ogólnym zarysem sytuacji - powiedział Pinkus, kierując się do oszklonego baru ukrytego we wnęce hotelowego pokoju. - Poczęstuję cię także znakomitą

trzydziestoletnią brandy. Jest to luksus, który zarówno ja, jak i twoja matka ogromnie sobie cenimy, a ty z pewnością będziesz potrzebował czegoś na wzmocnienie nerwów, podobnie jak my potrzebowaliśmy tego przed wyprawą do twojej „ostoi”. Należę ci nawet sporą porcję, gdyż na pewno po tym, co przeczytasz, twój prawniczy umysł pozostanie doskonale trzeźwy bez względu na ilość alkoholu, jaką byś wypił. - Aaron napełnił kryształową szklaneczkę ciemnobrązową ciecżą, przyniósł ją do biurka i postawił przed swym najlepszym pracownikiem. - Zapoznasz się teraz z oszałamiająco nieprawdopodobnym dokumentem, potem zaś podejmiesz decyzję, kto wie czy nie najważniejszą w życiu. Niech mi wybaczy Bóg Abrahama - tego samego Abrahama, który najwyraźniej ma mnie głęboko w dupie - ale wygląda na to, że ja będę musiał uczynić to samo.

- Daj spokój z metafizyką, Aaronie. O co w tym wszystkim chodzi? Czekam na twój ogólny zarys sytuacji.

- Ujmując rzecz najkrócej jak można, młody przyjacielu, dzięki wielu nieuczciwym kombinacjom polegającym na składaniu obietnic sformułowanych na piśmie w traktatach, które to traktaty następnie uznawano oficjalnie za nie istniejące, choć w rzeczywistości przetrwały po dziś dzień w tajnych archiwach Biura do Spraw Indian, rząd Stanów Zjednoczonych ukradł szczerpowi Indian Wopotami całą ich ziemię.

- Kim są ci Wopotami, do diabła?

- To plemię, którego tereny zajmowały przestrzeń na północ wzdłuż Missouri, obejmując obszar w promieniu tysiąca strzałów

146

z łuku aż do dzisiejszego Fortu Calhoun, na zachód ciągnąc się do Cedar Bluffs, na południe do Weeping Water, a na wschód do miasta Red Oak w stanie Iowa.

- W czym tu problem? Sporne sprawy dotyczące wszelkich nieruchomości w tym także ziemi, zostały uregulowane decyzją Sądu Najwyższego z roku, o ile mnie pamięć nie myli, tysiąc dziewięćset dwunastego albo tysiąc dziewięćset trzynastego.

- Twoja fotograficzna pamięć jest godna podziwu, ale z żalem muszę stwierdzić, iż znajduje się w niej pewna luka.

- Niemożliwe! Ja nigdy się nie mylę... Jeśli chodzi o zagadnienia prawne, ma się rozumieć.

- Tamta decyzja dotyczyła jedynie traktatów wyszczególnionych w protokole

- A były jakieś inne?

- Owszem. Te, które natychmiast utajniono... Jeden z nich właśnie leży przed tobą. Zapoznaj się z nim, mój młody przyjacielu, a za jakąś godzinkę powiedz, co myślisz na ten temat. Tymczasem oszczędnie popijaj tę znakomitą brandy. Wiem, że instynkt będzie ci podpowiadał, by wychylić ją jednym haustem, ale nie rób tego. Sącz ją małymi łydkami... W górnej szufladzie po prawej stronie znajdziesz papier i ołówki, sam pozew zaś leży w tej stercie po twojej lewej stronie. Z pewnością będziesz chciał wynotować sobie pewne rzeczy. - Aaron spojrzał na Jastrzębia. - Generale, myślę, że powinniśmy zostawić go samego. Odnoszę wrażenie, że za każdym razem, kiedy na pana spogląda, traci zdolność koncentracji

- To widocznie przez ten mój strój.

- Całkiem możliwe. Skoro już jesteśmy przy pana wyglądzie... Co by pan powiedział na to, gdyby Paddy - to znaczy, sierżant Laflerty - zawiózł nas do małej knajpki, gdzie wpadam zawsze wtedy, kiedy nie chcę spotkać nikogo znajomego?

- Chwileczkę, komendancie Pinkus. A co z Samem? Miał dzisiaj ciężki dzień i zdaje się, że już mu kiszki marsza grają.

- Nasz młody przyjaciel doskonale potrafi zamawiać posiłki przez telefon. Potwierdzają to hotelowe rachunki, jakie przywozi ze swoich służbowych podróży... Wydaje mi się jednak, że w tym momencie zupełnie zapomniał o jedzeniu.

Devereaux, z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, zamarł

147

nad pierwszą stroną pozwu. W pewnej chwili ołówki wysunął się z jego zmartwiałych palców i spadł z głośnym stukotem na blat biurka. - Nie wyjdziemy z tego z życiem... - wyszeptał Sam zbiełymi wargami. - Nie mogą sobie na to pozwolić.

Ponad pięć tysięcy kilometrów na zachód i nieco na północ od Bostonu leży szacowne miasto San Francisco. Trudno się dziwić, że według wszystkich statystyk większość osób przybywających tam ze wschodniego wybrzeża pochodzi właśnie z Bostonu. Niektórzy demografowie twierdzą, iż dzieje się tak za sprawą ogromnego portu, przypominającego uciekinierom z Nowej Anglii port bostoński; inni utrzymują, że przyczynia się do tego wysoce intelektualna atmosfera związana z obecnością osiedli uniwersyteckich oraz kafejek stanowiących miejsce nie kończących się dyskusji, niemal identycznych z podobnymi lokalami w stolicy stanu Massachusetts; zdaniem jeszcze innych prawdziwą siłą przyciągającą jest granicząca z obsesją tolerancja okazywana ludziom hołdującym różnym stylom życia, znakomicie współbrzmiająca ze sprzecznościami bostońskiej mentalności - któż bowiem, jak nie bostońscy wyborcy, głosuje zawsze dokładnie na odwrót niż reszta kraju? Jednak statystyki te nie mają wiele wspólnego z naszą historią, może tylko z wyjątkiem faktu, że osoba, którą niebawem poznamy, podobnie jak niejaki Samuel Lansing Devereaux ukończyła prawo na Uniwersytecie Harvard.

Przed kilkoma laty miała nawet szansę poznać Sama, gdyż kancelaria adwokacka Aarona Pinkusa była poważnie nią zainteresowana i usiłowała\* wzbudzić w niej podobne zainteresowanie. Na szczęście - lub nieszczęście - trafiła do innego środowiska, mając serdecznie dosyć swego statusu członka mniejszości narodowej, który to status nieodmiennie wprawiał w zdumienie zarówno bostońskich profesjonalistów, jak i pozerów. Nie była ani Murzynką, ani Żydówką, nie pochodziła ani z Dalekiego Wschodu, ani z Hiszpanii, jej przodkowie nie przybyli ani z basenu Morza Śródziemnego, ani z Bengalów. W Bostonie nie istniały żadne kluby lub organizacje grupujące mniejszość, do której należała, ponieważ... No, ponieważ nikt nie dostrzegał dążeń członków tej mniejszości do osiągnięcia awansu społecznego i nikt nie uważał, żeby takie dążenia były potrzebne. Ci ludzie po prostu istnieli i robili swoje, cokolwiek miało to oznaczać.

148

Była Indianką.

Nazywała się Jennifer Redwing. Jennifer zastąpiło Jutrzenkę - początkowo nosiła takie właśnie imię, ponieważ, według jej wuja, wodza Orle Oko, wyłoniła się z łona matki wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Stało się to w Szpitalu Miejskim w Omaha. Wkrótce się okazało, że zarówno ona, jak i jej młodszy brat wykazują ogromne zdolności w przyswajaniu wiedzy, w związku z czym Rada Starszych wyasygnowała fundusze niezbędne do zapewnienia im wykształcenia. Jennifer wykorzystała je w niezwykle efektywny sposób, po czym zapragnęła jak najszybciej przenieść się na zachód - i to tak daleko, jak tylko będzie możliwe - gdzie nikt nie dziwiłby się, że ona, bądź co bądź I n d i a n k a, nie nosi sari i nie ma namalowanej na czole czerwonej kropki.

Jednak przeprowadzka do San Francisco nastąpiła raczej w wyniku przypadku niż planowego działania. Jennifer wróciła do Omaha, zdała egzaminy adwokackie i zatrudniła się w znakomitej firmie, w której właśnie wtedy zdarzył się ten przypadek. Jeden z klientów firmy, ceniony fotograf, został wysłany przez „National Geographic” do pewnego indiańskiego rezerwatu, by uwiecznić na kliszy występującą tam faunę. Jego zdjęcia miano skonfrontować ze starymi fotografiami, celem zaś tego przedsięwzięcia było pokazanie okrutnego losu, jaki w związku z pojawieniem się białego człowieka stał się udziałem zwierząt zamieszkujących kontynent północnoamerykański. Fotograf - doświadczony, aczkolwiek nieco lubieżny profesjonalista - potrafił natychmiast rozpoznać chybione przedsięwzięcie. Kto, do diabła, będzie chciał oglądać ginące zwierzęta na tle wspaniałych lasów i rozległych prerii, stanowiących prawdziwy raj dla myśliwych? Jednak, dzięki odrobinie wyobraźni, pewną kłeskę można było obrócić w równie pewny sukces. Gdyby tak na każdym zdjęciu pokazać atrakcyjną indiańską przewodniczkę, wyginającą się zalotnie to w jedną, to w drugą stronę? Gdyby tak w tej roli wystąpiła Czerwona Redwing, ^znakomita prawniczka, urzędująca w gabinecie tuż obok jego osobistego adwokata?...

- Posłuchaj, Czerwońcu... - powiedział reporter pewnego dnia, wetknąwszy głowę do pokoju Jennifer. Użył przezwiska, którym posługiwali się jej współpracownicy, a które wzięło się od nazwiska, nie zaś od koloru jej włosów, które były kruczoczarne. - Nie chciałaby^ zarobić paru setek?

149

- Jeśli mówisz o tym, o czym ja myślę, to proponuję, żebyś poszedł do „Doogies” - padła lodowata odpowiedź.

- Mamuśku, źle mnie zrozumiałaś...

- Opieram się na swoich dotychczasowych doświadczeniach.

- Klnę się na honor...

- Chyba żartujesz.

- Nie, naprawdę. Chodzi o oficjalny kontrakt z „National Geographic”.

- Co prawda pokazują tam gołe Afrykanki, ale nie przypominam sobie żadnych zdjęć nagich białych kobiet, choć często czytuję to pismo w poczekalniach mojego lekarza i dentysty.

- Bredzisz od rzeczy, panienko. Szukam modelki do fotoreportażu o pewnych nieprzyjemnych sprawach związanych z życiem w rezerwacie. Absolwentka Harvardu, która przypadkiem należy do jednego z plemion, mogłaby zainteresować ludzi w takim stopniu, że może przeczytaliby akurat ten artykuł zamiast tylko przekartkować cały numer.

- Proszę?

W ten sposób doszło do sesji zdjęciowej. Okazało się także, że Jennifer Redwing, niezwykle obiecująca młoda pani adwokat, jest także niezwykle naiwną młodą osobką, przynajmniej w dziedzinie profesjonalnej fotografii. Pragnąc za wszelką cenę pomóc swoim rodakom, zgodziła się na wszystkie wybrane przez reportera stroje - odmówiła jedynie pozowania w skąpym bikini ze skarlałym rzeczonym pstrągiem w dłoni - oraz nie pomyślała o tym, by zażądać prawa dokonania ostatecznej oceny zdjęć przeznaczonych do publikacji. Podczas sesji zaszło drobne nieporozumienie: Jennifer przyłapała fotografa na robieniu jej zdjęć, kiedy pochylała się nad martwą wiewiórką. Zdjęcia te z całą pewnością prezentowałyby znacznie większą część jej obfitego biustu, niż było to dopuszczalne, w związku z czym dziewczyna ulokowała celny cios na podbródku reportera. Jego reakcja tak bardzo wytrąciła ją z równowagi, że odmówiła dalszego pozowania.

- Wiem, że to koniec, dziecinko, ale błagam cię, zrób to jeszcze raz! - wykrzyknął z zachwytem, krwawiąc obficie z nosa.

Po ukazaniu się artykułu dział subskrypcji „National Geographic” został zasypany nowymi zamówieniami. Publikacja ta nie uszła także uwagi niejakiego Daniela Springtree, pochodzącego ze szczepu Nawa

150

jego, głównego partnera w spółce adwokackiej Springtree, Basl i Karpas, jednej z najważniejszych w San Francisco. Springtree natychmiast zadzwonił do Omahy i zaczął błagać Jennifer, by pomogła mu spłacić dług wdzięczności, jaki miał wobec sweo insjiańskiego ojca i wszystkich jego współplemieńców. Redwing została przywieziona do San Francisco służbowym samolotem, a kiedy przekonała się, że Springtree ma siedemdziesiąt cztery lata i od pół wieku kocha się bez pamięci w swojej żonie, zrozumiała, że oto nadeszła pora, by opuścić Nebraskę. Pracodawcy z Omahy byli zmnzpaczciiii, ule bezradni; po opublikowaniu fotoreportażu klientela firmy prawie się potroiła.

Tego ranka Jennifer Redwing z firmy Springtree, Basl i Karpas - zgodnie z powszechną opinią już wkrótce nazwa firmy miała ulec zmianie na Basl, Karpas i Redwing - była zajęta sprawami o całe lata świetlne odległymi od wszelkich szczepowych lub plemiennych problemów. Trwało to do chwili, w której zabrzączał interkom i rozległ się głos sekretarki

- Dzwoni pani brat, panno Redwing.

- Charlie?

- Tak jest. Twierdzi, że to coś bardzo ważnego, a ja mu całkowicie wierze Nawet mi nie powiedział, że poznał po brzmieniu mojego głosu, jak bardzo jestem piękna.

- Dobry Boże, nie dawał znaku życia co najmniej od paru tygodni...

- Miesiące, panno Red. Bardzo lubię, kiedy dzwoni. Czy on jest równie przystojny jak pani piękna? To znaczy, czy u was to rodzinne?

- Zrób sobie dłuższą przerwę na lunch i pozwól mi z nim pogadać. - Jennifer nacisnęła podświetlony przycisk na obudowie aparatu - Charlie, kochanie, jak się masz? Nie odżywałaś się od ty... to znaczy od miesięcy.

- Byłem zajęty.

- Masz praktykę w sądzie? Jak ci idzie?
- Już z tym skończyłem.
- Znakomicie.
- Ostatnio spędzam sporo czasu w Waszyngtonie.
- To jeszcze lepiej! - wykrzyknęła siostra.
- Wręcz przeciwnie, dużo gprzej. Najgorzej, jak można sobie Wyobrazić.

151

- Dlaczego tak uważasz? Posada w dobrej waszyngtońskiej firmie to coś, co by ci się naprawdę przydało. Wiem, że nie powinnam ci tego mówić, ale i tak niedługo sam byś się o tym dowiedział. Dzwonił do mnie stary znajomy z Nebraski. Nie tylko zdałeś egzaminy, braciszku, ale w dodatku otrzymałeś najwyższą ocenę! I co ty na to, geniuszu?

- To bez znaczenia, siostrzyczko. Nic już nie ma znaczenia. Kiedy ci powiedziałem, że z tym skończyłem^ miałem na myśli to, że skończyłem z jakimikolwiek marzeniami o prawniczej karierze. Jestem zrujnowany.

- O czym ty mówisz?... Ach, pewnie chodzi o pieniądze...

- Nie.

-O dziewczynę?

:>\* • •

- Nie. O faceta.

- - Charlie, nigdy mi przez myśl nie przeszło, że ty...

- Na litość boską, nie o to chodzi!

- Wiec o co?

- Lepiej umówmy się na lunch, siostrzyczko.

- W Waszyngtonie?

- Nie, tutaj. Jestem na dole, w holu. Nie chciałem wchodzić na górę. Im rzadziej będą cię widywać w moim towarzystwie, tym lepiej dla ciebie... Polecę na Hawaje, zaciągnę się na jakiś statek i popłynę na Samoa. Może tam nie będą nic o mnie wiedzieć...

- Nie ruszaj się z miejsca, przyglupie! Twoja starsza siostra już do ciebie idzie i kto wie, czy nie sfłucze cię na kwaśne jabłko!

: Jennifer Redwing wpatrywała się z osłupieniem w swego brata siedzącego po drugiej stronie stołu. Nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, więc Charlie postanowił przerwać przedłużające się milczenie.

Ładną pogodę macie tu w San Francisco.

- Leje jak z cebra, idioto! - wykrztusiła z trudem. - Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie, z a n i m wdałeś się w konszachty z tym wariatem?

- Słowo daję, Jenny, miałem taki zamiar, ale przecież wiem, jaka jesteś zajęta, a początkowo wyglądało to na świetny kawał i wszyscy znakomicie się bawiliśmy, a on wydawał masę pieniędzy i nikomu nie

152

działo się nic złego, no, może czasem jakaś mała awantura, a potem nagle okazało się, że to nie jest żaden kawał, i znalazłem się w Waszyngtonie.

- Jako strona występująca przed Sądem Najwyższym, w dodatku bez niezbędnych uprawnień!

- To było tylko na pokaz, Jenny. Właściwie nic nie zrobiłem... Tyle że spotkałem się z dwoma sędziami na bardzo nieformalnej stopie...

- Spotkałeś się z...

- To było naprawdę nieformalne spotkanie, siostrzyczko. Na pewno mnie nie zapamiętali.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Hawkins kazał mi kręcić się po głównym holu w indiańskiej koszuli i skórzanych spodniach - powiadam ci, czułem się jak ostatni krety. Pewnego dnia podszedł do mnie wielki czarny sędzia, uściśnął mi rękę i powiedział: „Wiem, skąd tu przyjechałeś, młody człowieku”, a tydzień później drugi, tym razem Włoch, objął mnie i wymamrotał: „Ci z nas, którzy przybyli zza oceanu, są często traktowani wcale nie lepiej od was”.

- O, mój Boże... -jęknęła Jennifer Redwing.

- W holu było mnóstwo ludzi, siostrzyczko - zapewnił ją pośpiesznie ( harlie. - Tłumy turystów, pełno sędziów, prokuratorów i obrońców..

- Charlie, jestem doświadczonym prawnikiem. Dobrze wiesz, że występowałam już przed Sądem Najwyższym. Dlaczego po prostu nie podniosłeś słuchawki i nie zadzwoniłeś do mnie?

- Trochę dlatego, iż wiedziałem, że strasznie się wściekniesz i nawrzeszczysz na mnie, ale chyba głównym powodem było to, iż doszedłem do wniosku, że uda mi się wyperswadować Hawkinsowi całą tę historię. Wyjaśniłem mu, że z powodu mojej sytuacji sprawa jest przegrana, właściwie zanim jeszcze się rozpoczęła, bo nikt nie zezwoli występować przed Sądem Najwyższym prawnikowi bez zaświadczenia o zdanych egzaminach adwokackich, tak samo jak nikt nie pozwoliłby mi brać udziału w rodeo. Zaproponowałem mu, żeby natychmiast wycofał pozew, motywując to ujawnieniem pewnych nie znanych do tej pory faktów... Przynajmniej tyle się nauczyłem, łąząc jak ostatni debil w indiańskiej koszuli i skórzanych pantalonach po głównym holu Sądu Najwyższego. Oni tam są gotowi odwołać sprawę

153

szybciej, niż wuj Orle Oko przełknąłby kolejny kielonek. Trzeba im tylko podsunąć choćby najmniejszy pretekst.

- Jak Hawkins zareagował na twoją propozycję?

- Na tym właśnie polega problem. Nie zdążyłem mu jej do końca przedstawić. Nie słuchał mnie, tylko wrzeszczał jak opętany, a kiedy wreszcie oddał mi ubranie - to, na które przysłałaś mi pieniądze, kiedy zacząłem praktykę...

- Ubranie?

- To jeszcze inna historia. W każdym razie kiedy mi je oddał, miałem już go tak serdecznie dosyć, że po prostu wzięłem nogi za pas. Postanowiłem, że zadzwonię do niego później, na przykład następnego dnia rano, i spróbuję przemówić mu do rozsądku.

- Zrobiłeś to?

- Wyjechał. Zniknął. Johnny Calfnose... Pamiętasz Johnny'ego? •; - Wciąż jeszcze nie zwrócił mi pieniędzy za swoją kaucję.

- No więc, Johnny jest kimś w rodzaju adiutanta Hawkinsa do spraw bezpieczeństwa. Powiedział mi, że Mac polecił do Bostonu, ak zostawił numer telefonii w Weston - to tuż koło Bostonu - pod który Johnny miał dzwonić, gdyby nadeszły jakieś informacje lub listy z Waszyngtonu.

- Wiem, gdzie leży Weston. Przecież spędziłam kilka lat w Cambridge. I co, zadzwoniłeś do niego?

- Próbowałem aż cztery razy, ale wciąż trafiałem na rozhis-teryzowaną babę wywrzaskującą jakieś nieprawdopodobne oskarżenia mające chyba coś wspólnego z papieżem.

- Nic dziwnego. Boston jest w znacznej części katolicki, a w chwilach wielkiego napięcia emocjonalnego wierni szukają oparcia w swoim Kościele. Dowiedziałeś się czegoś jeszcze?

- Nie, ale kiedy zadzwoniłem po raz piąty, numer był zajęty, więc domyśliłem się, że ta wariatka po prostu odłożyła słuchawkę.

- To także oznacza, że Hawkins jest w Bostonie... Masz jeszcze ten numer?

- Znam go na pamięć. - Podał jej go, po czym westchnął rozpaczliwie. - Jestem skończony.

- Jeszcze nie, Charlie - odparła Jennifer, spoglądając z błyskiem w oku na brata. - Twoja sytuacja dotyczy także mojej osoby, i to bardziej niż mogłoby się komukolwiek wydawać. Jestem przecież

154

twoją siostrą, a w dodatku prawnikiem. Niezależnie od tego, co mówi prawo, część winy spada też na mnie. Poza tym jesteś miłym chłopcem i bardzo cię kocham. - Dała znak kelnerowi, który natychmiast podszedł do stolika. - Możesz przynieść mi telefon, Mario?

- Oczywiście, panno Redwing.

- Nie zobaczysz mnie teraz przez wiele lat - podjął Charlie. - Kiedy dotrę do Honolulu albo na Fidzi, natychmiast zaokrętuje się na jakiś statek i...

- Zamknij się, głuptasie! - parsknęła ze zniecierpliwieniem.

Mario przyniósł aparat, podłączył go do gniazdka w ścianie i postawił na stoliku. Jennifer

podniosła słuchawkę i wykręciła numer

- Peggy, to ja. Możesz zrobić sobie nawet dwie godziny przerwy na lunch, pod warunkiem, że załatwisz dla mnie kilka spraw. Po pierwsze ustal nazwisko i adres osoby, do której należy ten numer telefonu w Weston w stanie Massachusetts. - Podyktowała numer zapisany przez (harliego na serwetce. - Potem zarezerwuj mi miejsce w samolocie odlatującym dziś po południu do Bostonu... Tak, do Bostonu Nie, jutro nie będę w pracy, a uprzedzając twoje następne pytanie, informuję cię, że nie przyślę w zastępstwie mojego brata, bo natychmiast byś go zdemoralizowała... Aha, zamów mi też pokój w hotelu. Spróbuj w Czterech Porach Roku, zdaje się, że przy Boylston Street. Kiedyś byłam tam na jakimś przyjęciu.

- Jenny, co ty robisz?! - wykrzyknął Charlie Redwing, kiedy jego siostra odłożyła słuchawkę.

- Wydaje mi się, że to oczywiste. Lecę do Bostonu, ty zaś pójdziesz stąd prosto do mojego mieszkania. gdzie będziesz się grzecznie zachowywał i nie odchodził na krok od telefonu. Jeśli mnie nie posłuchasz, każę aresztować cię pod zarzutem oszustwa i niepłacenia długów, albo poproszę jednego z przyjaciół, żeby wziął cię pod opiekę. Szczerze mówiąc, wolał;.! bym wsadziła cię do paki, bo ten przyjaciel jest trochę nerwowy, a w dodatku gra na środku ataku.

- Kategorycznie odmawiam podporządkowania się przemocą! Pytam jeszcze raz: Co ty wyrabiasz, do wszystkich diabłów?

- Mam zamiar odnaleźć tego szalonego Hawkinsa i powstrzymać go. Nie tylko ze względu na ciebie, Charlie, ani tym bardziej na mnie, ale mając na uwadze dobro naszego szczerpu.

155

- Wiem, wiem... Stalibyśmy się pośmiewiskiem we wszystkich rezerwach. Mówiłem o tym Hawkinsowi.

- Gorzej, braciszku, znacznie gorzej. Wszystko, co powiedziałeś, wskazuje na zbliżającą się nieuchronnie katastrofę. Baza lotnicza Offutt, którą twój zwariowany generał obrał za główny cel ataku, stanowi siedzibę ogólnoswiatowego Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych. Bez względu na to jak idiotyczna może się wydawać cała ta sprawa, czy naprawdę przypuszczasz, że wodzowie z Waszyngtonu pozwolą na jakiegokolwiek zakłócenie działania najważniejszego ogniwa w łańcuchu bezpieczeństwa narodowego?

- A co mogą zrobić oprócz tego, że wyśmieją nas przed sądem, a przy okazji załatwią mnie na amen za to, że złożyłem pozew nie mając koniecznych uprawnień?

- Mogą wprowadzić nowe prawa, Charlie. Prawa, które zniszczą nasz szczerp. Zaczną od zagamięcia lub wykupienia ziemi i rozproszenia ludzi. Do licha, przecież już nieraz to robili pod pozorem budowy autostrad, a nawet lokalnych dróg i mostów. Wyobrażasz sobie, do czego może dojść, kiedy uruchomią nieograniczone zasoby finansowe wojska?

- Rozproszenie?... - zapytał cicho Charlie.

- Roześlą ludzi do byle jakich domków i nędznych mieszkań, tak daleko jeden od drugiego, jak tylko możliwe. To co mamy - a raczej m a j ą - teraz na pewno w niczym nie przypomina rajskiego ogrodu, ale przynajmniej jest ich. Wielu spędziło tam całe życie, czyli siedemdziesiąt albo nawet osiemdziesiąt lat. Za obojętnymi statystykami, które może nawet w jakimś stopniu odzwierciedlają ogólnonarodowe interesy, kryją się bardzo ludzkie, indywidualne dramaty.

- Waszyngton naprawdę mógłby zrobić coś takiego?

- Wystarczy jedno mrugnienie okiem. To nic nowego. Lokalne drogi i drugorzędne mosty pochłaniają ułamek promila z pieniędzy podatników, natomiast takie przedsięwzięcia jak Strategiczne Siły Powietrzne stanowią prawdziwą studnię bez dna.

- Ale co chcesz osiągnąć w Bostonie?

- Chcę porządnie kopnąć w dupę pewnego emerytowanego generała, a może i jeszcze parę innych osób.

- W jaki sposób?

- Tego się dowiem dopiero wtedy, kiedy ich znajdę, ale podejrzewam, że będzie to coś równie niesamowitego jak szaleństwo, które

156

próbują wysmażyć.. Na przykład spisek zawiązany przez wrogów demokracji, mający na celu powalenie na kolana czcigodnego olbrzyma. i zniszczenie siły uderzeniowej naszego



ukochanego kraju. Do tego można dodać państwowy terroryzm o rasistowskich podtekstach, finansowany przez fanatycznych Arabów, zawziętych Żydów, twardo-głowych Chińczyków, wyznawców Kriszny, Fidela Castro, mieszkańców *Ulicy Sezamkowej* i Bóg wie kogo jeszcze. Na tej planecie jest mnóstwo zepsutych i psujących się ryb, które należy jak najprędzej uprzętać. Ogłosimy, że już podczas wstępnych przesłuchań, jeszcze przed rozprawą, obnażymy całą ohydę wrażliwych knońców.

- Podczas wstępnych?...

- Słyszałaś, co powiedziałam.

- Jenny, to zupełnie wariactwo!

- Wiem, Charlie, ale oni postępują dokładnie tak samo. Błogosławieństwo a zarazem przekleństwo życia w wolnym społeczeństwie polega na tym, że każdy może oskarżyć każdego. Liczy się nie wyrok, ale samo wystawienie na widok publiczny Boże, nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie znajdę się w Bostonie!...

## 10

**Desi** Pierwszy zastukał trzeci raz do drzwi hotelowego pokoju, po czym spojrzął na Desiego Drugiego i wzruszył ramionami. Desi Drugi odpowiedział tym samym gestem.

- Może ten *loco* dał nogę?

- Niby po co?

- Nie dał nam *dineros*, zgadza się?

- Eee, chyba tego nie zrobił. Nawet nie chcę o tym myśleć.

- Ja też nie, ale przecież kazał nam przyjść za godzinę, no nie?

- Może kofinał? Może załatwił go drugi *gringo*, ten co ciągle wrzeszczał?

- Trza by wywalić drzwi.

- I narobić tyle hałasu, żeby policja zwałała nam się na łby? Nie chcę znowu żreć tego, co oni dają tu w pierdłu. Masz łeb na karku, *amigo*, ale brakuje ci zdolności mechanicznych, kapujesz?

- Jaki *mecanicol*

- Ej, umówiliśmy się, żeby gadać tylko po angielsku, no nie? - odparł Desi Drugi, wyjmując z kieszeni mały przyrząd, przypominający nieco scyzoryk. - Żeby się lepiej „zasymulować”, wszystko jedno co to znaczy. - Specjalista od uruchamiania chevroletów rozejrzał się szybko po korytarzu i podszedł do drzwi. - Nie będziemy nic wywalać. Te zaniki są *plastico*, kumasz? W środku mają taki biały plastikowy dzwonek.

- Człowieku, skąd ty tyle wiesz o hotelowych drzwiach?

- Kiedyś robiłem w Miami za kelnera. *Gringo* dzwonił, żeby mu

158

przynieść drinka, ale zanim dodyrdałeś do pokoju, był już tak "zalany, że nie mógł ci otworzyć, a ty musiałeś odnieść tacę do kuchni, bo jak nie, to dostawałeś po łbie. Warto się nauczyć otwierać te drzwi, no nie?

- Tak, to dobra szkoła.

- Przedtem pracowałem na parkingach. *Mądre Maria, to univer-sidades*] - Desi Drugi wsunął w szczelinę zamka wąskie ostrze, przekreślił je i otworzył drzwi. - *Senor!* - wykrzyknął z niepokojem. - Nic ci nie jest, człowieku?

Sam Devereaux siedział nieruchomo za biurkiem, ze szklistym spojrzeniem utkwionym w leżących przed nim papierach.

- Miło mi znowu was widzieć - powiedział cicho.

- O mało nie wywaliliśmy drzwi! - wykrzyknął Desi Pierwszy. - Co z tobą?

- Mnie proszę już nie wywalać - padła spokojna odpowiedź. - Dźwigam na barkach odpowiedzialność za losy świata. Już was nie potrzebuję.

- Daj spokój, *gringo* - powiedział pojednawczym tonem D-Jeden, podchodząc do biurka. -

To nie było nic osobistego. Robimy tylko to, co nam każe ten *grandę* henerał.

- Ten *grandę* uc n n j j i i . hemoroidy w ustach.
- Nieładnie tak mówić - skarcił Sama D-Dwa. Zamknął za sobą drzwi, schował do kieszeni sprytnie urządzonego i dołączył do swego kompana. - Gdzie się podział henerał i ten mały facio?
- Kto?... A, poszli na obiad. Może dołączycie do nich?
- Kazał nam przyjść tu za godzinę, a my jesteśmy dobrzy *soldados*.
- Tak, oczywiście. Trudno mi wypowiadać się na ten temat, ponieważ iik uczestniczyłem w procesie decyzyjnym.
- Co ty pieprzysz? - zapytał D-Jeden, spoglądając na Sama z taką miną, z jaką mógłby oglądać pod mikroskopem wyjątkowo zdeformem ,u ;• .... ^ . a
- Chłopcy, jestem teraz trochę zajęty i naprawdę nie żywię do was żadnei urazy. Możecie mi wierzyć, mam już za sobą to, przez co Wy teraz przechodzicie
- Co to znaczy? - zapytał ponownie D-Jeden.
- Cóż, Mac dysponuje nadzwyczaj silną osobowością i potrafi być bardzo przykomiiia^,
- Jaki mac? To hamburger umie gadać?

159

- Nie MacDonald, tylko MacKenzie. On tak się nazywa, a ja mówię na niego Mac, żeby było krócej.

- Tylko nic mu nie skracaj! - obruszył się D-Dwa. - To wielki *gringo*.
- Chyba właśnie na tym polega jego problem. - Sam zamrugał raptownie, odchylił się do tyłu razem z fotelem i zwiesił głowę za oparcie, by ulżyć naprężonym mięśniom karku. - Wielki, twardy, bezwzględny i silny, zmusza takich jak wy albo ja, żebyśmy postępowali zgodnie z jego wolą, choć wcale nie leży to w naszym interesie... Wy dwaj jesteście cwanyimi prostakami, ja jestem cwanyim prawnikiem, a mimo to on daje nam łupnia...
- Mnie tam nikt nie daje łupnia! - przerwał mu stanowczo D-Jeden.
- Posłużyłem się tym zwrotem jako przenośnią, ponieważ chciałem...
- Gównu mnie obchodzi, co chciałeś. Przy nim ja i mój kumpel czujemy się lepsi! I co na to powiesz?
- Nic nie przychodzi mi do głowy.
- Gadaliśmy o tym przy tej budzie z paskudnymi hot-dogami, co stoi za rogiem, i obaj myślimy tak samo: ten *loco* jest w porządku!
- Tak, wiem o tym... - odparł Devereaux ze znużeniem, ponownie spoglądając na leżący przed nim plik papierów. - Cieszę się, że go lubicie.
- Skąd on właściwie jest? - zapytał Desi Pierwszy.
- Skąd?... A skąd mam wiedzieć, do cholery? Z wojska, skąd by indziej!
- Desi Pierwszy i Desi Drugi wymienili spojrzenia.
- Jak my widzieli w tym oknie z klawymi obrazkami, no nie? - powiedział Pierwszy, zwracając się do swego towarzysza.
- Trza jeszcze sprawdzić nazwisko - odparł Drugi.
- Ano. - Desi Pierwszy odwrócił się do pochłoniętego lekturą Sama. - *Senor* Sam, rób, co mówi mój kumpel.
- To znaczy co?
- Napisz, jak się nazywa ten *grandę* henerał.
- Dlaczego?
- Bo jak nie napiszesz, to możesz mieć kłopoty z palcami.
- Cokolwiek sobie życzycie - odparł szybko Devereaux, chwytając ołówek i wyrwijając kartkę z notatnika. - Bardzo proszę - dodał, zapisując nazwisko i stopień Hawkinsa. - Niestety nie znam

160

adresu ani numeru telefonu, ale później będziecie to mogli sprawdzić w zakładach penitencjarnych.

- Brzydko gadasz o *grandę* henerale? - zapytał podejrzliwie Desi Drugi. - Czemu go nie lubisz? Czemu uciekłeś, wrzeszczałeś na niego i chciałeś się stawiać?
- Ponieważ byłem bardzo złym, wręcz okropnym człowiekiem - wyjaśnił potulnie Sam, rozkładając ręce na znak bezradności. - On był dla mnie taki dobry - sami widzieliście, jak miło

ze mną rozmawiał - a ja okazałem się skończonym egoistą! Nigdy sobie tego nie wybaczę, ale teraz zrozumiałem swój błąd i postanowiłem mu go wynagrodzić, pracując dla niego z całych sił... Jutro z samego rana pójdę do kościoła poprosić Boga, by wybaczył mi, że byłem tak okropny dla wielkiego człowieka.

- W porządku, *senor* Sam - powiedział Desi Drugi z nutą przebaczenia w głosie. - Przecie nikt nie jest doskonały. Pan Jezus świetnie o tym wie.

- Możecie być tego pewni... - mruknął Devereaux pod nosem. - Znam pewną zakonnice, która mogłaby wyczerpać nawet Jego cierpliwość.

- Co tam mamrzesz?

- Mówię, że twoje słowa są jak doskonale znana cierpliwość zakonnice. To takie amerykańskie wyrażenie, które oznacza, że całkowicie się z tobą zgadzam.

- Świetnie - wtrącił się Desi Pierwszy - ale ja i Desi Drugi musimy tera zdrowo poijhmkowac. więc idziemy *vamos* i wierzymy na słowo religijnemu facetowi, że *grandę* henerał jest OK.

- Obawiam się, że nie rozumiem...

- *Grandę* henerał wisi nam *diner os*...

- Masz na myśli pieniądze?

- To właśnie mam na myśli, *gringo*, i oba mu zaufamy, ale musimy być zupełnie pewni, kumasz? Powiedz *grandę* henerałowi, że jutro wrócimy po nasze *dineros*, dobra?

- Dobrze, ale dlaczego na niego nie zaczekacie... na zewnątrz, ma się rozumieć?

- Już ci powiedziałem, że musimy trochę pogłówkować... I musimy wiedzieć na pewno, że jest w porządku.

- Szczerze mówiąc, wciąż nic nie rozumiem...

- Bo nie musisz. Tylko mu to powiedz, klawo?

161

- Jasne.

- Idziemy, *amigo* - powiedział Desi Pierwszy, spoglądając na przegub, na którym pyszniły się trzy zegarki. - Cholera, teraz to już nikomu nie można wierzyć! Ten pieprzony rolex to podróbka!

Po tym zagadkowym stwierdzeniu Desi Pierwszy i Desi Drugi pomachali uprzejmie Samowi, po czym opuścili apartament. Devereaux potrząsnął głową, napił się nieco brandy i ponownie pogrzyżył w lekturze dokumentów leżących przed nim na biurku.

Owit rozjaśnił niebo nad wschodnim horyzontem w Bostonie w stanie Massachusetts. Stało się tak ku gniewnemu niezadowoleniu Jennifer Redwing, która zapomniała zaciągnąć zasłony. Ostre promienie wiszącego nisko na niebie słońca przedostały się pod powieki i obudziły ją ze snu... Do licha, nie zapomniała, tylko po prostu była zbyt zmęczona, żeby pamiętać o takich szczegółach, kiedy wreszcie o drugiej w nocy dotarła z lotniska do hotelu. Nawet dla tak energicznej osoby cztery godziny snu to było zdecydowanie za mało, lecz okoliczności nie pozwalały na dłuższe pozostanie w łóżku. Wstała, częściowo zasłoniła okno, włączyła lampkę stojącą na nocnej szafce i zajrzała do karty hotelowej, znajdując tam to, co spodziewała się ujrzeć: informację o tym, że gości obsługiwano przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Następnie podniosła słuchawkę, zamówiła kontynentalne śniadanie i pogrzyżyła się w rozmyślaniach o czekającym ją dniu.

Wszystko sprowadzało się do zneutralizowania pewnego przekłętego byłego generała, niejakiego MacKenziego Hawkinsa, oraz wszystkich sukinsynów, którzy mogli za nim stać. Zrobi to, rozniesie ich na strzepy, nie zważając na koszty, jakie będzie musiała ponieść, nawet jeśli przyjdzie jej zapuścić się w kręte uliczki prawnych kombinacji, których do tej pory starała się unikać. Dziś sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej. Choć odczuwała ogromną wdzięczność wobec swojego plemienia - dawała wyraz tej wdzięczności, przekazując na potrzeby swego ludu dokładnie jedną trzecią wszystkich dochodów - to jednak ogarniała ją

nieopisana wściekłość na myśl o tym, że jacyś obcy chcieli wykorzystać dla finansowego zysku trudną historię tegoż plemienia i naiwność jego członków. Charlie miał rację, choć błędnie zinterpretował jej gniew; ona nie tylko zmiążdżyła tego

162

Hawkinsa, ale ich wszystkich, co do jednego człowieka - tak, żeby zapamiętali to do końca życia!

Pojawiło się śniadanie, a z nim odrobina spokoju. Musi się skoncentrować. Na razie dysponuje jedynie numerem telefonu i adresem w Weston. Niewiele, ale na początek wystarczy. Dlaczego czas nie płynie szybciej? Niech to szlag trafi, chciałaby już przystąpić do działania!

O wpół do szóstej rano Sam Devereaux, z opuchniętymi, nabiegłymi krwią oczami, skończył lekturę pozwu złożonego przez Indian Wopotami, sporządziwszy trzydzieści siedem stron notatek.

Boże, teraz musi odpocząć choćby po to, by móc spojrzeć na wszystko z perspektywy, o ile taka w ogóle istnieje w tej zwariowanej historii! W głowie huczało mu od setek ważnych i nieważnych faktów, definicji, wniosków i sprzeczności. Pewien okres spokoju przywróci mu jednak tak często podziwianą umiejętność dokonywania logicznych analiz, umiejętność, która obecnie skarłała do tak mikroskopijnych rozmiarów, iż poważnie wątpił, czy dałby sobie radę nawet podczas zabawy w przed ołu - na przykład gdyby musiał nakłonić Sanforda-

-jakiegoś-tam, by odstąpił od zamiaru stłuczenia go na kwaśne jabłko. Często się zastanawiał nad dalszymi losami tego nadmiernie umięśnionego osiłka; najprawdopodobniej został zawodowym oficerem albo terrorystą. Pod wieloma względami przypominał Szalonego Maca Hawkinsa, obecnie pograżonego we śnie w sypialni należącej do tego samego apartamentu. To on ponosił całkowitą odpowiedzialność za odgrzebanie liczącego sobie niemal dwieście lat nieszczęścia i przedstawienie go Aaronowi Pinkusowi oraz Samuelowi Lansingowi Devereaux, obecnie szczerze żałującemu, że kiedykolwiek wciągnął na grzbiet prawniczą togę. Chciałby to zrobić jeszcze najwyżej raz w życiu, przed rozstrzelaniem w podziemiach Pentagonu z rozkazu prezydenta, Departamentu Obrony, CIA oraz cór amerykańskiej rewolucji. Z kolei Aaron... Biedny Aaron! Nie tylko musiał stawić czoło Shirley w-

-zrobionej-zupełnie-niepotrzebnie-trwaki i przedstawić jej w miarę choćby sensowne powody, dla których nie stawiał się z żoną na otwarciu nowej galerii sztuki, ale on także przeczytał indiański pozew, sam w sobie stanowiący zaproszenie do obłędu.

163

Boże Wszechmogący - Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych! Jeśli te przygłupy z Sądu Najwyższego uznają, że pozew jest choćby częściowo uzasadniony - a odwoływano się w nim nie tylko do sformułowanych na piśmie przepisów, lecz także do sumień sędziów - to Dowództwo stanie się własnością maleńkiego, ubogiego plemienia noszącego idiotyczną nazwę Wopotami! W kwestiach tego rodzaju prawo nie pozostawiało żadnych wątpliwości: wszystkie budowle i inne konstrukcje wzniesione na bezprawnie zagarniętych terenach przechodzą na własność strony pokrzywdzonej. Niech to jasna cholera!

Powinien odpocząć - może nawet przespać się trochę, gdyby tylko mu się udało. Aaron udzielił mu dobrej rady, kiedy około północy wrócił z Hawkinsem do hotelu, a Sam natychmiast zasypał generała historycznymi pytaniami i oskarżeniami.

- Dokończ to, chłopcze - powiedział Pinkus - potem prześpij się trochę, a jutro sobie porozmawiamy. W tej chwili jesteś tak zdenerwowany, że nie możesz odnaleźć właściwych notatek, mnie zaś czeka jeszcze trudna przeprawa z moją kochaną Shirley. Sam, dlaczego w ogóle wspomniałeś przy mnie o tym nieszczęsnym przyjęciu?

- Bałem się, że będziesz na mnie wściekły, kiedy się dowiesz, że nie chciałem na nie pójść z jednym z twoich najbogatszych klientów, ponieważ jego żona bez przerwy mnie podrywa. Poza tym to nie ja powiedziałem o tym Shirley.

- Wiem, wiem... -jęknął z rezygnacją Aaron. - Czy uwierzysz, że powtórzyłem jej to tylko dlatego, że bardzo mnie to rozbawiło, a przy okazji podkreśliłem zacność twego charakteru? Wystarczyłoby jedno kiwnięcie palcem tej damy, a co najmniej pięciuset znanych mi prawników rzuciłoby się jej do stóp.

- Sam nie jest z takich, komendancie Pinkus - stwierdził z dumą MacKenzie Hawkins. - On

ma twarde zasady, tylko że nie zawsze o tym pamięta...

- Generale, czy mogę zaproponować po raz kolejny, aby z powodów, które omawialiśmy podczas kolacji, zechciał pan zniknąć z pola widzenia Sama? Z pewnością będzie panu bardzo wygodnie w małej sypialni.

- Jest tam telewizor? Czasem w nocy nadają wojenne filmy. To najlepsze, co można obejrzeć.

164

- Nawet nie będzie pan musiał wstać z łóżka. Wystarczy okopać się w pościeli prowadzić ostrzał z pilota.

Boże, jaki jestem wykończony! - pomyślał Devereaux, wstając z fotela i kierując się niezbyt pewnym krokiem do głównej sypialni; nawet nie zwrócił uwagi, że Aaron uprzejmie zostawił włączoną lampkę przy łóżku. Zamknął starannie drzwi, a następnie skoncentrował uwagę na butach: który z nich powinien zdjąć jako pierwszy i w jaki sposób? Problem sam się rozwiązał, kiedy Devereaux dotarł do łóżka i padł na nie jak nieżywy, w butach i ubraniu. Sen nadszedł natychmiast." Zaraz potem z bezdennych otchłani dotarł do jego uszu natarczywy, wstrętny odgłos. Z każdą chwilą przybierał na sile, wywołując bolesne eksplozje w pograżonym w ciemności wszechświecie. Sam otworzył oczy i sięgnął po telefon; umieszczony w szafce przy łóżku zegar wskazywał ósmą czterdzieści.

- Słucham? - wymamrotał.

- Tu program *Poszukajcie w pamięci, szczęśliwczu!* - wrzasnął radośnie jakiś głos. - Dziś rano dzwoniemy do hoteli wylosowanych przez przedstawiciela naszej wspaniałej publiczności, do wybranych losowo pokoi, i oto szczęście uśmiechnęło się właśnie do pana! Wystarczy, jeśli powie pan, jak się nazywał nasz bardzo wysoki, brodaty prezydent, który wygłosił w Gettysburgu bardzo ważną mowę, a wygra pan wspaniałą, zupełnie nową suszarkę do ubrań firmy Watashiti! Czekamy na odpowiedź, szczęściarzu!

- Odpieprzcie się - jęknął Sam, mrużąc oczy w promieniach słońca wpadających przez okno.

- Zatrzymać taśmę! Poślijcie na scenę zonglujących karłów, żeby...

Devereaux odłożył słuchawkę i ponownie jęknął. Musiał wstać z łóżka i przeczytać notatki, a nie miał na to najmniejszej ochoty. Właściwie na nic nie miał ochoty, gdyż najbliższa przyszłość jawiła mu się pod postacią ogromnej czarnej dziury, która tylko czeka, żeby go połknąć i wchłonąć. W swoje bezdenne trzewia, gdzie spadałby bez końca w nieprzeniknionej ciemności, na darmo wzywając pomocy Przekłętą Hawkins! Dlaczego ten maniak musiał znowu pojawić się w jego życiu?... Właśnie, a gdzie on się właściwie podział? Przecież takie stare konisko, otrzaskane w niezliczonych bojach, powinno witać każdy ranek dziarskim, wojowniczym rzeniem. Może umarł we śnie?... Nie, takie cuda się nie zdarzają. Mac będzie trwał wiecznie, terroryzując kolejne pokolenia niewiastek. Jednak cisza i MacKenzie Hawkins to groźne połączenie; nie ma nic groźniejszego\*! go iiiiż poruszający się bezszelestnie drapieznik. Sam wstał z łóżka -

165

lekką zdziwiony, ale bynajmniej nie zdumiony faktem, że nawet nie zdjął butów - i podszedł niepewnym krokiem do drzwi. Uchyliwszy je ostrożnie, ujrzał von Maniaka z okularami na nosie siedzącego w szlafroku za biurkiem Aarona i przeglądającego nieszczęsny pozew. Ktoś nie uprzedzony mógłby go wziąć za dobrodusznego, wiekowego dziadka.

- Poranna lektura, Mac? - zapytał z przekąsem Devereaux, wchodząc do saloniku.

- Witaj, Sam - powitał go ciepło Jastrząb i zdjął okulary gestem podstarzałego, emerytowanego naukowca. - Dobrze spałeś? Nie słyszałem, kiedy wstałeś z łóżka.

- Nie próbuj mydlić mi oczu, ty zdradliwy pytonie. Oprócz telefonu, który odebrałem, słyszałeś na pewno każdy mój oddech, a gdyby tu rosły drzewa i było wystarczająco ciemno, na pewno miałbym już założoną na szyję garotę.

- Synu, sprawiasz mi ogromny ból, oceniając mnie tak niesprawiedliwie.

- Takie stwierdzenie mógł wygłosić tylko megaloman pozbawiony krzty krytycyzmu.

- Wszyscy się zmieniamy, chłopcze.

- Lampart ma cętki, kiedy się rodzi, i ma je, kiedy umiera. Ty jesteś właśnie takim lampartem.

- To chyba trochę lepiej, niż być pytonem, co?... Na tamtym stoliku znajdziesz sok

pomarańczowy, kawę, a także duńską nalewkę ziołową. Skosztuj trochę, żeby podnieść sobie poziom cukru we krwi, to bardzo ważne zaraz po obudzeniu.

- Zajmujesz się teraz geriatrią? - zapytał Devereaux, nalewając sobie kawę. - Sprzedajesz naiwniakom cudowne specyfiki?

- Na pewno nie staję się młodszy, Sam - odparł Hawkins z nutą smutku w głosie.

- Trochę nad tym myślałem i wiesz, do jakiego wniosku doszedłem? Że będziesz żył wiecznie, stanowiąc śmiertelne zagrożenie tej planety.

- To robi wrażenie, synu. Istnieją nie tylko zagrożenia niekorzystne, ale także jak najbardziej pozytywne. Jestem ci wdzięczny, że zechciałeś zaliczyć mnie do tak ważnej kategorii. «

- Boże, z tobą nie da się wytrzymać! - jęknął Sam. Wziął napełnioną filiżankę, podszedł do fotela stojącego przed biurkiem

166

i zajął w nim miejsce. - Mac, skąd zdobyłeś te materiały? W jakisposób je zdobyłeś? JCo to wszystko złożył do kupy?

- A nie powiedziałem już tego?

- Nawet jeśli to zrobiłeś, to nie usłyszałem ani słowa, ponieważ znajdowałem się w szoku. Zaczniemy od tajnych archiwów. Jak?

- Cóż, przede wszystkim powinieneś wczuć się w psychologiczne problemy tych z nas, którzy w pocie czoła pracują na najwyższych stanowiskach, zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Spróbuj zrozumieć, w jak paradoksalnej sytuacji znajdujemy się po wielu latach służby...

- Daruj sobie to pieprzenie, Mac - przerwał mu ostro Devereaux. - Wal prosto z mostu.

- Zostajemy wyruchani, Sam.

- Rzeczywiście, walnąłeś. >••

- Zarabiamy maksymalnie połowę tego, co moglibyśmy dostać w sektorze prywatnym, przy czym większość z nas uważa, że nasza praca daje coś więcej niż tylko zwykłe pomnożenie dochodu. Nazywamy to wkładem, Sam. Prawdziwym, uczciwym wkładem w rozwój systemu, w który wierzymy...

- Przestań, Mac. Już to wszystko słyszałem. Macie także bardzo wysokie "emerytury, przysługuje wam mnóstwo ulg, rząd opłaca za was ubezpieczenie, a jeśli się przypadkiem okaże, że ktoś z was nie nadaje się do roboty, którą wykonuje, to cholernie trudno jest wysadzić go ze stołka.

- Prezentujesz bardzo wąski punkt widzenia, Sam. Twoje oceny odnoszą się do nielicznych wyjątków, ale z pewnością nie do przeważającej większości.

- W porządku. - Devereaux pociągnął łyk kawy i spojrzał twardo na Jastrzębia. - Przypuśćmy, że masz rację. Prawie nie spałem tej nocy, czuję się paskudnie i próbuję się na tobie wyżyć, bo stanowisz łatwy cel. A teraz powiedz mi, w jaki sposób dotarłeś do tych archiwów; i innych dokumentów?

- Pamiętasz Brokeya Brokemichaela? Nie Ethelreda, tylko Hesel-tine'a tego, którego tak strasznie zmieszasteś z błotem?

- Nawet jeśli dożyję czterystu lat, to nie zapomnę tego idiotycznego nazwiska. Nie wiem natomiast, czy ty pamiętasz, że to właśnie oni, a raczej któryś « nich, pchnęli mnie na drogę wiodącą do zguby, przykuli, , voJ mi d9 przegubu teczkę z dwoma tysiącami stronic tajnych akt.

167

- Rzeczywiście, Brokey miał z tym trochę wspólnego... Widzisz, kiedy armia nie dała mu trzeciej gwiazdki - dzięki tobie, mój młody przyjacielu, oraz dzięki zamieszaniu z nazwiskami - uniósł się dumą i powiedział „Odchodzę!” Cóż, nawet armia ma sumienie, nie mówiąc już o znajomościach. Nie można, ot tak sobie, pozwolić, żeby żywa wojskowa legenda przepadła bez śladu lub zmarniała w jakimś zakurzonym kącie. Brokey zachował się przecież bardzo lojalnie - nie sprzedał obcemu wywiadowi żadnych informacji i nie szantażował nikogo tym, czego zdołał się przez te wszystkie lata dowiedzieć. Toteż chłopcy z Departamentu Obrony zaczęli szukać dla niego jakiejś posady, czegoś nie wymagającego zbyt silnego główkowania, ale z ładnym

tytułem i dobrą pensją, która uzupełniłaby całkowicie zasłużoną emeryturę.

- Nie musisz mówić nic więcej - przerwał mu Sam. - Biuro do Spraw Indian.

- Zawsze twierdziłem, że jesteś najbystrzejszym porucznikiem, jaki kiedykolwiek służył pod moimi rozkazami.

- Byłem majorem!

- Tylko chwilowo. Potem zostałeś zdegradowany przez przyjaciół Heseltine'a. Nie dostarczono ci zawiadomienia?

- Tylko jakiś świstek z moim nazwiskiem i datą przeniesienia do cywila... A więc mamy prawdziwe *deja vu*: ty i podstępny Brokemichael znowu pojawiliście się w moim życiu... Zapewne Brokey, kierując się lojalnością wobec dawnego towarzysza broni, uznał za stosowne przewietrzyć zatechłe archiwa i poszperać trochę w najbardziej tajnych aktach?

- Skądże znowu! - zaprotestował Jastrząb. - Nie ma mowy o żadnych działaniach podejmowanych na oślep. Bezpośredni atak poprzedziło długotrwałe i bardzo staranne rozpoznanie. Naturalnie nie będę zaprzeczał, iż fakt, że Brokey zajmuje właśnie to, a nie inne stanowisko, wywarł bardzo korzystny wpływ na efektywność naszych poczynań, natomiast dostęp do archiwum znacznie ułatwił nam zadanie, ale najważniejsze ustalenia zostały poczynione w wyniku mrówczej, trwającej wiele miesięcy pracy. Dopiero wtedy podjęto konkretne decyzje.

- Dotyczące wdarcia się bez sądowego nakazu do najtajniejszej części archiwów?

- Cóż, synu, chyba przyznasz mi rację, że pewne operacje należy przeprowadzać w ukryciu i bez nadmiernego rozgłosu.

168

- Szczególnie takie, jak napady na bank lub ucieczki z więzienia.

- To są przestępstwa, Sam, my zaś staramy się zadośćuczynić ofiarom wielkiego przestępstwa.

- Kto poskładał to wszystko do kupy?

- Co masz na myśli?

- Kto to napisał? Chodzi mi o zastosowanie słownictwa, konstrukcję logiczną, dobór argumentów i sformułowanie zarzutów.

- Och, to wcale nie było takie trudne. Może najwyżej trochę czasochłonne

- Słucham?

- W podręcznikach można znaleźć mnóstwo gotowych wzorów, a reszta zależy już tylko od możliwie najbardziej pogmatwanego języka, który co prawda niczego nie zmienia, ale dodaje tekstowi powagi.

- Chcesz powiedzieć, że ty to zrobiłeś?

- Jasne. Poruszałem się wstecz, stopniowo zwiększając stopień komplikacji dorzucając nieco szczerzego oburzenia.

- Jezus, Maria!

- Rozlałeś kawę, Sam.

- Przecież to najlepszy pozew, jaki widziałem w życiu!

- Nie liczyłem aż na tak wiele, ale bardzo ci dziękuję, synu. Pisałem go po jednym zdaniu, korzystając ze wszystkich dostępnych podręczników. Każdy mógłby to zrobić, pod warunkiem, że miałyby prawie dwa lata czasu i nie oszalały od tego nadętego chrzanienia. Wiesz, czasem przez > dzień udało mi się napisać zaledwie poi strony... Znowu rozlałeś kawę, chłopcze.

- Możliwe, że zaraz się wyrzygam - powiedział Devereaux drżącym głosem, wstając niezbyt pewnie z fotela. Na spodniach miał wielką plamę po kawie. - Jestem omamem, naprawdę wcale nie istnieję. Jestem jedynie drobnym aspektem jakiegoś nie odkrytego wymiaru, w którym oczy i uszy wirują wokół siebie po ciasnych spiralach, widząc i słysząc, lecz nie znając pojęcia formy ani materii...

- Pięknie to ująłeś, Sam. Gdybyś dorzucił jeszcze kilka „aczkolwiek” i wepchnął w parę miejsc „strony lub pełnomocnicy stron”, mógłbyś iść z tym do sądu... Dobrze się czujesz, chłopcze?

- Nie, nie czuję się dobrze - odparł Devereaux uduchowionym szeptem, - Jednak muszę zaleczyć rany i postępować według nakazów

przeznaczenia, by przeżyć kolejny dzień i odnaleźć cienie wśród światłości.

'- Gdzie? Paliłeś może trawkę albo coś w tym rodzaju? ;

- Nie dyskutuj o sprawach, które przerastają twoją zdolność pojmowania, panie neandertalczyku. Jestem teraz jak zraniony orzeł, który wzbija się wysoko w niebo, by znaleźć wybawienie od czyhającej na niego ziemi.

- Pięknie, Sam! Mówisz jak prawdziwy Indianin!

- Kurwamać!

- Teraz już znacznie gorzej. Rada Starszych nie pochwała takiego języka.

- Posłuchaj mnie więc, ty anglosaski dzikusie! - ryknął niespodziewanie Sam. Przez chwilę wydawało się, że straci panowanie nad sobą, ale zaraz ściszył głos do poprzedniego, uduchowionego szeptu. - Dokładnie pamiętam, co powiedział Aaron: „Porozmawiamy jutro”, tak właśnie powiedział, a ponieważ wyrażenie jutro nie zawiera precyzyjnego określenia konkretnej godziny, w związku z tym, interpretując je w szerokim znaczeniu semantycznym, przyjmuję jako jego wykładnię definicję implikującą, iż w przypadku zastosowania wzmiankowanego wyrażenia należy rozumieć, że posługująca się nim osoba odnosi go do pojęcia oznaczającego całą dobę, od świtu do zmierzchu, w związku z czym...

- Sam, może przynieść ci torebkę z lodem albo aspirynę? A może trochę tej znakomitej brandy?

- Niczego od ciebie nie chcę, ty podła zakała planety! Musisz mnie wysłuchać do końca! To rozkaz!

- Rozkaz?... Chłopcze, posługujesz się moją terminologią!

- Cicho bądź! - Devereaux stanął przy drzwiach apartamentu i odwrócił się do byłego generała. Ciemna plama na jego jasnych spodniach osiągnęła katastrofalnie duże rozmiary. - Niniejszym oświadczam, że dalsza część naszej rozmowy odbędzie się po południu, natomiast konkretna godzina zostanie ustalona w toku dalszych negocjacji prowadzonych drogą telefoniczną.

- Dokąd idziesz, synu?

- Idę tam, gdzie będę mógł znaleźć spokój i odosobnienie, by zebrać rozproszone myśli. A mam wiele do myślenia, panie potworze. Wracam do domu, do mej ostoji, gdzie spędzę godzinę pod gorącym prysznicem, a potem zasiądę w ulubionym fotelu

170

i pograżę się z rozważaniach. *Au revoir, mañ ennemi du coeur*, gdyż tak właśnie musi być.

- Że co?

- Do zobaczenia, generale Barania Dupo.

Z tymi słowami Devereaux wyszedł na korytarz, zamknął za sobą drzwi i skręcił w prawo ku windom. Fakt, że wykorzystał w rozmowie z Jastrzębiem niemal całą swoją znajomość francuskiego, skierował jego myśli ku Anouilhowi oraz konkluzji, do jakiej doszedł dramaturg - iż są takie chwile w życiu człowieka, kiedy nie pozostaje mu nic oprócz krzyku. To była jedna z takich chwil, lecz Sam nie poddał się pokusie Wziął się w garść i nacisnął przycisk.

Po chwili drzwi się rozsunęły i Devereaux wszedł do windy. Skinął obojętnie głową jedynemu, oprócz niego, pasażerowi - była to kobieta by zaraz potem przyjrzeć się jej uważniej. Nagle oślepiła go błyskawica, w uszach zagrzmiął huk gromu, a życie momentalnie wstąpiło na nowo w poruszające się jedynie z przyzwyczajenia zwłoki, którymi był jeszcze kilka sekund temu. Była wspaniała! Miedziano-skóra Afrodyta o lśniących czarnych włosach i płonących oczach nieokreślonego, zdumiewającego koloru. Twarz i ciało sprawiały wrażenie, jakby wyszły spod dłuta Berniniego. Zerknęła na niego romnie, po czym jej spojrzenie padło na dużą wilgotną plamę zdobiącą przód spodni Sama.

- Czy wyjdzie pani za mnie za mąż? - zapytał Devereaux, oszołomiony urodą dziewczyny i świadom tylko tego, że kolana uginają się pod nim z zachwyty.



Jeden krok w moją stronę, a pożegnasz się na miesiąc z oczami! - wykrzyknęła miedzianoskóra kobieta, błyskawicznie wydobywając z torebki niewielki metalowy cylinder. Wyciągnęła go przed siebie w wyprostowanej ręce, celując w odległą o niecały metr twarz Sama.

- Chwileczkę! - wykrztusił Devereaux z rękami uniesionymi wysoko nad głowę. - Przepraszam} Najmocniej przepraszam! Nie wiem, dlaczego to powiedziałem... Wszystko przez zmęczenie i zdenerwowanie... Taki drobny intelektualny wypadek przy pracy...

- Zdaje się, że przydarzył się panu jeszcze jeden, zdecydowanie fizycznej natury - zauważyła, spoglądając na spodnie Sama.

- Proszę? - On także opuścił wzrok i natychmiast zorientował się, o co jej chodzi. - Och, mój Boże! To kawa! Naprawdę, to tylko kawa!... Widzi pani, pracowałem całą noc, a potem rozmawiałem z tym zwariowanym klientem - może pani nie uwierzy, ale jestem prawnikiem - mało się przez niego nie wściekłem, a że akurat miałem w ręku filiżankę kawy, więc rozlałem ją sobie na spodnie. Chciałem stamtąd jak najprędzej wyjść i nawet zapomniałem założyć marynarkę... - Umilkł na chwilę, przypomniawszy sobie, że w jego marynarce paradyżuje teraz jakiś brodaty Grek. - To znaczy, właściwie... Zresztą wszystko jedno. To i tak zbyt nieprawdopodobne.

- Tak właśnie pomyślałam - odparła kobieta, przyglądając się uważnie Samowi. Po chwili zastanowienia schowała miotacz gazu do

172

torebki. - Jeśli rzeczywiście jest pan prawnikiem, to radzę, by poprosił pan o pomoc swojego adwokata, zanim będzie za późno.

- Jestem uważany za bardzo dobrego prawnika - wyjaśnił z godnością Devereaux prostując się na całą wysokość. Imponujące wrażenie psuły nieco rozbiegane ręce, próbujące na próżno zasłonić ciemną plamę na spodniach. - Nawet za znakomitego.

- Gdzie? Na Samoa?

- Proszę?

- Nieważne. Po prostu przypomina mi pan kogoś.

- Cóż... - chrząknął Sam, już nieco spokojniejszy, ale za to autentycznie zakłopotany. - Przypuszczam, że nigdy nie zrobił z siebie takiego idioty jak ja w tej chwili...

- Szczerze mówiąc nie postawiłabym na to zbyt wielkich pieniędzy. - Winda zwolniła i zatrzymała się na parterze. - Chyba nie postawiłabym na to nawet jednego centa - dodała cicho kobieta, kiedy drzwi rozsunęły się bezszelestnie.

- Naprawdę bardzo mi przykro - bąknął Sam, kiedy znaleźli się w holu.

- Nie ma sprawy. Zaskoczył mnie pan swoją propozycją. Usłyszałam j-<j po raz pierwszy w życiu.

- W takim razie mężczyźni w Bostonie są chyba zupełnie ślepi - odparł Sam z niezwykłą bystrością umysłu, ale zupełnie niewinnie, bez żadnych podtekstów.

- Tak, naprawdę mi go pan przypomina.

- Mam nadzieję, że to nie jest nieprzyjemne skojarzenie?

- Akurat w tej chwili takie sobie... Jeśli ma pan jakieś spotkanie z klientem, radzę zmienić spodnie.

- Och, nie. Zgoniony chart, którego pani przed sobą widzi, pojedzie teraz taksówką do domu. by tam odzyskać siły przed kolejną gonitwą.

- Ja też mam zamiar wziąć taksówkę.

- Proszę przynajmniej pozwolić, że dam napiwek odźwiernemu, by kilkoma dolarami zmasać choć część swojej winy.

- To podobne do prawnika. Może naprawdę jest pan dobry?

- W każdym razie niezły. Szkoda, że nie potrzebuje pani porady prawnej

- Przykro mi, ale mam ich w nadmiarze.

Wyszli przed hotel. Devereaux wręczył napiwek portierowi, po czym otworzył przed kobietą drzwi taksówki.

173

- Zważywszy na moje kretyńskie zachowanie, wątpię, czy zechciałaby pani jeszcze kiedyś spotkać się ze mną...

- Nie chodzi o pańskie zachowanie, mecenasie - odparła z tylnego siedzenia taksówki kobieta, ponownie sięgając do torebki. Jednak tym razem - ku uldze Sama - wyjęła z niej tylko kartkę papieru. - Będę tu tylko dzień lub dwa, a potem mam jedną rozprawę za drugą.

- Ogromnie mi przykro - szepnął Devereaux z autentycznym smutkiem. W chwilę potem kobieta jego marzeń odwróciła się do kierowcy i podała mu odczytany z kartki adres. - Boże Wszchemogący! - wykrztusił Sam, odruchowo zatrzaskując drzwi samochodu.

„Spotkanie z klientem...” „Jedna rozprawa za drugą...” „Mecenasie...” Ta suka miała zapisany je g o adres!

Prezydent Stanów Zjednoczonych siedział w Owalnym Gabinetcie na brzeżku fotela i z wściekłością przyciskał słuchawkę do ucha.

- Daj spokój, Reebock, nie bądź taki nieużyty! Sąd Najwyższy musi wziąć na siebie część odpowiedzialności w sytuacji, w której mogą nam się do tyłka niebezpieczni agresorzy z Wysp Karaibskich, nie mówiąc już o superpotęgach z Ameryki Środkowej!

- Panie prezydencie - odparł przewodniczący Sądu Najwyższego spokojnym, lekko nosowym głosem. - Obowiązujący w naszym wolnym społeczeństwie system prawny wymaga natychmiastowej reakcji na każdą skargę, a także szybkiego i, przede wszystkim, sprawiedliwego zrekompensowania poniesionych strat. Z tego powodu posiedzenia sądu, na których będzie rozpatrywana sprawa Indian Wopotami, muszą być całkowicie jawne. Często powtarzam, że prawo powinno działać szybko albo wcale.

- Już to gdzieś słyszałem, Reebock. Nie ty to wymyśliłeś.

- Doprawdy? W takim razie na pewno stanowiłem dla kogoś inspirację. Mówią mi, że jestem z tego znany.

- Skoro już przy tym jesteśmy... "\*"''

-- Przy inspiracji, którą stanowi moja osoba? - zainteresował się przewodniczący Sądu Najwyższego. - Słucham, słucham...

- Przy tym, z czego jesteś znany - poprawił go prezydent. -

174

Przed chwilą rozmawiałem z Vincentem Mangee... Mangaa... No, z tym facetem z CIA.

- Kiedy byłem jeszcze młodym prokuratorem, wszyscy mówili o nim Vinnie Bam-Bam.

- Nie żartujesz?

■ Nie żartuje się ze spraw wagi państwowej, panie prezydencie.- Chyba nie. Do licha, wygląda na to, że trochę nabajdurzył tym Oksfordem..

■ - Z czym?

- Nieważne. Słuchaj, co za zbieg okoliczności, że wspomniałeś o swoich- młodych latach...

- B a r d z o młodych latach, panie prezydencie - zaznaczył przewodniczący Sądu Najwyższego.

- Tak, Vincent doskonale to rozumie. Powiedział nawet, że teraz, po tylu latach, to nie ma już żadnego znaczenia, ale mimo to wszyscy powinniśmy mieć się na baczności, bo ta heca z Wopotami może wy^wołać ogólnonarodowe zamieszanie.

- Obawiam się, że to pański problem, panie prezydencie, a raczej połączonej władzy ustawodawczej i wykonawczej - odparł przewodniczący a zaraz potem dodał, tłumiąc chichot: - Wszystko na twojej M k n e j główce, maleńka... Aaaaaapsik!

- Reebock, wszystko słyszałem!

- Ogromnie przepraszam, panie prezydencie, ale jakiś owad wleciał mi do nosa... Staram się po prostu wyjaśnić, że nasz Sąd Najwyższy nie tworzy prawa, a jedynie kontroluje jego przestrzeganie, pozostając w ten sposób wierny dokładnym interpretacjom kon-itytucji Jak pan z pewnością wie, kilku członków naszego sądu jest >rzekomamch o tym, że rozszczenia Indian Wopotami znajdują silne parcie w przepisach konstytucji, aczkolwiek nikt nie wydał jeszcze i tej sprawie jednoznacznej opinii i lepiej, żeby tego nie uczynił. Gdybyśmy jednak utajnili rozprawę, postąpilibyśmy jak ci okropni fberałowie. fałszujący rzeczywiste przesłanie naszej ustawy zasadniczej.

- Jasne, ja o tym wszystkim dobrze wiem - wyjaśnił płaczącym tonem prezydent - ale Vincenta okropnie to zdenerwowało. Każda wasza opinia będzie dokładnie maglowana przez telewizję, gazety, Idietomsu uaw nikou i w ogóle przez każdego, komu przyjdzie na to ochota.

Możesz znaleźć się w kłopotach, Reebock.

175

- Ja?... Przecież ja tego nie popieram! Będę tak długo dyskutował z moimi prawomyślnymi kolegami, aż przegonimy z Sądu Najwyższego tych świętoszkowatych idiotów, którzy chrzanią coś o jakimś zbiorowym sumieniu. Załatwimy ich na perłowo ze szlaczkiem, i oni dobrze o tym wiedzą! Święty Jezu, czy pan naprawdę przypuszczał, że dam tym dzikusom choćby złamanego centa? Przecież oni są prawie tacy sami jak czarnuchy!

- To właśnie ustalił Vincent...

- Jak to: ustalił?

- Okazuje się, że wtedy kiedy jeszcze byłeś młodym zastępcą prokuratora, występowałeś w sprawach dobieranych według dość szczególnego klucza...

- Uzyskiwałem tak wysoki procent wyroków skazujących, że wszyscy mi zazdrościli!

- Prawie wszystkie dotyczyły Murzynów albo osób pochodzenia portorykańskiego - dokończył prezydent.

- Jasne, i dałem im zdrowo popalić! Czy to moja wina, że to właśnie oni popełniali wszystkie przestępstwa?

- Wszystkie?

- Ujmijmy to w ten sposób: na pewno te, którymi postanowiłem się zająć ze względu na dobro kraju. Właściwie powinno się pozbawić ich prawa głosu!

- Tak, tego też się dowiedział...

- Do czego pan zmierza, panie prezydencie?

- Właściwie Vincent robi to dla twojego dobra. Stara się ocalić twoje miejsce w historii, miejsce, które już sobie zdobyłeś.

- Co takiego?

- Choć jesteś największym formalistą, jakiego można sobie wyobrazić, to podobno nawet nie pofatygowałeś się, żeby przeczytać pozew. Czy dlatego, że „są prawie tacy sami jak czarnuchy”? Naprawdę chcesz, żeby opisywano cię w książkach jako rasistowskiego przewodniczącego Sądu Najwyższego, urzędnika, który z powodu swoich uprzedzeń nie zwracał najmniejszej uwagi na zgromadzone dowody?

- Dlaczego ktokolwiek miałby tak pomyśleć? - zapytał wzburzony tytan prawa konstytucyjnego. - Podczas rozprawy stanę się uosobieniem współczucia, które jednak będzie musiało ustąpić pod wpływem poczucia realizmu. Kraj na pewno to zrozumie. Właśnie dlatego rozprawa musi być jawna!

176

"\*

- Wydaje ci się, że zamydlisz wszystkim oczy i nikt nie zwróci uwagi na twoje dawne osiągnięcia w posyłaniu kolorowych za kratki, szczególnie jeśli wyjdzie na jaw, że twoimi przeciwnikami byli najczęściej młodzi obrońcy z urzędu, dla których był to pierwszy występ przed sądem?

- O Boże!... Myśli pan, że mogą się do tego dogrzebać?

- Na pewno nie, jeśli pozwolisz Vincentowi, żeby to wymazał. Ze względu na narodowe bezpieczeństwo, ma się rozumieć.

- Mógłby to zrobić?

- Twierdzi, że tak.

- A czas? Nie wiem, jak zareagują moi koledzy, kiedy wydam decyzję o odłożeniu publicznych przesłuchań na później. Nie mogę sprawić wrażeniu, że jestem przeciw. Mogliby zacząć coś podejrzewać.

- Vincent doskonale to rozumie, ale wie ponad wszelką wątpliwość, że w składzie Sądu Najwyższego jest jeszcze kilku ludzi, którzy tak jak ty nie darzą sympatią kolorowych.

- Boże, ponoszę karę za to, że zawsze broniłem słusznej sprawy!

- Ale kierując się niewłaściwymi pobudkami, panie przewodniczący. Vincent właśnie na to liczył. Co mam mu przekazać?

- Ile czasu zajmie mu... powiedzmy, usunięcie materiałów, które, błędnie zinterpretowane, mogłyby doprowadzić do błędnych konkluzji?

- Żeby porządnie wykonać robotę - co najmniej rok...

- Sąd mi się zbuntuje!

- ...ale zgodzi się na tydzień.
- Załatwione.
- Na pewno da sobie radę.

Mangecavallo rozparł się w fotelu i zapalił cygaro Monte Cristo. Był bardzo z siebie zadowolony. Dostrzegł światło tam, gdzie wszyscy inni nie wyłączając Hymiego Huragana, widzieli tylko ciemne, nieprzeniknione chmury. Jeśli nawet te palanty z Sądu Najwyższego, mające ochotę poprzeć bezczelne żądania dzikusów z plemienia Wopotami, były idealnie czyste, to musiał istnieć jakiś inny sposób, żeby zyskać na czasie, *znaleźć* jakiegoś haka na Grzmiącą Głowę i albo podziurawić jak Mi... albo narobić mu we łbie takiego mętliku, żeby sam odwołał całą awanturę, przyznając publicznie, że była tym, czym jest w istocie, to *znaczy* cholernym szwindlem. Pięciu

czy sześciu podejrzanych sędziów okazało się niewypałami, czemu więc nie spojrzeć w drugą stronę, na przykład na samą wielką szybę? Ten *faszysta* na pewno nie będzie głosował na korzyść Indianców. Warto przyjrzeć mu się dokładniej, bo kto wie, czy nie uda się znaleźć czegoś interesującego w jego zrobaczywym, bezlitosnym sercu...

W ten sposób zyskali dodatkowy tydzień, czyli maksimum tego, co mogli zyskać, biorąc pod uwagę, że pozostali członkowie Sądu serdecznie nienawidzili przewodniczącego. Tydzień powinien wystarczyć, jako że Mały Joey Zasłonka zlokalizował w Bostonie tego świrniętego generała z piórkami w dupie, a przecież wszyscy wiedzą, że gdzie jak gdzie, ale w Bostonie *zdarza* się okropnie dużo wypadków. Może nie aż tyle, co w Nowym Jorku, Los Angeles albo Miami, ale na pewno niewiele mniej. Mangecavallo wydmuchnął trzy idealnie okrągłe kółka i spojrzął na wysadzany brylantami zegarek; Zasłonka miał jeszcze dwie minuty na to, żeby się zameldować. W tej samej chwili zabrzączał telefon ukryty w szufladzie biurka. Dyrektor CIA otworzył szufladę i sięgnął po słuchawkę.

- Tak?

- Tu Mały Joey, Vin.

- Czy ty zawsze musisz czekać do ostatniej chwili? Przecież mówiłem ci, że o dziesiątej mam bardzo ważne spotkanie, a jeśli czekam na wiadomość od ciebie, to się denerwuję. Co by było, gdybyś zadzwonił wtedy, kiedy ci chłopcy w garniturkach już siedzieliby w moim gabinecie?

- Powiedziałbyś im, że to pomyłka.

- *Pazzo*, przecież oni nie widzą telefonu!

- Zatrudniasz niewidomych szpiegów, Vinnie?

- *Basta*. Czego się dowiedziałeś? Tylko szybko! - No, trochę tego będzie, Bam-Bam...

- Już ci mówiłem...

- Przepraszam, Vincenzo... Mam pokój w tym klawym hotelu, o którym ci mówiłem.

- Tylko bez długich historii, Joey. Już wiem, że pokój jest na tym samym piętrze co pokój tego Żydkę. Co dalej?

- Jaki tu ruch, Vin! Razem z Żydkę jest tu nasz indiański generał, ale wczoraj wieczorem wyszli na parę godzin. Potem przyszli dwaj żołnierze generała i gadali z kimś w pokoju, potem tamci wrócili, ale stary Żydek znowu wyszedł, tyle że zanim wyszedł, to słyszałem

178

straszne wrzaski, powiadam ci, normalne piekło, ale później zrobiło się cicho

Chcesz mi powiedzieć, że gniazdo tych spiskowców jest na twoim piętrze, kilka pokoi od ciebie?

?- *Zgadza* się, Bam-Bam. Przepraszam, Vin. Wciąż przypominają mi si<? stare czasy.

- *Basta*. Co jeszcze, choć zdaje mi się, że mamy już wszystko, czego trzeba? Dowiedziałeś się, kto tam był jeszcze? Może po prostu jakaś baba?

- Nie, Vin. To nie baba. Widziałem go. To wariat, autentyczny czubek

- Jak to?

- No więc, tak jak zawsze miałem uchylone drzwi. Może na dwa centymetry, może na trzy, ale raczej nie na cztery...

- Joey!  
- Dobra, dobra. Nagle widzę, że ten typek wychodzi z pokoju i grzeje prostu do wind...  
- I niby dlatego ma być wariatem?  
- Nie, Vin. Ze względu na spodnie.  
- Co?...  
- Miał je całe zasikane. Mówię ci, wielkie mokre plamy aż do kolan. Jeśli ktoś gania po hotelu w zaszczypanych portkach, to chyba musi być zdrowo szurnięty, co nie?  
Albo coś nim zdrowo telepnęło - zauważył z właściwą sobie bystrością dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Tutaj nazywają to „wypaleniem operacyjnym” albo „zwichniętym kamuflażem”, zależnie od rodzaju misji. - Zabrzęczał interkom stojący na biurku dyrektui a - Słuchaj, mam jeszcze tylko kilka sekund. Spróbuj się dowiedzieć, kim jest ten typek w zasikanych spodniach, dobra?  
- Ja już wiem, Vinnie! Poszedłem do recepcji i podałem się za jego przyjaciela, księdza, który szuka go, by dodać mu otuchy po osobistej tragedii, jaka go spotkała. Opisałem go, ale o spodniach wspomniałem tylko mimochodem. Zastanawiałem się nawet, czy nie powinienem sprawić sobie specjalnego kołnierzyka - wiesz, takiego jak noszą księża - ale pomyślałem, że zajęłoby mi to zbyt dużo czasu, bo... Joey! - ryknął Mangecavallo. - Przestań! Kto to jest?  
- Nazywa się Devereaux, ale chyba będzie lepiej, jeśli ci to przeliteruję. Jest bystrym adwokatem i pracuje w firmie tego Żydka.

179

- Jest zdrajcą amerykańskiego narodu, a nie żadnym adwokatem - zawyrokował dyrektor CIA, zapisując starannie nazwisko. Interkom zabrzączał ponownie; goście chyba się niecierpliwiili. - Miej oczy otwarte, Joey. Odezwę się do ciebie.  
Mangecavallo odłożył słuchawkę i schował telefon do szuflady, po czym nacisnął dwa razy przycisk interkomu, dając znak sekretarce, żeby wprowadziła gości do gabinetu. Jeszcze przed ich pojawieniem wzięł do ręki ołówek i pod nazwiskiem Devereaux dopisał jeden wyraz: BROOKLYN! Koniec zabawy. Przyszła pora na prawdziwych zawodowców.

Pułkownik Bradley „Klakson” Gibson, pilot EC-135, „oka i ucha” Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych, wrzasnął z wściekłością do mikrofonu:

- Co wy, idioci, polecieście na lunch na najdalszy kwazar za Jowiszem? Jesteśmy w powietrzu od pięćdziesięciu dwóch godzin, podczas których tankowaliśmy już trzy razy i odbieraliśmy zażalenia w sześciu językach, w tym trzech takich, których nie mamy w pieprzonym komputerze! Co się dzieje, do wszystkich diabłów?

- Odbieramy pana bez zakłóceń, pułkowniku - nadeszła odpowiedź z wieży kontrolnej w bazie Offutt. Rozmowa odbywała się na specjalnej, ultratajnej częstotliwości, której jedyną wadą było to, że czasem odbierało się na niej także dźwięk z mongolskiej telewizji. - Zajęliśmy się wszystkimi zażaleniami. Gwarantujemy, że nikt nie wystrzelił w was żadnej rakiety. Co wy na to?

- Dajcie mi tego, kto tam teraz dowodzi, bo jak nie, to wyląduję na Pago Pago i ściągnę tam żonę i dzieci! Mam już tego dosyć - wszyscy mamy tego dosyć!

- Spokojnie, pułkowniku. Dokładnie w takiej samej sytuacji jest jeszcze pięć naszych maszyn. Niech pan pomyśli i o nich.

- Zaraz wam powiem, co o nich myślę. Otóż myślę, że spikniemy się z nimi, wylądujemy na pustyni w Australii, sprzedamy trochę tego elektronicznego spaghetti i zarobimy tyle szmalu, że będziemy mogli założyć własne państwo. A teraz dajcie mi tego kretyna, który u was dowodzi!

- Jestem cały czas na linii, pułkowniku Gibson - rozległ się nowy głos. - Mogę kontrolować wszystkie rozmowy między wieżą a załogami.

180

- Podśluchujemy, generale? Czy to nie wbrew prawu?  
- Nie u nas, lotniku... Daj spokój, Klakson. Jak myślisz, jak ja się teraz czuję?  
- Myślę, że siedzisz dupskiem w miękkim fotelu na stałym gruncie. Tak się właśnie czujesz, Piecyk.

- Zapewne uważasz także, że to ja wydałem te rozkazy, zgadza się? Pozwól więc, że zdradzę ci małą tajemniczkę państwową: nie miałem z nimi nic wspólnego. Otrzymałem je „z góry” - oznaczenie kodowe ('z-i u u i j v Plus.
- Nie chcę się powtarzać, ale co się tam u was dzieje, do wszystkich diabłów?
- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, ale tego nie zrobię, ponieważ nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią ci chłopcy w płaszczach. To znaczy, rozumiem poszczególne słowa, ale za cholerę nie mogę sklecić ich do kupy.
- W jakich płaszczach?
- W to też byś nie uwierzył. Gorąco tu jak diabli, a oni tkwią w pozapinanym płaszczach. Na głowach mają kapelusze i nie otwierają drzwi przed kobietami.
- Posłuchaj, Piecyk... Generale Richards... Czy był pan może ostatnio w naszym szpitalu? - zapytał uprzejmie pułkownik Gibson.

ISiedzący w swoim gabinecie dowódca Strategicznych Sił Powietrznych westchnął ciężko i odpowiedział pilotowi znajdującemu się dwanaście tysięcy metrów w górze i tysiąc trzysta kilometrów na zachód od niego:

- Za każdym razem, kiedy dzwoni czerwony telefon, mam wielką ochotę tam się zgłosić... - Rzecz jasna, czerwony telefon zadzwonił właśnie w tej chwili -A niech to, znowu...! Klakson, zaczekaj chwilę. Nigdzie nie odlatuj.
- Pamiętaj o pustyni w Australii.
- Daj spokój! - parsknął dowódca SSP, podnosząc słuchawkę czerwonego telefonu. - Dowództwo Skrzydła Rozpoznawczego Strategicznych Sił Powietrznych, generał Richards przy aparacie - powiedział z pewnością, ' siebie, której wcale nie odczuwał.
- Sprowadź ich, Scotty! - usłyszał jęcząco-świszczący głos sekretarza obrony - Sprowadź ich wszystkich na ziemię!

181

- Słucham, panie sekretarzu?
- Kazałem ci ich sprowadzić, żołnierzu! Załatwiliśmy sobie trochę luzu, więc sprowadź ich, ale bądź w pogotowiu, bo mogę znowu zadzwonić i wtedy wyślesz w powietrze całą flotyllę!
- Flotyllę?...
- Przecież słyszysz, jak-cię-tam-zwą!
- Nie, panie sekretarzu - odparł Richards czując, jak niespodziewanie sphywa na niego cudowny spokój. - To pan ma mnie wysłuchać. Właśnie wydał pan ostatni rozkaz temu jak-go-tam-zwą.
- Panie, co pan gadasz?!
- Pozwolę sobie zwrócić uwagę, panie sekretarzu, że wykonując obowiązki służbowe, jestem generałem, nie zaś jakimś panem, choć osobiście wątpię, czy ma to dla pana jakiegokolwiek znaczenie.
- Czy to ma być niesubordynacja?
- Największa, jaką mogę wyrazić słowami. Nigdy nie byłem w stanie pojąć, dlaczego musimy tolerować tych kretynów z Waszyngtonu, ale przypuszczam, że nakazał nam to ktoś, kto nigdy nie spotkał kogoś takiego jak pan, ale ja pana na pewno nie przedstawię, bo wtedy wszystko musiałoby się zmienić, w tym także zasada, że należy otwierać drzwi przed kobietami, a ja nie jestem pewien, czy to byłby dobry pomysł.
- Czy wy jesteście chorzy, żołnierzu?
- Tak, jestem chory, ty zasmarkany, kurdupłowaty szczurze z peruką na małym łebku. Mam już dość dumnych polityków, którym wydaje się, że znają się na mojej robocie lepiej niż ja, który spędziłem trzydzieści lat w mundurze! Jasne, że ściągnę chłopców na ziemię, i zrobiłbym to nawet wtedy, gdybyś nie zadzwonił!
- Wyrzucam was, żołnierzu! «
- Wsadźcie łeb do klozetu i spuśćcie wodę, cywilu! Możesz mnie zwolnić, i modłę się, żebyś to zrobił, ale nie możesz mnie wyrzucić. Mam to zagwarantowane w kontrakcie. A teraz do usłyszenia, i życzę paskudnego dnia! - Generał odłożył z trzaskiem słuchawkę i ponownie wziął do ręki mikrofon radiostacji. - Jesteś tam jeszcze, Klakson?
- Jestem, i wszystko słyszałem, szeregowcu Richards. Przygotowałeś się psychicznie do

sprzątania latryn?

- A czy ten sukinsyn przygotował się psychicznie na moją konferencję prasową?
- Słuszna uwaga, kapralu... Rozumiem więc, że wracamy?

182

- Wszyscy. Od tej chwili podejmujemy normalną działalność operacyjną
- Mógłbyś zadzwonić do mojej żony?
- Zadzwonię do twojej córki. Z nią prędzej się dogadam. Żona jest przekonana, że zestrzelili cię nad Mongolią i czci niczym świętość ostatni befsztyk, jaki ci przygotowała.
- Słusznie, zawiadom małą. I powiedz jej przy okazji, żeby nosiła dłuższe spódnice.
- Skończone, bez odbioru.

General „Piecyk” Richards odłożył mikrofon i bardzo zadowolony siebie odsunął się wraz z fotelem od biurka. Pies trącał karierę, winien był to zrobić już dawno temu. Życie na emeryturze chyba nie będzie takie straszne, choć musiał uczciwie przyznać przed samym że z trudem przyjdzie mu odwiesić mundur do szafy. Mogą mieszkać z żoną, gdzie tylko przyjdzie im ochota - któryś z jego kolegów wspomniał, że nie ma piękniejszego miejsca niż Samoa. mimo to ciężko będzie mu pożegnać się ze swoją jedyną miłością, naturalnie żona i dziećmi. Lotnictwo stanowiło część jego życia... Ah, do diabła z tym!

Rzecz jasna, dokładnie w tej chwili zadzwonił czerwony telefon. Richard gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę.

- Co jest, ty pieprzony łysolu? - ryknął, dając upust kłębiącej się w nim wściekłości.
- Rety, kasza, generale, czy tak rozmawia się z przyjaciółmi?
- Że co? - Głos wydawał się znajomy, ale Richards nie mógł go z nikim skojarzyć. - A kto mówi, do cholery?
- Zdaje się, że jestem pańskim naczelnym dowódcą, generale.
- Prezydent?
- Możesz założyć się o własne skarpetki, disc-jockeyu.

Disc-jockeyu?...

Co prawda nosisz mundur, ale sprzęt masz prawie taki sam. może trochę więcej elektroniki.

Elektroniki?...

Spokojnie, pilocie. Zajmowałem się tym, kiedy jeszcze byliście [t powijakach.

Boże, to naprawdę pan!

Właściwie powinno się mówić: pan naprawdę jest nim. W każdym razie tak mi ciągle kładzie do głowy mój sekretarz.

183

- Przepraszam, panie prezydencie.
- Nie ma za co. To ja powinienem pana przeprosić. **Przed** chwilą rozmawiałem z sekretarzem obrony...
- Rozumiem. Jestem zwolniony ze stanowiska.
- Nie ty, Piecyk, tylko on. No, może nie do końca, ale nie wolno mu podejmować żadnych decyzji w waszej sprawie bez porozumienia ze mną. Powtórzył mi, co mu powiedziałeś. Ja sam nie wyraziłbym tego lepiej, nawet z pomocą wszystkich specjalistów od układania przemówień. Gdybyś miał jeszcze jakieś problemy, dzwoń od razu do mnie, dobra?
- Tak jest, panie prezydencie... Halo, czy wszystko w porządku?
- Powiedzmy, że kopnąłem kogoś w dupę - ale nie cytuj mnie, na litość boską!

\*\*\*\*\*

Sam Devereaux wcisnął portierowi dziesięć dolarów, żeby tylko ten natychmiast znalazł mu taksówkę. W ciągu trzech minut dwa żółte pojazdy minęły Sama stojącego na środku jezdni i wymachującego rozpaczliwie rękami; na widok jego spodni kierowcy natychmiast dodawali gazu. Wreszcie Devereaux wrócił na chodnik, gdyż przed hotelem zatrzymała się taksówka, z której wysiadło jakieś starsze małżeństwo. Sam wprawił ich w niejakie zdumienie, gdyż nie zważając na protesty wyrzucił walizki z bagażnika i wskoczył do samochodu, by jak najprędzej wyrzесzczеć kierowcy w samo ucho adres swojej

rezydencji w Weston.

- Dlaczego hamujesz, do cholery?! - ryknął, kiedy samochód minął kilka przecznic.

- Żeby nie wjechać w tyłek temu palantowi przede mną - odparł taksówkarz.

Były to akurat poranne godziny szczytu, jak zwykle w Bostonie trudne do zniesienia z powodu idiotycznych jednokierunkowych ulic, zmuszających nie obeznaną z miastem kierowców do nadrabiania piętnastu kilometrów po to, by dotrzeć pod adres odległy o pięćdziesiąt metrów.

- Znam skrót do szosy do Weston - powiedział Sam, pochylając się do przodu i obejmując oparcie fotela.

- Tak jak wszyscy w Massachusetts, koleś, a tak w ogóle to odsuń się ode mnie, chyba że masz gnata.

184

- Nie mam broni. Jestem bardzo spokojnym człowiekiem, któremu się okropnie śpieszy.

- Od razu tak pomyślałem, jak zobaczyłem twoje portki. Pośpieszysz się jeszcze raz, to wywalę cię z wozu.

- Nie, nie!... To tylko kawa! Wylałem sobie na spodnie filiżankę kawy!

- Dobra, niech ci będzie... Możesz usiąść na tylnym siedzeniu.' Takie mamy przepisy.

- Oczywiście - zgodził się Sam, cofając się nieco, ale pozostając na samym brzeжку kanapy. - Po prostu staram się dać panu do zrozumienia że *to* naprawdę pilna sprawa Kobieta, której zupełnie nie znam. jedź teraz do mojego domu, a ja za wszelką cenę muszę znaleźć ^ tam przed nią. Kilka minut temu odjechała sprzed hotelu inną taksówką.

- Jasne - westchnął kierowca z filozoficzną rezygnacją. - W nocy spijała sobie twój adres, a teraz doszła do wniosku, że warto by dodatkowo podreperować fundusze. Ech, ludzie, kiedy wy nabierzecie rozumu?... Oho, zrobiło się trochę luźniej. Skręć w Church Street, tędy będzie najbliższe.

- Właśnie o tym skrótce mówiłem.

- Miejmy nadzieję, że nie dowiedzieli się o nim urlopowicze.

-- Proszę jechać najszybciej, jak pan może.

- Przepisy mówią, że jeśli pasażer nie przejawia wrogich zamiarów, nie używa nieprzyzwoitych słów i nie razi niechłujstwem, to muszę go zawieźć tam, gdzie sobie życzy. Ty, koleś, przekroczyłeś wszystkie trzy granice, więc lepiej nie podskakuj, dobra? Nikomu nie zależy bardziej ode mnie, żebyś jak najszybciej *znalazł* się w domu.

- Rzeczywiście, takie są przepisy - odparł z lekkim zdziwieniem Devereaux. - Myśli pan, że o tym nie wiem? Jestem prawnikiem.

- A ja tancerką z baletu.

Wreszcie taksówka skręciła w ulicę, przy której mieszkał Devereaux. Sam zerknął na licznik, rzucił na przednie siedzenie należność, nie zapominając o hojnym napiwku, po czym otworzył drzwi, dał susa na chodnik, rozejrzał się dokoła i stwierdził z ulgą, że nigdzie w pobliżu nie ma innej taksówki.

Udało się! Ależ czeka ją niespodzianka! Mimo że posługiwała się prawniczym językiem i miała rewelacyjne ciało, nie oznaczało to jeszcze, że wolno jej podawać taksówkarzowi jej o adres i rzucać jakieś zawołane groźby. Nie, mili państwo, Samuel Lansing

185

Devereaux, poważany adwokat, jest ulepiony z twardszej gliny... Chyba jednak powinien zmienić spodnie. Ruszył ścieżką prowadzącą do bocznego wejścia, kiedy nagle frontowe drzwi otworzyły się z hukiem i pojawiła się w nich kuzynka Córa, machająca do niego gwałtownie ręką.

Sama ogarnęły niedobre przeczucia. Przeskoczył przez biały płótek i podbiegł do kobiety.

- O co chodzi?

- O co chodzi? - zapytała z wściekłością służąca, przedrzeźniając zaniepokojony ton jego głosu. - To chyba ty powinieneś wyjaśnić, o co chodzi i co narobiłeś... Z wyjątkiem tego, co widać na pierwszy rzut oka - dodała, zerknąwszy na jego spodnie.

- Och... - Było to wszystko, co mógł w tej chwili wymyślić.

- Na początek chyba wystarczy...

- Co się stało? - przerwał jej Devereaux.



- Parę chwil temu zjawiła się tu jakaś długonoga, opalona dziewczyna, dokładnie taka sama jak na tych reklamówkach kręconych w Kalifornii, i zapytała o pewną osobę, której nazwiska lepiej nie wymieniać. Myślałam, że twoja matka dostanie udaru, ale ta pannica uspokoiła ją i teraz obie zamknęły się w salonie.

- O co tu chodzi, do wszystkich diabłów?

- Powiem ci tylko tyle, że starsza pani poszła po dzbanek do herbaty, ale nie kazała mi jej zaparzyć.

- Sukinsyn! - ryknął Devereaux, po czym rzucił się do dwuskrzydłowych drzwi wiodących do salonu, otworzył je gwałtownie i wpadł do środka.

- To pan! - wykrzyknęła Jennifer Redwing, zrywając się z obitego brokatem fotela.

- To pani! - wykrzyknął ogarnięty wściekłością syn i prawnik w jednej osobie. - Jak udało się pani tak szybko tu dojechać?

- Mieszkałam kiedyś w Bostonie. Znam kilka skrótów.

- Kilka?...

- To ty! - wykrzyknęła Eleanora Devereaux, podnosząc się z obitej brokatem kanapy i wpatrując się w Sama z otwartymi ustami. - Co zrobiłeś ze spodniami, ty nieznośny, moczący się chłopcze?

- To tylko kawa, mamó.

- Mnie też próbował to wmówić - powiedziała miedzianoskóra Afrodyta. . . . . < . . .

## 12

Teraz zna pani w ogólnym zarysie całą historię ogólnoświatowego szantażu, w której brałam udział, ze szczególnym uwzględnieniem niebywałych zdolności generała Hawkinsa do wygrzebywania wszystkiego, co najgorsze - powiedział Devereaux. Siedzieli jego „ostoi”, w gabinecie pozbawionym już wszystkich fotografii i wycinków prasowych, bez jego matki, która uznała za nieodzowne położyć się do łóżka, „żeby się wypocić”. Sam siedział za biurkiem, Jennifer Redwing zajęła zaś miejsce w stojącym naprzeciwko fotelu, do którego poręczy wciąż jeszcze były przywiązane strzepy prześcieradła.

- To zupełnie niewiarygodne, ale pan zapewne doskonale zdaje sobie z tego sprawę - powiedziała, wyraźnie wstrząśnięta, i sięgnęła do torebki, - Dobry Boże, czterdzieści milionów dolarów!

- Tylko nie gaz! - wrzasnął Devereaux, cofając się wraz z fotelem pod ścianę.

- Skądże znowu - odparła Redwing, wyjmując paczkę papierosów. - Rzucam palenie co tydzień, po czym natychmiast zdarza się coś takiego jak to... Choć muszę przyznać, że coś takiego zdarza fmi się po raz pierwszy.

- Palenie jest czymś w rodzaju protezy psychicznej... Ale myślę, że powinna pani wykazać więcej samozaparcia.

- Biorąc wszystko pod uwagę, mecenasie, nie wydaje mi się, żeby miał pan prawo udawać świętszego ode mnie. Znajdzie pan jakąś popielniczkę. czy mam podpalić ten drogocenny dywan?

-\*- Skoro pani nalega... - Sam wysunął szufladę biurka i wyjął

187

z niej dwie popielniczki oraz **paczkę papierosów**. - **Myślę, że będę musiał** ustąpić. O, widzę, że oboje **wybraliśmy ^tanki o niskiej** wartości ciała smolistych. %

- Lepiej zajmijmy się zadawanymi zbyt nisko ciosami, panie Devereaux - Zapalili swoje „protezy psychiczne”<sup>1\*</sup>; ; po czym penna Redwing dodała. - Ten pOzew skierowany do Sądu Najwyższego jest Stekiem bzdur, ale z tego też zapewne także zdaje pan sobie doskonale sprawę.

- Błąd stylistyczny, pani mecenas. Też i także znać dokładnie
- Wszystko zależy od akcentu zdaniowego i umiejętności ofatorów-skich kompetentnego prawnika występującego przed kompetentnym sądem.
- Zgadza się. Kto jest kim?
- Oboje jesteśmy i jednym, i drugim - odparła Redwing. - Jako prawnik reprezentujący interesy Indian Wopotami, muszę jedno znacznie stwierdzić, że ta lekkomyślnie rozpętana awantura sądowa zaszła już zdecydowanie za daleko i bynajmniej nie działa na korzyść plemienia.
- Ja natomiast, jako prawnik zmuszony wbrew swojej woli do współdziałania z generałem Hawkinsem, muszę stwierdzić, że w tej Sprawie nie ma nic lekkomyślnego. Owszem, patrząc realnie należy stwierdzić, że szansę na jej wygranie są nikłe, ale pozew wypici., ogromne wrażenie i jest znakomicie udokumentowany.
- Słucham? - Redwing wpatrywała się ze zdumieniem wgarną, a dym z papierosa zawisł przed nią nieruchomo, jakby uchwycony na fotografii. - Chyba pan żartuje?
- Chciałbym, żeby tak było. Życie stałoby się wtedy znacznie łatwiejsze.
- W takim razie czy mógłby pan to powtórzyć? '-i
- Dowody .<fzygrzebane w tajnych archiwach wydają się stuprocentowo autentyczne. Zawarte w dobrej wierze traktaty rozstrzygające sporne kwestie terytorialne zostały ukryte, a zastąpiono je sądowymi nakazami przesiedlenia, lekceważąc wszystkie poprzednie Nakazy przesiedlenia? Kazano im się wynosić?
- Otóż to. Całkowicie nielegalnie, gdyż rząd nie miał prawa wycofać się z zawartych wcześniej porównień i zmusić Wopotami, by

188

odeszli ze swojej ziemi a już na pewno nie bez rozprawy przed sądem federalnym, w której uczestniczyliby także reprezentanci szczepu.

- Naprawdę to zrobili? Bez sądu, nie wysłuchawszy drugiej strony? Jak to możliwe?
- Po prostu rząd zełgał jak pies, szczególnie w kwestii traktatu z tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego roku, zawartego między plemieniem Wopotami a Czterdziestym Dziewiątym Kongresem.
- Ale jak?
- Departament Spraw Wewnętrznych, naturalnie z pomocą Biura do Spraw Indian, stwierdził, że taki traktat nigdy nie istniał, że to jedynie złudzt n k v'. > ^uidno orzez •% zamaiii > u \Ue\vajacuh \u>de ognisk; do gardeł wojowników tańczących dokoła ogniska... Autor pozwu posunął się nawet do tego, że przedstawił swoją teorię dotyczącą pożaru Pierwszego Banku Miejskiego w Omaha, który spłonął w tysiąc dziewięćset d w unastym. roku.
- Coś mi to mówi... - zauważyła Jennifer ze zmarszczonymi brwiami i zgasła papierosa w popielnicze.
- Powinno. Tam właśnie Wopotami trzymali swoje plemienne archiwa, które, rzecz jasna, uległy całkowitemu zniszczeniu.
- Co to za teoria?
- Według niej ogień podłożyli agenci federalni działający na rzecz Waszyngtonu.
- To bardzo poważne oskarżenie, mecenasie, nawet po osiemdziesięciu latach. Można wiedzieć, na czym się opiera?
- Rzekomo w nocy włamano się do banku i ukradziono wszystkie kosztowności, po czym złodzieje ulotnili się bez śladu, Jednak na odchodnym postanowili podłożyć ogień, co było raczej głupim pomysłem, gdyż na pewno utrudniło im to ucieczkę; należało się spodz że pożar tych rozmiarów zwróci uwagę co najmniej kilku osób

- To rzeczywiście głupota, ale często spotykana, panie Devereaux. patologiczni przestępcy wcale nie stanowią wymysłu naszych czasów, 38 nienawisć o- banków ma długą historię.

- Zgadza się. Jeżeli jednak ustalono ponad wszelką wątpliwość, że źródło ognia znajdowało się w podziemiach, gdzie przechowywano pokumenty, które to dokumenty zostały rozrzucone po podłodze i obficie polanę s ; i to chyba mogą się nasunąć pewne podejrzenia, prawda? Poza tym

mieliśmy do czynienia z najkrócej prowadzonymi

189

poszukiwaniami sprawców w całej historii Stanów Zjednoczonych, więc nic dziwnego, że niedługo potem widziano ich w Ameryce Południowej. Rzecz jasna, Cassidy i Sundance stwierdzili kategorycznie, że nigdy nie byli w Omaha, a w tamtych czasach tylko oni mogli dokonać napadu na taką skalę... Naturalnie przedstawiłem pani tylko ogólny zarys sprawy, jak by powiedział mój szacowny pracodawca.

- Mimo to przekonał mnie pan. - Uroczą pani adwokat o miedzianej skórze potrząsnęła raptownie głową. - Nie wolno dopuścić, żeby ta sprawa posunęła się naprzód!

- Obawiam się, że nie uda się jej zatrzymać - odparł Sam.

- Oczywiście, że się uda! Ten generał, ten okropny Hawkins, może po prostu wycofać pozew. Proszę mi wierzyć, Sąd Najwyższy uwielbia, kiedy wycofuje się pozwy. Nawet mój brat zdążył się o tym przekonać, kiedy kręcił się tam po korytarzu.

- Czy to właśnie on?

- Czy on co?

- Czy to właśnie on jest tym młodym indiańskim zuchem, który współpracował z Hawkinsem mimo nie zdanych egzaminów adwokackich?

- Mimo nie zdanych?... Informuję pana niniejszym, że mój brat zdał wszystkie egzaminy, uzyskując najwyższe oceny!

- Tak samo jak ja.

- A więc wszystko się zgadza - odparła Jennifer bez śladu entuzjazmu w głosie. - Wygląda na to, że jesteście wystrugani z tego samego zwariowanego kawałka drewna.

- To jego pani przypominam? Już coś pani wspominała na ten temat...

- Oznacza to, mecenasie, że pański przeklęty generał Hawkins znalazł sobie do pomocy nowego Samuela Devereaux.

- Czy pani brat był w wojsku?

- Nie, ale był w rezerwacie. Jak się okazuje, nie w tym, w którym powinien... Wracajmy jednak do szalonego generała.

- Proszę sobie wyobrazić, że słowo szalony wchodziło w skład jego wojskowego przezwiska.

- Jak pan myśli, dlaczego wcale mnie to nie dziwi? - zapytała Jennifer, ponownie sięgając do torebki.

- Chwileczkę, pani mecenas! - wykrzyknął Devereaux, kiedy dziewczyna wyjęła kolejnego papierosa. - Już tak dobrze sobie pani

190

radziła... Zaciągnęła się pani tylko kilka razy i zgasiła papierosa - zresztą ja też, żeby nie stwarzać pani pokusy...

Proszę zejść z mojego tematu, dobrze? Nie mam ochoty dyskutować o pańskich operacjach mózgu ani o moich słabostkach. Chcę rozmawiać o Hawkinsie, o odwołaniu, które złożył w Sądzie Najwyższym, i o tym, w jaki sposób możemy je zgnieść!

- Jeśli chodzi o ścisłość, nie jest to żadne odwołanie. Nie mamy przecież do czynienia z decyzją sądu niższej instancji, którą jedna ze stron postanowiła zaskarżyć do sądu wyższej...

- Tylko bez wykładów, sikaczu!

- Po pierwsze, to była kawa, po drugie, zmieniłem już spodnie, a po trzecie, pani w i e, że to była naprawdę kawa.

- Ale w bardziej ogólnym sensie mamy do czynienia właśnie odwoi m - odwołaniem do sumień ludzi, by naprawić wydzom zło. ^ ^/•

- Pani mówi o moich spodniach?

- Nie, idioto! O tym cholernym pozwie!

- W takim razie myśli pani podobnie jak Mac. Jeżeli wszystko, pani powiedziałem, okaże się prawdą, to czy nie uważa pani, że zło powinno być naprawione?

- Właściwie po czyjej jest pan stronie? - zaprotestowała indiańska piękność.

- Chwilowo występuję jako adwokat diabła, nie dopuszczając do głosu swoich prawdziwych

przekonań. Chcę się dowiedzieć, co pani myśli. •

- Czy pan naprawdę nie rozumie, że to, co ja myślę, nie ma żadnego znaczenia? Martwię się o swoich rodaków i nie chcę, żeby stała im się jakaś krzywda.
- Daj spokój, Devereaux, bądźmy realistami: małe indiańskie plemię przeciwko potędze Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych. Jakie mielibyśmy szansę? Nawet cień zagrożenia z naszej strony doprowadziłby do błyskawicznego uchwalenia nowych praw, odebrania nam terenów, na których teraz mieszkamy, i rozproszenia ludzi po całym kraju. Byłoby to ekonomiczne i rasowe morderstwo. Nie pierwszy raz przeżylibyśmy coś takiego.
- A więc czy nie warto przeciw temu walczyć? - zapytał Sam % niewzruszoną miną. - Wszędzie gdzie tylko można?
- Teoretycznie, owszem. W większości podobnych zdarzeń nawet bardzo aktywnie. Ale nie tutaj. Nasi ludzie wcale nie są nieszczęśliwi.

191

Żyją na swojej ziemi, dostają od rządu spore dotacje, które ja inwestuje, by przynosiły znaczne zyski... Po prostu nie mogę dopuścić, by nagle zostali rzućeni w sam środek bezpardonowej walki.

- Mac nie zgodziłby się z panią. Jest prawdziwym oryginałem, w dodatku takim, dla którego walka nie stanowi niebezpieczeństwa, tylko normalną rzeczywistość... My także nie możemy się z panią zgodzić, panno Redwing - mówię teraz w moim własnym, mocno przerażonym imieniu, a także w imieniu najwybitniejszego prawnika, jakiego miałem okazję poznać, to znaczy mego pracodawcy, Aarona Pinkusa. Widzi pani, kiedy sprowadzimy wszystko do podstaw, wtedy okaże się, że pełnimy coś w rodzaju zaszczytnej służby i nie zachowalibyśmy się najlepiej, gdybyśmy udawali, że patrzymy w inną stronę, doskonale wiedząc, że zostało popełnione bardzo poważne przestępstwo. Chyba że zupełnie nie wierzylibyśmy w to, co robimy. O tym właśnie myślał Aaron, kiedy powiedział mi, że każdy z nas musi na własną rękę podjąć najważniejszą decyzję w życiu. Odwrócimy się plecami, czy też wystąpimy w obronie sprawy, która prawdopodobnie zniszczy nasze kariery, ale pozwoli zachować czyste sumienia?

Jennifer Redwing wpatrywała się w Sama szeroko otwartymi oczami. Dopiero po dłuższej chwili przelknęła kilka razy ślinę, a następnie zapytała z wahaniem:

- Czy ożeni się pan ze mną, panie Devereaux?... Nie, wcale tak nie myślę! To pomyłka, tak samo jak to, co pan powiedział w windzie!
- W porządku, panno... panno... Ma pani jakoś na imię? Bądź co bądź, mnie wysnęło się to jako pierwszemu... Mówię o tej głupiej pomyłce, ma się rozumieć.
- Niektórzy nazywają mnie Czerwońcem.
- Chyba nie z powodu włosów... Boże, to najwspanialszy, najbardziej błyszczący heban, jaki kiedykolwiek widziałem!
- To zasługa genów - wyjaśniła Jennifer, wstając powoli z fotela. - Nasze plemię zawsze jadało wiele surowego mięsa bizonów. Podobno dzięki temu włosy zyskują dodatkowy połysk.
- Nic mnie nie obchodzi, czego to jest zasługą - odparł Devereaux, który także podniósł się z fotela, a teraz zaczął powoli okrążyć biurko. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem w życiu.
- Wygląd o niczym nie świadczy, Sam... Mogę tak do ciebie mówić?

192

- To znakomity substytut dla idioty - powiedział Devereaux, biorąc ją w ramiona. - Naprawdę jesteś wspaniała!
  - Proszę, Sam! To nie ma znaczenia. Jeśli wzbudziłeś moje zainteresowanie, a wzbudziłeś, co do tego nie ma dwóch zdań, to nie dzięki przystojnej twa rzy i smukł(e), wysokiej sylwetce, choć naturalnie nie można nie brać tego pod uwagę, ale głównie z powodu stałości twoich przekonań i wielkiej miłości do prawa.
  - Tak, miłość! Mam tego mnóstwo, możesz mi wierzyć!
  - Proszę, nie żartuj sobie...
  - Wcale nie żartuję.
- Naturalnie, właśnie w tej chwili zadzwonił telefon. Devereaux na oślep walnął pięścią; co

prawda nie trafił w aparat, ale cios był wystarczająco silny, by słuchawka podskoczyła i spadła na blat biurka. Sam chwycił ją z wściekłością i podniósł do ucha.

- Mówi automat zgłoszeniowy - powiedział donośnym, monotonnym głosem, - Tu Zakład Pogrzebowy Lugosiego. Przykro mi, ale w tej chwili nie ma nikogo, kto mógłby wstać i podejść do telefonu, więc...

- Daruj sobie, chłopcze - usłyszał warkniecie MacKenziego Hawkmsa. - Lepiej słuchaj uważnie. Zostaliśmy zaatakowani, a ty stanowisz główny cel, więc musisz jak najprędzej się ukryć!

- To ty słuchaj, żywa skamielino: zostawiłem cię zaledwie dwie godziny temu, mówiąc wyraźnie, żeby nie niepokoić mnie aż do popołudnia! Jeżeli tego nie wiesz, to wyjaśniam ci, że popołudnie zaczyna SIĘ po dwunastej w południe...

- Sam, przestań się wygłupiać i skup się choć na chwilę - przerwał mu Hawkins. Jego spokojny, poważny głos świadczył o autentycznym niepokoju. - Musisz wyjść z domu. Natychmiast.

- Niby dlaczego, do cholery?

- Dlatego że nie masz zastrzeżonego numeru, co oznacza, że twój adres jest w każdej książce telefonicznej.

- Podobnie jak adresy kilku milionów innych ludzi...

- Ale tylko dwóch z nich kiedykolwiek słyszało o plemienu Wopotami

- Co takiego?

- Powiem to tylko raz, chłopcze, bo nie mamy ani chwili do stracenia Nie mam pojęcia, jak to się stało - Hymie Huragan nigdy nie działa w taki sposób. Owszem, przysłałby jednego albo dwóch

193

osłków, ale nie zawodowego mordercę, a właśnie z kimś takim będziemy mieli do czynienia.

- Mac, czy nie jest jeszcze trochę za wcześnie, żeby się tak nabąblować?

- Słuchajcie, kapitanie - odparł Hawkins lodowatym tonem. - Mój adiutant D-Jeden - który, przed podjęciem służby u mnie, pracował często w Nowym Jorku, a szczególnie w Brooklynie - zauważył w hotelu człowieka, którego widział kiedyś w swoim poprzednim miejscu pracy. Bardzo złego człowieka, kapitanie. Ponieważ porucznik Desi był odpowiednio ubrany, stanął przy recepcji obok tego *hombre vicioso*, jak go nazwał, i usłyszał, jak ten pyta o dwóch dżentelmenów. Ich nazwiska brzmiały Pinkus i Devereaux.

- A niech mnie jasna...

- Otóż to, chłopcze. To niemiłe indywiduum zadzwoniło do kogoś, po czym wróciło do recepcji i wynajęło pokój dwa piętra pod nami. Nie podoba mi się ta jego rozmowa telefoniczna.

- Ani mnie.

- Przed chwilą skontaktowałem się z komendantem Pinkusem i uzgodniliśmy sposób postępowania. Zabierz matkę i tę zwariowaną służącą, która podobno jest waszą krewną, i wynoście się z domu. Nie możemy dopuścić do wzięcia zakładników.

- Zakładników?! - wykrzyknął Devereaux, spoglądając dziko na oszałamiającą Czerwoną Redwing, która wpatrywała się w niego z rosnącym zdumieniem. - Mój Boże, masz rację.

- Rzadko kiedy się myślę w podobnych sytuacjach, synu. Komendant Pinkus polecił ci, abyś udał się do tej podejrzanej knajpy, obok której spotkaliśmy się na parkingu, a on wysłał tam po was swego sierżanta artylerii - to znaczy zrobi to natychmiast, jak tylko uda mu się go zlokalizować... Wygląda na to, że szanowna małżonka wybrała się limuzyną po zakupy. Podobno prawie wcale nie odzywa się do komendanta, a jeżeli już, to tylko po to, żeby zrugać go za jakieś brudne zasłanki i smród nieświeżych ryb.

- Dobra, zaraz ruszamy, ale będę musiał wziąć jaguara matki. Stosh nie oddał mi jeszcze wozu, więc niech Aaron powie Paddy'emu, żeby szukał żółtego jaguara... A co z tobą, Mac? Naturalnie guzik mnie to obchodzi, ale ten niemiły osobnik jest tylko dwa piętra pod tobą...

- Naprawdę jestem wzruszony twoją troskliwością, synu, ale

194

niczego się nie obawiaj. Mam jeszcze trochę czasu, żeby zwinać biwak i usunąć wszystkie

dokumenty.

- Skąd wiesz? Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale nie jesteś niezwycięzony. Ten sukinsyn może lada chwila dobrać ci się do skóry!

- Wątpię, Sam. D-Dwa popracował trochę przy drzwiach jego pokoju i zablokował mu na amen zamek. Wyjdzie z pokoju albo przez okno - a tak się składa, że to jest czwarte piętro - albo wtedy jak wyważa drzwi. Wyglądają na drewniane, ale w środku mają stalową płytę, więc trzeba będzie użyć palnika tlenowego. Potrafię dobierać sobie ludzi, co?

- Zachowam na ten temat własne zdanie, ale powiem ci, że wczoraj wieczorem miałem z nimi bardzo dziwną rozmowę.

- Już o wszystkim słyszałem. Znasz najświeższą nowinę? Postanowili wstąpić do wojska! Kazałem im poczekać jeszcze dzień albo dwa, żebym mógł posłać ich od razu na przeszkolenie do G2 -Boże Wszechmogący, oni już teraz są o parę lat świetlnych lepsi od tych kretynów. którzy kończą kurs! Naturalnie Desi Pierwszy musi wstawić łbie parę zębów - przecież nie może straszyć wszystkich tą swoją szczęką - ale od czego są moje stare układy? Armia zajmie się tym, iwtedy,..

- Znikamy stąd, Mac - przerwał mu Devereaux. - Jak powiedziałaś, nie mamy ani chwili do stracenia. - Sam rzucił słuchawkę na widełki i odwrócił się do Jennifer. - Mamy poważny problem - powiedział chwytając ją za ramiona. - Czy zaufasz mi, biorąc pod uwagę nasze niemal telepatyczne porozumienie?

- Uczuciowo czy intelektualnie? - zapytała z powątpiewaniem znakomita pani adwokat.

• Te dwa aspekty są nierozłączne. Możemy stracić tyłki, ale także głowy. Później ci to wyjaśnię.

- Wspomniałeś coś o tym, że powinniśmy stąd zniknąć, więc na co czekamy?

- Musimy zabrać mamę i kuzynkę Córę.

- W takim razie, jak to się mówi w indiańskich legendach: mknijm niczym północny wiatr, zanim blade twarze zjawią się ze swoimi grzmiącymi kijami!

- Mój Boże, to cudowne! <:«,' -

- Co takiego?

195

- Ten północny wiatr i grmiące kije!

- Można się przyzwyczać, jeśli słuchało się tego od urodzenia, chłopczyku. Szybko! Ty zajmiesz się kuzynką Córą, a ja twoją matką.

- Czy nie powinno być na odwrót?

- Żartujesz? Przecież matka nie ma do ciebie ani krzty zaufania!

- Musi je mieć. Jestem jej synem.

- Wyprze się tego, możesz mi wierzyć na słowo.

- Ale ja ciebie kocham, a ty mnie! Zgodziliśmy się co do tego!

- Daliśmy się unieść emocjom - ty sercowym, ja intelektualnym. Pogadamy o tym później.

- Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek usłyszę od ciebie coś, co sprawi mi tak wielki ból...

- Spróbuj przyłożyć mi do głowy grmiący kij i zczekaj na pomocny wiatr, a zdziwisz się, co w t e d y usłyszysz, mecenasie. Ruszajmy. Ostatnio widziałam Córę w spizarni, jak sprawdzała dzbanki do herbaty. Znajdź ją, a ja zgramę twoją matkę. Spotkamy się w garażu. Nie zapomnij kluczyków do jaguara.

- Skąd wiesz, że tu jest garaż?

- Zapominasz, że jestem Indianką. Przed atakiem zawsze kilka razy okrążamy obóz nieprzyjaciela. Biali ludzie nigdy się tego nie nauczą.

- Wspaniale!

- Och, zamknij się wreszcie. W drogę!

Jednak Córa odmówiła podporządkowania się rozkazowi ewakuacji. Kiedy Sam zasugerował, że w grę może wchodzić autentyczne zagrożenie jej życia, kuzynka jego dalekiego wujka wysunęła ukrytą szufladę pod piekarnikiem i wyjęła z niej nie jeden, ale dwa naładowane egzemplarze magnum kaliber 0,357 cala, oświadczając, że to ona stanowi prawdziwą ochronę domu.

- Myślisz, że uwierzyłabym tym głupim alarmom, które włączają się i wyłączają bez żadnego powodu? Nawet nie ma mowy, Sammy! Pochodzę z innej gałęzi rodziny. Twoja matka i jej wymuskany mąż zawsze mieli nas w głębokim poważaniu, ale Bóg mi świadkiem, że teraz

zarobię na swoje utrzymanie!

- Nie wierzę w skuteczność argumentów siły, Córo.
- Wierz sobie w co chcesz. Mam pilnować domu i nie zabronisz mi tego, choćby nie wiem co, chłoptasiu!

196

- Chłoptasiu?... To już drugi raz w ciągu pięciu minut!
- Ty zawsze śmiesznie gadasz, Sammy.
- Córo, czy już kiedyś powiedziałem, że cię Kocham?
- Kilka razy, kiedy byłeś ubzdryngolony jak królik w Wielkanoc. Dobra, zabieraj tę długonogą pannicę i swoją matulkę, i zwijajcie się stąd... Niech protestancki Pan Bóg ma w opiece tych, którzy będą chcieli się tu dostać! Tak na wszelki wypadek zadzwonię jednak na policję. Niech i oni zapracują na swoje pensje!

Zółty jaguar, z Jennifer podtrzymującą na tylnym siedzeniu półprzytomną Eleanorę Devereaux, wystrzelił z podjazdu i ruszył w kierunku autostrady prowadzącej do Bostonu. Za drugim rogiem minął długą czarną limuzynę wyglądającą jak dokładna kopia policyjnego wozu patrolowego z lat trzydziestych; kopia była tak dokładna, że za jedną z szyb widniała nawet lekko rozplaszczona twarz, przypominająca nieco fizjonomie, jakie zdarza się uwieczniać na kliszy fotografom wykonującym reportaże ze świata zwierząt. Pomimo dręczących obaw Devereaux nie zawrócił, wierząc mocno w to, że Córa okaże się więcej niż godną przeciwniczką dla dwóch rewolwerowców do tego stopnia głupich, by jeździć w biały dzień ogromną czarną limuzyną i rozglądać się w poszukiwaniu właściwego adresu. Jego daleka kuzynka bez udziału policji powinna łatwo rozprawić się z nimi z pomocą swoich dwóch magnum... A gdzie ona właściwie je zdobyła?

- Sam, twoja matka musi iść do łazienki - oznajmiła Jennifer dwanaście minii; później, tuląc do piersi głowę Eleanory Devereaux.

- Moja matka nie robi takich rzeczy. To dobre dla innych ludzi, ale nie dla niej. Ona nie chodzi do łazienki.

- Sądząc po twoich spodniach, odziedziczyłeś przyzwyczajenia mamusi.

- To była kawa!

- Ty tak twierdzisz. | - Za kilka minut będziemy u Nanny. Powiedz jej, żeby jeszcze trochę wytrzymała.

| - „Wstręciuszek Nanny”?! - wykrzyknęła córa plemienia Wopo-tami. - To my t a m jedziemy?

- Znasz to miejsce?

- Podczas zajęć z prawa konstytucyjnego często wybuchła dyskusja na temat konieczności wprowadzenia moralnej cenzury

197

państwa. Najczęściej wymienianym przykładem był właśnie ten lokal... Nie możesz jej tam zabrać! „Nanny” jest czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie mam wyboru, pani mecenas. To tylko dwie albo trzy minuty drogi stąd.

- Ona nie wytrzyma tak długo!

- Wtedy będzie mogła opowiedzieć o dziedziczonej z pokolenia na pokolenie rodzinnej przypadłości.

- Jesteś okrutnym chłopcem noszącym w sobie diabelskie nasienie złych duchów kryjących się pod ziemią!

- Co to ma *znaczyć*, do ku... do cholery? "

- To znaczy, że dobrzy bogowie nie pogodzili się z faktem twoich narodzin, w związku z czym czeka cię śmierć w męczarniach, a następnie twoje zwłoki zostaną pożarte przez sępy.

- W moim gabinecie mówiłaś zupełnie co innego.

- Tylko dlatego, że dałam się ponieść emocjom. Usłyszałam słowa, których nie słyszałam od bardzo dawna - zbyt dawna. Uprawianie zawodu prawnika najczęściej nie ma nic wspólnego z umiłowaniem prawa. Przez chwilę utraciłam zdolność spoglądania na świat z odpowiedniej perspektywy, a bardzo tego nie lubię.

- Piękne dzięki. Podnieca cię każda głębsza analiza stanu duszy, bez względu na to, kto jej dokonał?

- Myślę, że w naszym zawodzie każdemu przydałoby się od czasu do czasu takie

doświadczenie.

- A więc ty n a p r a w d ę jesteś prawnikiem...

- Owszem.

- W jakiej firmie pracujesz?

- Springtree, Basl i Karpas w San Francisco.

- Boże, to prawdziwe rekiny!

- Cieszę się, że o tym wiesz... Daleko jeszcze? Twoja matka z trudem szepcze, ale widzę, że bardzo cierpi.

- Za minutę będziemy na miejscu... A może powinniśmy zawieźć ją do szpitala? Jeśli ona naprawdę...

- Daj spokój, mecenasie. To by ją załatwiło jeszcze gorzej niż „Wstręciuszkami Nanny”. Dzbanek na herbatę był pusty.

- Czy to kolejna gałązka mądrości z plemiennego drzewa wiedzy? Nie, chyba nie. Córa wspominała coś o dzbankach na herbatę'.. Ty zresztą też.

198

- Niektóre doznania, panie Devereaux, jak na przykład rodzenie dzieci, są znane wyłącznie kobietom.

- Jeszcze raz pięknie dziękuję. Tym razem za tego pana - odparł Sam, wjeżdżając na parking przed „Wstreciuszkami Nan-ny”. - Nikomu nie życzę, żeby musiał przeżyć taki dzień albo taką noc, jak ja. Szalony Mac i jego dwaj kretyńscy „adiutanci”, którzy wciąż mnie wiążą albo powalają na podłogę, brodaci Grecy, którym musiałem oddać ubranie, Aaron Pinkus zwracający się do mnie: Samuelu, pozew, który powinien zostać odesłany do jakiegoś prawniczego piekła, pijana matka, najpiękniejsza kobieta, jaką spotkałem w życiu, zakochująca się we mnie i odkochująca w ciągu dwudziestu minut, a teraz, jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, płatny morderca z Brooklynu polujący na moją głowę! Nie wiem, czy nie powinienem sam siebie odwiedzić do szpitala?

- Na pewno powinieneś zatrzymać samochód! - wykrzyknęła Jennifer, kiedy rozgadany Devereaux minął ocienione markizą wejście do przybytku Nanny. - A teraz cofnij o jakieś trzydzieści metrów.

- Słyszałem, że zakopujecie swoich jeńców w mrowiskach! - wymamrotał Sam

- Zastanowię się nad tym - odparła Redwing, otwierając drzwi i delikatnie pomagając wysiąść Eleanorze Devereaux. - Jeżeli zaraz nie ruszysz tyłka, żeby mi pomóc, płatny morderca z Brooklynu stanie się najmniej istotnym z twoich zmartwień!

- Już dobrze, dobrze... - Sam zrobił, co mu kazano, i wraz z Jennifer poprowadził słaniającą się na nogach matkę w kierunku imponującego budynku. Stiukowe ściany były zawieszane fotografiami nagich mężczyzn i kobiet. - Może powinienem zostać w samochodzie?... - zaproponował nieśmiało.

- Dobry pomysł, mecenasie - zgodziła się Redwing z ledwo uchwytną nutą sarkazmu w głosie. - Za dwie minuty mogłoby już go nie być. Ja zajmę się Eleanorą, a ty zaczekaj na tego Paddy'ego, czy jak on się nazywa.

- Eleanorą?

- My, kobiety, o wiele łatwiej niż mężczyźni wyczuwamy pokrewne dusze. Jesteśmy znacznie bardziej bystre... Chodź, Ellie. Wszystko będzie dobrze.

Ellie? - wykrztusił zdumiony Devereaux, obserwując, jak

199

indiańska piękność wprowadza jego matkę do wnętrza lokalu. - Nikt tak do niej nie mówi...

- Hej tam, panie ładny! - zawołał ochryplym głosem potężnie zbudowany, bardziej podobny do małpy niż do człowieka, mężczyzna pełniący bez wątpienia funkcję strażnika izłub wykidajły. - Suń pan ciutkę tego jaga! Tu nie wolno parkować.

- Natychmiast, panie oficerze - odparł Devereaux i pobiegł truchtem do samochodu. Weteran oddziałów specjalnych Nanny nie spuszczał z niego spojrzenia pełnego dezaprobaty.

- Nie jestem gliniarzem - wyjaśnił, kiedy Sam wskoczył za kierownicę. - To nie jest policyjny zakaz. •»

- Rozumiem, proszę pana. - Sam uruchomił silnik. - Od razu powinienem był się zorientować, że pracuje pan w korpusie dyplomatycznym - dodał, po czym ruszył z piskiem



opon, wykonał skręt o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymał samochód naprzeciwko wejścia, tyle że po drugiej stronie parkingu. Zaczeka tutaj, a kiedy zobaczy, jak Redwing i jego matka wychodzą z ocienionych markizą drzwi, podjedzie tam błyskawicznie, licząc na to, że nawet ten postarzały King Kong dostrzeże urodę Jennifer i stanie się nieco łagodniejszy. Potem, już we trójkę, zaczekają na Paddy'ego, który przybędzie z dokładnymi instrukcjami... Mój Boże, zawodowy morderca! I czarna limuzyna jak z konduktu pogrzebowego, jadąca w kierunku jego domu! Co się właściwie dzieje, do diabła? Łatwo mógłby zrozumieć desperacką reakcję Waszyngtonu, gdyby pozew plemienia Wopotami spotkał się z przychylną reakcją Sądu Najwyższego, ale Czarna Maria z przyklepionym do szyby pasażerem nie mającym nic wspólnego z gatunkiem *homo sapiens*... Nie, rząd cywilizowanego kraju nie postępuje w taki sposób! Rząd wysyła negocjatorów, nie zaś płatnych zabójców. Odbywają się spotkania, podczas których w cywilizowanych warunkach poszukuje się rozwiązań satysfakcjonujących wszystkie strony... Chociaż... jeżeli Waszyngton dowiedział się, że w całej tej hecy grożącej poważnym osłabieniem zdolności obronnych kraju pierwsze skrzypce gra były generał MacKenzie Hawkins, znany także jako Szalony Mac Jastrząb, to rzeczywiście zawodowi mordercy i czarne limuzyny stanowili jedyne rozwiązanie możliwe do zaakceptowania. Jastrząb miał w głębokiej pogardzie ludzi rządzących Zwariowanym Miastem. Te nędzne kutasiny, jak o nich mówił, zabrały mu ukochaną armię, w związku z czym nic, ale to nic, co można było

200

wepchnąć im do gardeł, nie mogło okazać się zbyt wstrętne ani zbyt ohydne.

A niech to.. Jeśli jednak Waszyngton zareagował łagodnie na Hawkinsa, to ta łagodność powinna także obejmować wszystkie osoby z jego bezpośredniego otoczenia, a tymczasem morderca pytał w recepcji o Pinkusa i Devereaux! Jak to możliwe, do wszystkich diabłów? Mac przybył do Bostonu zaledwie osiemnaście przeklętych godzin temu, a zgodnie z tym, co twierdził, nikt w Waszyngtonie nie słyszał jeszcze o żadnym Samie Devereaux ani tym bardziej o Aaronie Pinkusie! A więc jak do tego doszło? Nawet w dobie działających błyskawicznie środków służących porozumiewaniu się na odległość jeden człowiek musiał mieć konkretną informację, żeby przekazać ją drugiemu - w przeciwnym razie wymiana informacji była niemożliwa. Ponieważ zaś nikt nie znał nazwiska niewinnego Devereaux, wplątanego wbrew swojej woli w okropną historię, nikt też nie mógł znać nazwiska Pinkusa. Jak więc?... Dobry Boże, istniała tylko jedna możliwość! Mac był śledzony! Nawet teraz, w tej chwili.

Gdzie podział się Paddy? Należy natychmiast ostrzec Hawkinsa! Gdzieś blisko starego żołnierza kręci się człowiek obserwujący każdy jego ruch, a nie trzeba było dysponować zbyt bujną wyobraźnią, aby domyślić się, iż człowiek ten pozostaje w ścisłym kontakcie z zabójcą mieszkającym w pokoju dwa piętra pod Hawkinsem... Paddy, gdzie jesteś, do cholery!

Sam zerknął w kierunku wejścia do lokalu, ale nie dostrzegł tam ani śladu pięknej Indianki lub jego matki. Nawet wiekowy King Kong zniknął z pola widzenia. Może gdyby się pośpieszył, zdołałby pobiec do środka i zadzwonić z wiszącego na ścianie automatu, z którego korzystał już poprzedniego wieczoru? Właśnie miał zamiar uruchomić silnik, by wprowadzić swój plan w życie, kiedy spod markizy wyszedł siwiejący osiłek, zatrzymał się przy krawężniku i rozejrzał dokoła. Kiedy spostrzegł żółtego jaguara i siedzącego w nim Sama, machnął ręką, dając znak, by Devereaux natychmiast podjechał pod wejście.

Mój Boże, coś się stało mamie! - pomyślał Sam, przekręcił kluczyk, wpednął pedał gazu i po upływie dwóch i czterech dziesiątych sekundy zatrzymał się z piskiem opon przed markizą.

- Co jest?! - ryknął do szeroko uśmiechniętej, człokopodobnej istoty z siwiejącymi włosami.

Chłopcze, czegoś mi nic nie chlapanął, że jesteś z panną Redwing?

201

To świetna dziewczucha. Gdybym wiedział, że jesteście razem, nie byłbym taki ostry. Przepraszam, chłoptasiu.

- Znasz ją?

- No, szczerze mówiąc, siedzę w tej wszawej budzie dłużej, niżbym chciał spamiętać, to znaczy, odkąd wywalili mnie z wojska. Właścicielką jest moja synowa, teraz już wdowa, a to też miało trochę wspólnego z moim wywaleniem, bo mój dumny synalek dał w łapę nie temu facetowi, co trzeba, żeby załatwić zezwolenie, i Dostał kulkę w plecy. Panna Redwing i jej

kumple z Harvardu podali urzędasów do sądu i załatwili mi większe odszkodowanie. Co o tym myślisz?

- Nic nie myślę. Tracę rozeznanie w tym, co się dzieje dokoła mnie...

- Tak, panienska powiedziała, że możesz być trochę skołowany i że mam nie zwracać uwagi na twoje spodnie.

- Przecież je zmieniłem! Ona doskonale o tym wie!

- Mnie tam nie interesują żadne szczegóły, chłopcze, ale powiem ci jedno: podniesiesz na nią palec, a będziesz miał ze mną do czynienia. Dobra, teraz wyskakuj i idź do pań. Popilnuję ci tego grata.

- Są w środku?

- Przecież nie na jachcie w porcie, chłoptasiu.

Całkowicie oszołomiony Devereaux wysiadł z samochodu, z trudem utrzymując równowagę na chodniku, i ruszył w stronę wejścia, kiedy na parking z potwornym rykiem silnika wpadła limuzyna Aarona Pinkusa, by sekundę później gwałtownie zahamować tuż za żółtym jaguarem.

- Sammy! - zawołał Paddy Lafferty przez otwarte okno. - O, Billy Gilligan! Jak się masz?

- Ujdzie w tłoku, Paddy - odparł obłaskawiony King Kong. - A co u ciebie?

- Wszystko w porządku, tym bardziej że, jak widzę, opiekujesz się moim chłopcem.

- To on jest twój?

- Mój i mojego znakomitego pracodawcy.

- Więc zajmij się nim, Paddy. Chyba ma trochę za luźno pod kopułą. Popilnuję waszych gratów.

- Dzięki, Billy. - Lafferty wyskoczył z ogromnej limuzyny i nie zwracając najmniejszej uwagi na Sama podszedł do starszego brata Tarzana. - Nie uwierzysz, co mam ci do powiedzenia, Billy, ale klnę się na groby klanu Kilgallenów, że to wszystko prawda!

202

- Gadaj, Paddy.

- Wyobraź sobie, że nie tylko go spotkałem, ale jechał ze mną na przednim fotelu i odbyliśmy bardzo poważną rozmowę. My dwaj,

- Mówisz o papieżu, Paddy? Twój żydowski szefunio sprowadził tu papieża?

- Oczko wyżej, Billy!

- Nie mam pojęcia, kto to mógłby... No, chyba że on, ale to przecież niemożliwe.

- Nie, Billy, to możliwe! Trafieś, chłopie! To on sam, we własnej osobie: generał MacKenzie Hawkins!

- Nie gadaj, Paddy, bo zaraz pikawka stanie mi dęba...

- Naprawdę, Billy! To był on, nie kto inny, najwspanialszy człowiek, jaki chodził po ziemi. Pamiętasz, co mawialiśmy we Francji, przedzierając się przez te lasy nad Marną? „Dajcie nam Szalonego Maca, a pogonimy szkopom kota!” Potem przez dziesięć dni był z nami. a my szliśmy do ataku z pieśnią na ustach, patrząc na niego, bo on zawsze był daleko przed nami i wrzeszczał, że damy radę, na pewno damy radę, bo jesteśmy lepsi od tych sukinsynów, którzy do nas strzelają! Pamiętasz, Billy?

- To były najwspanialsze chwile mojego życia, Paddy - odparł jGilligan ze łzami w oczach. - On jest największym człowiekiem, akiego Bóg zesłał na ziemię... No, może z wyjątkiem Pana Jezusa.

- Zdaje się, że on ma kłopoty, Billy. Dokładnie tutaj, w Bostonie.

- Na pewno nie, dopóki my tu jesteśmy, Paddy, i dopóki na zebrania Związku Kombatantów do Pata O'Briena przychodzi choć jedna żywa dusza... Hej, Paddy? Co się stało twojemu chłoptasiewi? Jakoś dziwnie rozpląszczył się na betonie.

- Zemdlął. Zdaje się, że to u nich rodzinne.

- Mmmfff!... - zaprotestował półprzytomnie Sam Devereaux.

Samuelu Lansing Devereaux, wstań natychmiast i zachowuj się przyzwoicie!  
- wykrzyknęła lady Eleanora. Zabrzmiało to zadziwiająco dostojnie, zważywszy na fakt, że sama chwiała się na nogach przed ocienionym markizą wejściem do lokalu Nanny, trzymając się kurczowo ramienia Jennifer Redwing.

- Wstawaj, chłopcze - zachęcił go Paddy. - Złap moją rękę.

- Wygląda mi na sporo lżejszego od mojej synowej - zauważył Billy Gilligan. - Może po prostu wrzucimy go do tej landary?

- Twoja synowa powinna grać na środku ataku w Patriotach, a co do limuzyny pana Pinkusa, to proszę, byś zechciał nie wyrażać się o niej tak lekceważąco.

- Wiesz, skąd to wziąłem? - zapytał Gilligan, kiedy we dwóch nieśli Sama do samochodu. - Zaraz ci powiem. Od samego Pinkusa, chłopcze. Pamiętasz, jak kiedyś przyjechaliście tu tylko we dwóch i...

- Wystarczy, Billy! Dziękuję za pomoc. Kluczyki od jaguara są w stacyjce. Będę ci bardzo wdzięczny, jeśli zechcesz go postawić w jakimś miejscu, gdzie będziesz miał go cały czas na oku.

- Nic z tego, Lafferty! - zaprotestował Gilligan. - Zaraz kończę robotę i walę prosto do Pata O'Briena, żeby zwołać nadzwyczajne zebranie. Jeśli największy generał w dziejach ludzkości ma jakieś kłopoty, to może na nas liczyć!

- Na razie nic nie możemy zrobić, Billy, dopóki generał i pan Pinkus nie wydadzą konkretnych rozkazów. W razie czego natychmiast dam ci znać. Słowo artylerzysty.

204

- Cholera, co za zaszczyt! Spotkać tego wspaniałego człowieka we własnej osobie - generała armii Stanów Zjednoczonych MacKen-ziego Hawkinsa!

- Och, znowu to okropne nazwisko! - wykrzyknęła Eleanora Devereaux

- Popieram cię, Ellie - powiedziała Jennifer.

- Mmmff!... - dobiegło stłumione jęknięcie z tylnego siedzenia limuzyny.

- Nie zwracaj na nie uwagi, **BiUy** Nie czują się zbyt dobrze... AJe ci wcale nie obiecałem, że go **Spotkasz**. Powiedziałem tylko, że zobacze, co się da zrobić.

- A ja nie obiecałem, że nie sprzedam jaguara. Powiedziałem Jtylko, że spróbuję tego nie zrobić...

- Chodźmy, moje panie - przerwał mu Lafferty, spoglądając niesmakiem na byłego towarzysza broni. - Zawiozę was do hotelu liu-Caritun. gdzie pan Pinkus zarezerwował...

- Paddy! - zaskowyczał z tylnego siedzenia częściowo oprzytom-iały Sam Devereaux. - Muszę natychmiast skontaktować się ; Jastrzębiem! On nie ma pojęcia, co tu się naprawdę dzieje!...

Znakomity prawnik wypadł przez drzwi po drugiej stronie samochodu, zatrzasnął je za sobą, wgramolił się do środka przez przednie i sięgnął niepewnie po umieszczony między fotelami telefon k|omórkowy.

- Panie pozwolą?... - zagruchał Lafferty, pomagając Jennifer umieścić lady Eleanorę na tylnym siedzeniu. Następnie zamknął za sobą drzwi i usiadł za kierownicą, nieco zaniepokojony, gdyż z tego, i słyszał, wynikało, że Sam nie bardzo może się dogadać z telefonistką w hotelu Cztery Pory Roku.

- Co to ma znaczyć, że wszystkie telefony do pana Pinkusa mają być przełączane do innego pokoju?! - ryknął Devereaux.

- Uspokój się, chłopcze - powiedział Lafferty, uruchamiając silnik. - Grzecznością osiągniesz znacznie więcej niż chamstwem. Sam skierował na niego wściekłe spojrzenie.

- *MacKenzie Hawkins Super star...* - mruknął. - Dlaczego nie napiszecie takiego musicalu?... Słucham? Zajęty? Nie szkodzi, zaraz znowu zadz\ i „. Koniecznie muszę skontaktować się z Aaronem - powiedział., stukając zawzięcie w klawiaturę aparatu.

- To nie będzie łatwe - odparł Lafferty, włączając się do ruchu

205

na autostradzie. - Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, powiedział mi, że wychodzi na godzinę z biura, a potem spotka się z tobą w Ritzu.

- Nic nie rozumiesz, Paddy! Mac mógł już zostać porwany... albo jeszcze gorzej.

- Generał?!

- Śledzono go, odkąd zjawił się w Bostonie.  
 - Mój Boże! - wykrzyknął Lafferty. - Daj mi telefon! Zawiadomię chłopców Pata O'Briena. Trzeba ściągnąć Billa Gilligana...  
 - Zaczekaj, spróbuję jeszcze raz zadzwonić do hotelu. - Sam wystukał pośpiesznie numer i zerknął przez ramię na dwie kobiety siedzące w tylnej części limuzyny. Ostre spojrzenie Jennifer powiedziało mu, że dziewczyna zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji; matka mrugała szybko powiekami, wpatrując się bezmyślnie przed siebie. - Proszę z apartamentem pana Pinkusa. Tak, wiem, że rozmowy są przełączane do innego pokoju. - Devereaux wstrzymał oddech. Po chwili w słuchawce odezwał się czyjś wysoki, piskliwy głos.  
 - Tu Mały Joey - powiedział nieznajomy osobnik, prawdopodobnie obojnak albo karzeł. - Czego?  
 - Obawiam się, że źle mnie połączono - odparł Sam, starając się ze wszystkich sił zapanować nad ogarniającą go paniką. - Szukam generała MacKenziego Hawkinsa, dwukrotnie odznaczonego Medalem za Odwagę, bohatera armii Stanów Zjednoczonych i bliskiego przyjaciela wszystkich szefów sztabów, jak również prezydenta, który bez wątpienia zarządzi zmasowany atak na hotel, gdyby okazało się, że życie generała znajduje się w jakimkolwiek niebezpieczeństwie!  
 - Kapuję. Hej, Mickey Ha-Ha, to do ciebie.  
 - Mały Józefie, z powodu swojej niesubordynacji nigdy nie uzyskasz awansu! - zagrział z oburzeniem w głosie MacKenzie Hawkins. - Komendancie Pinkus, czy to pan?  
 - Mały Józefie?... Mac, co ty wyrabiasz, do diabła?... Zresztą, nieważne. Nie mamy czasu, jesteś śledzony! Ktoś śledzi cię od twojego przyjazdu do Bostonu!  
 - Kapitanie Devereaux, widzę, że zaczynacie się rozwijać. Dostrzegacie już pewne oczywiste sprawy z bystrością starszego sierżanta.  
 - A więc wiedziałeś?  
 - Cóż, po tym, co mój adiutant podsłuchał w recepcji, sprawa była raczej oczywista.

206

- Ale przecież powiedziałeś, że nie wiesz, jak to się stało, bo Hymie-jakis-tatn nie działa w taki sposób!  
 - Wtedy nie wiedziałem, bo Huragan rzeczywiście nie działa w zżiki sposób, a teraz wiem, i to rzeczywiście nie był Hymie. Nie miałem żadnych kłopotów ze znalezieniem faceta. Drzwi jego pokoju były uchylone dokładnie na pięć centymetrów.  
 - Na litość boską, gadaj do rzeczy!  
 - Właśnie to zrobiłem, a teraz musisz się rozłączyć. Czekamy na ważny telefon.  
 - Od kogo?  
 - Sądziłem, że przez ten czas zdążyłeś się już domyślić.  
 - W jaki sposób?  
 -, Przecież wziąłem ciebie za niego.  
 --- To znaczy za kogo? <- Za komendanta Pinkusa, ma się rozumieć.  
 -- Jest teraz w drodze do Ritza.  
 -\*-> W żadnym wypadku, synu. Razem z moimi adiutantami miał uzupełnić zapasy.  
 •- A kto to jest ten Mały Józef, do kurwy nędzy?... Przepraszam, mamu  
 - To miły starszy facet - wyjaśnił Jastrząb, zniżając głos do ledwo słyszalnego szeptu. - Ze swoimi warunkami fizycznymi idealnie nadawałby się na nocnego zwiadowcę, szczególnie w górzystym terenie, lecz obawiam się, że ze względu na wiek i usposobienie powinien jak najszybciej zrezygnować z obecnie wykonywanego zawodu... Ale, rzecz jasna, nie mam zamiaru mu o tym mówić. Mogłoby to nadwerżyć jego zaufanie, chyba rozumiecie, kapitanie?  
 - Nic nie rozumiem! Jaki to zawód?  
 - Te zafajdane eleganciki ze Zwariowanego Miasta muszą mieć okropne kłopoty ze skompletowaniem personelu - ciągnął generał tak cicho i szybko, że Devereaux z trudem mógł go zrozumieć. - Za naszymi czasów o czymś takim nie mogło nawet być mowy!  
 - On jest z Waszyngtonu?  
 - Wiem, wiem - powiedział Jastrząb z mieszanką znużenia i zniecierpliwienia w głosie. - Komendant Pinkus wyjaśnił mi, że trzeba pozostawić im pewne pole manewru.  
 - Pole manewru?...  
 - Do zobaczenia, Sam.

Połączenie zostało przerwane.

- O co chodzi? - zapytała Redwing, pochylając się w kierunku przednich foteli. Jej dłoń cały czas była zaciśnięta na ramieniu Eleanor.

- Czy wielkiemu generałowi nic nie grozi? - zawtórował jej Lafferty, dodając gazu. - Mam wezwać Gilligana i chłopców?

- Nie wiem, Paddy. Naprawdę nie wiem. Nie wydaje mi się.

- Tylko nie próbuj mydlić mi oczu, chłopcze!

- A co wiesz, Sam? - zapytała Jennifer spokojnym, ciepłym głosem doświadczonego adwokata. - Uspokój się, nigdzie się nie śpiesz i postaraj się zebrać myśli.

- Właśnie to robię, więc przestań gadać mi nad uchem. Usiłuję coś z tego wszystkiego zrozumieć, ale nie bardzo mogę, bo to zupełne szaleństwo.

- Wierzę w ciebie, mecenasie.

- Tak już lepiej, Czerwońcu... Nie ulega wątpliwości, że Mac panuje nad sytuacją, a przypuszczam, że udało mu się nawet zlokalizować człowieka, który go śledził - jestem tego pewien, bo rozmawiał ze mną zbyt protekcyjnie, żeby mogło być inaczej - i dowiedział się, że tamten został przysłany z Waszyngtonu.

- O mój Boże!

- Dokładnie to samo pomyślałem, moja indiańska szybko--zakochująca-się-i-odkochująca panno. Paru ludzi w Zwariowanym Mieście gryzie ze złości ściany, a to jest najgorsza wiadomość, jaką mogliśmy usłyszeć.

- Jacy to ludzie, mecenasie?

- Z tego co wiem, pani mecenas, wynika, że bardzo niemili. Przysłali do Bostonu rewolwerowców.

- Nie odważyliby się! - wykrzyknęła Jennifer.

- Mam ci przypomnieć Watergate, aferę Iran-contras czy nawet historię co najmniej połowy wyborów prezydenckich, które odbywały się po tysiąc dziewięćset dwudziestym roku? W tych wydarzeniach żadne „nie odważyliby się!” nie odegrało najmniejszej roli. A nawet jeśli ktoś próbował coś takiego pisać, to porównaj tamte pieniądze z tymi, jakie idą choćby na miesięczne utrzymanie Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych. To są niewyobrażalne sumy, moja indiańska damo, potworne miliardy dolarów! Czy naprawdę przypuszczasz, że mający na względzie wyłącznie dobro ojczyzny pro-

208

ducenci zaopatrujący nasze siły zbrojne, wraz z siecią kooperantów i dostawców rozciągającą się od Long Island po Seattle, nie wpadną w panikę, jeśli ujrzą przed sobą perspektywę choćby minimalnego zmniejszenia zysków? Wystarczy obciąć budżet obronny o jedną 'dziesiątą procent!\*- żeby zaczęli domagać się krwi. Gdyby stało się coś na t a k a skalę, chyba zamieniliby się w wampiry.

- Zakładasz, że Sąd Najwyższy uznał za stosowne rozpatrzyć pozew plemienia Wopotami...

- Wcale nie musiał wyznaczać terminu rozprawy. Wystarczy, że rozeszły się plotki, iż rozważa taką możliwość albo, co gorsza, że odłożył sprawę do późniejszego rozpatrzenia.

- Bo to zwykle oznacza, że sprawa będzie badana ze wzmożoną wnikliwością - wtrąciła Redwing.

- Właśnie. Tak czy inaczej chłopcy z wypchanymi portfelami oraz ich polityczni sojusznicy przystąpią do zdecydowanego kontr ataku.

- *Zaczekaj* chwilę! Kontratak przeprowadzany na drodze parlamentarnej organizuje się przez wywołanie debaty w Izbie Reprezentantów i Senacie, a nie przez wysyłanie płatnych morderców!

- Oczywiście, tyle że Kongres ma teraz przerwę w obradach, a sytuacja, w jakiej się obecnie znajdujemy, świadczy chyba o tym, że jednak wybrali tę drugą drogę.

- Rozumiem... Mordercy już przybyli. Czyli jednak nastąpił jakiś przeciek .

Mój Boże, oni będą musieli uciszyć nas wszystkich!

Paddy Lafferty chwycił telefon i z wprawą wystukał kciukiem numer

- O'Brien?! - wykrzyknął. - Jest tam Billy Gilligan?... Dobra, dobra, ja też się cieszę, że połączenie jest w porządku, ale teraz słuchaj uważnie: kiedy zjawi się Billy G., niech natychmiast jedzie z uzbrojonymi ludźmi pod Cztery Dupy na Boylston Street i obstawi wszystkie wejścia! Rozumiesz, co mówię? Chodzi o bezpieczeństwo wielkiego człowieka, więc nie możemy popełnić żadnego błędu. No to na razie, i uwińcie się z tym raz-dwa!

- Paddy, coś ty zrobił?!

- Są takie chwile, chłopcze, kiedy ruszasz do ataku, a dopiero potem oglądasz się za siebie. Nauczyłem się tego podczas wspaniałych dni we Francji.

- Ale my nie jesteśmy we Francji, to nie jest druga wojna

209

światowa, a jeśli Aaron zauważy w hotelu coś niepokojącego, natychmiast wezwie policję! Wszystko jest potwornie zagmatwane i niejasne, ale wiem na pewno, że Mac i nasz nadzwyczaj bystry pracodawca pozostają ze sobą w stałym kontakcie. Powtarzam ci, Aaron szybko myśli i nie zwleka z podejmowaniem działania. Jeżeli uzna, że trzeba wezwać policję, to ją wezwie.

- Bo ja wiem, chłopcze... Policja też musi przestrzegać swoich przepisów. Zapytaj Gilligana, on ci powie.

- Już mi powiedział, Paddy. Chodzi o to, że nie znamy zamiarów Aarona i Hawkinsa, a nie znając ich możemy popsuć im szyki. Natychmiast odwołaj tę zgrają Killarneya!

- On ma rację, panie Lafferty - wtrąciła się Jennifer z tylnego siedzenia. - Oczywiście nie mam nic przeciwko ochronie jako takiej i byłabym ogromnie zobowiązana, gdybyśmy, że tak powiem, mogli liczyć na pomoc pańskich przyjaciół. Sam jednak poruszył istotną kwestię: nie mamy jasności sytuacji i dlatego chyba nie powinniśmy podejmować żadnych działań, dopóki nie dotrzemy do hotelu i nie porozmawiamy z panem Pinkusem... Zdaje się, że przed lokalem Nanny powiedział pan mniej więcej to samo panu Gilliganowi.

- Pani mówi trochę rozsądniej od chłopaka...

- Po prostu wykorzystałam pańskie własne słowa i pańską mądrość, panie Lafferty.

- Tanie sztuczki! - mruknął Devereaux.

- Dobra, odwołam ich - podjął decyzję Paddy, sięgając ponownie po telefon. - Chyba trochę się zagalopowałem. Halo, placówka O'Briena? Kto mówi?... Czołem, Rafferty, tu Lafferty. Jest już Gilligan?... Że co?!... Jezus, Maria, bardzo go poharatało?... No, Bogu dzięki. A teraz posłuchaj mnie, Rafferty: musisz powiedzieć chłopcom, którzy mieli pojechać do Czterech Pór Roku, żeby... - Nagle limuzyna zbliżyła się niebezpiecznie do jadącej sąsiednim pasem ciężarówki. - Co takiego? Święta Mario i Józefie, to niemożliwe! - Lafferty przełknął z trudem ślinę i w milczeniu odłożył telefon.

- Co się stało, Paddy? - zapytał Sam wpatrując się w kierowcę swego pracodawcy z takim wyrazem twarzy, jakby wołał nie usłyszeć odpowiedzi.

- Chłopcy już wyruszyli do hotelu, panie Devereaux. Niestety, nie całym oddziałem, który zwykle składa się z czterech wozów, lecz

210

tylko trzema samochodami. W dodatku paru z nich jest napitych jak baki

- O mój Boże!

<- Ale mam też dobrą wiadomość: Billy'emu nie stało się nic poważne go

- Jak to?

- Miał wypadek na autostradzie. Podobno wóz jest do kasacji. Policjant z drogówki, który należy do naszego koła, zawiadomił chłopców, do którego szpitala odwieźli Billy'ego.

- Do szpitala?...

- Nic mu nie jest. Wrzeszczy, żeby go wypuścili, bo chce dołączyć do pozostałych.

- Więc niech go puszcza, na litość boską! Może on zdoła ich powstrzymać!

- Niestety, jest do załatwienia kilka formalności...

- Jeżeli może wrzeszczeć, to może też stamtąd wyjść! - Sam chwycił gwałtownym ruchem telefon. - Który to szpital?

- To nic nie da, chłopcze. Są kłopoty z raportem o tym wypadku. Widzisz, on nie jechał

swoim wozem, ale jaguarem twojej matki...

- Mój mały, żółty ptaszek... - zakwiliła drżącym głosem Eleanora Devereaux.

I co myślisz, *comandantel* - zapytał Desi Drugi, podawiając odbicie swej odzianej w garnitur postaci. Znajdowali się w eleganckim sklepie z odzieżą, gdzie ubierali się wszyscy pracownicy kancelarii prawniczej Aarona Pinkusa.

- Wspaniale - odparł Aaron, siedzący w wyściełanym welwetem fotelu, którego nie mógł ruszyć z miejsca z powodu głębokiego, lśniacoczarnego dywanu. - A gdzie podział się drugi kapral Arnaz?

- Jesteśmy już sierżanty, *comandantel*

- Serdecznie przepraszam, ale gdzie on jest? Musimy się śpieszyć.

- Eee... Panienska, co pomagała mu przymierzać *pantalones*, jest z Puerto Rico, i coś mi się zdaje, że oni, to znaczy on z nią...

- Nie mamy czasu!

- Desi *Unol* - ryknął na cały głos sierżant D-Jeden. - *Yengal Vamana±, Ahoru.L* Pośpiesz się, człowieku!

Zza rozsuwanych drzwi przymierzalni wyłonił się cokolwiek za-

211

kłopotany Desi Pierwszy, za nim zaś wspaniale upiersona czarnowłosa dziewczyna, która zwijając krawiecki centymetr poprawiła ukradkiem bluzkę.

- *Comandante!* - wykrzyknął D-Jeden, pokazując w szerokim uśmiechu wszystkie miejsca po brakujących zębach. - Musieliśmy trochę ścieśnić gatki. Mam biodra jak toreador!

On także tkwił w eleganckim garniturze, prezentując się w nim co najmniej równie okazałe jak jego towarzysz.

- Wspaniale wyglądacie, sierżancie Arnaz - pochwalił go Pin-kus. - A teraz pojedziemy prosto do mojego protetyka, który twierdzi, że ma czterdzieści albo pięćdziesiąt rodzajów plastikowych zębów. Podobno wklejenie ci kilku z nich do szczęki zajmie mu nie więcej niż godzinę.

- Fajowo. A z czego on żyje?

•,...

Józefie, mam już dość twojego migania się - oświadczył Jastrząb siedzący w hotelowym fotelu za biurkiem. Mały Joey Zasłonka leżał na łóżku z rękoma podłożonymi wygodnie pod głowę. - Mógłbym powyłamywać ci palce i zmusić do ujawnienia nazwiska człowieka, który cię tu przysłał, gdyby nie to, że zawsze uważałem takie postępowanie za barbarzyńskie i jaskrawie sprzeczne z Konwencją Genewską. Wygląda jednak na to, że nie pozostawiasz mi wyboru...

- Przez całe życie musiałem sobie radzić z takimi jak ty - odparł zupełnie nie poruszony Mały Joey. - Od razu wiem, kto co może. Wy, wielcy *soldatos*, podczas zamieszek w Brooklynie potraficie rozwalać ludziom głowy, jakby to były makówki, ale kiedy znajdziecie się z kimś sam na sam, od razu mięknie wam rura.

- Niech mnie licho weźmie! - wrzasnął Hawkins, podnosząc się groźnie z fotela. - Zaraz się przekonasz, jak bardzo się mylisz!

- Gdybym się pomylił, wtedy bałbym się jak cholera, ale ja wcale się ciebie nie boję. Jesteś taki sam jak ci wszyscy *fascisti* od Salerno aż do samego Rzymu. Wtedy byłem jeszcze małym szczylem, ale i tak wiedziałem, na czym polega różnica... Gdyby mnie znaleźli, najpierw zaczęliby wrzeszczeć: *esecuzione!*, a potem powiedzieliby: *non me ne importa un bel niente*, kogo to obchodzi, wojna już się skończyła, i pozwoliliby mi odejść. Niektórzy z nich służyli w wojsku, tak samo jak ja potem.

. . . z « ' • ; ^.

212

- W wojsku? Ty też...

.- Piąta Armia, Mark Clark. Zdaje się, że jesteśmy mniej ięcej w tym samym wieku, tyle że

ty lepiej wyglądasz. Najpierw jbyłem zwykłym szeregowcem, ale potem przekonali się, że mówię po włosku lepiej niż ich tłumacze, więc wsadzili mnie w cywilne ubranie, awansowali tymczasowo na kapitana, bo widocznie myśleli, że nie przeżyję nawet jednego dnia, i posłali na północ, żebym meldował im przez radio o siłach nieprzyjaciela. Nic nadzwyczajnego. Miałem mnóstwo forsy, tyle dziewczyn i wina, ile chciałem, i wpadłem tylko trzy razy, ale już ci powiedziałem, jak to się skończyło.

- Józefie! - wykrzyknął Jastrząb. - Mamy wspólne korzenie!

- Jeżeli jesteś jakimś pieprzonym pedałem, to lepiej trzymaj się ode mnie z daleka, Mickey!

- Nie, Józefie. Jestem generałem!

- Wiem, wiem. A ty kapitanem!

•- Teraz to już się nie liczy. Kiedy znaleźli mnie w Rzymie, gdzie uwiłem sobie przytulne gniazdko w Yilla d'Este, zdegradowali mnie z powrotem do szeregowca. Nic mi po was, żołnierzyki.

Zadzwonił telefon. MacKenzie spojrzął na aparat, na szeregowca Małego Juzefa. z powrotem na aparat i wreszcie podniósł słuchawkę.

- Tymczasowa kwatera główna! - ryknął.

- Proponowałbym nie rozgłaszać tego wszem wobec - odparł Aaron Pinkus. - Pańscy adiutanci są już gotowi. Czy dowiedział się pan wszystkiego, co musimy wiedzieć?

- Obawiam się, że nie, komendancie. To dzielny stary żołnierz.

- Nawet nie będę się starał zrozumieć, co to może oznaczać. Czy przechodzimy do realizacji następnego punktu?

- Tak jest!

Trzy samochody z legionu weteranów Pata O'Briena przemknęły Clarendon Street, skręciły z piskiem opon w Boylston Street i zatrzymały się przecznice przed hotelem Cztery Pory Roku. Spotkanie wszystkich pasażerów nastąpiło przy podjeździe stojącym najbliżej hotelu; przebieg narady bojowej zakłócali jedynie bracia Duffy, których wyciągnięto siłą z baru, gdzie siedzieli od samego rana

213

w związku z pewnymi nieporozumieniami między nimi a ich żonami - los chciał, że one także były rodzeństwem.

- Dam sobie uciąć głowę, że słyszałem w kościele coś o tym, że nie powinniśmy robić tego, co zrobiliśmy! - rozpaczał siwowłosa Duffy.

- Przecież zrobiliśmy to już trzydzieści lat temu, Bobby!

- To są siostry, Petey. A my jesteśmy bracia.

- Ale nie są n a s z y m i siostrami, Bobby.

- Wszystko jedno. Bracia i siostry... Powiadam ci, że coś tu nie gra, chłopie.

- Stulcie pyski! - rozkazał Harry Milligan o ogorzałej, pokrytej licznymi zmarszczkami twarzy, mianowany przez ранego Billy'ego Gilligana dowódcą oddziału. - Jesteście za bardzo nawaleni, żeby brać udział w akcji, więc zostanieie tutaj, żeby obserwować.

- Co mamy obserwować? - zapytał chwiejający się na nogach Bobby Duffy, mierzwiąc dłońmi swoje nie istniejące włosy. - Skąd idą szkopy?

- To nie szkopy, Bobby, tylko paskudne typki, które chcą załatwić naszego wspianiałego generała.

- A jak oni wyglądają? - zainteresował się Peter Duffy, wybałuszając zaczerwienione oczy i dla utrzymania równowagi chwytając się bocznego lusterka samochodu, które natychmiast wygięło się do dołu.

- Skąd mam wiedzieć, do wszystkich diabłów? - odparł dowódca oddziału Milligana-Gilligana. - I tak będą spieprzać jak zające. Trzeba tylko ich znaleźć.

- A jak to zrobimy, Harry? - zapytał Bobby Duffy, przedzielając słowa dwoma beknięciami i jednym czknięciem.

- Tak właściwie to nie wiem - przyznał Milligan, marszcząc pooraną zmarszczkami twarz, tak że upodobniła się do pyska nosorożca. - Gilligan nic mi nie powiedział.

- Coś ci się pochrzaniło, Harry - zaprotestował chwiejający się niepewnie na nogach Peter Duffy. - Przecież to ty jesteś Gilligan.



- Wcale nie, barani łbie! Jestem Milligan!

- Bardzo mi miło pana poznać - oznajmił Bobby, siadając raptownie na krawężniku niczym ogromny, nadmiernie wypieczony ziemniak, z którego po nakłuciu widelcem gwałtownie uszło po wietrze.

««

214

- Mojego brata opętały demony! - wykrzyknął Peter, osuwając się na chodnik przy drzwiach samochodu. Próbował podeprzeć się nogą, co skończyło się tym, że kopnął Bobby'ego w twarz. - To przekleństwo, które rzuciły na nas siostry-wiedźmy!

Harry Milligan pochylił się i poklepał go po głowie.

- Masz rację, chłopcze. Zostań tutaj i pilnuj tych demonów. - Następnie wyprostował się i zwrócił do siedmiu pozostałych członków oddziału, - Dalej, chłopcy! Wiemy, co mamy zrobić!

- Znaczy się co? - zapytał wychudzony siedemdziesięcioletek w zbyt obszernej kurtce mundurowej przyozdobionej kilkoma rzędami baretek za udział w walkach na froncie europejskim.

- Billy Gilligan podał mi dwa nazwiska - pierwsze, oczywiście, wielkiego generała Hawkinsa, a drugie pewnego prawnika, o którym słyszeliśmy sporo dobrych rzeczy. To wielka szych, Żyd, u którego pracuje sporo porządnym katolików.

- Cholerni z nich spryciarze - odezwał się jeden z siedmiu wspaniałych. - Każą nam na siebie harować, a czy znacie kogoś, kto pracowałby dla nas?

- A teraz słuchajcie uważnie. Ja pójde do recepcji i dowiem się wszystkiego. Powiem, że muszę znaleźć samego generała albo jego przyjaciela, wielkiego adwokata nazwiskiem Pinkus, bo mam dla nich bardzo pilną i bardzo poufną wiadomość, a Bóg jest świadkiem, że to prawda! Ponieważ obaj są tacy cholernie ważni więc ci z recepcji nie będą mieli; innego wyjścia, \$&, tylko skontaktować mnie z nimi, zgadza się?

Odpowiedział mu zgodny chór Starczych głosów, z którego wybił się jeden, należący do najbardziej 2ifewans<i&anegawi\$if3^uczestnika wyprawy.

- Bo ja wiem, Gilligan...

-Milligan!

- Wolałbym, żebyś był Gilliganem, bo on miał większe doświadczenie bojowe

- Ale nim nie jestem! O co chodzi, stary pierniku? > ( \*;

- Co powiesz, jak telefon odbierze sekretarka? „Przepraszam, panienko, ale ktoś ma zamiar rozwalić wielkiego generała i jego starozakonnego przyjaciela?” Coś mi się zdaje, że zaraz potem .wezwą chłopców jeżdżących białym ambulansiem o grubo wyścielanych ścianach i zakratowanych okienkach

215

- Nie będę musiał z nikim gadać, ty zmartwychwstały staruchu! Lafferty powiedział nam, że jego pryncypał mieszka w wielkim apartamencie. Nie wiemy w którym, ale dowiemy się w recepcji.

Ponownie odpowiedziały mu chóralne potakiwania, ale ponad-siedemdziesięcioletni legionista i tym razem miał inne zdanie.

- A jeśli ci nie uwierzą? Ja na pewno bym ci nie uwierzył. Masz lisie spojrzenie - oczywiście pod warunkiem, że komuś się uda zobaczyć twoje oczy.

Wiekowi kombatanci skupili się wokół Harry'ego Milligana i zagłądali mu głęboko w oczy otoczone fałdami tłuszczu, po czym zaczęli poważnie kiwać głowami.

- Zamknij się! - wrzasnął Harry, kierując uwagę weteranów z powrotem ku czekającemu ich zadaniu. - To bez znaczenia, czy mi uwierzą, czy nie. I tak muszą podać numer pokoju, żebyśmy mógł tam zadzwonić. W ten sposób dowiemy się, gdzie mieszka generał.

- I co wtedy? - zapytał zaawansowany wiekiem sceptyk.

- Wtedy się rozdzielimy, a ty, chodzący nieboszczyku, staniesz przy głównym wyjściu, żeby zapisać numery rejestracyjne samochodów, gdybyśmy wypłoszyli gagatków z hotelu i zmusili ich

do uciezki... Dzięki Bogu, że nie służyłeś w moim oddziale, bo dyskutowałbyś chyba nawet z samym Eisenhowerem! - Milligan wskazał na trzech spośród pozostałych sześciu weteranów. - Wy obstawicie wszystkie inne wyjścia.

- A gdzie one są? - zapytał niski mężczyzna w lotniczej kurtce. - Byłem strzelcem pokładowym, więc nie znam się na lądowej taktyce.

- Musicie je znaleźć, chłopie! Paddy kazał je wszystkie uszczelnić.

- Co to znaczy, Harry?

- No... Tego dokładnie nie powiedział, ale chyba miał na myśli, żeby nie wypuszczać nikogo, kto nie powinien wyjść z budynku.

- Czyli kogo? - zainteresował się wysoki, szczupły, ponad-sześćdziesięcioletni osobnik w dość dziwnym stroju składającym się z jaskrawopomarańczowej hawajskiej koszuli, takich samych szortów i wojskowej czapki.

- Przecież Harry już nam powiedział! - wykrzyknął inny członek oddziału, średniego wzrostu, ale za to zdecydowanie ponadprzeciętnej wagi, w bojowym hełmie zsuwającym się na otyłą twarz. - Wszystkich drani, którzy będą chcieli uciec!

216

- Będziemy walić jak do kaczek! - ucieszył się szczupły  
men W hawajskiej koszuli;

- Ale w nogi, panowie,, w nogi-upomniał ich H#ny Milti^an. -  
Tak jak robiliśmy ze szkopskimi zwiadowcami, Weźmiemy ich potem  
na przesłuchanie. (,

- Bardzo słusznie, Harry - zgodził się grubas w bębnie. - Pamiętam jak dziś... Nic nie robili, tylko trzymali się za jaja. Nawet nie musiałem strzelać, i tak wiedzieli, co jest grane.

- Panowie, proponuję, żebyście zdjęli nakrycia głowy. Trochę za bardzo rzucacie się w oczy. - Następnie Harry zwrócił się do trzech pozostałych kombatantów. - Wy, chłopcy, zostaniecie ze mną. Wmieszacie się w tłum w głównym holu, ale nie spuszczać mnie z oczu. Kiedy ruszę, wy też ruszycie, rozumiecie?

Odpowiedział mu chór zdeterminowanych głosów.

- My idziemy pierwsi - oznajmił tłuścioch, przypinając hełm do paska pod ogromnym brzuchem, opiętym ciasno koszulką reklamującą sklep mięsny O'Boyle'a. - Zaczekajcie dwie minuty, żebyśmy zdążyli znaleźć i obstawić wszystkie boczne wyjścia.

- W porządku. A więc ruszajcie - nie ma ani chwili do stracenia! - Milligan zerknął na zegarek, a trzyosobowa szpica przemknęła na drugą stronę jezdnii, lawirując między sunącymi powoli samochodami, i pomknęła z największą prędkością, na jaką pozwalały nadwątlone wiekiem siły, ku budynkowi hotelu. Harry odwrócił się do trzech pozostałych weteranów. - Kiedy wejdziemy do środka, ja pójdę od razu do recepcji, powoli i spokojnie, jakbym mieszkał w tym hotelu przez całe życie, i oprę się o kontuar, jakbym był jakimś bardzo ważnym facetem. Może nawet mrugnę parę razy, żeby zrozumieli, że mam do przekazania poufną wiadomość dla jakiejś grubej ryby, a potem walnę ich prosto między gały tymi dwoma znakomitymi nazwiskami, znaczy się Hawkinsem i Pinkassciu.

- To chyba jest Pinkoos, Harry - zaoponował rumiany sześć-dziesięcioletek, bez wątpienia bliski przyjaciel właściciela bojowego hełmu. Niestety, opinająca jego brzuch koszulka ze sklepu mięsnego IO'Boyle" a była założona na lewą stronę.

On ma rację, Milligan - potwierdził niski osobnik wyposażony ' krzaczaste wąsiska. takie same, jakie na przełomie wieków stanowiły odłączny atrybut wszystkich angielskich majorów. Jego umun-

217

durowanie składało się z brudnych lewisów, czerwonych szelek oraz koszuli w czarno-żółtą kratę. - Słyszałem parę razy, jak Paddy mówił o tym Pinkoosie.

- Zdaje się, że jego nazwisko brzmi P i n k u s s - odezwał się trzeci żołnierz z oddziału Harry'ego, niesamowicie wysoki mężczyzna w podkoszulku czołgisty odsłaniającym wytatuowane ramiona. Najbardziej rzucał się w oczy syczący błękitny wąż opatrzony podpisem „Nie deptać po mnie".

- Niech będzie Pinkiss, i już - zdecydował Harry. - W porządku, chłopaki. Wygramy ten mecz dla naszego generała!

oprawiający oszałamiające wrażenie Desi Pierwszy i Desi Drugi siedzieli na tylnej kanapie buicka Aarona Pinkusa, podziwiając swój wygląd i od czasu do czasu gładząc materiał nowiutkich garniturów; łatwo było zauważyć, że szczególną przyjemność sprawiały im atlasowe klapy marynarek. Na zmianę wyglądu Pierwszego wpłynęły także wstawione plastikowe zęby.

- Pamiętajcie, sierżanci, że nie rozumiecie ani słowa po angielsku - powiedział Aaron, skracając w Boylston Street. - Jesteście bardzo ważnymi ambasadorami Hiszpanii przy Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Wszystko to bardzo pięknie - odparł Desi Pierwszy, sepleniąc nieco z powodu uzupełnienia ubytków w jamie ustnej - ale my ciągle nie wiemy, co mamy zrobić, żeby ten *vicioso* wściekł się na nas.

- Już to przerabialiśmy, sierżancie. Po prostu weźmiecie go za kogoś innego. Jak tylko zobaczycie go w holu, zaczniecie wrzeszczeć, że to groźny przestępca z Madrytu.

- Tak, to już przerabialiśmy - zgodził się Desi Drugi. - I wcale nam się to nie podoba. Ten *vicioso*, jak wszyscy *viciosos*, ma spluwę i na pewno ją wyciągnie!

- Nie zdąży wam zrobić żadnej krzywdy - zapewnił ich Aaron. - Generał będzie tuż za nim i natychmiast zainterweniuje... „zneutralizuje” go, tak chyba powiedział. Przecież ufacie generałowi, prawda?

- Jasne, lubimy go - odparł Desi Pierwszy. - Naprawdę lubimy tego zwariowanego *hombre*. Ma nas wziąć do wojska!

- Na lotnisku dał nam nieźle w kość, *amigo*. Dlatego mu wie-

218

rze. - Desi Drugi w zadumie pokiwał głową, wygładzając nie istniejącą fałdę na spodniach. - Nie ma co gadać, to facio z jajami. ' "

- Na swój niezwykły, niepowtarzalny sposób generał jest bardzo sprytnym człowiekiem - powiedział Pinkus, zatrzymując samochód za rzędem taksówek stojących przed wejściem do hotelu. - Żadne państwo nie odważy się urazić zaprzyjaźnionego kraju, Szczególnie takiego o dużym znaczeniu strategicznym. Mogłoby to doprowadzić *do* zamknięcia ambasady i zerwania stosunków dyplomatycznych!

- Właśnie to nam się nie podoba - oznajmił Desi Pierwszy. - Nie chcemy, żeby zamykali hiszpańską ambasadę, choć nigdy nie byliśmy w Hiszpanii, a szczególnie, jeśli mieliby nas przy tym zdmuchnąć. ,'.: ••••'••-> ••" .-' '•

- Generał dał wam słowo honoru.

- I lepiej dla niego żeby go dotrzymał A co potem?

- Cóż, najprościej można to ująć w ten sposób, że człowiek, który wysłał tego okropnego typu śladem generała, będzie musiał poważnie zastanowić się nad zmianą metod postępowania.

- Nie rozumiem.

- Przerazi się tak bardzo, że odwoła swoich zbirów spod ciemnej gwiazdy, jednocześnie ostrzegając tych wszystkich w Waszyngtonie, którzy mieliby podobnie nieczne zamiary wobec generała. Hawkins ma świetne wycucie sytuacji geopolitycznej. Nasze bazy w Hiszpanii - szczególnie lotnicze - mają dla nas pierwszorzędne znaczenie.

- *Ole, comandante!*

Otworzyć siłą drzwi! - rozkazał MacKenzie Hawkins. - Za pięć minut ma być po wszystkim, rozumiecie, kapitanie?

- Tak jest, generale! - odparł przez telefon inżynier hotelowy. - Ale obiecuje pan, że będę mógł sfotografować się z panem?

- Z przyjemnością, synu. Obejmę cię nawet, tak jakbyśmy we dwóch przeprawili się na drugi brzeg Renu.

- Święty Jezu, jeszcze nie umarłem, a już jestem w niebie!

- Do roboty, kapitanie. To sprawa najwyższej wagi.

- Za cztery minuty i osiem sekund, generale! Havk i n s nacisnął widełki, po czym wykręcił numer aparatu zainstalowanego w buicku Aarona Pinkusa.

- Komendancie?

219

- Słucham, generale?
- Schodzę za pięć minut. Gdzie zajęliście pozycje?
- Trzy samochody od głównego wejścia.
- W porządku. Teraz udajcie się do recepcji i zsynchronizujcie zegarki. Opcja zerowa między trzynastą a siedemnastą minutą. Zrozumiano?
- Z trudem, ale tak, generale.

Brygada O'Briena dotarła w komplecie na miejsce akcji: podkoszulek czółgisty, tatuaże, kurtka pilota, hełm bojowy, czerwone szelki, hawajska koszula, brudne dżinsy oraz dowódca o zmrużonych oczach i nerwowym drzeniu w powiece.

- Słucham pana? - zapytał recepcjonista, wyjmując z kieszeni chusteczkę, jakby spodziewał się, że człowiekowi o takim wyglądzie musi towarzyszyć odpowiedni zapach.

- To dobrze, że słuchasz, chłopcze. Wiesz coś o dwóch facetach, którzy nazywają się Pinkiss i Hawkins?

- Jeżeli chodzi panu o pana P i n k u s a , to wynajmuje u nas apartament.
- Nic mnie nie rusza, co u was sobie wynajmuje, ale mam ważną wiadomość dla niego i dla generała. Ważną i poufną. Jak mam mu ją dostarczyć?
- Proponuję, żeby skorzystał pan z telefonu. Wewnętrzny pięć tysięcy pięć.
- Pięć-zero-zero-pięć?
- Tak jest, proszę pana. \*- - To numer jego pokoju?
- Ten hotel nie ma pięćdziesięciu pięter, proszę pana. Żaden hotel w Bostonie nie ma pięćdziesięciu pięter. To jedynie numer wewnętrzny.
- Gadasz jakieś bzdury, chłopcze. W każdym porządnym hotelu numer telefonu jest taki sam jak numer pokoju!
- Niekoniecznie.
- A niby czemu? W takim razie jak można się dowiedzieć, który to pokój?
- Słuszna uwaga - zgodził się recepcjonista. - Stanowi pan doskonałe potwierdzenie.

220

-Potwierdzenie czego?

- Jej słuszności. Telefony wewnętrzne są tam, pod ścianą. | Lekko zdezorientowany Harry Milligan odwrócił się i skierował § w stronę marmurowego blatu, na którym stało kilka aparatów. \* podniósł słuchawkę jednego z nich i pośpiesznie wykręcił numer. Po chwili usłyszał szybki, przerywany sygnał.

Zajęty.

- u twój waszyngtoński nadzór - powiedział Mac-Kenzie Hawkins do mikrofonu cichym, lecz pełnym napięcia głosem.

- \*- Mój co? - nadeszła odpowiedź z pokoju dwa piętra niżej. Udzielono jej równie cicho, choć znacznie mniej łagodnie.

- Słuchaj uważnie: obiekt wymeldowuje się z hotelu. Mój informator doniósł mi, że zadzwonił do recepcji, żeby przysłano kogoś po jego bagaż.

- Kto mówi, do kurwy nędzy?!
- Twój łącznik z D. C. Powinieneś mi dziękować, a nie przeklinać. Pośpiesz się. Idź za nim.
- Jestem zamknięty! - wrzasnął z wściekłością niedoszły zabójca. - Zaciął się zamek w tych cholernych drzwiach! Właśnie próbują je otworzyć!
- Kończę. Nikt nie może wiedzieć, że się kontaktowaliśmy.
- Niech to cholera!... Zaczekaj chwilę, zaraz się z tym uwiną!
- Pośpiesz się. - Jastrząb odłożył słuchawkę i spojrzął z góry na Małego Joeya Zasłonkę, siedzącego na krawędzi łóżka. - Chcesz mi powiedzieć, że nic nie wiedziałeś o obecności tego

człowieka w hotelu?

- Jakiego człowieka? - zaprotestował Joey. - Jesteś największym *fazool* na świecie, panie Mickey Ha-Ha. Potrzebujesz pomocy, koleś. Powinieneś zgłosić się do specjalnego szpitala, gdzie rośnie mnóstwo trawy, pokoje są obite grubą gąbką, a lekarze bardzo uprzejmi.

- Wierzę ci, Mały Józefie - odparł generał. - Nie byłby to pierwszy wypadek, że dowództwo zataiło przed szeregowymi żołnierzami prawdziwy cel operacji.

Wypowiedziawszy te słowa, Jastrząb skierował się szybkim krokiem do drzwi i wyszedł na zewnątrz. Po chwili z korytarza dobiegł odgłos

221

jego oddalających się kroków, a zaraz potem zadzwonił telefon. Joey podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Czy to sam wielki generał we własnej osobie?

- A bo co? - zapytał podejrzliwie Mały Joey.

- To dla mnie największy zaszczyt w życiu, generale! Mówi szeregowiec Harry Milligan. Melduję posłusznie, że nie tylko otoczyliśmy cały obiekt, ale dokładnie go zin... zinfilterowaliśmy! Nie stanie się panu nic złego, ręczę za to chłopcy Pata O'Briena!

Joey odłożył ostrożnie słuchawkę i opadł na poduszkę. Idioci - pomyślał. Świat zamieszkiwali niemal sami wariaci, a już szczególnie Boston w stanie Massachusetts, gdzie chyba znajdowała się ich główna wylęgarnia. Wszystko przez tych cholernych pielgrzymów, którzy zabawiali się ze sobą jak króliki. Właściwie trudno im się dziwić, bo co innego mieli do roboty podczas takiej długiej podróży?... Cóż - pomyślał Joey - zamówię sobie teraz smaczny obiadek, a potem zadzwonię do Waszyngtonu. Vinnie Bam-Bam będzie musiał wysłuchać bardzo długiej i bardzo popieprzonej historii, wszystko jedno czy mu się to spodoba, czy nie!

Aaron Pinkus doprowadził dwóch dyplomatów do recepcji i z dumą oświadczył, że jego goście, ambasadorowie Hiszpanii, zamieszkają na jakiś czas w jego apartamencie. Wszystkie wyświadczone im grzeczności będą mile widziane nie tylko przez niego, ale także przez rząd Stanów Zjednoczonych.

Cała obsługa recepcji rzuciła się, by składać hołdy znakomitym gościom, a kiedy się okazało, że żaden z nich nie mówi po angielsku, wezwano portorykańskiego boya, by służył jako tłumacz. Boy - imieniem Raul - nie posiadał się z radości, gdyż jego początkowa wymiana zdań z Desi Pierwszym wyglądała - w wolnym tłumaczeniu - w następujący sposób:

- Hej, koleś, skądżeś wziął ten klawy mundurek z wyglansowanymi guzikami? Jesteś w woju?

- Nie, noszę tu walizki. Mam robić za tłumacza, żeby *gringos* rozumieli, co mówicie.

- Klawo! Skąd jesteś?

- P. R.

v

222

- My też!

- Nie, wy jesteście ważnymi dyplomatami z Madrytu. Tak powiedział ten gruby kocur.

- To tylko dla nich, chłopie! Słuchaj no, może później zorganizujemy sobie jakąś bibkę?

- Człowieku, oni tu mają wszystko, czego dusza zapagnie.

- A mają dziewczynki? Porządne dziewczynki, ma się rozumieć, | bo mój kolega jest bardzo religijny.

- Sprowadzę mu, co będzie chciał, a nam, co my będziemy chcieli. Zostaw to mnie, chłopie.

- Co powiedzieli, Pedro? - zapytał kierownik recepcji.

- Raul, proszę pana.

- Ogromnie cię przepraszam. Co powiedzieli?

- Są bardzo wdzięczni za okazywane im wyrazy szacunku starania całego personelu, a szczególnie gorąco dziękują za to, że Jprzydzielono im do pomocy moją skromną osobę.

- A niech to! - wykrzyknął wicedyrektor hotelu. - Całkiem |nieźle mówisz, jak na Hiszpańca... To znaczy, jak na kogoś, kto [niedawno przyjechał do naszego kraju.

- ; - Uczęszczam do szkoły wieczorowej, proszę pana. Intensywny 'kurs dla imigrantów prowadzony przez Uniwersytet Bostoński.
- Panowie, powinniście brać przykład z tego młodego dżen-telmena
  - To największy kutas z nich wszystkich. Na szczęście wątpię, żeby był tu jeszcze dłużej niż miesiąc.
  - Od razu to widać, chłopie.
  - Być może panowie zechcieliby obejrzeć ten wspaniały główny hol - zaproponował Aaron Pinkus. - Jest naprawdę jedyny w swoim rodzaju... Czy możesz to przetłumaczyć, Raulu?
  - Z przyjemnością, proszę pana.

Harry Milligan podszedł do podkoszulka czołgisty i szepnął mu do ucha, nie zwracając najmniejszej uwagi na fakt, że skierowały się na nich spojrzenia większości osób przebywających w holu:

- Wielki generał podąża skomplikowanymi i tajemniczymi ścieżkami. Powiedziałem mu o naszej misji, a on zachował zupełny spokój,

ale, Bóg mi świadkiem, słyszałem wyraźnie, jak obracają się kółeczka w jego mózgowicy! Wcale bym się nie zdziwił, gdyby właśnie teraz schodził po linie zewnętrzną ścianą budynku. Podobno osobiście nauczył Rangersów wszystkiego, co teraz potrafią.

Nagle do Milligana i podkoszulka czołgisty podbiegł na wykrzywionych artretyzmem nogach siedemdziesięcioparolatek w łaciąną bluzie polowej.

- Już wiem, chłopaki! To terroryści!
- Kto, na litość boską?
- Ci dwaj wyfraczeni gogusie!
- O czym ty gadasz, do cholery?
- O tych śniadoskórych, czarnowłosych palantach, którzy właśnie odchodzą od recepcji. Mieli być jakimiś grubymi rybami.
- Zdaje się, że są. Spójrz tylko na nich.
- A od kiedy grube ryby nie jeżdżą limuzynami, tylko małymi, trzyletnimi buickami? Pytam się ciebie, Harry Milligane, czy twoim zdaniem to ma jakiś sens?
- Nie ma, jeśli mowa o wyfraczonych typkach w takim miejscu jak to. Masz rację, trzyletni buick zupełnie do nich nie pasuje. - Harry zmrużył podejrzliwie oczy i uważnie przyjrzał się elegancko ubranym gościom, paradującym po holu niczym dwa pawie. Bez wątplenia przyjechali z zagranicy, może znad Morza Śródziemnego, jeśli sądzić po ich ciemnej karnacji... Arabowie! Arabscy terroryści, którzy bez wątplenia nie czuli się zbyt wygodnie w europejskich strojach, bo z jakiego innego powodu poruszaliby bez przerwy ramionami i kręcili tyłkami wbitymi w ciasno opięte spodnie? Nie, ci chłopcy na co dzień ganieli w luźnych szmatach, takich jakie pokazują w filmach, z zakrzywionymi nożami wetkniętymi za pasy. - Święta Mario, Matko Boska! - szepnął Milligan i do podkoszulka czołgisty. - Mamy ich, sukusynów! Przekaż chłopcom, żeby zachowali maksymalną ostrożność i nie spuszczały z oka tych dwóch pustynnych szczurów. Jeśli wejdą do windy, my też tam wejdziemy!
- Harry, w tym tygodniu nie byłem u spowiedzi...
- Och, zamknij się! Przecież będzie nas siedmiu, na litość boską!
- To wychodzi więcej niż trzech na jednego, zgadza się?
- Co ty, bawisz się w księgowego? Ruszaj się i powiedz jeszcze chłopcom, że jeśli wydam klanowy okrzyk bojowy, mają natychmiast przejść do ataku.
- Rozpoczęła się, obmyślona przez jakiegoś nieznanego choreografa.

224

pawana wykonywana przez nie prezentujący najwyższego poziomu zespół tancerzy. Brygada Milligana-Gilligana dyskretnie towarzyszyła dostojnym gościom w wędrowce po głównym holu. Nagie, pokryte tatuażami ramiona i koszulki reklamujące sklep mięsny O'Boyle'a w mieszały się w tłum kreacji od Diora i Adolfa, a tu i ówdzie zielony hełm bojowy zderzał się z miękkimi rondami eleganckich kapeluszy od Braci Brooks, wszystko to zaś ku coraz większemu zaniepokojeniu personelu oraz lekko zdezorientowanych ofiar, zaskoczonych obecnością przedziwnie ubranych intruzów.

W pewnej chwili z jednej z wind wyszedł mocno zbudowany mężczyzna z ogniem w oczach, rozejrzął się szybko dokoła, po czym zajął miejsce niedaleko głównych drzwi, bez wątplenia po to, by móc ogarnąć wzrokiem możliwie dużą część holu. Za jego plecami prze-mknęła niepostrzeżenie wysoka, siwowłosa postać w skórzanej indiańskiej kurtce i zatrzymała się w odległości kilku kroków od rozglądającego się pilnie mężczyzny.

- *Caramba!*

- *Modre de Dios!*

Dwa okrzyki zagłuszyły gwar panujący w holu w chwili, gdy elegancko ubrani dygnitarze stanęli jak wryci, wskazując oskarżycielskimi gestami silnie zbudowanego, szukającego kogoś osobnika.

- *Homicidio!*

»e:\*

- *Asesino!*

- *Criminal!*

- *Demandare el policia!*

Zaskoczony dżentelmen, stanowiący obiekt słownej napaści dwóch "dyplomatów", rzucił się do ucieczki, lecz został niemal natychmiast zatrzymany przez wysokiego człowieka w indiańskim stroju, który unieruchomił mu ramiona i kark w stalowym uchwycie, wbijając jednocześnie kolano w kręgosłup nieszczęśnika.

- To on, chłopaki! - rozległ się kolejny ryk, zagłuszając, podobnie jak poprzednie, gwar podekscytowanych głosów. - To wielki generał we własnej osobie! *Erin go bragh*, chłopcy! Do ataku, w imię świętego Williama Patryka O'Briena!

Brygada Milligana-Gilligana przedarła się przez tłum przerażonych gości i niczym jeden mąż rzuciła się na dwóch arabskich terrorystów w garniturach.

- Co ty wyrabiasz, staruszkule?! - wykrzyknął Desi Pierwszy,

225

odganiając się od jakiegoś grubego nieznanego w hełmie bojowym na głowie.

- Odpieprz się, kretynie! - zawtórował mu Desi Drugi, celnym kopniakiem posyłając chodzącą reklamę sklepu mięsnego O'Boyle'a na piękny fotel z epoki królowej Anny, który natychmiast rozpadł się na kawałki pod nadspodziewanie wielkim ciężarem, Desi Drugi zaś chwycił obnażone ramię czołgisty. - Masz tu pięknego węża, stary *gringo*, i nie chciałbym ci go uszkodzić, więc zostaw mnie w spokoju! Ja nic do ciebie nie mam.

- Sierzanci! - ryknął Jastrząb, torując sobie drogę przez kłębowisko ciał otaczające jego nadzwyczajnie sprawnych adiutantów. - Komendant Pinkus zarządził ewakuację!

- I to najszybciej, jak tylko się da! - dodał Aaron od strony drzwi. - Ochrona hotelu wypełniała formularze na zapleczu, ale już tu biegań, a policja też jest już w drodze. Pośpieszcie się!

- A co z tym *vicioso*, henerale?

- Kiedy dojdzie do siebie, przez miesiąc albo dwa będzie narzekał na bóle kręgosłupa. Ciekawe, czy w mafii mają własną pomoc medyczną?

- Szybko, na litość boska!

- W porządku, *comandante* - odparł Desi Pierwszy, spoglądając na otaczające go pobojowisko. - Hej, Raul!

- *Si, señor embajador?* A niech was!

- Odezwiemy się później, koleś! Może wstąpiłbyś z nami do wojska?

- Kto wie, *amigo*. Przypuszczam, że tam jest bezpieczniej niż tutaj. *Adios!*

Buick Aarona Pinkusa popędził Boylston Street i skręcił w pierwszą przecnicę, która powinna doprowadzić ich do Arlington, a potem do hotelu Ritz-Carlton.

- Nic nie rozumiem! - oznajmił oszołomiony prawnik. - Kto to był, do diabła?

- Wariaci! - odparł z wściekłością MacKenzie Hawkins. - Starzy, zidiociali wariaci. - Obejrzał się do tyłu. - Jesteście ranni? - zapytał.

- Oszalałeś, henerale? Ci ramole nie ukradliby nawet kurczaka!

- A co to jest?! - ryknął Jastrząb na widok czterech portfeli, które Desi Pierwszy położył na siedzeniu między sobą a Desi Drugim.

226\*

-Znaczy się co? - zapytał D-Jeden, spoglądając z niewinną

miną na generała.

- Te cztery portfele, ma się rozumieć!
- Straszny był tam ścisk - pośpieszył z wyjaśnieniami D-Dwa. - Mój kumpel nie jest już taki szybki jak dawniej, bo ostatnio mało trenuje.
- Dobry Boże! - \*- jęknął Pinkus zza kierownicy. -- Ochrona hotelu... Policja... '\*' < •
- Nie wolno wam tego robić, sierżancie!
- Nie ma się o co wściekać, henerale. To tylko działalność uboczna, jak mawiacie.
- Litościwy Abrahamie... - modlił się po cichu Pinkus. - Spraw, aby udało mi się natychmiast obniżyć ciśnienie krwi, bo tak wysokiego nie miałem jeszcze chyba nigdy w życiu.
- O co chodzi, komendancie Pinkus?
- To nie był dla mnie normalny dzień pracy, generale.
- Chce pan, żebym ja prowadził?
- Nie, dziękuję. Przynajmniej mogę na chwilę przestać myśleć o próżnych przykrych rzeczach.
- Aaron wyciągnął rękę i włączył radio. Wnętrze niewielkiego samochodu wypełniły dźwięki koncertu pvaldiego na flet i orkiestrę; Desi Pierwszy i Drugi spojrzeli na siebie |dezaprobata, Pinkus zaś odetchnął głęboko, rozkoszując się kilkoma chwilami spokoju. Nagle muzyka umilkła, a zamiast niej z głośników pobiegł podekscytowany głos spikera prezentującego najnowsze wiadomości:

„Przerywamy program, by podać państwu najświeższe doniesienia przed kilkoma minutami hotel Cztery Pory Roku stał się miejscem niezwyklej wydarzeń. Ich okoliczności nie są zbyt jasne, ale nie ulega wątpliwości, że w głównym holu wybuchło nagłe zamieszanie, w wyniku którego wielu gości zostało obalonych na posadzkę, na szczęście odnosząc jedynie powierzchowne obrażenia. Łączymy się teraz telefonicznie z naszym reporterem, Chrisem Nicholsem, który akurat jadł lunch w miejscu zdarzenia... - Spiker umilkł raptownie, po czym mruknął półgłosem. - Lunch w Czterech Porach Roku? Z naszymi pensjami?

- To nie żaden lunch, kretynie! - odezwał się drugi głos, głębszy i znacznie donośniejszy - Moja żona myśli, że jestem w Marblehead...
- Jesteś na antenie!
- Oczywiście tylko żartowałem, proszę państwa. Ale w wyda-

227

rzenia, które **rozegrały** się tu zaledwie przed pięcioma minutami, nie było nic do śmiechu. Policja próbuje właśnie ustalić, co się właściwie Stało, lecz nie jest to proste zadanie. W tej chwili wiemy tylko, że postaci, które brały udział w niedawnych wypadkach, mogły trafić tutaj prosto z planu jakiegoś filmu Hitchcocka. Znajdowali się wśród nich: słynny bostoński prawnik, dwaj ambasadorowie Hiszpanii, .arabscy terroryści, wiekowy, lecz obdarzony siłą byka Indianin, dziwaczna zbieranina weteranów drugiej wojny światowej, a także aiany mafijny zabójca. Na razie zidentyfikowano jedynie tego pierw szego i ostatniego. Są, toł powszechnie szanowany prawnik, pan Aaron Pinkus, oraz niejaki Cezar Boccegallupo, przypuszczalnie *capo primitiv* Z rodziny Borgia z Nowego Jorku. Pan Aaron Pinkus najpraw dopodobniej uciekł wraz z hiszpańskimi dyplomatami lub też został porwany przez arabskich terrorystów. Pan Boccegallupo znajduje się w areszcie i podobno bezustannie domaga się widzenia ze swoim adwokatem, którym, według jego słów, jest prezydent Stanów Zjed noczonych. Cóż, niezależnie od różnic w poglądach politycznych wiemy, że prezydent nie jest prawnikiem...  
- *bikm* dziękujemy, Chris, dziękujemy ci za raport z miejsca wydarzeń życzymy powodzenia w Marblehead podczas ekscytującydiitegat...

- Już dawno się skończyły, ty barani..." \*

Z głośników popłynęła ponownie muzyka Vivaldiego, która, jednak •w żaden sposób, nie mogła wpłynąć na obniżenie ciśnienia krwi Aarona Pinkusa.

- Abraham opuścił mnie na dobre... - szepnął znakomity prawnik z Bostonu w stanie Massachusetts. ');>>> \*\*\*\*\*



- Słyszałem, komendancie! - wykrzyknął MacKenzie Hawkins. - On może pana opuścić, ale ja nie, klnę się na cętkowane futro leoparda! Razem stawimy czoło nieprzyjacielowi, odepchniemy go i zmieciemy z powierzchni ziemi!

-Czy to możliwe, żebym spotkał ucieleśnionego mego osobistego byłego ducha?--zapytał cicho Aaron Pinkus, spoglądając na generała.

## 14

Jennifer Redwing zamknęła cicho drzwi sypialni | i podeszła do biurka stojącego w salonie apartamentu wynajętego |w hotelu Ritz-Carlton przez Aarona Pinkusa.

I - Twoja matka zasnęła - powiedziała, zajmując miejsce w fotelu naprzeciwko siedzącego na kanapie Samuela Devereaux. - Nare-ie - dodała, po czym założyła nogę na nogę i spojrzała surowo Sama,

-• Chyba niewiele pomoże, jeśli będę próbował cię przekonać, że twoja matka nie zawsze znajduje się w takim stanie?

- Gdybym ja była matką, Samuelu Devereaux, i gdybym się ^dowiedziała o moim synu tego wszystkiego, czego ona dowiedziała się w ciągu minionych kilku dni, nie trzeźwiałabym ani na chwilę przez [naj bliższe pięć lat!

- Czy to nie zbyt surowa ocena, pani mecenas?

- Tylko wtedy, gdy ukorzy się pan publicznie na krowim targu w San Francisco i przekaże zebrane datki na rzecz nieszczęśliwych matek doprowadzonych do szaleństwa przez ich potomstwo.

- A więc opowiedziała ci co nieco... - mruknął Sam, na próżno starając się uniknąć jednoznacznie nieprzyjaznego spojrzenia pięknej kobiety.

- Najpierw tylko drobne fragmenty, ale przez ostatnie pół godziny

-słuchałam przerażającej litanii. Słyszałeś może, jak zamykałam na klucz; ona kazała mi to zrobić. Płatni zabójcy na polu (Ifbwym, angielscy zdrajcy, hitlerowcy prowadzący fermy drobiowe,

229

Arabowie przyrządzający na pustyni pieczone jądra kozła, a wreszcie porwanie papieża! Dawałeś mi oględnie do zrozumienia, że ten szalony generał wykrał dane z tajnych archiwów, by zdobyć czterdzieści milionów dolarów, ale cała reszta... Święty Jezu, papież! Nie mogę w to uwierzyć. Na pewno coś się jej pomyliło.

- Musisz pamiętać, że to niezupełnie to samo. Mam na myśli Jezusa i papieża. Należę do Kościoła anglikańskiego, choć nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłem na mszy. Zdaje się, że jeszcze w dzieciństwie...

- Nic mnie nie obchodzi, czy jesteś anglikaninem czy księżycowym ludzikiem z tybetańskiego zodiaku! Jesteś obłąkany, mecenasie! Nie masz prawa poruszać się swobodnie po ulicach, a cóż dopiero występować przed sądem!

- A ty jesteś do mnie wrogo nastawiona - poskarżył się Devereaux.

- Straciłam resztkę zdrowego rozsądku! Przy tobie nawet mój zidiociały braciszek Charlie wygląda jak Oliver Wendell Holmes!

- Z pewnością byśmy się dogadali.

- Nie wątpię. Już to widzę: Redwing i Devereaux...

- D e v e r e a u x i Redwing - przerwał jej Sam. - Jestem starszy i bardziej doświadczony.

- ...firma adwokacka, która cofnęła wszystkie przepisy prawa do poziomu z epoki kamienia łupanego!

- Podejrzewam, że byłyby znacznie łatwiejsze do zrozumienia - odparł Sam. - Wtedy nie mogli wykuwać długich zdań na tych swoich skałach.

- Bądź poważny, idioto!

- Na pewno nie jestem idiotą, Czerwońcu. Pewien dramatopisarz powiedział kiedyś, że nieraz przychodzi czas, kiedy nie pozostaje już nic innego, jak tylko krzyczeć. Ja zamiast krzyku wybrałem ironiczny chichot.

- Masz na myśli Anouilha, który powiedział także: „Nosicielu życia, świeć jasnym blaskiem”. Dla mnie życie oznacza to samo co prawo. Przez kilka chwil w twoim domu wierzyłam, że ty również tak myślisz. Musimy dawać ludziom światło, Sam.

- Znasz Anouilha? Myślałem, że jestem jedynym człowiekiem, który wie, kto to...

- Co prawda nie miał kancelarii adwokackiej w Paryżu -

230

przerwała mu Jennifer - ale kochał prawo, szczególnie zaś jego język, z którego czerpał pełnymi garściami, pisząc poezje.

- Przerażasz mnie, indiańska damo.

- Bo stanęliśmy w obliczu przerażającego problemu.

- Rzeczywiście, Mac narobił nielicznego zamieszania, ale z jakiegoś powodu - nie pytaj mnie z jakiego - jestem przekonany, że jednak z tego wybniemy. Może niekoniecznie pozostaniemy przy zdrowych zmysłach, ale przynajmniej ujdziemy z życiem.

- Cieszy mnie twój optymizm - odparła Jennifer. - Z przykrością, muszę stwierdzić, że go nie podzielam.

- Optymizm nie jest właściwym określeniem, Czerwońcu. Powiedzmy raczej, że jestem fatalistą. Wierzę, że wydarzą się straszne rzeczy, choćby tylko dlatego, że znaleźliśmy się w strefie działania dwóch, najbardziej zaradnych ludzi na świecie, czyli Aarona Pinkusa i MacKenziego Hawkinsa. Pozwolę sobie zauważyć, że pod tym względem ja także nie należę do najgorszych.

- Zgubiłam się. W takim razie, o czym ty właściwie mówisz?

- O tobie, młoda damo... W ciągu kilku godzin, od idiotycznego nieporozumienia w windzie aż do tej rozmowy, przeszliśmy wspólnie długą drogę.

; - Obawiam się, że to najbardziej fałszywy wniosek, do jakiego ! doszedłeś w czasie swojej dotychczasowej kariery - odparła Redwing [ i błyszczącymi' oczami.

- Wiem, wiem, ale jednak c o ś się stało...

- Doprawdy?

.\*\*- Przynajmniej ze mną - dokończył Sam. - Obserwowałem cię, jak mawiają chłopcy od psychologii, w chwilach ekstremalnego napięcia psychicznego. To co zobaczyłem, nie tylko spodobało mi się, ale także wzbudziło mój szacunek. W tego rodzaju okolicznościach możesz się bardzo dużo dowiedzieć o człowieku... Możesz dostrzec piękne, zachwycające rzeczy.

- Zbyt wiele sacharyny, panie Devereaux. Nie jestem pewna, czy to odpowiednia pontc-

- Oczywiście, że tak, nie rozumiesz? Jeśli nie powiemtego-teraz, kiedy czuję wszystko tak mocno i wyraźnie, kto wie, czy powiem.-to kiedykolwiek. Potem może gdzieś zniknąć, a ja nie chcę, żeby taksie stało.

- Dlaczego? Z powodu

- co  
Tak

231

:frf!

matka? Aha: „wiecznej miłości jego życia”, czyli obdarzonej dobrym sercem zakonnicy, która uciekła od ciebie z papieżem? To tylko jeszcze jeden zwariowany domek przy zwariowanej uliczce w Wariatkowie!

- Nie masz racji - upierał się Sam. - To wspomnienie błędnie z każdą chwilą, czuję to, wiem o tym na pewno! Nie dalej jak wczorajszego wieczoru chciałem zabić Maca tylko za to, że wymienił jej imię, ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia - a przynajmniej wydaje mi się, że nie ma. Patrząc na ciebie, przestaję widzieć jej twarz, co stanowi dla mnie piekielnie ważny sygnał.

- Chcesz przez to powiedzieć, że taka osoba naprawdę istniała?

- Tak.

- Mecenasiu, czuję się tak, jakbym była w kinie na jakimś okropnym horrorze i w połowie seansu skończyła mi się nagle prażona kukurydza, której większość spadła na podłogę i przykleiła się do śliskiego linoleum.

- Witamy w świecie MacKenziego Hawkinsa. Nie radzę wstawać z miejsca, bo albo poślizgniesz się na linoleum, albo przykleisz do kukurydzy... Jak sądzisz, dlaczego twój brat wziął nogi za pas? Jak myślisz, dlaczego wykorzystywałem wszystkie wpływy bardzo wpływowego Aarona Pinkusa, żeby tylko nie mieć znowu do czynienia z Szalonym Jastrzębiem?

- Ponieważ to jest całkowite szaleństwo - odparła miedziano-skóra Afrodyta, spoglądając na Sama nieco łagodniejszym wzrokiem. - Mimo to twój błyskotliwy pan Pinkus - wiem, że jest błyskotliwy, bo widziałam go w działaniu - nie odciął się od szalonego generała. Wręcz przeciwnie: wszystko wskazuje na to, że pozostaje z nim w ciągłym kontakcie, mało tego, współpracuje z nim, choć oboje wiemy, że mógłby zakończyć sprawę jednym telefonem do Waszyngtonu... A co się tyczy ciebie, to obserwowałam cię w samochodzie, kiedy rozmawiałeś przez telefon. Nie posiadałeś się z niepokoju, wbrew swoim nieudolnym zaprzeczeniom. Dlaczego, mecenasiu? Jaką władzę ma nad wami dwoma ta okropna kreatura?

Sam opuścił głowę i wbił spojrzenie w czubki butów.

- Chodzi o prawdę - powiedział po prostu.

- O jaką prawdę? To chaos!

- Owszem, to także, ale pod spodem jest prawda. Tak samo jak z papieżem Franciszkiem. Zaczęło się od największego łajdactwa w historii świata, jak powiedział Aaron, ale w głębi było coś więcej.

232

Papież, wspianały człowiek, został osaczony przez obłudnych ludzi, których interesowała wyłącznie władza, a nie postęp. Wujek Zio pragnął otworzyć szerzej drzwi uchylone przez Jana XXIII, oni zaś chcieli je zatrzasnąć. Dlatego właśnie między Jastrzębiem a Zio nawiązała się w Alpach przyjaźń i dlatego zrobili to, co zrobili.

- W Alpach? A co takiego zrobili?

- Spokojnie, pani mecenas. Pani pyta o wszystko, aleja w swoich odpowiedziach uwzględnię tylko to, co najważniejsze. Alpy nie są istotne - równie dobrze wszystko mogło się wydarzyć w jakimś mieszkaniu w Jersey City. Istotna jest prawda, i na tym właśnie polega szatański podstęp Maca. Choć jego myśli krążą przedziwnymi, często bardzo poplątanymi ścieżkami, to jednak zawsze docierają do jakiejś fundamentalni-) prawdy... Szanowna pani, twój naród został zniewolony, a on zdobył niezaprzeczalne dowody tego ohydneho czynu. Jasne, wydobywając tę sprawę na światło dzienne, można zarobić grube miliony albo może jeszcze grubsze, przyjmując konkretne wyrazy wdzięczności od tych, którzy pragnęliby ukrećić łeb aferze; nikt jednak nie zdoła zakwestionować przesłanek, które legły u podstaw jego działania. Nie udało się to mnie, nie udało się Aaronowi, i tobie też się nie uda.

- Ale ja chcę je zakwestionować! Nie chcę, żeby moi ludzie dostali się w tę wyżymaczkę! Wielu z nich jest bardzo starych, a jeszcze więcej nie ma odpowiedniego wykształcenia, by stawić czoło takim subtelnociom Szybko tracą orientację, ulegną naciskom ludzi mających na względzie wyłącznie własne interesy, a wreszcie zostaną ponownie skrzywdzeni. Tak nie może być!

- Och, chyba rozumiem - mruknął Sam, siadając głębiej na kanapie. - Niech szczęśliwe czarnuchy zostaną na plantacji, śpiewają swoje pieśni i poganiają muły.

- Słucham? Jak śmiesz mówić coś takiego?!

- T y to powiedziałaś, indiańska damo. Wyjdiesz z tego pokoju, wrócisz do San Francisco i ze swojej wysokiej grzędy oznajmisz protekcyjnalnie, że maluczcy nie są godni, by zerwać krepujące ich kajdany.

- Nie powiedziałam, że nie są godni, tylko że nie są gotowi! Budujemy kolejną szkołę, staramy się ściągnąć z Korpusu Pokoju najlepszych nauczycieli i wysyłamy dzieci poza rezerwat, żeby zdobyły lepsze wykształcenie, ale tego nie da się zrobić z dnia na dzień. Nawet

233

w ciągu miesiąca albo dwóch nie uda ci się przemienić ludzi pozbawionych przez dziesięciolecia praw obywatelskich w świadome politycznie i zorganizowane społeczeństwo!

Na to potrzeba lat.

- Nie ma pani tyle czasu, pani mecenas. Musisz zrobić to teraz. Jeśli przepuścisz tę szansę, choćby nie wiadomo jak nikła, naprawienia wyrządzonego niegdyś zła, to drugi raz możesz już jej nie mieć. Mac miał całkowitą rację. Właśnie dlatego przyjął taki sposób postępowania - broń gotowa do strzału, ale ukryta, dowództwo poza zasięgiem nieprzyjaciela, ale kontrolujące sytuację.

-,Co ma znaczyć ten bełkot?

- Przypuszczam, że Jastrząb użyłby wyrażenia: Oddział Szturmowy Delta, skoncentrowane uderzenie w punkcie zero.

- Tak, oczywiście. Teraz już wszystko rozumiem.

-- Atak z zaskoczenia, Czerwońcu. Żadnych ostrzeżeń, żadnych artykułów w prasie ani programów w telewizji, żadnych prawników załamujących ręce nad krzywdami swoich klientów. Wszystko cicho, sprawnie i pewnie.

- Żeby nieprzyjaciel nie zdążył się przygotować... - szepnęła Jennifer, która zaczęła dostrzegać światło w tunelu.

- Otóż to - potwierdził Devereaux. - Zapomnij o starannym ważeniu szans. Od decyzji Sądu Najwyższego nie ma odwołania, zmienić ją może jedynie nowelizacja prawa.

- A Kongres, nawet przy najlepszych chęciach, działa z prędkością żółwia - uzupełniła piękna pani adwokat. - Dzięki, czemu twój Hawkins dopnie swego.

- A wraz z nim cały szczerp Wopotami - zwrócił jej uwagę Devereaux. - To się nazywa wygrać los na loterii.

- Albo wsiąść do ekspresowej windy jadącej prosto do piekła - odparła Redwing, wstając z fotela i podchodząc do okna, z którego roztaczał się widok na park miejski w Bostonie. - To nie może się zdarzyć, Sam - powiedziała, kręcąc powoli głową. - Oni nie dadzą sobie z tym rady. Wyjęci z teczek kandydaci na senatorów i kongres-manów spadną na nich w swoich limuzynach i prywatnych odrzutowcach jak szarańcza, podsuwając uciechy, którym nie będą mogli się oprzeć... A ja nie zdołam tego powstrzymać. Nikt z nas nie zdoła tego powstrzymać.

- Nikt z n a s?

- Jest nas około tuzina - dzieci, o których Rada Starszych

234

zadecydowała, że są *ogottowa*. W najprostszym tłumaczeniu znaczy to

-tyle, co „mądrzejsi od innych”, choć sięga znacznie głębiej. Otrzymaliśmy szansę, której nie miały inne dzieci. Dajemy sobie całkiem nieźle radę, i z wyjątkiem dwójki albo trójki, która wprost nie mogła się .oczekać, żeby się zasymilować i kupić sobie najnowsze BMW, trzymamy się razem i pilnujemy interesów plemienia. Staramy się ze

-wszystkich sił, ale nawet my nie zdołalibyśmy obronić ich przed olimpijskim zepsuciem.

- Coś strasznie nas dzisiaj ciągnie w stronę Grecji.

- Naprawdę? Nie zwróciłam na to uwagi. Dlaczego tak uważasz?

- Nie wiem. Może dlatego, że jakiś Grek paraduje teraz w moim najlepszym swetrze od J. Pressa. Przepraszam, nie chciałem ci przerywać.

- Owszem, chciałeś. Usiłujesz zyskać na czasie, żeby znaleźć odpowiedź na moje wątpliwości.

- Bardzo pani domyślna, pani mecenas... Masz rację, i wydaje mi się, że ją znalazłem. Czy słusznie czy nie, przypuszczając, że jesteś najważniejsza z całej tej wybranej dwunastki?

Owszem. Poświęcam sprawie wiele czasu, a w dodatku dysponuję prawniczym doświadczeniem.

- W takim razie postaraj się skorzystać z niego już teraz, zanim hipotetyczny fakt stanie się rzeczywistością.

- W jaki sposób?

- Ilu osobom, spośród waszych cudownych dzieci, możesz całkowicie zaufać? - odpowiedział Sam pytaniem na jej pytanie.

- Oczywiście mojemu bratu Charliemu, jak tylko odzyska jasność myślenia, a oprócz tego jeszcze sześciu albo siedmiu, którzy nie powinni dać się skusić żadnymi błyskotkami.

- W takim razie sformułuj na piśmie umowę, którą podpiszą szyscy członkowie Rady Starszych, stwierdzającą jednoznacznie, iż we wszelkich sprawach natury ekonomicznej dotyczących całego plemienia i mogą występować w jego imieniu wyłącznie osoby wy-

znaczone bezpośrednio przez sygnatariuszy niniejszej umowy.

- To byłoby działanie w zмовie, mające na celu uniemożliwienie przeprowadzenia czynności prawnych - zaprotestowała Jennifer.

Jakich czynności prawnych? Czy. zostałaś o nich oficjalnie poinformowana ?

235

- Oczywiście, że tak. Przez mojego szalonego braciszka Charliego i nowego znajomego, Sama w poplamionych spodniach.

- W takim razie zdobądź się na małe kłamstwo. Masz do wyboru: albo to, albo ekspresową windę do piekła.

Jennifer podeszła z powrotem do biurka, zatrzymała się z dłońmi opartymi na biodrach i zamyślnym spojrzeniem wbitym w sufit. Miała zamiar sprowokować w ten sposób Devereaux, co jej się natychmiast udało.

- Czy naprawdę musisz to robić? - zapytał.

- To znaczy co? - zapytała Afrodyta z plemienia Wopotami, kierując na niego spojrzenie pięknych oczu.

- Stać w taki sposób.

- To znaczy w jaki?

- Możesz być najgroźniejszą kobietą na świecie, ale i tak zawsze zabraknie ci trochę testosteronu.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Nie jesteś mężczyzną.

- Oczywiście, że nie jestem. - Jennifer zerknęła przelotnie na swoje wypięte do przodu wypukłości. - Daj spokój, mecenasie. Lepiej skoncentruj się na swojej zakonnicy.

- Czyżbym słyszał nutę zazdrości w twoim głosie? To najlepszy znak, jakiego mogłem oczekiwać. „Zaaazdrośnica, widzę w twych oczach, żeś jest zaaaazdrośnica...” - zanucił.

- Zamknij się, na litość boską!... Charlie mógłby chyba to zrobić.

- Mam nadzieję, że nie.

- Słucham?

- Nieważne. A więc, co mógłby zrobić Charlie?

- Zając się spisaniem tej umowy - wyjaśniła Redwing, podnosząc słuchawkę telefonu. - Przy pomocy mojej sekretarki przygotowuje wszystko i prześle mi faksem najdalej do jutra.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Devereaux, zrywając się z kanapy. - Oczywiście, dzwoni, ale czy pozwolił mi wystąpić w roli twojego tutejszego sekretarza?

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę usłyszeć głos tego żalnego sukinsyna, który, podobnie jak ja, dał się wciągnąć w matactwa Hawkinsa. Jeśli masz ochotę, możesz nazwać mnie perwersyjnym, ale nie zapominaj, że jednak puściłem koło uszu twoją propozycję małżeństwa. I co ty na to?

236

- Bardzo proszę - odparła Jennifer, wykręcając numer.

- Jak brzmi jego pełne imię i nazwisko? - zapytał Sam, stając obok olśniewającej pani mecenas. - Niech pomyśli, że naprawdę jestem twoim sekretarzem.

- Charles Zachód Słońca Redwing.

- Żartujesz!

- Urodził się przy blasku zachodzącego słońca, a ja nie życzę sobie słyszeć od ciebie żadnych kretyńskich komentarzy.

- Jakżebyś śmiał. - Jennifer podała Samowi słuchawkę. Po krótkim oczekiwaniu z drugiego końca linii dobiegło ciche „Halo?”

- Czy pan Charles Zachód Słońca Redwing? - zapytał Devereaux.

- Chcesz mówić z Orlim Okiem? - zapytał brat oszalamiająco pięknej kobiety. - Coś się stało?

- Z Orlim Okiem? - Devereaux zasłonił dłonią mikrofon i zwrócił się do Jennifer. - Powiedział: Orle Oko. Co to znaczy? Czy to jakiś indiański szyfr?

- Tak się nazywa nasz wujek. Użyłeś drugiego imienia Charliego, jktórym na co dzień się nie nie afiszuje. Daj, ja z nim porozmawiam.

- Cholernie się go boję.

- Charliego? Przecież to taki miły chłopak.
- Wydaje mi się, że słyszę samego siebie!
- Dwa punkty dla białego człowieka - oznajmiła Redwing, odbierając mu słuchawkę. - Cześć, osiołku, mówi twoja starsza siostra. Zrobisz dokładnie to, co ci powiem, ale trzymaj łapy z daleka moje' sekretarki, bo jak nie, to założę ci pieluchę, tak jak to kiedyś (robiłam, ale tym razem ścisnę ją tak mocno, że stracisz pewną cenną część ciała. Rozumiemy się, Charlie?
- Devereaux skierował się ku kanapie, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i skręcił w stronę wbudowanego w ścianę barku, wypełnionego najróżniejszymi trunkami. Podczas gdy Jennifer przekazywała bratu szczegółowe instrukcje, zajął się przyrządzaniem wielkiego dzbanka wytrawnego m; i . Skoro nie pozostało mu już nic innego jak tylko krzyczeć, równie dobrze może to robić nawalony niczym bąk.
- No! - westchnęła z ulgą indiańska piękność i odłożyła słuchawkę. Spojrzała na kanapę, spodziewając się ujrzeć tam Deve-yeaux, po czym natychmiast przeniosła wzrok na bar i nieszczęśnika uprawiającego tam rytuał mieszania drinka. - Co robisz?
- Czynieć ból łatwiejszym do zniesienia - odparł Sam, grzebiąc

237

- widelcem w słoiku z oliwkami. - Wkrótce powinien tu się zjawić Aaron, a potem także Mac - naturalnie zakładając, że uda mu się ująć z życiem z Czterech Pór Roku. Szczerze mówiąc, nie oczekuję ze zbytnim utęsknieniem na to spotkanie. Chcesz sobie łykać?
- Dziękuję, bo zaraz potem zwałiłabym się na podłogę. Przypuszczam, że to chyba ma coś wspólnego z genami.
- Naprawdę? Myślałem, że to tylko głupi przesąd... Wiesz, Indianie i woda ognista...
- Czy naprawdę sądzisz, że piękna Pocahontas zwróciłaby uwagę na tego chuderlawego Johna Smitha, gdyby nie była pijana jak bela? Na pewno nie, zwłaszcza kiedy miała do wyboru tyłu urodziwych wojowników.
- Uważam, że to rasistowska uwaga. ;•». - Masz całkowitą rację. Zostaw nam trochę na później.

.Potężnie zbudowany mężczyzna wszedł przez ozdobne główne drzwi do budynku ekskluzywnego klubu golfowego Fawning Hill na wschodnim wybrzeżu stanu Maryland, skinąwszy z aprobatą głową w odpowiedzi na pełne szacunku, ale milczące powitanie ubranego w smoking kierownika klubu.

- Roger, mój chłopcze - zwrócił się kierownik do swego asystenta - właśnie ujrzałeś, jak przez te drzwi przeszło dwanaście procent bogactw naszego kraju.
- Żartuje pan - odparł młodzieniec, także w smokingu, ale bez białej róży w klapie.
- Skądże znowu - ciągnął kierownik. - W Złotym Pokoju ma się odbyć prywatne spotkanie z sekretarzem stanu. Nic do jedzenia, żadnych drinków, tylko woda do picia. Bardzo poważna sprawa. Godzinę temu przyjechali dwaj ludzie z Departamentu Stanu i sprawdzili, czy nie ma podsłuchu.
- Jak pan sądzi, Maurice, o co może chodzić?
- O sprawy najwyższej wagi. W tym pokoju zebrał się szefowie Monarch-McDowell Aircraft, Petrotoxic Amalgamated, Zenith Bali Bearings i Smythington-Fontini Industries, które sięgają od Mediolanu we Włoszech aż do Kalifornii.
- O rety! A kim jest piąty facet?

238

- Królem międzynarodowych bankierów. Przyjechał z Bostonu i ma więcej forsy niż cały Departament Skarbu.
- Jak pan myśli, co oni robią?
- Gdybym wiedział, przypuszczalnie zostałbym bardzo bogatym człowiekiem.

JMoose! - wykrzyknął Warren Pease, ściskając mocno rękę właścicielowi Monarch-McDowell Aircraft.

Zezujesz lewym okiem, Warty - odparł potężny mężczyzna. - Mamy jakieś kłopoty?

- Tylko takie, z którymi na pewno sobie poradzimy - poinformował go nerwowo sekretarz stanu. - Przywitaj się z chłopcami.

- Cześć, kolesie - powiedział Moose i ruszył dokoła stołu, ściskając wyciągnięte ręce.

- Miło cię znowu widzieć, połciu mięsa - powitał go Doozie z Petrotoxic Amalgamated. Jego błękitny sweter zdobiła naszywka przedstawiająca,\* herb rodzinny.

- Spóźniłeś się, Moose - zauważył jasnowłosy Froggie, właściciel i jednocześnie główny dyrektor Zenith Bali Bearings. - A ja bardzo się śpieszę. Dotarła do mnie wiadomość, że w Paryżu otrzymali jakiś nowy stop, a to oznacza grube miliony w kontraktach dla Departamentu Obrony

- Strasznie™ przykro, żabia mord, ale nic nie mogłem poradzić na pogodę nad St Louis. Mój pilot uparł się, żeby ominąć tę burzę... Cześć. Smythie. Jak się miewają panienki w Mediolanie?

- Usychają z tęsknoty za tobą - odparł Smythington-Fontini. Pół Włoch, pół Anglik miał na sobie biały żeglarski strój ozdobiony kolorowymi wstążeczkami świadczącymi o licznych zwycięstwach w regatach.

- Brick! - wykrzyknął Moose, chwytając wyciągniętą rękę bostońskiego bankiera. - Jak tam garnczek z pieniędzmi? W ubiegłym roku nieźle mnie oskubałeś.

- " Ale większość mogłeś odpisać sobie od podatku, tłuściochu - zripostował z uśmiechem bankier z Nowej Anglii. - Masz coś przeciwko temu!'

- Skądże znowu! Wspominam cię co rano, słodząc sobie kawę... Tutaj siedzę, zgadza się?

239

- Tak jest:

- Szybko, szybko! - popędzał zebranych Froggie. - Naprawdę cholernie się śpieszę. Te nowe stopy mogą wpaść w łapy Niemców. Zaczynaj, Warren.

- Już dobrze, dobrze... - wymamrotał sekretarz stanu, zajmując miejsce przy stole i trąc z wściekłością lewą skroń, jakby chciał w ten sposób zmusić do posłuszeństwa uciekające ciągle w bok oko. - Powiadomiłem was wszystkich za pośrednictwem specjalnie zabezpieczonych przed podsłuchem telefonów, że nasz dobry kumpel, a mój dawny kolega z pokoju, czyli prezydent, zlecił mi zajęcie się nieprzyjemnym włoskim problemem, jaki mamy w CIA.

- Ktoś musiał się wreszcie za to wziąć - zauważył Doozie z Petrotoxic. - Zdaje się, że ten gość stał się wręcz groźny. O jego taktycy znieważania krążą już legendy.

- Trzeba jednak przyznać, że od chwili kiedy znalazł się na tym stanowisku, działa niezwykle efektywnie - odezwał się Moose. - Odkąd zjawił się w Langley, nasze firmy nie miały żadnych kłopotów ze związkami zawodowymi. Za każdym razem, jak tylko pojawiała się jakieś zagrożenie, przyjeżdżały wielkie limuzyny z jego kolesiami i zaraz wszystko wracało do normy.

- Mają swój styl, trzeba im to przyznać - stwierdził Doozie, strzepując niewidzialny pyłek z rodowego herbu na piersi. - Poza tym aż miło było patrzeć, jak rozprawia się z tymi parszywymi obrońcami środowiska naturalnego, zarzucając im narażanie na szwank bezpieczeństwa narodowego. Tatuś i mamusia byliby z niego bardzo zadowoleni.

- A choć nie sposób go zaakceptować w żadnym towarzystwie - uzupełnił arystokratyczny bankier z Bostonu - to dzięki powiązaniom z pewnymi zagranicznymi instytucjami umożliwił znaczne rozbudowanie naszych finansów. Wszyscy zarobiliśmy wiele milionów, nie płacąc żadnych podatków.

, - Cholernie porządny facet - zgodził się Moose z Monarch-McDowell Aircraft i skinał głową, wprawiając w drżenie obwisłe podgardle.

- Jasna sprawa - potwierdził Doozie. - Doskonale rozumie, że powodzenie lepszych od niego leży w jego dobrze pojętym interesie, w myśl starej, wielokrotnie sprawdzonej teorii strumyczków odpływających od głównego wodospadu.

240

- Ponadto w kim innym moglibyśmy znaleźć tak pewne oparcie? - odezwał się spadkobierca rodziny Smythington-Fontini. - To niezwykle patriotyczny Amerykanin. Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że każdy projekt mający na względzie bezpieczeństwo kraju musi zostać zaakceptowany, nawet jeśli pozornie wydaje się zupełnie niepotrzebny. gdyż

liczy się nie tylko ostateczny efekt, ale także wiedza i doświadczenie zdobyte w trakcie prac nad...

- Tak, oczywiście - przerwał mu sekretarz stanu, unosząc drżącą prawą rękę, którą natychmiast złapał lewą i ściągnął z powrotem na stół. - Jednak te wszystkie zalety, mimo że czynią go tak bardzo użytecznym, mogą stanowić powód, dla którego stał się ogromnym zagrożeniem

- Jak to?!

- Dlaczego?

- Dlatego że każdy z was ma z nim długoletnie i silne powiązania.

- Głęboko ukryte - zwrócił mu uwagę Froggie. - B a r d z o głęboko

-. Nie przed nim.

- Co się właściwie stało? - zapytał Brick z Bostonu. Jego twarz, i tak już bardzo blada z powodu braku słonecznego światła w bankowych podziemiach, pobraźnia jeszcze bardziej.

- Ma to bezpośredni związek z innym problemem, który przed-stawi<sup>^</sup> wam nieco później.

- O mój Boże... - szepnął Doozie. - Dzikusy! Sąd Najwyższy z trzema lewicującymi sklerotykami i niedorozwiniętym przewodniczącym, po którym nie wiadomo czego się spodziewać!

- Otóż to - potwierdził Warren Pease głosem niewiele donośniej-szym od szeptu. - Usiłując wykaraskać się z idiotycznych tarapatów, Mangeca\ allu wytropił tylu z> anowanych pismaczy \\  
Bostonie i naślął na nich swoich ludzi z Nowego Jorku. Autentycznych morderców, z. mnóstwem trupów na rozkładzie. Jeden z nich został schwytany.

- A niech mnie drzwi ścisną! - wykrzyknął Brick. - W Bostonie?

- Czytałem o tym - odezwał się Moose. - W jakimś hotelu wybuchło okropne zamieszanie, a typek, którego aresztowano, twierdził, że jego adwokatem jest sam pfczydent.

- Nie wiedziałem, że twój współlokator jest prawnikiem - powiedział Doozie do sekretarza stanu.

241

- Bo nie jest. Skoro jednak już na samym początku padło jego nazwisko, to jak myślicie, czy długo trzeba będzie czekać, zanim wypłynie na wierzch Mangecayallo, a zaraz potem wy, jeden po drugim?

- Czy widzi pan w tym coś dziwnego, panie sekretarzu? - odpowiedział pytaniem na pytanie jasnowłosa Froggie, spoglądając po kolei na wszystkich zebranych. Jego głos brzmiał tak, jakby dobiegał z wnętrza lodówki. - Posługiwaliśmy się nim, a teraz on spróbuje posłużyć się nami.

Zapadło ponure milczenie, które przerwał Moose z Monarch-McDowell:

- Mój Boże, będzie nam go brakować.

- A więc zgadzamy się w tej sprawie? - zapytał Warren Pease.

- Oczywiście, stary draniu - powiedział Doozie, unosząc z niewinnym zdziwieniem brwi. - Czy istnieje jakaś inna droga, którą moglibyśmy wybrać?

- Wszystkie drogi prowadzą do mojego pięknego banku na Beacon Hill! - wykrzyknął Brick. - Dla mnie on jest już martwy!

- Nie możemy go dłużej tolerować! - zawtórował mu Smythington-Fontini. - Tylko pomyślcie: bezwzględny przestępca panoszący się w ośrodku dowodzenia wszystkimi operacjami wywiadowczymi, w dodatku znający nas i mogący w każdej chwili podać do publicznej wiadomości nasze nazwiska!

- Dobrze, ale kto to powie? - zaniepokoił się Moose. - Do licha, ktoś musi to powiedzieć!

- Ja powiem - oświadczył spokojnym głosem Froggie. - Vincent Mangecayallo musi najprędzej, jak tylko możliwe, stać się świętej pamięci Vincentem Mangecayallo... Jakiś okropny wypadek, ma się rozumieć, nic, co mogłoby wzbudzić jakiegokolwiek, choćby najmniejsze wątpliwości.

- Ale jak? - zapytał sekretarz stanu.

- Myślę, że mogę odpowiedzieć na to pytanie - odezwał się Smythington-Fontini, zaciągając się dymem z papierosa tkwiącego w długiej cygarnicze. - Jestem jedynym właścicielem Milano-Fontini Industries, a gdzie indziej niż w Mediolanie można znaleźć



wielu zdesperowanych malkontentów, których moi działający z niezwykłą dyskrecją ludzie mogliby nakłonić do tego czynu, obiecując zapłatę w wysokości kilku milionów lirów? Ja się tym zajmę.

242

- Dzielny chłopak!

To rozumiem! .-\*- Świetnie powiedziane!

-i- Kiedy to wszystko się skończy - oznajmił Warren Pease, którego lewe oko było już prawie w porządku - prezydent osobiście wręczy ci medal za szczególne zasługi. Podczas bardzo kameralnej uroczystości, ma się rozumieć.

- W jaki sposób ten typek przeszedł przez przesłuchania w Kongresie? zapytał bladolicy bostończyk. - Szczerze mówiąc, nie liczyłem się z taką możliwością.

- Ja tam nie chcę nic o tym wiedzieć - odparł szkolny kolega prezydenta. - Jeżeli jednak chodzi o nominację pana Man-gecavallo, to muszę wam przypomnieć, że została zatwierdzona przez specjalny komitet działający u boku prezydenta-elekta, a większość członków tego komitetu siedzi teraz przy tym stole. Wiem, wiem - przypuszczaliście, że facio rozłoży się podczas przesłuchań, ale on jakoś przez nie przebrnął, i teraz go macie... Panowie, nie kto inny tylko właśnie wy jesteście odpowiedzialni za to, że dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej został jeden z szefów mafii!

- Trochę nieładnie to ująłeś - zauważył przyozdobiony rodowym herbem Doozie, skubiąc w zamyśleniu podbródek. - Bądź co bądź chodziliśmy do tego samego college'u.

- Bóg mi świadkiem, Brick, jak bardzo mi przykro, ale chyba sam rozumiesz, że przede wszystkim muszę chronić naszego chłopca. To moje zadanie, obowiązek, przeznaczenie i w ogóle.

- On nie chodził z nami do college'u. Mało tego, nawet nie grywał z nami na wyścigach!

- Życie nigdy nas nie rozpieszczało, Brick - powiedział Froggie, mierząc sekretarza stanu chłodnym spojrzeniem. - Czy mógłbyś nam powiedzieć, w jaki sposób chcesz ochronić naszego chłopca urzędującego w Owalnym Gabinetecie, obrzucając nas oskarżeniami o popieranie Vincenta Mangecavallo, którym to oskarżeniom natychmiast kategorycznie zaprzeczymy?

- Cóż... - wykrztusił z trudem Pease, wyczyniając lewym okiem trudne do opisania wygibasy. - Tak się składa, że mamy dokładne stenogramy wszystkich posiedzeń komitetu.

- Skąd?! - ryknął bankier z Bostonu. - Przecież nie było żadnych sekretarek. Nikt niczego nie stenografował!

243

- Ale wszystko było **nagrywane...** - szepnął szef Departamentu Stanu.

- Co takiego?

- Słyszałem cię, ty błękitnokrwisty sukinsynu! - zawył Moose. - On powiedział, że byliśmy nagrywani!

- W jaki sposób, na litość boską? - zażądał wyjaśnień Doozie. - Nie widziałem żadnych urządzeń rejestrujących.

- Zainstalowane pod stołem mikrofony podłączone do magnetofonów włączających się na dźwięk głosu - wyjaśnił sekretarz stanu jeszcze ciszej niż poprzednio. - Wszędzie gdzie się spotykaliście.

- Że co?... Wszędzie gdzie się spotykaliśmy?...

Twarze mężczyzn zastygły w grymasie wściekłego niedowierzania. Po chwili, kiedy znaczenie tych słów dotarło do oszołomionych umysłów, odezwały się gniewne głosy:

- W moim domu?...

- W mojej chacie nad jeziorem?...

- W mojej posiadłości w Palm Springs?...

- W biurach w Waszyngtonie?

-\_\_ Wszędzie - wyszeptał Warren Pease z pobladałą twarzą.

- Jak mogłeś to zrobić?! - ryknął Smythington-Fontini, mierząc w niego cygarniczką, jakby to był sztylet.

- Zaszczyt i obowiązek... - wycedził jasnowłosa Froggie. - Ty cholerny draniu, nie spodziewaj się, że pozwolę ci jeszcze kiedykolwiek zagrać w moim klubie!

- A ja proponuję, żebyś przestał marzyć o uczestnictwie w zjeździe absolwentów szkoły! - zawtórował mu Doozie.

- Właśnie przyjąłem twoją rezygnację z członkostwa w Metropolitan Society - oznajmił z pogardą Moose.

- Jestem honorowym przewodniczącym!

- Już nie. Jeszcze dziś wieczorem zostaną sporządzone dokładne raporty opisujące twoje szokujące postępowanie w chwilach wolnych od pełnienia obowiązków służbowych. Powiedzmy, sadomasochistyczne, biseksualne perwersje. Nie możemy tolerować w naszym gronie równie odrażającego osobnika!

- A jeśli myślisz, że wolno ci trzymać twoją nędzną balię przy nabrzeżu naszego jachtklubu, to jesteś w grubym błędzie - uzupełnił Smythie. - Obrzydliwy, mały żeglarzyna!

244

- Moose, Froggie, Doozie... I ty, Smythie! Jak możecie mi to zrobić? Odbieracie mi moje życie, pozbawiacie mnie wszystkiego, co dla mnie najważniejsze!

Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

- Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego! Na litość boską, nie zabijajcie posłańca tylko dlatego, że przyniósł niedobłą wiadomość!

- Zdaje się, że już to gdzieś słyszałem - zauważył Brick. - Cuchnie mi komunistyczno-socjalistyczną propagandą.

Raczej japońską, a to jeszcze gorzej - wtrącił się Moose. - W kółko powtarzają, że nasze lodówki są za duże do ich mieszkań, a samochody za szerokie na ich ulice. W takim razie dlaczego ci cholerni protekcjonistyczni bigoci nie zaczną budować większych domów i szerszych ulic?

- Mylicie się, koledzy! - wyjęczał sekretarz stanu. - To żadna z tych rzeczy, tylko święta prawda!

- To znaczy co konkretnie? - zainteresował się Froggie.

- Posłaniec i wiadomość. To nie ja robiłem, lecz on! Przekupywał służby i ogrodników, żeby zainstalować sprzęt.

- O czym ty gadasz, do stu diabłów?! - wrzasnął Doozie.

- O nim! O Arnoldzie!

- O jakim Arnoldzie?

- Arnoldzie Subagaloo, szefie personelu Białego Domu!

- Nigdy nie mogłem zapamiętać jego nazwiska. Na pewno nie jest od nas. I co z nim?

- To on przesłał wiadomość za moim pośrednictwem. Skąd wiedziałbym cokolwiek o magnetofonach włączających się na dźwięk głosu? Dobry Boże, ja nawet nie potrafię obsługiwać swojego magnetowidu!

- A co on właściwie zrobił, ten Subaru? - zapytał bladolicy bankier.

- Subaru to samochód - wyjaśnił sekretarz stanu. - On się nazywa Subagaloo.

- Chodzi o tę lodówkę? - zainteresował się Moose z Monarch-McDowd. Sub-Igloo to cholernie dobra maszyna i powinna trafić do każdego cholernego japońskiego mieszkania.

- Masz na myśli Subzero, a tu chodzi o Subagaloo, szefa personelu Białego Domu.

- Aha, to ten bystry facet z Wall Street! - domyślił się

245

Smythington-Fontini. - Kilka lat temu mówił bardzo zabawne rzeczy w telewizji. Myślałem nawet, że dostanie własny program.

- Przykro mi, Smythie, ale mylisz się. Tamten współpracował z poprzednim prezydentem.

- Ach, tak - zgodził się bez oporów żeglarz. - Mówisz o tym miłym facecie z filmów, za którego uśmiechem przepada moja żona... a może kochanka? Cholera wie. W każdym razie mogłem go zrozumieć tylko wtedy, kiedy coś czytał.

- Mówię o Arnoldzie Subagaloo, obecnym szefie personelu Białego Domu...

- Ktoś, kto się tak nazywa, na pewno nie jest jednym z nas.

- On właśnie kazał mi powiedzieć wam o nagraniach waszych spotkań. Zostały wykonane na jego polecenie.

- Dlaczego to zrobił?

- Ponieważ występuje przeciwko wszystkim i wszystkiemu, co stanowi potencjalne

zagrożenie dla Białego Domu - odparł Frog-gie. - W związku z tym przewidział wszelkie problemy, które mogły pojawić się w przyszłości, i przedsięwziął odpowiednie środki zaradcze...

- W cholernie mało elegancki sposób! - wtrącił się Brick.

- ...zmuszając nas do zrobienia tego, co musimy teraz zrobić - dokończył jasnowłosy cynik, zerkając na złoty zegarek marki Girard-Perregaux. - Musimy sami wyeliminować Mancegavalla, usuwając w ten sposób problem, który sobie stworzyliśmy, a wszystko bez mieszania w to prezydenta. Ten Subagaloo to niezły kawał przebiegłego sukinsyna!

- A przy okazji ma łeb na karku - zauważył Doozie z Petro-toxic. - Założę się, że jest członkiem paru rad nadzorczych.

- Po skończonej kadencji chciałbym dostać na biurko jego teczkę - dodał Moose. - Warto zainwestować w takiego drania.

- W porządku, panie sekretarzu - powiedział rzeczowym tonem Fróggie. - Mam niewiele czasu, więc skoro Smythie zdecydował się na rozwiązanie jednego poważnego problemu, proponuję, żeby pan zajął się drugim, to znaczy tym kretyńskim, odrażającym pozwem złożonym w Sądzie Najwyższym, którego autor domaga się zwrócenia stanu Omaha jakiemuś plemieniu Tacobunnie, czy kimkolwiek oni są.

- Wopotami - poprawił go sekretarz stanu. - Podobno oddzielili się od Mohawków, którzy wyparli się ich, bo Wopotami nie chcieli wychodzić ze swoich tipi, kiedy padał śnieg.

246

- Gównu nas obchodzi, kim oni są i co robią albo czego nie robią w swoich śmierdzących igloo...

- Tipi.

- Znowu mówimy o lodówkach?

- Nie, o szefie personelu...

- Wydawało mi się, że on gra w Chicago?

- Co takiego? Japonce kupują Chicago?

- Czy oni nigdy się nie nasycą? Mają już przecież Nowy Jork i Los, Angeles.

- Kupili „Dodgersów”?

- Nie, podobno „Raidersów”.

- Wydawało mi się, że to ja kupiłem „Raidersów”...

- Nie, Smythie. Ty kupiłeś „Ramsów”.

- Zamknijcie się, do jasnej cholery! - ryknął Froggie. - Dokładnie za siedem godzin mam ważne spotkanie w Paryżu!... Dobra, panie sekretarzu, teraz proszę nam powiedzieć, jakie pan podjął kroki, żeby zniszczyć ten żaloszny pozew i nie dopuścić do rozdmuchania całej sprawy? Nawet najmniejszy rozgłos pociągnąłby za sobą śledztwo prowadzone przez komisję Kongresu, śledztwo, które ciągnęłoby się miesiącami, dając szansę różnym mniejszościowym wypierdkom na zapluwanie posadzek w Senacie i Izbie Reprezentantów. Ta perspektywa jest dla nas nie do przyjęcia! Kosztowałyby nas to grube miliardy!

- Pozwólcie, że najpierw przekażę złą wiadomość - wystękał sekretarz stanu, waląc się pięścią w lewą skroń, aby w ten sposób przywołać do porządku niesforne oko. - Wierząc, że pozwoli to nam zagwarantować sobie nietykalność, wynajęliśmy najbardziej wścibskich i najbardziej patriotycznych specjalistów w kraju, żeby znaleźli jakiegoś haka na tych głupkowatych sędziów. Niestety, nic z tego nie wyszło. Zaczęliśmy się nawet zastanawiać, w jaki sposób udało im się skończyć studia, bo są wręcz nieskazitelnie czysti.

- Spróbowaliście Goldfarba? - zapytał Doozie.

- Od niego zaczęliśmy. Zrezygnował.

- W lidze nigdy nie rezygnował. Co prawda jest Żydem, więc nie mogłem zaprosić go na kolację do Onion Club, ale nie ulega wątpliwości, że był najlepszym napastnikiem w całej... Nawet on nic nie znalazł!

- Nic a nic. Mancegavalla osobiście powiedział mi, że Hymie

247

Huragan - i tu cytuję - „przegrał prawie wszystkie kamyki”. Posunął się do tego, że poinformował Vincenta, iż wódz Grzmiąca Głowa jest albo kanadyjską Wielką Stopą, albo himalajskim Yeti, legendarnym Człowiekiem Śniegu!

- Hymie Huragan przeszedł do historii - zauważył ze smutkiem właściciel i główny dyrektor

Petrotoxic. - Zaraz sprzedam wszystkie jego fotki. Mama i tata zawsze powtarzali mi, żebym przewidywał ruchy na rynku.

- Błagam was! - zawył jasnowłosy właściciel Zenith Worldwide, ponownie spoglądając na złoty zegarek. - A jaka jest ta dobra wiadomość, jeśli w ogóle jest? - zapytał sekretarza stanu.

- Mówiąc w skrócie - odparł Pease, któremu tymczasem udało się częściowo zapanować nad niepokornym okiem - nasz wkrótce zmarły dyrektor CIA wskazał nam drogę, którą musimy podążyć. Otóż zanim Sąd Najwyższy podejmie jakąkolwiek decyzję, osoby, które złożyły pozew, a więc wódz Grzmiąca Głowa i jego prawnicy, muszą stawić się osobiście na wstępne przesłuchanie.

- I co z tego?

- To, że nigdy tam nie dotrą.

- Co takiego?

- Kto?

- Jak?

- Vinnie Bam-Bam wykorzystał swoje znajomości w mafii, ale my posuniemy się o krok dalej.

- Co?

- Kto?

- Jak?

- Wypuścimy z klatki bardzo specjalnych ludzi z naszych Sił Specjalnych, z zadaniem wyeliminowania Grzmiącej Głowy i jego kumpli. Mangecavallo... - przepraszam: już-wkrótce-świętej-pamięci Mangecavallo - miał rację. Usuwanie przyczynę usunie się także skutek.

- Słuchajcie tylko!

- Świetnie!

- Znakomity pomysł!

- Wiemy, że w tej chwili ten sukinsyn Grzmiąca Głowa i jego komunistyczni przyjaciele są w Bostonie. Wystarczy tylko ich odnaleźć.

- Jesteś pewien, że uda ci się to zrobić? - zapytał lodowatym tonem Froggie. - Ostatnio nie spisywałeś się najlepiej.

248

- Właściwie wszystko zostało już załatwione - odparł sekretarz stanu, obdarzając jasnowłosego mężczyznę spojrzeniem idealnie zsynchronizowanych oczu. - Ten rzezimieszek, którego aresztowano w Bostonie, Cezar-jakiś-tam, został już przewieziony do tajnej kliniki Departamentu Stanu w Wirginii, gdzie wstrzyknięto mu końską dawkę narkotyku zmuszającego do mówienia prawdy. Jeszcze dziś przed wieczorem dowiemy się wszystkiego. Smythie, wydaje mi się, że powinieneś od razu zabrać się do roboty.

- Nie ma sprawy.

Algernon Smythington-Fontini wysiadł z limuzyny w zupełnie nieprawdopodobnym miejscu, to znaczy przy dogorywającej stacji benzynowej na przedmieściu Grasonville w stanie Maryland. Stacja stanowiła relikw z czasów, kiedy codziennie rano farmerzy przyjeżdżali napełnić baki ciężarówek i przez kilka godzin gawędzili o pogodzie, spadających cenach na produkty rolne, a przede wszystkim o rozwijającej się w oszałamiającym tempie przemysłowej uprawie roślin i hodowli zwierząt, stanowiącej gwóźdź do ich zbiorowej trumny. Smythie skinął głową właścicielowi siedzącemu w zniszczonym fotelu przy drzwiach.

- Dzień dobry - powiedział.

- Jak się masz, cudaku. Właż do środka i dzwoń. Zostaw pieniądze na ladzie, jak zwykle, a ja, jak zwykle, nie widziałem na oczy.

- Dyplomacja wymaga czasem zachowania szczególnej dyskrecji.

- Bajaj o tym swojej żonie, nie mnie.

- Zuchwalstwo niezbyt pasuje do twojej obecnej pozycji...

Ja tam nie mam z tym żadnych problemów. Każda pozycja jest dobra, byle tylko była kobitka...

Smythington-Fontini machnął ze zniecierpliwieniem ręką i wszedł przeszklonego budyneczku.

Natychmiast skierował się w lewo, do pokrytej niezliczonymi tłustymi plamami lady, na której stał wiekowy czarny telefon. Podniósł słuchawkę, po czym wykręcił numer.

- Mam nadzieję, że dzwonię o właściwej porze - powiedział.
- Ach, *signor* Fontini! - odparł głos z drugiego końca linii. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? Mam nadzieję, że w Mediolanie wszystko w porządku?

249

- W jak największym, podobnie jak w Kalifornii.
- Cieszę się, że mogliśmy okazać się pomocni.
- Nie będziesz się tak cieszył, kiedy się dowiesz, co postanowiono. To nieodwołalne.
- Daj spokój, czemu takie groźne słowa?
- *Esecuzione.* '&:
- *Che cosa? Chi?*
- *Tu.*
- Ja?... Sukinsyny! - ryknął Vincent Mangecavallo. - Przekłete, pieprzone dranie!
- Musimy ustalić sposób postępowania. Proponuję łódź albo samolot.

Bliski apopleksji Vinnie Bam-Bam z wściekłością wystukał numer na klawiaturze aparatu ukrytego w szufladzie biurka, dwukrotnie uderzając boleśnie kostkami palców w ostrą, drewnianą krawędź, po czym wywarczał do słuchawki numer hotelowego pokoju, z którym chciał się połączyć.

- Taaak?... - rozległ się zaspany głos Joeya Zastłonki.
- Rusz swoje zasrane dupsko, Joey! Zmieniamy scenariusz!
- O co chodzi?... To ty, Bam-Bam?
- "- - A jak ci się wydaje, durna pało? Te cholerne palanty w jedwabnych gatkach właśnie uzgodniły moją *esecuzionel* Po tym wszystkim, co dla nich zrobiliśmy!
- Chyba żartujesz! Może to jakaś pomyłka? Oni zawsze są tacy grzeczni, że nigdy nie wiadomo, czy chcą wsadzić ci nóż w plecy, czy odessać...
- *Basta!* - ryknął dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Słyszałem to, co słyszałem, i to jest prawda!
- A niech mnie! Co zrobimy?
- Zachowamy spokój. Na jakiś czas będę musiał zniknąć - może na tydzień, może na dwa - ale ty dostaniesz nowe zadanie. I masz się z niego wywiązać, Joey!
- Przysięgam na grób matki...
- Spróbuj na kogoś innego. Twoja mamuśka... Zresztą, sam wiesz najlepiej.
- Mam siostrzenicę, która jest zakonnica...

250

Wyrzucono ją ze zgromadzenia, nie pamiętasz? Razem z tym hydraulikiem.

- Już dobrze, dobrze! W takim razie, może ciotka Angelina? Umarła po zjedzeniu małży w restauracji Umberta i była najświętszą | osobą, jaką znałem. Przysięgam na jej grób, że...
- Była tak tłusta, że musiała siadać na dwóch krzesłach.
- Ale była święta, Bam-Bam, naprawdę święta! Co godzinę odmawiała cały różaniec.
- Tylko dlatego, że nie miała nic innego do roboty, ale niech ci będzie. Zgadzam się na ciotkę Angelinę. Jesteś gotów przysiąc na jej święty grób?
- Przysięgam na wszystkie demony, które mogą mnie opętać, a to wcale nie jest tak mało prawdopodobne. Czasem sobie myślę, że ci Irlandczycy mają nie po kolei w głowie.
- W porządku - odparł Vincent Francis Assisi Mangecavallo. - Wierze że zachowasz milczenie i nie zdradzisz nikomu tego, co teraz ci powiem.
- A ja dziękuję Bogu za to, że wreszcie oświecisz mnie, co jest grane. Komu mam skrócić życie?
- Wręcz przeciwnie, Joey. Masz im je przedłużyć! Chcę, żebyś zorganizował spotkanie z Grzmiącą Głową i jego kolesiami. Doszedłem do wniosku, że walczą w słusznej sprawie. Mniejszości etniczne doznały zbyt wielu prześladowań. Nie możemy tego dłużej tolerować.
- Chyba coś ci się poprzestawiało w tej twojej pieprzonej głowie!
- Nie mnie, Joey. Im.

**Drzwi** apartamentu w hotelu Ritz-Carlton otworzyły się z hukiem i do wnętrza wtargnęli supereleganccy, gotowi do walki Desi Pierwszy i Drugi. Devereaux wypuścił z ręki szklaneczkę z martini, Jennifer Redwing zaś zsunęła się błyskawicznie z fotela i padła płasko na ziemię; prawdopodobnie uwarunkowania genetyczne sprawiły, że ze strony białych ludzi zawsze spodziewała się wszystkiego, co najgorsze.

- Dobra robota, adiutanci! - wykrzyknął odziany w skórzaną kurtkę MacKenzie Hawkins, wpadając do pokoju i ciągnąc za sobą zdezorientowanego Aarona Pinkusa. - Chwilowo nie grozi nam żaden wrogi kontratak, więc możecie przyjąć pozycję spoczynną. - Desi Pierwszy i Drugi natychmiast zgarbili się i wypięli brzuchy. - Nie aż tak bardzo, sierżanci! - D-Jeden i D-Dwa wyprężyli się jak struny. - No, już lepiej - pochwalił ich Jastrząb. - Zachowajcie czujność i bądźcie gotowi do natychmiastowego przeprowadzenia kontruderzenia.

- Znaczą się, że niby co? - zapytał Desi Pierwszy.

- Całkowity brak oporu może stanowić działanie pozorowane, mające na celu wyprowadzenie nas w pole. Ten duży kościsty jest całkowicie niegroźny, ale uważajcie na kobietę! Takie jak ona często noszą granaty pod spódnicami.

- Ty przedpotopowy sukinsynu! - wrzasnęła Jennifer. Podniosła się z podłogi, po czym z wściekłością wygładziła sukienkę i poprawiła włosy. - Ty barbarzyńco! Ty żalosny rekwizycie z trzeciorzędnego filmu wojennego! Co ty sobie wyobrażasz, do jasnej cholery?!

252

- Taktyka partyzancka - mruknął Mac do swoich adiutantów. - Po całkowitej uległości następuje faza druga, polegająca na ataku werbalnym. Chce w ten sposób odwrócić moją uwagę i zdobyć przyczółek, z którego będzie mogła ruszyć do natarcia.

- Zaraz urwę ci twój przyczółek, włochaty troglodyto! A w ogóle jak śmiesz pokazywać się w tym stroju? Wyglądasz jak uciekinier z ogólnokrajowego zjazdu świrusów!

- Widzicie? - wymamrotał Mac, międląc w ustach cygaro. - Stara się mnie zdezorientować. Uważajcie na jej ręce. Prawdopodobnie ukryła w biustonoszu materiały wybuchowe.

- Zara to sprawdzę, generale! - wykrzyknął ochoczo Desi Pierwszy, wpatrując się pożądliwie w wyznaczone cele. Nakrochmalona koszula wyszła mu nieco ze spodni. - Zgoda?

- Zrobisz choć jeden krok w moją stronę, a oślepniesz na ieszad - wyszczała Jennifer, błyskawicznie wydobywając miotacz z wiszącej na fotelu torebki. Trzymała go przed sobą w wyciągniętej ręce, celując kolejno w obu wyfraczonych goryli i ich ubranego indiańskiego strój dowódcę. - Tylko spróbujcie, a długo mnie zapamiętacie

- To chyba odpowiednia chwila, żebym wkroczył do akcji - odezwał się Sam Devereaux, po czym zręcznie kopnął szklanekę leżącą na hotelowym stole i podszedł do baru, gdzie stał dzbanek z inarlini.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Aaron, poprawiając okulary i wpatrując się z natężeniem w śliczną kobietę o miedzianej skórze. - Ja panią chyba znam... Siedem albo osiem lat temu, Harvard, jedna z najlepszych na roku... Tak, już mam! „Przegląd Prawniczy”, akomita analiza działania cenzury w kontekście ustaleń prawa konstytucyjnego

- A teraz „Wstręciuszek Nanny”, niech mnie Ucho! - roześmiał się Devereaux, nalewając sobie drinka.

- Cicho bądź, Samuelu.

- Wróciliśmy do Samuela?

- Zamknij się, mecenasie... Owszem, panie Pinkus. Wkrótce potem byłam u pana w sprawie pracy. Ogromnie mi pochwiliło, że zainteresował się pan moją osobą.

- Ale ty odrzuciłaś naszą ofertę, moje dziecko. Dlaczego?... Naturalnie nie musisz mi

odpowiadać, bo to nie mój interes, lecz nie ukrywam, że jestem bardzo ciekaw. Pytałem nawet moich współników,

253

której firmie z Waszyngtonu albo Nowego Jorku udało się ciebie zgarnąć. Miałem zamiar zadzwonić do nich i pogratulować tak znakomitego połowu. Panuje powszechna, choć nie zawsze słuszna opinia, że wszyscy najlepsi w naszym fachu lądują właśnie w Waszyngtonie albo Nowym Jorku. Jeśli jednak sobie dobrze przypominam, ty zdecydowałaś się na jakąś małą, choć bardzo solidną firmę z Omaha?...

- Stamtąd właśnie przyjechałam, proszę pana. Jak już zapewne pan wie, należę do plemienia Wopotami.

- Domyślałem się tego, choć cały czas miałem nadzieję, że okaże się to nieprawdą. Gdyby tak właśnie było, życie stałoby się znacznie prostsze.

- Ale tak nie jest, panie Pinkus. Nazywam się Jennifer Redwing i jestem córką plemienia Wopotami. Co więcej, jestem z tego powodu bardzo dumna.

- Ale gdzie, na litość boską, poznałaś Samuela?

- Dziś rano w windzie hotelu Cztery Pory Roku. Był bardzo zmęczony. Twierdził, że jest wręcz wycieńczony i czynił różne głupie uwagi.

- I to wystarczyło, żeby teraz była pani z nim tutaj, panno Redwing?

- Pojechała do mojego domu! - wtrącił się Devereaux. - Przeprosiłem ją za wszystko, nawet dałem napiwek portierowi, a potem usłyszałem, jak ta zwariowana pannica podaje taksówkarzowi mój adres! Co byś zrobił na moim miejscu, Aaronie?

- Ruszyłbym za nią, rzecz jasna.

- Tak właśnie postąpiłem.

- Pojechałam do niego, ponieważ poszukiwałam tej debilnej istoty, która teraz stoi obok pana, panie Pinkus.

- Wściekła mała kłaczka, co nie? - zauważył Jastrząb.

- Owszem, generale Hawkins - bo chyba nie może pan być nikim innym. Jestem wściekła, ale na pewno nie jestem małą kłaczka, o czym już wkrótce przekona się pan na własnej skórze. Wygryzę panu połowę dupy, wszystko jedno, w sądzie czy poza nim!

- Atak werbalny, sierżanci. Zachowajcie czujność.

- Och, zamknij się, najpaskudniejsza mordo na najgłupszym totemie. A tak nawiasem mówiąc, ta wyszywana kurtka, którą masz na sobie, opowiada historię o pewnym niedorozwiniętym bizonie,

254

który nawet nie potrafił schronić się w porę przed burzą. Cóż za podobieństwo postaci!

- Uspokój się, Czerwońcu - wtrącił się Sam, odsuwając od ust szklaneczką z martini. - Pamiętaj o naszej planowanej umowie.

- Uspokój się? Wystarczy, że go widzę, a już chce mi się krzyczeć!

- On tak właśnie działa na ludzi... - wymamrotał Devereaux, po czym pociągnął solidnego łyka.

- Jedną chwileczkę, jeśli można - odezwał się Aaron Pinkus, podnosząc rękę. - Usłyszałem coś, co wymaga wyjaśnienia. - Znakomity prawnik spojrzał na Sama. - Co to za planowana umowa? Co tym razem wymyśliłeś?

- To tylko pewna pożyteczna rada, Aaronie. Z pewnością ją zaaprobujesz

- Odnoszę niejasne wrażenie, że w obecnej sytuacji moja aprobatą nie może mieć nic wspólnego z twoją osobą... Może pani zechce mnie oświecić, panno Redwing?

Z największą przyjemnością, panie Pinkus. Szczególnie ze względu na pańskiego gościa generała, neandertalczyka. Może mu pan wszystko przetłumaczyć, bo myślę, że sam miałby poważne kłopoty ogarnięciem choćby ogólnego zarysu.

- Wyraża się pani nad wyraz treściwie - zauważył Aaron z miną podobną do tej, jaką miał Eisenhower, kiedy dowiedział się o dymisji MacArthura.

- Pomysł jest wręcz genialny, a w dodatku narodził się w głowie pańskiego współpracownika, co przyznaję z całą szczerością, i- Prawnik staje się znakomitym prawnikiem dopiero wtedy, jest przepełniony skromnością i miłością bliźniego.

- Naprawdę? Nigdy nie przyszło mi to do głowy. A dlaczego pan tak uważa? Pytam tylko z

ciekawości, ma się rozumieć.

- Ponieważ on - lub ona - zna już wtedy swoje możliwości i nie musi karmić miłości własnej, kradnąc sukcesy innym. Tacy ludzie są znakomitymi pracownikami, ponieważ nie zwracają sobie głowy ani autentycznymi, ani tym bardziej wymagowanymi afrontami.

- Wydaje mi się, że właśnie czegoś się nauczyłam...

- To wcale nie jest oryginalny pomysł, moja droga. Uczciwszy, pozwolę sobie zauważyć, że nasz generał wyraził niedawno dokładnie to samo, tyle że posługując się terminologią wojskową, dezorientacja przeciwnika poprzez okazanie mu wrogości - słabszy

255

musi nadrabiać miną, podczas gdy silniejszy tylko obserwuje, gotów w każdej chwili do działania.

- Porównuje mnie pan z tym g o r y l e m?!

- Posłuchaj no, indiańska laleczko...

- Generale, proszę!... Mówiłem tylko o wojskowej terminologii, panno Redwing. Zakładając, że pani wspaniały biust rzeczywiście zawiera ukryty ładunek materiałów wybuchowych - w co, ma się rozumieć, nie wierzę ani przez chwilę - nasz generał nie tylko nakazał swoim adiutantom zachowanie wzmożonej czujności, ale także ostrzegł ich, by nie zwracali uwagi na pani nieprzyjemne wypowiedzi, które mogłyby osłabić ich koncentrację.

- Co za kit nam tu wciskasz, człowieku?

- Wystarczy, sierżancie.

- No, właśnie? Co to za głodne kawałki? ?

- „Mała Kasia wzięła Jasia i poszła z nim<sup>1</sup> za krzaczki...”

- Zamknij się!

- Samuelu, przestań!

..&\*. .

- Synu, wylewasz drinka.

- A więc, moja droga panno Redwing, cóż to za wspaniały pomysł, który narodził się w znakomitym umyśle mego pracownika przeżywającego obecnie lekkie załamanie nerwowe?

- Sprawa jest bardzo prosta, panie Pinkus. Ponieważ szczerp Wopotami ma osobowość prawną, Rada Starszych podpisze sformułowaną na piśmie umowę, w której stwierdzi jednoznacznie, iż przekazuje wskazanym przez siebie osobom wszelkie pełnomocnictwa dotyczące podejmowania decyzji w kwestiach prawnych i finansowych związanych z życiem plemienia, pozbawiając jednocześnie tychże uprawnień inne osoby, w tym także siebie.

- Klawo to brzmi, panienko, ale co to właściwie znaczy? - zapytał Hawkins.

- To znaczy, generale - odparła Jennifer, mierząc Jastrzębia lodowatym spojrzeniem - że nikt, absolutnie n i k t inny nie może podejmować żadnych decyzji dotyczących plemienia Wopotami oraz czerpać z tego żadnych korzyści.

- Sprytnie wymyślane, nie ma co gadać. - Hawkins wyjął z ust przeżute cygaro, po czym nagle przechylił na bok głowę, jakby coś go zaniepokoiło. - Bez obrazy, panienko, ale czy ci wyznaczeni ludzie są godni zaufania?

256

- Ponad wszelką wątpliwość, generale. Są wśród nich dwaj prawnicy, kilku lekarzy, prezydent międzynarodowej fundacji, trzech wiceprezesów znanych banków, jeden lub dwóch brokerów oraz cieszący się znakomitą opinią psychiatra, z którym bez wątpienia winien pan się spotkać. W dodatku wszyscy oni wywodzą się ze szczepu Wopotami, ja zaś jestem rzecznikiem i zarazem przywódcą tej grupki. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Tak, jedno. Czy tego właśnie życzy sobie Rada Starszych?

- Naturalnie. Rada zawsze postępowała zgodnie z naszymi wskazówkami. a w tej sprawie jesteśmy jednomyślni. Jak więc pan idzi. generale Hawkins, jeśli uda się panu kontynuować realizację pańskiego szalonego planu, to my, a nie pan, przejmujemy całkowitą kontrolę. aby zminimalizować groźne skutki, jakie może on wyrzucić na niewinnych ludziach, których postanowił pan w bezwzględny sposób wykorzystać. Krótko mówiąc, wypadłeś z gry, szajbusie.

Na twarzy Jastrzębia pojawił się grymas ogromnego bólu. Wyglądał tak, jakby świat, który z oddaniem i miłością karmił własną pierś, odepchnął go brutalnie, czyniąc z niego niepotrzebnego, starego człowieka, zapomnianego giganta, który jednak postanowił



zachować resztki godności i nie poddać się zgorzknieniu.

- Wybaczam pani te niczym nie uzasadnione zarzuty i ostre słowa - powiedział łagodnie - gdyż zaprawdę nie wie pani, co czyni.

- O mój Boże!

- Bardziej wskazane byłoby: „falszywy synu boży” - zauważył Dewereaux, kierując się ponownie do baru.

- Nabijają się z pana, henerale? - zapytał Desi Drugi.

- Może ci *gringos* chcą łyknąć sobie trochę świeżego powietrza? - zainteresował się Desi Pierwszy. - Co, za okno z nimi?

- Nie, panowie - sprzeciwił się z heroicznym dostojeństwem MacKenzie Hawkins.

Słuchając go można było odnieść wrażenie, iż jest świętym szykującym się na śmierć przez ukamienowanie. - Ta, 'spaniała kobieta przejęła dowództwo, więc jedyne, co mogę uczynić, spróbować zmniejszyć nieco ogromny ciężar odpowiedzialności, który...

- Uwaga, panowie ;»\*- przerwał mu Sam, grzebiąc palcami w szklance w nieudanej próbie złapania oliwki. - Zaczyna się mydlenie oczu.

- Synu, zapewniam cię, że niewłaściwie mnie oceniasz...

257

- Opieram się na własnym doświadczeniu, Mac. Ja już **przez** to przeszedłem.

- Dlaczego nie chcesz dać mi jeszcze jednej szansy?

- W porządku, braciszku. Mównica jest do twojej dyspozycji.

- Panno Redwing... - Jastrząb skinął głową jak starszy oficer pozdrawiający młodszego. - Rozumiem i szanuję sceptycyzm, z jakim potraktowała pani moją działalność ku pożytkowi plemienia Wopota-mi. W związku z tym niech mi będzie wolno ją zakończyć. Jako adoptowany członek plemienia zobowiązuję się przestrzegać wszystkich decyzji Rady Starszych. Ewentualne korzyści, jakie mogłaby odnieść moja osoba, są bez znaczenia. Jedyne, czego pragnę, to ujrzeć, jak sprawiedliwości staje się zadość.

Jennifer Redwing nie posiadała się ze zdumienia. Zamiast walczącego wściekłe egocentrycznego olbrzyma miała przed sobą rozżalonego psiaka, którego należało pogłaskać i pocieszyć.

- Cóż, generale... Naprawdę nie wiem, co powinnam powiedzieć... - Odgarnęła do tyłu kruczoczarne włosy, przez chwilę tak bardzo zawstydzona, że nie śmiała spojrzeć w oczy niedawnemu adwersarzowi. - Proszę mnie zrozumieć - zaczęła z trudem, zmuszając się, by skierować wzrok na starego żołnierza, który całe życie poświęcił ojczyźnie, i ch w s p ó ł n e j ojczyźnie. - Staram się ze wszystkich sił chronić moich rodaków, ponieważ nasza historia jest pełna wyrządzonych nam niesprawiedliwości, podobnie jak historia wszystkich amerykańskich Indian. W pańskim przypadku pomyliłam się. Proszę przyjąć moje przeprosiny, są naprawdę szczere.

- Załatwił cię! - wykrzyknął Dewereaux, przełknąwszy pośpiesznie resztę swojego martini. - Groźny lew przemienił się w małego kociaka, a ty dałaś się na to nabrać!

- Samuelu, dość tego! Nie słyszałeś, co ten człowiek powiedział?

- Słyszałem już setki wariacji na ten sam...

- Zamknij się, mecenasie! To wielki człowiek, a w dodatku zgodził się na wszystko, czego chciałam. Spróbuj przypomnieć sobie swoje własne słowa, jeśli pozwoli ci na to twój zamroczony alkoholem mózg. Podstawowa prawda, pamiętasz?

- Pani mecenas zapomniała o okrężnych drogach wiodących do celu - odparł Sam, ponownie kierując się do baru. - To są baaardzo wyboiste drogi, przyjaciele.

Rzecz jasna, akurat w tej chwili zadzwonił telefon. Aaron Pinkus

258

potrzęsnał ze zniecierpliwieniem głową, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę

- Tak?

- Z kim mówię? - zapytał piskliwy głos. - Z tym wielkim adwokatem w jarmulce czy z tym wielkim generałem w indiańskich ciuchach?

- Nazywam się Aaron Pinkus i jestem prawnikiem, jeśli może p; a n to uznać za

odpowiedź na swoje pytanie.

- W porządku, żydziaku. Poznałem cię po limuzynie.

- Proszę?

- To długa historia i nawet chciałbym ci ją opowiedzieć, ale Bam-bam, nie lubi długich historii, a ty, szczerze mówiąc, nie masz zbyt wiele czasu.

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co pan mówi.

- Widzisz, było to tak, że parę lat temu ten dupek urządził mnie na perłowo ze szlaczkiem, ale teraz mamy pokój, a ponieważ on ciągle ma sporo przyjaciół w mieście, to mnóstwo ludzi szukało twojej limuzyny, *capiscel*

- Co pan wygaduje, do diabła?

- A może powinienem rozmawiać z dzikusiem? Powiedz temu palantowi i, żeby wyjął cygaro z tej swojej dużej gęby i przytaszczył tyłek do telefonu.

- To chyba do pana, generale - powiedział z wahaniem Pinkus. - Dzwoni jakiś dziwny gość, który mówi jak kurczak... To *znaczy*, który mówi tak, jak mówiłby kurczak, gdyby mówił...

- Przełom! - wykrzyknął Jastrząb. Dwoma wielkimi susami znalazł przy aparacie, złapał słuchawkę, po czym zakrył mikrofon i zwrócił się do zebranych w pokoju: - Starzy żołnierze, nawet ci z Wietnamu, nie znikają bez śladu. Pamiętają wspaniałe dni, bo dla nich nie mają one końca!... Czy to ty, Mały Józefie?

- Musimy pogadać, yózo. Wszystko się zmieniło. Dla mnie jesteście już \\\ porządku, ale są źli faceci, którzy chcą zrobić wam krzywdę.

- Wyrażaj się nieco jaśniej, Józefie.

- Nie mam czasu, do cholery! Główna sycha chce się z wami spotkać za dzień albo dwa, ale na razie musi się trochę wycieniować, więc ja jestem waszym łącznikiem.

- Wycieniować?... (,, , -\*\*\*,

- Kazał mi przysiąc na grób ciotki Angeliny W Waszyngtonie

259

wybuchła mała wojna i mój zwierzchnik chwilowo przegrał... Kazał mi przekazać, że ten oprych, którego nadwerężyliście, ale nie do końca, wypluł flaki w jakiejś chemicznej fabryce w Wirginii. Tamci wiedzą już, że jesteście w Bostonie, i chłopcy w jedwabnych majtkach napuścili na was FSS.

- FSS? Na Hannibala w słoniowym gównie! Powiedział FSS?

- Na pewno się nie pomyliłem, bo powtórzył to chyba ze trzy razy, a ja nie wiedziałem, co to znaczy.

- To najokrutniejsze zwierzęta, jakie żyją na naszym świecie, Józefie. Osobiście ich szkoliłem, więc wiem coś na ten temat. Federalne Siły Specjalne. Jak wezmą się do roboty, zabijają wszystkich z wyjątkiem kucharzy i zakonnic.

- Teraz przyszła kolej na was. Potrzebowałem dokładnie trzydziestu jeden minut, żeby was znaleźć. Jak sądzisz, ile czasu zajmie to tym cholernym komandosom, kiedy przylecą do Bostonu, jeżeli już tego nie zrobili? Zmywajcie się stamtąd najszybciej, jak możecie, i dzwońcie do mnie pod numer służby hotelowej... Aha, i nie używajcie tej pieprzonej limuzyny, bo wygląda jak pieprzona tarcza na pieprzonej strzelnicy! - Mały Joey Zasłonka rzucił słuchawkę, a Jastrząb odwrócił się do swoich żołnierzy.

- Ewakuacja!!! - ryknął. - Wyjaśnienia będą później, teraz nie ma czasu. Adiutanci, zarekwirujcie dwa pojazdy na hotelowym parkingu i przyjedźcie po nas pod południowo-wschodni narożnik budynku. *Vamos* - Desi Pierwszy i Drugi wypadli na korytarz, Hawkins zaś spojrzał ostro najpierw na Aarona Pinkusa, potem na Sama Devereaux, a na końcu na Jennifer Redwing. - Pytacie mnie, dlaczego walczę z zakłamaniami ludzi znajdujących się u władzy, dlaczego wyciągam miecz przeciwko manipulatorom i oszustom, wszystko jedno, czy działającym teraz, czy przed wiekiem. Mam nadzieję, że wreszcie to zrozumiecie! Niewidzialny rząd, przez nikogo nie wybierany i działający bez niczyjej zgody za plecami oficjalnego rządu, wysłał bandę psychopatów z zadaniem, po którego wypełnieniu będą mogli czuć się już zupełnie swobodnie... Zadanie polega na tym, żeby nas zabić. Dlaczego? Otóż dlatego, że ujęliśmy się za biednymi, oszukanymi ludźmi, a ujawnienie tego oszustwa będzie kosztowało grube miliardy dolarów!

- Niech szlag trafi twoje podstawowe prawdy! - wykrzyknął Devereaux, wylewając drinka do umywalki. - Zmywajmy się stąd!

- Trzeba zawiadomić policję, generale! Tutaj, w Bostonie, jestem

powszechnie znanym i szanowanym człowiekiem. Na pewno zapewnią nam ochronę.

- Komendancie Pinkus, w tej bezpardonowej walce cywilnej władze są dla nas zupełnie bezużyteczne. Jak pan myśli, w jaki sposób radziłem sobie do tej pory, od Normandii aż po Kai Song?

- Nie wierzę - oświadczyła Jennifer, starając się za wszelką cenę zachować spokój. - Po prostu w to nie wierzę!

- Nie wierzysz, mała indiańska klaczko? A może powinienem przypomnieć ci jak firmy ze wschodniego wybrzeża obiecywały waszym ludziom na środkowym zachodzie, że zostaną przesiedleni na znacznie lepsze ziemie, podczas gdy na miejscu okazało się, że nie ma tam nawet trawy, którą mogłoby jeść wasze bydło? Teraz mamy do czynienia dokładnie z tym samym, młoda damo!

- O mój Boże! - wykrzyknęła nagle dziewczyna i pobiegła do drzwi prowadzących do sypialni.

- Co robisz?! - wrzasnął Devereaux.

- Twoja matka, kretynie!

- Rzeczywiście... - wykrztusił Sam, mrugając raptownie powiekami. - Czy ktoś mógłby przynieść mi kawę?

- Nie mamy czasu, synu.

- Sammy, pomóż pannie Redwing.

- Przynajmniej skończyliśmy z Samuelem...

- Obawiam się, że nie mamy wyboru - odparł Aaron Pinkus.

Pięcioro uciekinierów z hotelu Ritz-Carlton stało zbitych w ciasną gromadkę przy południowo-wschodnim narożniku budynku, czekając na pojawienie się Desich Pierwszego i Drugiego. Wszyscy uśmiechali się głupawo do przechodniów, starając się ze wszystkich sił nie wyglądać na ludzi, którzy mają cokolwiek na sumieniu. Jennifer podtrzymywała dostojną Eleanore, która usiłowała odśpiewać pełną wersję *Indiańskiego zaklęcia miłosnego*.

- Zamknij się, mamo! - szepnął Sam.

- Zawsze chciałam mieć taką córkę...

- Nie przesadzaj. Zdaje się, że ona jest jeszcze lepszym prawnikiem ode mnie, a to na pewno by ci się nie spodobało.

- Wcale nie uważam, żebyś był taki dobry. Najczęściej w ogóle nie rozumiem, co mówisz...

- Bo tak ma być, mamo. Na tym polega znajomość prawa.

- Cisza! - syknął Hawkins, stojący wraz z Pinkusem najbliżej narożnika budynku. Przed osłonięte baldachym wejście do hotelu zajechał ogromny lincoln, a jednocześnie przy krawężniku zatrzymały się dwa samochody ukradzione z parkingu przez obu Desich. - Zachować spokój! - szepnął Hawkins na widok czterech mężczyzn w czarnych płaszczach przeciwdeszczowych, którzy wysiedli z lincolna. Samochód natychmiast odjechał, by zatrzymać się ponownie przed wejściem do parku miejskiego, czterej mężczyźni zaś szybkim krokiem weszli do hotelu. - D-Jeden, przód i środek! - przemówił Jastrząb donośnym szeptem. - Potwórzyć! - dodał.

- D-Jeden, przód i środek...

- Desi! Ty z idiotycznymi zębami i zmiętą koszulą! - zawołał Devereaux. - Wylaż z samochodu i chodź tu, do Maca!

- „Ach, cóż ja poraaaadzę, żem w Araaaabie zakochała się...”

- Cicho bądź, mamo! Pomyliła ci się nie tylko melodia, ale i narodowości.

- Nie waż się mówić w ten sposób do mojej przyjaciółki!

- Ona jest moją matką! Ciekawe, co by zrobiła, gdybym postanowił nie naprawiać jej jaguara?

-- Jestem pewna, że zarabiam znacznie więcej od pana, mecenasie! Ja się tym zajmę!

- Co jest, henerale? \*

- Widzisz ten samochód przed bramą?

- Jasne. Za kierownicą siedzi jakiś *gringo*.  
 - Chcę, żeby przeciwnik został zneutralizowany, a samochód unieruchomiony. Rozumiesz, co do ciebie mówię?  
 - Się wie. Położę faceta spać i wyrzucę kopułkę rozdzielacza. W Brooklynie robimy to każdej nocy. Chyba że chce pan go załatwić na amen, ale ja się na to nie piszę.  
 - Skądże znowu! Mam zamiar przekazać im w ten sposób wiadomość. Chcą się nam dobrać do tyłka, a ja im pokażę, że nie dadzą rady tego zrobić.  
 - Dobra, henerale. Co potem?  
 - Potem wrócisz do hotelu, na to samo piętro, na którym mieszkał pan Pinkus. Tylko pamiętaj o ubezpieczeniu skrzydeł. Poszło tam czterech ludzi w kretyńskich płaszczach przeciwdeszczowych,

262

żeby nas wszystkich załatwić. Kiedy tam dotrzecie, najprawdopodobniej zdążę już unieszkodliwić trzech z nich, ty natomiast zajmiesz się czwartym.  
 - Hej, czemu tylko pan ma mieć radochę? Ja załatwię trzech, pan jednego!  
 - Podoba mi się twój bojowy duch, synu.,  
 - A co z Desim Drugim?  
 - Właśnie miałem zamiar przejść do niego - odparł Hawkins, iwracając się do Aarona Pinkusa. - Proszę mi powiedzieć, komen-lancie, czy ma pan może jakąś kryjówkę, o której nie wie nikt poza inem, gdzie na przykład sprowadza pan upadłe kobiety, by cieszyć się ich towarzystwem?  
 - Oszalał pan? Chyba nie zna pan Shirley!  
 - W porządku, rozumiem... Ale przecież musi istnieć jakieś mało uczęszczane miejsce, gdzie moglibyśmy spędzić dzień lub dwa!  
 - Hmm... Cóż, nasza firma wybudowała małą chatkę narciarską tóż za granicą New Hampshire, ponieważ jeden z naszych najlepszych klientów wpadł kiedyś w straszne tarapaty i musieliśmy schować go na jakiś czas. Ostatnio śnieg padał bardzo nieregularnie, więc... W porządku! Dołączymy tam do was.  
 - Ale skąd będziecie wiedzieli, gdzie to jest?  
 - Prosta sprawa, *comandante* - odparł Desi Pierwszy. - D-Dwa podwędził wozy z telefonami. Zapisaliśmy ich *numeros*. O, tutaj są. - D-Jeden wydobyl zmiętą kartkę papieru z zapisanymi dwoma numerami telefonów. - Widzicie?  
 - Jesteście naprawdę znakomici. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście zechcieli...  
 - Nie czas teraz na przyznawanie medali, komendancie! - przerwał mu stanowczo Jastrząb. - Nasza misja nie jest jeszcze zakończona Proszę zawieźć Sama, jego matkę i dziewczynę do New Hampshire. A teraz znikajcie stąd, szybko! Mój sierżant i ja mamy sporo do roboty.

**Dwa** pierwsze płaszcze przeciwdeszczowe nawet nie zdążyły zorientować się, co się z nimi stało. Obaj mężczyźni ubezpieczali ewentualne drogi odwrotu prowadzące schodami awaryjnymi, obaj też zostali bezszelestnie obezwładnieni przez Hawkinsa, a następnie

263

pozbawieni przytomności oraz odzieży, łącznie z gaikami. Trzeci niedoszły zabójca skradał się krok za krokiem w kierunku apartamentu Aarona Pinkusa, kiedy nagle na jego drodze wyrósł jakiś zataczający się pijak, który niespodziewanie wykonał błyskawiczny ruch ręką, lokując na karku opryska paralizujący cios *chi sai*. Czwartego i zarazem ostatniego typka Hawkins pozostawił swojemu asystentowi, Desiemu Pierwszemu. Bądź co bądź jednym z najważniejszych zadań dowódcy jest podnoszenie morale żołnierzy. Tym razem jednak okazało się to lekcją cierpliwości, a zarazem świadectwem mistrzostwa znakomitego profesjonalisty, prawdziwego specjalisty w swoim fachu. Mac przycałił się za drzwiami prowadzącymi do schodów pożarowych, gdzie leżał bez przytomności nagi, unieruchomiony zabójca z Sił Specjalnych. D-Jeden wyszedł po cichu z windy, równie cicho przeszedł mniej więcej do połowy korytarza, by

stanać przy ścianie naprzeciwko drzwi apartamentu Pinkusa. Pozostał tam bez najmniejszego ruchu przez, jak się wydawało Hawkinsowi, co najmniej godzinę, choć w rzeczywistości trwało to zaledwie osiem minut, a potem nagle otworzyły się drugie drzwi z jego lewej strony i na korytarz wyszedł mężczyzna w czarnym płaszczu.

- *Iguana, Josel* - ryknął D-Jeden. Niefortunny zabójca był tak zaskoczony, że nim zdążył się zorientować, co się właściwie dzieje, pistolet został wytrącony jednym kopnięciem z jego ręki, on sam zaś ogłuszony celnym ciosem w sam środek czoła.

- Wspaniale! - wykrzyknął generał, opuszczając ukrycie. - Wiedziałem, że to w tobie jest, synu!

- Dlaczego pan nic nie zrobił, na litość boską?!

- Bo dokonałem błyskawicznej analizy sytuacji, chłopcze. Wiedziałem, że damy sobie z tym radę.

- Mógł mnie zabić!

- Wierzyłem w wasze umiejętności, sierżancie. Bylibyście znakomitym mięsem armatnim dla G-2.

- Czy to dobrze?

- Porozmawiamy o tym później. Teraz musimy rozebrać tego pajaca do gołej skóry i zmywać się stąd jak najprędzej. W dalszym ciągu wszyscy jesteśmy między młotem a kowadłem, adiutancie. Musimy już myśleć o następnym kroku, a dla nas jest nim dołączenie do pozostałych członków naszej małej grupy.

264

Nie ma sprawy, henerale. Zanim tu przyszedłem, rozmawiałem przez telefon z moim *amigo*. Cały czas siedzi w wozie, więc będzie wiedział dokąd pojechali.

-- Dobra taktyka, synu... - Jastrząb umilkł, gdyż gdzieś w pobliżu otworzyły się drzwi, a zaraz potem w korytarzu rozległy się głosy. (Dwoje gości kobieta i mężczyzna w średnim wieku, wyszli z pokoju.- Szybko! - szepnął Mac, pochylając się nad leżącym na podłodze ciałem. - Postaw go, tak jakby był zalany.

- On wyszedł z tego pokoju, henerale. Drzwi są ciągle otwarte!

- Idziemy!

Hawkins i Desi-Jeden dźwignęli z podłogi nieprzytomnego mężczyznę, po czym, odprowadzani zdziwionymi spojrzeniami dwojga hotelowych gości, zaciągnęli go do otwartego pokoju.

- Na dole jest zupełnie zwariowane wesele, *amigos!* - wykrzyknął Desi Pierwszy, oglądając się w ich stronę. - Chcecie się zabawić?

- Nie, bardzo dziękujemy - odparł pośpiesznie mężczyzna średnim wieku, prowadząc żonę w kierunku windy.

Chata narciarska usytuowana w paśmie wzgórz looksett w stanie New Hampshire była skromna, pusta i wilgotna, i nawet za swoich najlepszych czasów dostałaby co najwyżej dwie gwiazdki w najmniej wymagającym przewodniku. Stanowiła jednak znakomitą kryjówkę, a w dodatku była wyposażona w takie udogodnienia jak elektryczność, ogrzewanie i działającą linię telefoniczną. Ponieważ od Bostonu dzieliła ją zaledwie godzina jazdy, pracownicy kancelarii adwokackiej Aarona Pinkusa odkryli w niej znakomite miejsce do odbywania długich narad, wymagających znacznej koncentracji. Ostatnio stała się tak popularna, że Aaron zrezygnował z zamiaru wystawienia jej na sprzedaż i postanowił zamiast tego przystąpić do stopniowej przebudowy i unowocześnienia.

- Koniecznie musimy zwrócić te dwa samochody - powiedział z niepokojem Pinkus dosiedzącego obok niego w głębokim skórzanym fotelu w głównym salonie. - Policja będzie ich wszędzie szukać.

- Nie ma się czego obawiać, komendancie. Moi adiutanci zajęli się kamuflażem

- Nie o to chodzi, generale. To pospolita kradzież, a Sam i ja

265

jesteśmy prawnikami występującymi przed majestatem sądu. Przykro mi, ale muszę nalegać.

- Do diabła, wciąż te drobiazgi! Zgoda, powiem sierżantom, żeby odstawili je na ulicę przy

hotelu. Jest już ciemno, a nawet gdyby ktoś ich zauważył, to i tak policja będzie miała dość roboty z tymi gołymi palantami! Ha, ha!

- Bardzo panu dziękuję.

- Zaraz potem podwędzą jakieś dwa inne wozy...

- To naprawdę niepotrzebne! Nasza firma ma stałą umowę z przedsiębiorstwem wynajmu samochodów. Mój szofer, Paddy, może przyprowadzić jeden pojazd, a któryś z jego przyjaciół drugi.

- Będą musieli przywieźć moich adiutantów. Nie mogę jeszcze ich zwolnić.

- Oczywiście. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, czułbym się znacznie pewniej, gdyby ci młodzi ludzie byli tutaj z nami. Zaraz napiszę panu adres tej firmy. Najlepiej, jeśli wszyscy się tam spotkają.

- Wszystko już załatwiłem, Aaronie! - oznajmił Devereaux nieco głośniejszym głosem niż było to potrzebne, wchodząc z Jennifer Redwing u boku do salonu urządzonego w pseudoalpejskim stylu. - Ze sklepu w Hooksett przyślą zaraz całe mnóstwo zapasów, a ta pannica twierdzi, że umie gotować.

- W "jaki sposób mam ci przyrządzić skrzynkę bourbona? - zainteresowała się Jennifer. - Wolisz smażoną czy pieczoną?

- To tylko smar niezbędny do prawidłowego funkcjonowania organizmu.

- Podejrzewam, że należność za ten smar zostanie ci potrącona z wynagrodzenia - poinformował go Pinkus. - Jak wytłumaczyłeś naszą obecność?

- Powiedziałem, że mamy naradę w sprawie podważenia wiarygodności uwierzytelnionej kopii testamentu.

- Po co ta wiarygodność?

- Bo to brzmi bardziej seksownie. Chodzi o zachowanie wiarygodności, Aaronie.

- Panie Pinkus... - wtrąciła się Redwing, po raz sześćdziesiąty w ciągu ostatnich dwunastu godzin piorunując Sama spojrzeniem. - Czy mogę zadzwonić stąd do San Francisco? Naturalnie zwrócę należność za rozmowę.

266

- Moja droga, może pani odrzucić lukratywną-propozycję podjęcia pracy w mojej firmie, ale proszę nie wprawiać mnie w zakłopotanie takimi pomysłami, jak zwracanie należności za rozmowę telefoniczną. Powinna pani znaleźć odrobinę spokoju tam, za ladą, w czymś, co kiedyś było gabinetem poprzedniego właściciela. Marny to gabinet, ale przynajmniej nikt nie będzie pani przeszkadzał.

- Bardzo panu dziękuję. - Jennifer odwróciła się i ruszyła we wskazanym kierunku.

Generał MacKenzie Hawkins podniósł się z fotela.

- Sam, widziałeś może moich sierżantów? - zapytał.

- Czy uwierzyłby pan, gdybym powiedział, że są na stoku mniej więcej sto metrów w prawo za domem i próbują uruchomić zardzewiały wyciąg narciarski?

- Wykazują znaczną przedsiębiorczość - zauważył Aaron.

- Wykazują znaczną głupotę - poprawił go Devereaux. - Ten cholerny wyciąg nigdy nie działał jak należy. Pewnego dnia utknąłem na godzinę aż dziesięć metrów nad ziemią, a moja panienska została na dole, drąc się jak opętana. Kiedy wreszcie mnie ściągnęli, wróciliśmy od razu do Bostonu, tak że nawet nie zobaczyłem sypialni.

- Podejrzewam, że od tego czasu widziałeś ją co najmniej kilka razy.

- Przecież sam kiedyś kazałeś mi wyjść z biura i przyjechać tu, żebym ochłonał.

- Bo wściekłeś się z powodu przegrania sprawy, którą powinieneś był wygrać - odparł Pinkus, wręczając generałowi kartkę z adresem. - Podobno sędzia okazał się zidiociałą starą kutwą i nie był w stanie nadażyć za twoim rozumowaniem... Poza tym jeśli tak wygląda twój sposób na ochłodę, to chyba przestawiłeś skalę temperatur do góry nogami.

- Nie znam się na prawnych zawiłościach - oznajmił Jastrząb. - Pójdę po moich sierżantów. Postanowiłem pojechać z nimi do Bostonu. Mały Józef powiedział, że chce się z nami spotkać, więc wydaje mi się, że powinienem złożyć mu małą niespodziewaną wizytę... To jest adres tej jfirmy od wynajmowania samochodów? - Aaron skinął głową, a Jastrząb ruszył. - Wrócę własnym przemysłem. Ściągnijcie tu dwa pojazdy.

- W porządku, generale. Kiedy panna Redwing skończy rozmowę, zadzwoni-, do Paddy'ego i każe mu przystąpić do działania.

267

- Bardzo szusnie, komendancie.  
- Wstałbym, żeby oddać panu honory, generale Hawkins, ale obawiam się, że przekracza to moje siły.

Jennifer zamknęła drzwi maleńkiego pokoiku, usiadła przy biurku i podniosła słuchawkę, po czym wykręciła numer swego mieszkania w San Francisco. Zdziwiło ją trochę, że nie zdążył jeszcze przebrzmieć pierwszy sygnał, a już usłyszała podekscytowany głos brata:

- Tak, słucham?  
- To ja, Charlie...  
- Gdzie byłaś, do diabła?! Szukam cię od kilku godzin!  
- To wszystko jest zbyt szalone, zbyt zwariowane i zbyt niewiarygodne, żeby...  
- Dokładnie to samo mogę powiedzieć o tym, czego się dowiedziałem! - przerwał jej młodszy brat. - Ten pieprzony sukinyś załatwił nas na cacy! Zostaliśmy przerobieni, rozumiesz?!

- Charlie, uspokój się... - poprosiła Jennifer, na przekór swoim słowom czując, jak jej ciśnienie krwi wzrasta poza wszelkie dopuszczalne normy. - Uspokój się i opowiedz powoli, co się stało.

- Nie dam rady!  
- Spróbuj.  
- Już dobrze, dobrze... - Charlie kilka razy odetchnął głęboko, czyniąc wszystko, by uspokoić skołatane nerwy. - Kilka tygodni temu bez mojej wiedzy - bez niczyjej wiedzy! - nasz wódz Grzmiąca Głowa zjawił się przed Radą Starszych w towarzystwie swojego prawnika i skołował jej członków do tego stopnia, że na sześć miesięcy ustanowili go jedynym reprezentantem interesów szczepu.

- Nie mógł tego zrobić!  
- Ale zrobił, siostrzyczko. Ma potwierdzony akt notarialny. , - Musiał coś im dać w zamian!  
' - Owszem, dał. Milion dolarów do podziału między pięciu członków Rady, wiele milionów dla całego szczepu po upływie owych sześciu miesięcy.

- Korupcja!  
- Zdażyłem już dojść do tego wniosku.  
- Wystąpimy przeciwko niemu w sądzie!

268

- Nie dość, że przegramy z kretelem, to jeszcze ośmieszymy i wpędzimy w długi naszych braci i siostry.

- Kogo masz na myśli?  
- Na przykład wujka Orle Oko, który kupił dla weteranów szczepu posiadłość na jakiejś pustyni w Arizonie. Jej główną zaletą ma być to, że jest pozbawiona instalacji wodnej. Także ciotkę Nos Łani, która w imieniu wszystkich kobiet naszego plemienia kupiła wieżę wiertniczą usytuowaną według planów na rogu Czterdziestej Pierwszej Ulicy i Lexington Avenue w Nowym Jorku, oraz kuzynkę Skok Antylopy. Ta ostatnia wykupiła kontrolny pakiet akcji fabryki spirytusu w Arabii Saudyjskiej, gdzie nie tylko nie produkują alkoholu, ale nawet go nie piją!

- Przecież oni wszyscy mają już grubo ponad osiemdziesiątkę!  
- Ale są zdrowi na ciele i umyśle, co stwierdził ten cholerny adwokat z Chicago, a potwierdził sąd w Omaha.

- Nie wierzę, Charlie. Spędziłam z Hawkinsem prawie całe popołudnie, i choć początkowo próbował się stawiać, to potem zdecydowanie spokorniał. Sprawiał wrażenie autentycznie skruszonego. Powiedział mi, że nasz pomysł z umową jest rzeczywiście najlepszy i że on osobiście zgodzi się z każdą decyzją podjętą przez; Radę Starszych.

- Dlaczego nie? Przecież teraz o n jest Radą Starszych.

# 16

Jennifer nie wyszła z maleńkiego gabinetu, lecz wypadła z niego jak bliska eksplozji bomba.

- Gdzie on jest? - zapytała głosem, w którym słycać było zapowiedź zbliżającej się burzy. Z jej oczu wystrzeliwały pajęczne nici błyskawic. - Gdzie jest ten sukinsyn?

- Zapewne masz na myśli Sama - odparł Aaron Pinkus, pochylając się w fotelu i wskazując drzwi prowadzące do kuchni. - Powiedział, że przypomniał sobie, gdzie schował butelkę ginu. Podobno w miejscu, do którego nie mogli sięgnąć jego niżsi koledzy.

- Nie, nie mam na myśli tego sukinsyna, tylko tamtego. Chodzi mi o pewnego skretyniałego, łgającego jak z nut bizona, na którego za moim pośrednictwem skieruje się słuszny gniew plemienia Wopotami!

- Mówisz o naszym generale?

- Może pan założyć się o swoją *tuchis*. -- Znasz jidysz?

- Jestem prawnikiem, więc to chyba nic nadzwyczajnego. Gdzie jest ten drań?!

- Cóż, z największą przykrością, choć jednocześnie z czymś w rodzaju ulgi muszę pani powiedzieć, że wraz ze swoimi adiutantami wyjechał do Bostonu. Wspominał coś o spotkaniu z człowiekiem imieniem Mały Józef, który najprawdopodobniej zadzwonił do niego do hotelu Ritz-Carlton. Nasze dwa skradzione samochody przed chwilą odjechały sprzed domu, dzięki niech będą litościwemu Ab-

270

rahamowi. Jeśli Bóg pozwoli, już wkrótce zostaną zwrócone prawowitym właścicielom.

- Panie Pinkus, czy pan wie, co zrobił ten okropny człowiek?!

- Wiele strasznych rzeczy, których nie pomieściłaby nawet spora encyklopedia. Przypuszczam jednak, że nie są mi znane jego najświeższe dokonania

- Kupił nasz szczep!

- Niesamowite! W jaki sposób udało mu się to osiągnąć? Jennifer powtórzyła znakomitemu bostońskiemu adwokatowi to, czego dowiedziała się od Charliego.

- Czy mogę zadać pani jedno lub dwa pytania? Nie wykluczam możliwości, że będą nawet trzy.

- Oczywiście - odparła Jennifer, opadając na sąsiedni fotel. - Zostaliśmy przerobieni... - dodała półgłosem. - Najpaskudniej, jak tylko można sobie wyobrazić.

- Niekoniecznie, moja droga. Po pierwsze, zajmijmy się Radą Starszych. Z pewnością są to bardzo mądrzy i wspaniali ludzie, ale czy zostali oni prawnie wyznaczeni jako opiekunowie *ad litem* plemienia Wopotami?

- Tak... - szepnęła dziewczyna.

- Proszę?

- To był mój pomysł - wyjaśniła Jennifer niewiele donośniejszym głosem, nawet nie starając się ukryć zażenowania. - Dawało im to poczucie wartości i którego bardzo potrzebowali, a ja nawet w najdzikszych snach nie przypószczalam że podejmą jakąś ważną decyzję bez konsultacji ze mną lub z innymi członkami naszej grupy.

- Czy istnieją jakieś kodycyle lub uzupełnienia tego aktu, na przykład określające tryb postępowania w wypadku śmierci niektórych wymienionych w nim osób?

- Wtedy uprawnienia przechodzą na nowych członków Rady, wybranych w drodze głosowania.

- Czy zaszła konieczność skorzystania z tej drogi postępowania?

- Nie. Wszyscy jeszcze żyją. Chyba dlatego, że często jadali surowe mięso bizonów.



- Rozumiem. Czy w akcie prawnym powierzającym im sprawowanie opieki nad szczepem znajduje się jakakolwiek wzmianka O wybranych dzieciach tegoż szczepu, które >u rzecz< wistymi. wykonawcami i współautorami decyzji podjętych przez Radę Starszych?

271

- Nie, bo to byłoby dla nich poniżające. Indianie, podobnie jak Azjaci, przywiązują do tych spraw wielką wagę. Po prostu wszyscy wiedzieli - a przynajmniej tak mi się do tej pory wydawało - że w razie pojawienia się jakiegokolwiek problemu zostanie zawiadomione jedno z nas... a właściwie ja.

- Mówi pani o praktycznej stronie zagadnienia?

- Naturalnie.

- Jednak w dokumentach nie ma nic, co przedstawiałoby w prawdziwym świetle rolę i działalność waszej grupy?

- Nie... Właśnie z powodu poczucia dumy. Gdyby w papierach znalazła się taka wzmianka, oznaczałoby to, że ktoś zajmuje w hierarchii miejsce p o n a d Radą Starszych, a plemienna tradycja po prostu nie przewiduje takiej możliwości. Teraz rozumie pan, co miałam na myśli? Ten okropny człowiek kontroluje mój naród i może w jego imieniu mówić wszystko, na co tylko przyjdzie mu ochota!

- Przypuszczam, że w każdej chwili można oskarżyć go o działanie w zмовie i sprzeniewierzenie zaufania, ale wtedy trzeba by opowiedzieć całą historię, co z oczywistych przyczyn mogłoby się okazać bardzo niekorzystne. Poza tym, jak słusznie zauważył pani brat, najprawdopodobniej zostalibyśmy pokonani.

- Panie Pinkus, spośród pięciorga członków Rady Starszych trzech mężczyzn i jedna kobieta przekroczyli już osiemdziesiątkę, a druga kobieta ma siedemdziesiąt pięć lat. W obecnej chwili nikt z nich nie jest lepiej przygotowany do babrania się w prawnych zawiłościach, niż był trzydzieści lat temu, a wtedy też nie mieli o tym zielonego pojęcia!

- Wcale nie muszą być przygotowani, panno Redwing. Wystarczy, żeby zrozumieli, na czym polega transakcja oraz by mogli dostrzec jej zalety i wady. Zaryzykuję opinię, że zrobili to, może nawet ze sporą dawką entuzjazmu, prawdopodobnie z pełną świadomością godząc się na pozostawienie pani na uboczu.

- Nie wierzę!

- Ależ, moja droga! Mówimy o milionie dolarów w szeleszczącej gotówce oraz o wielu kolejnych milionach, obiecanych w niedalekiej przyszłości. Czego za to zażądano? Czasowego odstąpienia czegoś, co w najlepszym razie było tytułarną fikcją? Pokusa okazała się nie do odparcia... „Niech ten zwariowany biały człowiek cieszy się przez parę miesięcy tym, czego chciał. Co w tym złego?”

272

- Nie ujawniono wszystkich zamiarów układających się stron - nie ustępowała Jennifer.

- Nikt tego nie wymaga. Gdyby podczas wszelkich negocjacji finansowych prowadzonych w tym kraju strony ujawniały swoje wszystkie zamiary, nasz system ekonomiczny rozsypałby się w proch.

- Także w przypadku oszustwa?

- Oczywiście, że nie, ale czy może pani udowodnić, że naprawdę popełniono oszustwo? Jeżeli dobrze rozumiałem, generał obiecał milionowe profity, które miały uczynić wszystkich członków plemienia nadzwyczaj bogatymi ludźmi, a potem poparł swoją ofertę konkretną *zaliczką* w wysokości miliona dolarów? Wygląda na to, że postąpił bardzo uczciwie.

- Ale oni nic nie rozumieli! Nie mieli pojęcia, że zamierza wplątać ich w najbardziej kontrowersyjny proces, jaki kiedykolwiek w historii tego kraju wytoczono rządowi federalnemu! Mój Boże, Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych!

- Zarazem jednak nie dociekali zbyt wnikliwie, w jaki sposób ma 'zamiar sprowadzić na nich tak wielkie bogactwa, tylko radośnie porwali swój milion dolarów i natychmiast go wydali - zdaje się, że w mało rozsądny sposób... Proszę mi wybaczyć, panno Redwing, ale podejrzewam, iż pani brat doskonale wiedział o prawdziwych zamiarach generała. W gruncie rzeczy stał się aktywnym współuczestnikiem...

- Myślał, że to tylko jakiś kawał! - wykrzyknęła dziewczyna, podskakując w fotelu. -

Niewinny dowcip, który pozwoli szczepowi zarobić trochę pieniędzy, zwiększy napływ turystów i dostarczy<sup>^</sup> wszystkim trochę zabawy!

- A tą zabawą miała być rozprawa przed Sądem Najwyższym?
- Nie spodziewał się, że sprawa zawędruje aż tak wysoko - odparła niezbyt pewnym tonem Jennifer. - Poza tym nic nie wiedział o milionie dolarów, które Hawkins wepchnął Radzie Starszych. Był przerażony kiedy to do niego dotarło!
- Brak porozumienia między stronami nie świadczy jeszcze o istnieniu spisku ani o próbie dokonania oszustwa, chyba że sprawa dotyczy właśnie tych stron. Co jednak natychmiast doprowadziły do ich zantagonizowania.
- Sugeruje pan, że Rada c e l o w o zataiła tę informację przed moim bratem?
- Obawiam się, że tak. Podobnie jak on przed nimi.

## 273

- Jeśli więc teraz my, jako grupa, wkroczymy na scenę...
  - Czego w świetle prawa nie wolno wam zrobić - wtrącił łagodnie Aaron.
  - ...i opowiemy całą historię - ciągnęła piękna Indianka, wpatrując się w Pinkusa wielkimi jak spodki oczami - to zostanie to zinterpretowane jako egoistyczne działanie, mające na celu zagarnięcie pieniędzy, które nam się wcale nie należą! Mój Boże, wszystko przewróciło się do góry nogami! To szaleństwo!
  - Owszem, moja droga. To całkowite szaleństwo. Nasz generał zrobiłby oszałamiającą karierę jako doradca prawny jakiejś wielkiej korporacji.
- Nagle na podeście pierwszego piętra pojawiła się jakaś postać i dostojnym krokiem podeszła do barierki. Była to Eleanora Devereaux; miała starannie uczesane włosy i wyglądała jak wielka dama.
- Miałam okropny sen - oznajmiła, w pełni kontrolując ton i barwę głosu. - Śniło mi się, że ten szalony generał Custer oraz ci okropni Indianie z bitwy nad Małym Wielkim Rogiem połączyli siły i zaatakowali zjazd Stowarzyszenia Prawników Amerykańskich. Wszyscy uczestnicy zostali oskalpowani,

Wysoki, lekko przygarbiony, starszy dżentelmen w długim brązowym płaszczu z gabardyny i czarnym berecie wyglądał na profesora z któregoś z uniwersytetów położonych w okolicach Bostonu, lekko zagubionego w przepychu eleganckiego hotelu. Mrużąc oczy ukryte za grubymi szklami, przechadzał się przez jakiś czas bez wyraźnego celu po głównym holu, by wreszcie skierować się w stronę wind.

Naturalnie w przechadzce generała Hawkinsa nie było nic bezcelowego, podobnie jak w przebraniu, które wybrał na tę okazję. Krótki rekonesans pozwolił mu zbadać każdy zacieniony kąt i przyjrzeć się wszystkim osobom zajmującym miejsca w wygodnych fotelach, co zaś się tyczy jego wyglądu, to Jastrząb w niczym nie przypominał odzianego w indiański strój olbrzyma, który zaledwie pięć godzin wcześniej w tym samym miejscu unieszkodliwił niejakiego Cezara Boccegallupo z Brooklynu w Nowym Jorku. Doświadczony żołnierz nigdy nie wkracza na wrogie terytorium bez uprzedniego rozpoznania terenu. Nie stwierdziwszy żadnych niespodzianek, generał wszedł do

## 274

windy i nacisnął guzik z numerem pietra, na którym mieszkał Mały Joey Zasłonka.

- Kelner! - oznajmił, zapukawszy do drzwi.
- Już wszystko mam! - odparł głos z pokoju. - A, chyba że to jabłka i gruszki w płonącym alkoholu?... Myślałem, że przyniesiecie je później. - Drzwi otworzyły się, a Mały Joey zdołał wykrztusić tylko dwa słowa: - To ty!

Każde spotkanie głównodowodzących poprzedzają nieformalne rozmowy ich podwładnych, mające na celu ustalenie wszystkich spornych szczegółów - powiedział Hawkins, odsuwając go na bok i wchodząc do pokoju. - Ponieważ nie uważam, żeby moi adiutanci mogli dobrze wywiązać się z tego zadania, wyłącznie z przyczyn natury lingwistycznej, ma się rozumieć, dlatego wziąłem na siebie ten obowiązek

- Ty odwłoku pijanego trolejbusu! - wrzasnął Joey, zatraskując drzwi. - Mam dość

kłopotów na głowie! Jeszcze tylko ciebie mi brakowało'

- Oraz jabłek i gruszek w płonącym alkoholu?

- Tak, bo to bardzo smaczne, a intensywny, ciężki aromat przywodzi na myśl najwspanialsze kombinacje zapachowe z przeszłości.

- Że co?

- Po prostu ładnie pachnie. Zapamiętałem to z jakiegoś menu w Las Vegas. Ha, mamuśka chyba wyskoczyłaby z grobu, gdyby się dowiedziała, że dotknąłem, czegoś takiego jak gruszka, a tatuś spuściłby mi tęgie baty! Ale co oni wiedzą, biedacy, niech spoczywają w pokoju... - Joey przeżegnał się, po czym spojrzał na generała i dodał znacznie ostrzejszym tonem; - Dobra, koniec gadki-szmatki. Powiedz lepiej, co tu właściwie robisz?

- Już to wyjaśniłem. Zanim przystąpię do formalnych negocjacji z twoim zwierzchnikiem, chcę wyjaśnić ogólną sytuację. Mam do tego prawo, choćby ze względu na moją rangę, i stanowczo się tego domagam.

- Możesz się domagać, czego dusza zapagnie, generałku, ale mój szef nie jest jakimś tam żołnierzkiem. To jeden z najważniejszych ludzi w całym pieprzonym rządzie, rozumiesz?

- Spotkałem już kilku takich, Józefie, i właśnie dlatego żądam G-2 tysiąc jeden, bo w przeciwnym razie nie przystąpię do negocjacji.

- Co to ma być, jakiś numer rejestracyjny?

275

- Oznacza to dokładne informacje na temat osoby, z którą mam się spotkać.

- Ho, ho, na grób ciotki Angeliny! Powinieneś się cieszyć, że nic nie wiesz.

- Pozwolisz, że sam to ocenię.

- Chyba rozumiesz, że nie mogę ci nic powiedzieć bez uzgodnienia?

- A gdybym zaczął kolejno wyrywać ci paznokcie?

- Daj spokój, generałku, już to przerabialiśmy. Może i jesteś twardy facet, ale żaden z ciebie nazista... Proszę bardzo, oto moje ręce. Mam zadzwonić po pokojówkę, żeby przyniosła szczypce?

- Przystań, Józefie... Okazałeś wielką przenikliwość, ale mam nadzieję, że nikt się o tym nigdy nie dowie.

- Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że nie potrzebujesz szczypiec, to daj sobie spokój. To samo powiedziałem paru oficerom z armii Mussoliniego, tej grubej beki...

Zadzwonił telefon.

- To z pewnością twój zwierzchnik, Józefie. Czasem prawda okazuje się najlepszym rozwiązaniem. Powiedz mu, że jestem tu z tobą.

- Dobra pora - zauważył Joey, spoglądając na zegarek. - Powinien już być sam.

- Zrób, co ci mówię.

- A mam jakiś wybór? Przesadziłeś z tymi paznokciami, ale skąd mam wiedzieć, czy nagle nie palniesz mnie w gardło i nie zabierzesz słuchawki?

Mały Joey podszedł do aparatu stojącego na nocnej szafce i podniósł słuchawkę.

- To ja - powiedział. - Wielki generał *fazool* stoi trzy metry ode mnie. Chce z tobą rozmawiać, Bam-Bam, tyle że nie wie, kim jesteś, ale ja czuję się bardzo przywiązany do moich paznokci, jeśli wiesz, co mam na myśli, he?

- Daj mi go, Joey - odparł spokojnie Vincent Mangecavallo.

- Masz! - wykrzyknął Joey, wyciągając słuchawkę w stronę Hawkinsa, który szybko podszedł do niego i chwycił ją gwałtownie.

- Tutaj dowódca X - powiedział do mikrofonu. - Przypuszczam, że rozmawiam z dowódcą Y?

- Nazywa się pan MacKenzie Hawkins, jest pan generałem armii Stanów Zjednoczonych, numer służbowy dwa-zero-jeden-pięć-siedem,

276

dwukrotnie odznaczonym przez Kongres Medalem za Odwagę. Jest pan także największym kolcem w dupie, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia Pentagon. Zgadza się?

- Cóż, nie wszystkie oceny muszą być stuprocentowo dokładne... A kim p a n jest, do diabła?

- Jestem człowiekiem, który jeszcze wczoraj chciał jak najprędzej zobaczyć pański pogrzeb, z

zachowaniem całego wojskowego ceremoniału, ma się rozumieć, a któremu teraz cholernie zależy na tym, żeby został pan przy życiu i cieszył się dobrym zdrowiem. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

- Nie, ty waszyngtoński zasańcu. Dlaczego przeszedłeś na drugą stronę?

- Dlatego że te sycylijskie kapuściane łby, które chciały odesłać cię na tamten świat, teraz wzięły m n i e na celownik, a to wcale mi się nie podoba.

- Sycylijskie kapuściane łby?... Mały Józef?... A więc to ty jesteś tym kretynem, który posłał do Czterech Pór Roku\_ tego niedorozwiniętego Cezara-eoś-tam!'

- Z przykrością i wstydem muszę przyznać, że to ja. Co więcej mogę dodać?

- Spokojnie, synu, to nie była twoja wina, lecz jego. Okazał się niezbyt roztropny, a ja miałem dwóch bardzo bystrych adiutantów

- Co takiego?

- Po prostu nie chcę, żebyś się zanadto przejmował. Każdy dowódca musi być przygotowany na to, że lada chwila zostanie pokonany. Uczą tego w Akademii Wojennej.

- O czym ty gadasz, do diabła?

- Wygląda na to, że nie jesteś odpowiednim materiałem na oficera, synu. Co więcej mogę dodać?

- Możesz mnie wysłuchać. Jestem cholernie wkurwiony, że pewni ludzie, o których sądziłem, że bardzo mnie poważają, chcą mnie teraz zobaczyć w tym samym grobie, który wspólnie naszykowaliśmy dla ciebie. W dodatku chcą mnie tam zobaczyć razem z tobą, co napawa mnie cholernym obrzydzeniem, *capiscel*

- Co w związku z tym ma pan zamiar przedsięwziąć, panie Bezimienny?

- Chcę, żebyś został przy życiu, dzięki czemu będę mógł zrobić

277

tym sukinsynom to, co oni chcieli zrobić mnie. Mówiąc krótko, chcę ich pogrzebać!

- Chwileczkę, dowódco. Jeśli mówisz o zamierzonej eksterminacji ludności cywilnej, noszącej cechy odwetu, to będę musiał otrzymać rozkaz podpisany przez prezydenta, Kolegium Szefów Sztabów i dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- Serio?

- Przypuszczam, że nie orientujesz się, jaki jest obowiązujący tryb postępowania w takich przypadkach, ale...

- Nie mam zamiaru robić nic z tych rzeczy, o których mówisz! - przerwał mu ostro Mangecavallo. - Śmierć to śmierć: facet dostaje w czapę i kończą mu się wszystkie problemy. Ja zaplanowałem dla tych kapuścianych głów prawdziwe tortury. Chcę ich zrujnować, upokorzyć i zgnoić! Z każdego z nich zrobię nowego Hobo Pete'a!

- Hobo kogo?

- Hobo Pete czyścił pisuary w metrze w Brooklynie. Do końca życia będą robić to samo, tylko że w Kairze!

- Tak się składa, dowódco Y, że uczestnicząc jako młody kapitan w walkach z marszałkiem Rommlem zaprzyjaźniłem się z wieloma członkami egipskiego korpusu oficerskiego i...

- *Basta!* - ryknął Mangecavallo, po czym natychmiast zniżył głos, starając się nadać mu kojące brzmienie. - Proszę o wybaczenie, wielki generale. To wszystko przez te stresy, rozumie pan, co mam na myśli...

- Nie powinien pan dopuszczać do takiej sytuacji - skarcił go Hawkins. - Wszystkim jest ciężko, ale dowódca musi wnieść się ponad przyziemne sprawy. Proszę pamiętać, że pańscy ludzie spoglądają na pana, poszukując w panu sił, których być może im brakuje. Pańskim obowiązkiem jest sprostać ich oczekiwaniom!

- Zachowam te słowa głęboko w sercu - odparł skruszony Vinnie Bam-Bam. - Jednak w tej chwili muszę pana ostrzec...

- Chodzi panu o Federalne Siły Specjalne? - przerwał mu Hawkins. - Mały Józef przekazał mi poprzednią wiadomość. Obecnie sytuacja znajduje się pod moją całkowitą kontrolą. Oddziały nieprzyjaciela zostały unieruchomione.

- Co takiego?! Już pana znaleźli?

- Jeśli chodzi o ścisłość, panie dowódco, to m y zlokalizowaliśmy ich jako pierwsi i podjęliśmy stosowne środki *zaradcze*. Obecnie moje

siły znajdują się w bezpiecznym ukryciu poza obszarem bezpośrednich działań wojennych.

Co się właściwie stało? Gdzie się podziały Siły Specjalne?

- Bandyckie Siły Specjalne - poprawił go Jastrząb. - To nie są ci wspaniali ludzie, których osobiście szkoliłem, ale jacyś psychopaci, nadający się jedynie do bezlitosnego wytępienia.

- Dobrze, dobrze, ale gdzie oni są?

- Cóż, w tej chwili najprawdopodobniej w areszcie, pod zarzutem obrazy moralności publicznej, a jeśli jakimś cudem jeszcze tam nie trafili, to biegają na golasa po klatce schodowej hotelu Ritz-Carlton, robiąc wszystko, żeby tylko nikt ich nie zauważył... Aha, piąty osobnik, także nagi, przypuszczalnie siedzi w swoim lincolnie, którego nie da się uruchomić, razem z telefonem komórkowym, z którego nie można się nigdzie dodzwonić.

- A niech mnie licho!

-\*-> Przypuszczam, że poinformuje pan o tym Waszyngton... A teraz wracajmy do ustalonych taktycznych, panie dowódco. Bez wątpienia zna pan cel, do którego dążę. Jaki jest pański cel?

- Taki sam jak pański, generale. Małej grupie naiwnych i łatwowiernych mieszkańców Stanów Zjednoczonych wyrządzono w przeszłości ogromną, niewybaczalną krzywdę, więc wydaje się zupełnie oczywiste, że naród dysponujący tak wielkimi bogactwami powinien ją jak najprędzej naprawić... Jak się to panu podoba, generale?

- Trafiliś w sam środek tarczy, żołnierzu!

- Być może nie wie pan, że kilku członków Sądu Najwyższego uznało pozew przedstawiony przez pańskiego adwokata za bardzo przekonujący. Nie jest to z pewnością ustabilizowana większość, ale ziarno zostało zasiane.

- Wiedziałem! - wykrzyknął tryumfalnie Hawkins. - Gdyby tak nie było, nie zaprzęgliby do roboty Goldfarba, którego zresztą też szkoliłem, niech mnie kule biją!

- Pan zna Hymiego Huragana?

- Świetny człowiek, silny jak słoń i ma łeb niczym wykładowca na uniwersytecie. - - On naprawdę wykladał na uniwersytecie.

- A nie mówiłem?

- Tak, tak, oczywiście... Jednak w związku z delikatną sytuacją wokół Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych oraz ze względu

na interesy bezpieczeństwa narodowego Sąd Najwyższy poda treść pozwu do publicznej wiadomości dopiero za osiem dni, a dzień przedtem pan oraz pański adwokat musicie stawić się na zamkniętym posiedzeniu Sądu w celu złożenia ustnych wyjaśnień. Dopiero wtedy będą mogli zająć się oficjalnie tą sprawą.

- Jestem na to przygotowany, dowódco Y. Przygotowywałem się do tego prawie od roku! Nie mam nic do ukrycia. Występuję w słusznej sprawie.

- Czego nie da się powiedzieć o Pentagonie, Siłach Powietrznych, a szczególnie o dostawcach sprzętu wojskowego. Oni chcą dobrać się panu do dupy, generale. Do pańskiej m a r t w e j dupy.

- Jeżeli poziom wyszkolenia tego oddziału, który przysłali za mną do Bostonu, jest taki sam jak innych, które mają do swojej dyspozycji, to nie zawaham się wkroczyć do gmachu Sądu Najwyższego w paradnym stroju Indian Wopotami.

- Jezus, Maria! To podobno byli ich najlepsi ludzie. Jest jeszcze tylko jeden oddział, który może się z nimi równać. Nazywają ich Paskudną Czwórką i trzymają w zamknięciu w jakimś szpitalu dla psychicznie chorych, gdzie grają w siatkówkę, przerzucając strażników nad drutami kolczastymi. Teraz użyją ich przeciwko panu!

- W takim razie - odparł Jastrząb, krzywiąc się z niesmakiem - może zechciałby pan wyznaczyć do naszej ochrony pluton swoich ludzi? Szczerze mówiąc, dowódco Y, dysponuję jedynie dwoma adiutantami.

- Na tym właśnie polega cały problem, generale. W normalnych warunkach wysłałbym wam na pomoc całą gromadę doświadczonych zawodowców, ale teraz nie ma na to czasu, bo zorganizowanie w tajemnicy takiej operacji musi trochę potrwać, tym bardziej że to naprawdę musi być ścisła tajemnica, bo jeśli nie, to wszyscy jesteśmy przegrani.

- Coś pan tu zalewa, panie Bezimienny...

- Ależ skąd! Przysięgam na grób ciotki Angeliny... •
- To ciotka Małego Józefa, nie pańska.
- Mamy wspólną rodzinę... Słuchaj pan, mógłbym zebrać dwóch, maksimum trzech bardzo bliskich kuzynów, którzy w razie czego będą milczeć jak zakłęci, ale to wszystko. Gdybym ściągnął paru więcej, zaczęłyby się pytania i plotki: „Dla kogo on właściwie pracuje?” albo „Jak to, jest w szpitalu? Przecież jeszcze wczoraj wyglądał znakomicie!”

280

albo nawet „Podobno pojechał do rodziny w Hartford. Więc to dla nich pracuje!” Rozumie pan, generale? Przy wielkiej liczbie pytań prędzej czy później wypłynęłoby na wierzch moje nazwisko, a do tego nie mogę dopuścić.

- Wdepnął pan w jakieś gówno, dowódco Y?
- Przecież już panu powiedziałem: wydano na mnie wyrok śmierci. Jestem *fnito*, *schacciata*, moje kości już zaczynają przemieniać się w popiół!
- Paskudne uczucie, prawda, żołnierzu?... Niech pan weźmie się w garść, dowódco. Lekarze nie wiedzą wszystkiego.
- Moi wiedzą, przede wszystkim dlatego, że za cholere nie znają na medycynie! ? - Na pańskim miejscu zasięgnąłbym opinii innych specjalistów...
- Generale, proszę!... Rzecz dotyczy tego, o czym wspomniałem wcześniej. Pewne osoby chcą, najdalej za dzień lub dwa, ujrzeć mnie martwego i w grobie, i tak właśnie się stanie, a raczej będzie wyglądało, że tak się stało, ponieważ będąc martwym, będę działał w pańskiej, a także w swojej sprawie.
- Nie jestem zbyt religijnym człowiekiem - zauważył Jastrząb zjnelancholią w głosie. - Chyba widziałem zbyt wiele krwi przelanej przez fanatyków zabijających każdego, kto nie wierzył w to samo co oni. Historia jest pełna tego gówna, a mnie wcale się to nie podoba. Wszyscy pochodzimy od tej samej ameby, która pierwsza wylazła z wody na brzeg, albo od tej samej błyskawicy, która połączyła komórki w coś, z czego potem wyrosły nasze mózgi. Nikt nie ma prawa twierdzić, że jest lepszy od innych.
- Czy to długa historia, generale? Jeśli tak, to obawiam się, że nie mamy na nią czasu.
- Wręcz przeciwnie, bardzo krótka. Jeśli pana zabiją, to jest pewne jak amen w pacierzu, że niewiele uda się panu dokonać zza grobu. Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby był pan głównym kandydatem do zmartwychwstania.
- Jezu!
- Z nim była zupełnie inna historia, żołnierzu.
- Ja nie umrę, generale, tylko zniknę, t a k j a k b y m umarł, *capiscel*
- Niezupełnie.
- Jak już powiedziałem, właśnie nad tym pracujemy. Jest bardzo

281

ważne, żeby moi, a więc także pańscy nieprzyjaciele nabrali przekonania, że wypadłem ze scenariusza.

- Z jakiego scenariusza?
- Z tego, w którym występuje pański martwy tyłek oraz martwe tyłki wszystkich, którzy razem z panem wdepnęli w to indiańskie gówno!
- Pozwolę sobie puścić mimo uszu tę uwagę.
- Przepraszam, przepraszam, to tylko przejęzyczenie! Miałem na myśli krucjatę w obronie uciśnionych - czy tak już lepiej?
- Może być, dowódco.
- W tym czasie kiedy będę udawał nieboszczyka, pošlę moich *capo supremos* na Wall Street, żeby maksymalnie podbili akcje wszystkich firm mających związek z Pentagonem, a szczególnie z Dowództwem Strategicznych Sił Powietrznych. Potem, kiedy wygłosi pan swoją mowę przed Sądem Najwyższym, zlecą na łeb, na szyję, bo chłopcy pozaciągali mnóstwo kredytów, opierając się na pobożnych życzeniach, a nie na konkretnych faktach. Palanty, które maczają w tym palce, będą musiały wziąć się za sprzątanie kibli w kairskim metrze! Rozumie pan, generale? Każdy z nas dostanie to, na czym mu najbardziej zależy!
- Wyczuwam w pańskim głosie niejaką wrogość wobec tych ludzi.
- I słusznie, Grzmiąca Głowo! Przecież chcą nas sprzątnąć. Będziemy się porozumiewać za

pośrednictwem Małego Joeya. Proszę pozostawać z nim w kontakcie.

-..Powinien pan wiedzieć, panie dowódco - celowo mówię to w obecności Józefa - że chyba przekracza on limit dziennych wydatków przewidzianych podczas prowadzenia tego rodzaju akcji. W ogóle nie można się do niego dodzwonić, bo bez przerwy zamawia coś przez telefon z restauracji.

- Stul pysk, Zastrana Głowo! - ryknął Mały Joey Zasłonka.

## THE WASHINGTON POST DYREKTOR CIA ZAGINAŁ NA MORZU

18-godzinne poszukiwania prowadzone przez Straż Przybrzeżną na wodach wokół Florydy zakończyły się niepowodzeniem.

Key West, 24 sierpnia - Vincent F. A. Mangecavallo, dyrektor

282

Centralnej Agencji Wywiadowczej, prawdopodobnie zaginał wraz z kapitanem i całą załogą 11-metrowego jachtu, który wypłynął z Key West wczoraj o szóstej rano. Według informacji uzyskanych w stacji meteorologicznej, około 10.30 płynący ku łowiskom w pobliżu raf koralowych jacht znalazł się w zasięgu gwałtownej podzwrotnikowej burzy. Poszukiwania zostaną wznowione jutro z samego rana, ale istnieje niewielka nadzieja na odnalezienie rozbitków, gdyż jacht najprawdopodobniej wpadł na rafę i natychmiast zatonął.

Na wiadomość o tragedii prezydent wydał następujące oświadczenie: „Stary dobry Vincent, wielki patriota i wspaniały oficer marynarki. Jeżeli musiało się stać to, co się stało, to jestem pewien, że spodoba mu się grób w głębinach oceanu. On zawsze potrafił dogadać się z rybami”.

Jednak w Dowództwie Marynarki Wojennej nie zachowały się żadne dokumenty świadczące o tym, by Vincent Mangecavallo kiedykolwiek służył w jej szeregach. Poproszony o wyjaśnienie tego faktu prezydent odparł krótko: „Moi przyjaciele powinni wreszcie zrobić porządek w papierach. Winnie walczył na Karaibach, dowodząc łodzią patrolową z załogą złożoną z greckich partyzantów. Do licha, co się dzieje z tymi nowymi marynarzami?” Dowództwo Marynarki Wojennej nie złożyło w tej sprawie żadnego oświadczenia.

## THE BOSTON GLOBE

### W HOTELU RITZ-CARLTON SCHWYTANO PIĘCIU NAGICH CZŁONKÓW TAJEMNICZEJ SEKTY

Czterech nagich mężczyzn na dachu, piąty zatrzymany w parku miejskim. Wszyscy twierdzą, że są pracownikami rządowymi. Zdumienie w Waszyngtonie.

Boston, 24 sierpnia. Po kilku doniesieniach zgłoszonych przez zaszokowanych gości hotelu Ritz-Carlton, którzy widzieli nagie postacie przemykające korytarzami na wyższych piętrach, bostońska policja zatrzymała na dachu budynku czterech nagich, nie uzbrojonych mężczyzn. Zażądali oni natychmiastowego dostarczenia ubrań, nie starając się nawet wyjaśnić przyczyn nagości, oraz twierdzili, jakoby przysługiwała im nietykalność osobista w związku z ich staraniami zmierzającymi do zlikwidowania nieprzyjaciół Stanów Zjednoczonych. Piąty gołąs został obezwładniony przez biegającego po parku miejskim zawodowego zapaśnika znanego jako Zębaty Nelson. Poinformował on policję, że nagi

283

osobnik usiłował zedrzeć z niego dres. Waszyngtońskie kręgi rządowe zareagowały nerwowymi oświadczeniami, w których odzęgnują się od jakichkolwiek związków z pięcioma nagusami, natomiast pewien wysoki, aczkolwiek zachowujący anonimowość, urzędnik Departamentu Stanu wskazał na podobieństwo między bostońską piątką a pewną sektą działającą na terenie południowej Kalifornii. Otóż członkowie tej sekty popełniają rozmaite przestępstwa zupełnie nago, śpiewając *Over the Rainbow* i wymachując małymi amerykańskimi flagami. „To zbrojeńcy - stwierdził anonimowy urzędnik. - Gdyby tak nie było, nie posługiwaliby się flagami. Ci z Bostonu na pewno do nich należą, kłopot tylko z tym, że w dalszym ciągu nie wiemy, kim są”.

**Była** noc. Korpulentny mężczyzna średniego wzrostu, w ciemnych okularach i zbyt dużej rudej peruce, która bez przerwy zsuwała mu się na oczy, szedł powoli wąską ulicą, oświetloną słabym blaskiem gazowych latarni, zaledwie kilka przecznic od nabrzeży rybackich w Key West na Florydzie. Po obu stronach uliczki stały stłoczone ciasno wiktoriańskie domki, stanowiące zminiaturyzowane repliki rezydencji wznoszących się przy głównej drodze, prowadzącej brzegiem oceanu. Mężczyzna wpatrywał się z natężeniem w numery domów po prawej stronie, aż wreszcie znalazł ten, którego szukał. Budynek, choć pod wieloma względami bardzo podobny do wszystkich dokoła, różnił się od nich jednym szczegółem: okna tamtych, choć czasem przesłonięte okiennicami lub żaluzjami, były rozjaśnione ciepłym blaskiem, w tym natomiast świeciła się tylko jedna żarówka w oknie pokoju na parterze, raczej z tyłu małej budowli. Stanowiło to umówiony znak wskazujący miejsce tajnego spotkania.

Mężczyzna w rudej peruce wszedł po trzech stopniach prowadzących na ganek, stanął przed drzwiami i zastukał w jedną z drewnianych ram, w których tkwiły podłużne tafle barwionego szkła. Puknięcie, przerwa, cztery puknięcia, przerwa, dwa puknięcia. Mężczyzna zastanawiał się, co za geniusz wymyślił równie debilną oprawę. W chwilę potem drzwi otworzyły się i Vincent Mangecavallo uzyskał odpowiedź na swoje pytanie. W ogromnym *rinoceronte*, stojącym w holu, rozpoznał swego kuriera o adekwatnym do wyglądu przezwisku

285

Mięcho. Mięcho jak zwykle miał na sobie białą koszulę, biały jedwabny krawat i czarny smoking.

- Czy nie było nikogo innego, kto mógłby nam pomóc wydostać się z tego pieprzonego bagna?

- Jak się masz, Vinnie... Ty jesteś Vinnie, zgadza się? Jasne, od razu wyczułem czosnek i tani rum.

- *Bas tal* - warknął weteran wojny na Karaibach i wszedł do środka. - Gdzie jest *consigliere*! Muszę się natychmiast z nim zobaczyć!

- *Zadnych consiglieri* - wtrącił się wysoki, szczupły mężczyzna, wchodząc do holu z boczego pomieszczenia. - *Zadnych donów*, prawników kupionych przez mafię ani rewolwerowców z Cosa Nostra, czy to jasne?

- Kim jesteś, do wszystkich diabłów?

- Dziwne, że nie poznajesz mojego głosu...

- Ach, to ty!

- Tak - potwierdził Smythington-Fontini, bardzo elegancki w białej marynarce i żółtym krawacie. - Rozmawialiśmy kilkaset razy przez telefon, ale jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy, Vincenzo. Oto moja ręka - czy myślisz ostatnio swoją?

- Masz jaja, Fontini, to jedno muszę ci przyznać - powiedział Mangecavallo, wymieniając najkrótszy uścisk dłoni od chwili, kiedy George Patton spotkał pierwszego rosyjskiego generała. - Gdzie znalazłeś Miecha?

- Ujmijmy to w ten sposób, że był najciemniejszą gwiazdą w twojej konstelacji, a ja jestem specjalistą w dziedzinie nawigacji astralnej.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- W takim razie ujmijmy to w ten sposób, że wszyscy donowie od Palermo do Brooklynu nie chcą mieć nic wspólnego z tym przedsięwzięciem. Dali nam swoje błogosławieństwo i chętnie przyjmą ewentualny udział w zyskach, ale w sumie wychodzi na to, że działamy na własną rękę. To oni wskazali nam tego osobnika.

- Jestem zmuszony poczynić pewne kroki w związku z tym, że niektórzy ludzie



postanowili naruszyć moją nietykalność osobistą, a nawet zaszkodzić memu zdrowiu. Mam nadzieję, że wszyscy to rozumieją - od Palermo do Brooklynu.

- Ależ naturalnie, Vincenzo. Jest to sprawa honoru, którą trzeba

286

załatwić, ale nie w taki sposób. Powtarzam: żadnych rewolwerowców, żadnych pogrzebów, żadnych przekupionych adwokatów. Nie wolno ci w to wplątać nikogo z przyjaciół rodziny, a ja mam być na bieżąco informowany o twoich poczynaniach. Bądź co bądź to ja zapłaciłem za ten cholerny jacht, który wysadziliśmy w powietrze na rafie, a także za wenezuelską załogę, którą odesłaliśmy samolotem do Caracas.

- Mięcho, idź zrobić sobie kanapkę! - warknął Mangecavallo.

- Niby z czym, Vinnie? Ten facet ma w kuchni tylko jakieś suche krakersy, które się rozsypują, jak wziąć je do ręki, i ser śmierdzący niczym stare skarpetki!

- Po prostu zostaw nas samych, dobrze?

- Może zadzwonię po pizzę?...

- Żadnych telefonów - wtrącił się angielsko-włoski przemysłowiec. - Zajmij się obserwacją podwórza. Nie chcemy tu żadnych nieproszonych gości, a ja słyszałem, że jesteś specjalistą od zniechęcania ich do odwiedzin.

- No, co racja to racja - odparł udobruchany Mięcho. - A co do tego sera, to ja nie lubię nawet parmezanu, rozumiesz, co mam na myśli?

- Naturalnie.

- Możecie się nie bać o żadnych nieproszonych gości - dodał *capo subordinato*, kierując się do kuchni. - Mam oczy jak nietoperz. Nigdy ich nie zamykam.

- Nietoperze wcale nie mają dobrego wzroku.

- Serio?

- Serio.

- Skąd go wzięłeś? - zapytał Smythington-Fontini, kiedy Mięcho zniknął w kuchni. - I po co?

- Załatwia mi pewne rzeczy, przy czym najczęściej nie bardzo rozumie, co robi. To najlepszy rodzaj goryla, jaki można sobie wymarzyć... Ale nie przyszedłem tu po to, żeby rozmawiać o Miechu. Jak wszystko idzie?

- Gładko i zgodnie z planem. Jutro o świcie patrol Straży Przybrzeżnej natrafią na szczątki jachtu, kamizelki ratunkowe oraz różne przedmioty osobiste, w tym wodoszczelne pudełko na papierosy z twoimi inicjałami. Oczywiście poszukiwania zostaną natychmiast przerwane, a ty będziesz miał jedyną w swoim rodzaju przyjemność

287

dowiedzenia się, co po twojej śmierci mówią o tobie ludzie, którzy zawsze serdecznie cię nienawidzili.

- Nigdy nie przyszło ci na myśl, że niektórzy mogą mówić to zupełnie serio? W pewnych kręgach cieszyłem się znacznym szacunkiem.

- Nie w naszych, staruszk.

- Znowu zaczynasz z tym staruszkem? Posłuchaj więc, co ci powiem, panie śliczniutki: dziękuj panu Bogu, że dał ci mamusię arystokratkę, która miała więcej oleju w głowie niż twój tatuś, którego poderwała w Londynie. Gdyby nie ona, to jedyną drużyną piłkarską, jaką miałbyś na własność, byłaby banda brudnych szczeniaków uganiających się za futbolówką na bocznych uliczkach Liverpoolu, czy jak tam się nazywa ta dziura!

- Gdyby nie powiązania Smythingtonów ze środowiskiem bankierskim, rodzina Fontinich nigdy nie wypłynęłaby na międzynarodowe wody.

- Aha, więc dlatego nie zrezygnowała z panińskiego nazwiska? No tak, przecież ludzie powinni wiedzieć, kto naprawdę trzyma kasę, skoro wiadomo, że chłopcy z Wysp zupełnie się do tego nie nadają!

- Nie wydaje mi się, żeby ta rozmowa...

- Po prostu chciałem ci przypomnieć, Smythie, na czym siedzisz. Tak, nie na czym stoisz, ale na czym siedzisz. Cała reszta tej bandy w jedwabnych gatkach może sobie iść do diabła!

- Dano mi to do zrozumienia. To duża strata, jeśli weźmie się pod uwagę ich wartość towarzyską.

- *Naturalmente, pagliaccio*... Dobra. Straż kończy poszukiwania, wszyscy mnie oplakują i co

dalej?

- Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, zostaniesz odnaleziony na najdalszej wysepce w archipelagu Sucheje Tortugas razem z dwoma Wenezuelczykami, którzy przysięgną, dziękując ci chwila Bogu, tobie i sobie nawzajem, że udało wam się ujść\* z życiem jedynie dzięki twojej odwadze i woli przetrwania. Oczywiście zaraz potem wrócą do Caracas, gdzie znikną bez śladu.

- Całkiem niezłe... Może jednak mimo wszystko wrodziłeś się w mamusię?

- Pod względem artystycznym i ideowym na pewno masz rację - zgodził się z uśmiechem przemysłowiec. - Mama często mawiała: „Krew Cezarów zawsze będzie płynęła w naszych żyłach. Szkoda

288

tylko, że nasi kuzyni z południa nie mają jasnych włosów i błękitnych oczu, tak jak ja".

- Prawdziwa królowa, pełna tolerancji... A co z Grzmiącą Dupą? Jak utrzymamy go przy życiu, razem z tą jego zwariowaną indiańską bandą? Nic mi po nich, jeśli dostaną po kulce w łeb.

- To zadanie dla ciebie. Wygląda na to, że tylko ty możesz nawiązać z nimi kontakt...

- Zgadza się - przerwał Mangecavallo. - Siedzą wszyscy na kupie, ale tylko ja wiem gdzie, i tak to zostanie.

- Jeśli tak to zostanie, nie będą mieli żadnej ochrony. Trudno chronić kogoś nie wiedząc, gdzie on jest.

- Wszystko już obmyśliłem. Powiedz mi, co planujesz, a jeżeli mi się to spodoba, dam znać łącznikowi i zorganizujemy spotkanie. A więc, co planujesz?

- Powiedziałeś mi przez telefon, że generał i jego gromadka są w bezpiecznej kryjówce, a to, jak przypuszczam, *znaczy* tyle samo, co bezpieczny port, co z kolei oznacza, że statek jest chroniony przed sztormem, zazwyczaj w zatoce wrzynającej się głęboko w ląd, czyli...

- Czy ty zawsze tak się katujesz? Tak, do diabła, mam nadzieję, że to *znaczy* właśnie to, co *znaczy*, bo tak powiedział ten dziarski generał, a jeśli się okaże, że to jednak coś innego, to taki z tego wniosek, że mamy popieprzoną armię. O co ci chodzi?

O to, że może po prostu utrzymać *status quo!*

Jaki znowu *status quo*-

- Bezpieczną kryjówkę - odparł Smythington-Fontini takim tonem, jakby wyjaśniał najoczywistszą rzecz na świecie. - Chyba że, jak sam powiedziałeś, mamy popieprzoną armię, co jest całkiem możliwe, szczególnie w odniesieniu do wyższych rangą pracowników Pentagonu. Jednak, biorąc pod uwagę najnowsze wyczyny generała, możemy założyć, że kryjówka n a p r a w d ę jest bezpieczna i dobrze chroniona przed złą pogodą.

- Przed złą pogodą?

- Czyli że wszyscy są w głęboko wrzynającej się w ląd zatoce, gdzie nie dosięgną ich żadne sztormy ani burze. Dlaczego nie mielibyśmy ich tam zostawić?

- Bo nawet ja nie wiem, gdzie to jest, do cholery!

- Tym lepiej... A twój łącznik wie?

289

- Może się dowiedzieć, jeśli zdoła podać Grzmiącej, Dupie przekonujące powody.

- Powiedziałeś przez telefon, że będzie potrzebował posiłków. . z,r- Zgadza się, tego właśnie mu trzeba. Znalazłeś kogoś?

- Przede wszystkim twojego współpracownika o jedynym w swoim rodzaju przezwisku Miecho...

- Odpada - przerwał mu Mangecavallo. - Mam dla niego inną robotę. Kto jeszcze?

- Cóż, z tym możemy mieć pewne problemy. Jak już wspomniałem, nasi *padrones* z daleka i bliska *zażyczyli* sobie kategorycznie, żeby nie mieszać w tę sprawę żadnej z rodzin. Przypuszczam, że nie dotyczy to Miecha, który jest czymś w rodzaju twojego batmana \*, a w dodatku nie dysponuje zbyt wielkim potencjałem umysłowym. Myślę, że w

ogólnoświatowej klasyfikacji goryli zająłby drugie miejsce.

- A kto pierwsze?

- - To chyba oczywiste: prawdziwy goryl mówiący po angielsku.

A co, do jasnej cholery, ma z nim wspólnego Batman?

Nie Batman, Vincenzo, tylko b a t m a n, czyli ktoś, kto wykonuje dla ciebie różne drobne posługi.

- Wiesz co? Jak z tobą gadam, to mam wrażenie, że zaraz odpadną mi jaja. Straszny z ciebie dziwak!

- Staram się, jak mogę - odparł ze znużeniem przemysłowiec. - Problem polega na tym, że nadajemy na różnej długości fal.

- Więc przełącz się na moją, Smythie! Głędzisz jak to pieczone jabłko z Departamentu Stanu.

- Właśnie dlatego jestem tak bardzo cenny, bo przynajmniej go rozumiem. Co prawda od biedy można tolerować go w towarzystwie, ale jeśli chodzi o moje interesy, to twoje proponowane rozwiązania są znacznie sensowniejsze. Mogę woleć jego wyszukane drinki od twoich, ale jak przyjdzie co do czego, to wiem, gdzie zamówić lufę i piwo na popitkę. Jak myślisz, dlaczego wysoko uprzemysłowione demokracje są tak cudownie tolerancyjne? To fakt, że nie mam specjalnej ochoty łamać się z tobą chlebem, ale na pewno wolę tobie pomóc przy jego wypieku.

- Wiesz co, panie Słodkie Jajca? Jak cię słucham, to mam

\* Batman - ordynans (przyp. tłum.).

290

wrażenie, że słyszę moją mamę. Mnóstwo głodnego pieprzenia, ale pod spodem całkiem sensowny człowiek. A więc, co teraz zrobimy?

- Ponieważ nie możesz korzystać z normalnych dróg, proponuję, żebyś zaangażował paru ludzi z ogólnodostępnego banku talentów. Mam na myśli najemników.

- Kogo?

- Zawodowych żołnierzy do wynajęcia. To prawie same szumowiny, ale walczą wyłącznie dla pieniędzy i nie interesuje ich nic więcej. Dawniej rekrutowali się głównie spośród byłych wehrmachtowców, zbiegłych morderców lub żołnierzy, których żadna armia nie chciała mieć w swoich szeregach. Przypuszczam, że dwie ostatnie kategorie pozostały bez zmian, a co do nazistów, to albo już nie żyją, albo są za starzy, żeby unieść karabin, Tak czy inaczej uważam, że to najrozsądniejsze wyjście z sytuacji.

- A gdzie mogę znaleźć tych harcerzyków? Chciałbym załatwić to najszybciej, jak tylko można.

- Pozwoliłem sobie przynieść kilka teczek z pewnej waszyngtońskiej agencji zajmującej się takimi usługami. Człowiek, którego tam posłałem - nawiasem mówiąc mój zastępca z Mediolanu - twierdzi, że wszyscy kandydaci mogą być dostępni w ciągu dwudziestu czterech godzin, z wyjątkiem dwóch, którzy dopiero jutro uciekną z więzienia.

- Podobają mi się twój styl, Fontini - powiedział z uznaniem chwilowo nieżyjący dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej. - Gdzie są te tecki?

- W kuchni. Chodź ze mną. Powiemy Miechowi, żeby teraz pilnował frontowych drzwi.

Dziesięć minut później, siedząc przy stole z grubych sosnowych desek, Mangecavallo podjął decyzję.

- Ci trzej - oświadczył, wskazując trzy spośród rozłożonych na stole teczek.

- Jesteś niesamowity, Vincenzo - powiedział Smythington-Fontini. - Ja sam wybrałbym dwóch spośród tych trzech, tylko że właśnie ci dwaj muszą jeszcze uciec z więzienia Attica. Na pewno będą bardzo zadowoleni, że od razu dostaną pracę. Natomiast ten trzeci to autentyczny wariat - amerykański nazista, który bez przerwy pali flagi ze swastykami przed siedzibą Organizacji Narodów Zjednoczonych.

- Aha, to ten, co rzucił się pod autobus...

291

- To nie był autobus, Vincenzo, lecz radiowóz, którym odwożono jego kolegę aresztowanego za spacerowanie po Broadwayu w mundurze Gestapo.

- Mimo to odważył się wskoczyć pod dwie tony rozpedzonego żelastwa, a to jest właśnie to, czego mi potrzeba.

- Zgoda, tyle że nie wiadomo do końca, czy sam zdecydował się to zrobić, czy został popchnięty przez przechodzącego rabina.

- Mimo to zaryzykuję... Kiedy mogą się zjawić w Bostonie?

- Co do tamtych dwóch, to czegoś konkretnego dowiemy się dopiero rano, po apelu w więzieniu, natomiast nasz nazista jest gotów w każdej chwili do roboty, bo ostatnio nie bardzo mu się wiedzie. Żyje z zasiłku jakiegoś palanta, którego utopił w East River.

- Coraz bardziej mi się podoba... Nie mówię o jego przekonaniach politycznych, bo nie znoszę tego gówna, ale mimo to może być pożyteczny. Wszyscy tacy wariaci mogą być pożyteczni - przecież to nie jest żadna skomplikowana robota. Jeśli tamtym dwóm uda się uciec, to spadną nam jak manna z nieba. Pomogą naprawić zło wyrządzone bandzie kompletnych kretynów, którzy już dawno wyciągnęliby kopyta, gdyby nie moja opatrnościowa interwencja. Najważniejsze, żeby udało nam się zebrać ich jak najprędzej i posłać do tej bezpiecznej kryjówki, gdziekolwiek ona jest... Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby te kapuściane łby z Waszyngtonu właśnie w tej chwili dobierały się do dupy naszemu generałowi.

- Wątpię, staruszk. Skoro ani ty, ani twój łącznik nie wiecie, gdzie on jest, to skąd miałby o tym wiedzieć Waszyngton?

- Nie ufam tym jedwabnym gatkom. Nie zawahają się przed niczym, sukinsyny...

W przytulnym kąciku w barze OToołte'a, zaledwie dwie przecznice na zachód od kancelarii adwokackiej Aarona Pinkusa, młody, elegancko ubrany bankier przypuścił kolejną atakną sekretarkę w średnim wieku, stawiając przed nią szklaneczkę z trzecim martini.

- Och, naprawdę nie powinnam, Binky... - zaprotestowała kobieta, po czym zachichotała i musnęła dłonią lekko siwiejące włosy. - Naprawdę nie powinnam.

- A dlaczego? - zapytała chodząca reklama najnowszej kolekcji

292

odzieży męskiej Braci Brooks z akcentem balansującym gdzieś w pół drogi między Park Avenue a placem Belgravii. - Przecież powiedziałem ci, co czuję.

- Wielu naszych prawników wpada tu po pracy... A poza tym znam cię zaledwie od godziny. Ludzie będą gadać.

- A niech sobie gadają, najdroższa! Kogo to obchodzi? Postawiłem sprawę jasno i prosto: te idiotki, z którymi ktoś taki jak ja teoretycznie powinien się zadawać, po prostu mnie nie interesują. Ja wolę kobiety dojrzałe, obdarzone życiową mądrością... Na zdrowie. - Oboje podnieśli szklanki, ale tylko jedno z nich pociągnęło spory łyk alkoholu, i wcałe nie był to elokwentny bankier. - Aha, tak przy okazji: jak myślisz, moja droga, kiedy moglibyśmy się spotkać z panem Pinkusem? W grę wchodzi wiele milionów dolarów, a jego rada bardzo by się nam przydała.

- Binky, przecież już ci powiedziałam... - Zakłopotana sekretarka umilkła nagle, zrobiła przeraźliwego zeza i czknęła donośnie kilka razy. - Pan Pinkus od rana nie kontaktował się ze mną.

- A nie wiesz, gdzie on może być, moja droga?

- Nie, ale jego szofer, Paddy Lafferty, kazał mi zadzwonić do agencji wynajmu samochodów i zarezerwować dwa na popołudnie.

- Naprawdę? Aż dwa?

- Mówił coś o chacie narciarskiej w Hooksett. To w New Hampshire, zaraz za granicą stanu.

- Trudno. Zresztą, to bardzo nudna sprawa, jak zwykle w interesach... Przepraszam cię na chwilę, złotko. Zew natury, jak to się mówi.

- Może pójść z tobą?

- Mogłoby to zostać źle przyjęte, ty rozbuchana kobietko!

- Hiiii! - kwiknęła sekretarka i zaatakowała resztkę swojego martini.

Binky wstał od stolika, podszedł szybko do automatu wiszącego przy wyjściu z lokalu, wsunął monetę i wykręcił numer. Z drugiej strony ktoś natychmiast podniósł słuchawkę.

- Wujek Brick?

- A któż by inny? - odpowiedział pytaniem właściciel największego banku w Nowej Anglii.
- Tu twój siostrzeniec Binky.

293

- Mam nadzieję, że tym razem zasłużyłeś sobie na to miano. Szczerze mówiąc, nie na wiele mi się przydajesz.

- Tym razem spisałem się bardzo dobrze, wujku!
- Nie interesują mnie twoje wyczyny seksualne. Czego się dowiedziałeś?
- To chata narciarska w Hooksett, zaraz za granicą New Hampshire.

Binky nie zjawił się już przy stoliku, w związku z czym właściciel baru wsadził spojona sekretarkę do taksówki, zapłacił kierowcy z góry za kurs i pomachał na pożegnanie zdeorientowanej twarzy za szybą.

- Sukinsyny... - mruknął pod nosem.

Xu Brick, staruszk. To chata narciarska w Hooksett, w New Hampshire, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od granicy, przy szosie numer dziewięćdziesiąt trzy. Podobno w tym rejonie jest tylko kilka takich chałup, więc nie powinniście mieć żadnych problemów z odnalezieniem właściwej. Będą tam dwa samochody z następującymi numerami rejestracyjnymi... - Bładolicy bankier z Nowej Anglii przeczytał z kartki numery i przyjął należne pochwały z ust sekretarza stanu.

- Dobra robota, Brick. Zupełnie jak w dawnych czasach, co nie, stary draniu?

- Mam nadzieję, staruszk, bo jeśli coś spieprzysz, to nie masz co się pokazywać na zjeździe absolwentów!

- Nie martw się, gołąbku. Ta Paskudna Czwórka to po prostu zwierzęta. Za godzinę powinni wylądować w Bostonie... Myślisz, że Smythie pozwoli mi znowu cumować jacht w jego klubie?

- Podejrzewam, że to będzie zależało od rezultatów twoich działań.

- Naprawdę wierzę w tę czwórkę, stary brachu. To największe dranie, jakich można sobie wyobrazić. Nad nikim się nie litują i sami nie oczekują litości. Na pewno nie chciałbyś znaleźć się bliżej niż kilometr od nich!

- Dobrze się spisałeś, staruszk. Oby tak dalej. Informuj mnie na bieżąco.

294

Na obrzeżach Hooksett w stanie New Hampshire zapadła już ciemność, kiedy na bocznej drodze pojawił się mikrobus sunący z ledwie słyszalnym szmerem silnika, by po chwili z wyłączonymi światłami zatrzymać się przed wysypaną żwirem ścieżką prowadzącą do narciarskiej chaty. Kierowca, na którego czole widniał oświetlony blaskiem księżyca tatuaż przedstawiający erupcję wulkanu, odwrócił się do trzech kompanów siedzących w głębi samochodu.

- Maski - rzucił lakonicznie, i cała trójka naciągnęła na twarze czarne pończochy z owalnymi wycięciami na oczy. Kierowca uczynił to samo, po czym uśmiechnął się ponuro i dodał: - Maksymalna siła ognia. Chcę mieć ich martwych! Chcę widzieć przerażenie i ból, chcę widzieć krew i wykrzywione twarze, i wszystkie te wspaniałe rzeczy, które tak dobrze potrafimy robić!

- Jak zawsze, majorze! - szepnął potężnie zbudowany mężczyzna, po czym, jednocześnie z pozostałymi pasażerami mikrobusu, sięgnął do żołnierskiego tornistra i wy dobył z niego pistolet maszynowy MAC-10 wraz z pięcioma zapasowymi magazynkami mieszczącymi po osiemdziesiąt pocisków każdy. W sumie dawało to tysiąc sześćset śmiertelnych kul wystrzeliwanych z ogromną prędkością.

- Ogień zaporowy! - warknął major, by zaraz potem z zadowoleniem stwierdzić, że podwładni natychmiast wykonali polecenie, przypinając do pasków wydobyte z tornistrów granaty. - Łączność! - padł ostatni rozkaz, po którym w kieszeniach mundurów znalazły się zminiaturyzowane walkie-talkie. - Ruszamy! Pomoc, południe, wschód i zachód, zgodnie z waszymi numerami, pamiętacie?

Odpowiedział mu twierdzący pomruk, po czym czterej funkcjonariusze Sił Specjalnych wyskoczyli z mikrobusu, padli płasko na ziemię i rozpełzli się, każdy w swoim kierunku. Ich misją i wybawieniem była śmierć. Raczej śmierć niż hańba!

Widzisz to, co ja widzę, *amigo!* - zapytał Desi Drugi Desiego Pierwszego. Stali pod rozłożystym klonem, obserwując okolicę skapaną w srebrzystym blasku księżyca. - Chyba im zupełnie odbiło.

- Nie powinieneś oceniać ich tak surowo, jak mawiają *gringos* - odparł Desi Pierwszy. - Oni nigdy nie musieli pilnować w nocy kurczaków ani owiec przed złymi sąsiadami.

295

- Wiem, ale dlaczego są tacy głupi? Czarne *cabezas* w taką jasną noc to przecież zupełny idiotyzm!

- Jak mawia generał, moglibyśmy ich nauczyć, jak się to robi, ale nie dzisiaj. Na razie musimy robić to, co nam kazał... Poza tym to był cholernie ciężki dzień dla naszych nowych kumpli, więc lepiej, żebyśmy ich nie budzili. Przecież muszą się wyspać, no nie?

- Nie mają kurczaków ani owiec, ale za to mają złych sąsiadów, to chciałeś powiedzieć?

- Dokładnie. Załatwimy to sami, dobra?

- Nie ma sprawy. Ja wezmę tych dwóch, a ty tamtych, z drugiej strony.

- W porządku - odparł Desi Pierwszy, po czym obaj mężczyźni skryli się w głębszym cieniu.

- Ale pamiętaj, *amigo*, żeby nikogo za bardzo nie uszkodzić. Generał ciągle powtarza, że trzeba po ludzku traktować więźniów wojennych.

- Do licha, a czym my jesteśmy, zwierzętami? Sam nam powiedział, że mamy dobre intencje, no nie? Może ci źli sąsiedzi mieli ciężkie dzieciństwo, tak jak my? Na pewno potrzebują ciepła i zrozumienia.

- Hej, człowieku! - szepnął ostrzegawczo D-Jeden. - Nie gadaj jak jakiś pieprzony święty! Zachowaj tę swoją dobroć na później, jak już ich załatwimy!

- Mój ulubiony *padre* w San Juan mówił mi zawsze: „Oko za oko, synu, ale pamiętaj, żebyś zawsze uderzał pierwszy, i to najlepiej w same *testiculos*”.

- Prawdziwy sługa boży, *amigo*. Idziemy!

Tu major Wulkan - powiedziała cicho do krótkofalówki postać w czarnej masce, czołgając się południową drogą w kierunku narciarskiej chaty. - Meldować się według kolejności. ' - Melduje się Dwa Wschód, majorze. Żadnej aktywności nieprzyjaciela.

- Numer trzy?

- Tu Trzy Pomoc, majorze. W oknie na piętrze pali się światło. To chyba sypialnia. Mam je zdmuchnąć?

- Jeszcze nie, żołnierzu, ale kiedy wydam rozkaz, zajmij się tymi, którzy są w środku. To przypuszczalnie cholerni zbrojeńcy wymienia-

296

jący między sobą płyny ustrojowe. Oni wszyscy są zbrojeńcy. Trzymaj broń w pogotowiu.

- Tak jest! Chcę załatwić ich pierwszy! Pozwoli mi pan, majorze?

- W porządku, żołnierzu, ale dopiero jak wydam wyraźny rozkaz. Na razie zmniejsz jeszcze trochę dystans.

- A co ze mną, majorze? - wtrącił się Dwa Wschód. - Trzy Pomoc to pieprzony idiota! Pamięta pan, jak kiedyś próbował przegryźć drut kolczasty w ogrodzeniu? To ja powinienem pójść pierwszy!

- Tylko spróbuj, a będziesz miał ze mną do czynienia! - warknął Trzy Pomoc. - Niech pan nie zapomina, majorze, że w zeszły czwartek Dwa Wschód zeżarł panu całą porcję truskawek!

- Słusznie, numer trzy. Miałem na nie cholerną ochotę.

- To nie ja, tylko Cztery Zachód! Przyznaj się, ty sukinsynu!

- Jak to było, Cztery Zachód? - zapytał Wulkan. - To ty podpieprzyłeś mi truskawki? Cisz.

- Odezwijsz się, Cztery Zachód! - rozkazał major. - Czy twoje milczenie ma oznaczać, że przyznajesz się do winy? Odpowiadaj, fiucie! To ty ukradłeś mi truskawki?

Cisza.

- Cztery Zachód! Cztery Zachód, czekam na odpowiedź! Cisza.

- Nawaliło mu radio - stwierdził Wulkan. - Cholerni dostawcy Pentagonu! Te zabawki kosztują czternaście tysięcy za sztukę, a działają tak jak to gówno, które można kupić na straganie za dwadzieścia siedem baksów!... Cztery Zachód, słyszysz mnie?

Cisza.

- Dobra, Trzy Północ, jak daleko jesteś? Cisza.

- Trzy Pomoc, odbiór! - Długa cisza. - Trzy Pomoc, odezwij się, do cholery! - Nic. - Sukinsyny, czy któryś z was sprawdził stan baterii?! - Ponownie cisza. - Dwa Wschód, zamelduj się natychmiast!

Cisza.

- Co się dzieje, do kurwy nędzy?! - ryknął major Wulkan, zapominając o zachowaniu ostrożności. - Czy któryś z was zechce mi odpowiedzieć?

Tym razem ciszę przerwał uprzejmy głos:

297

- Miło mi cię poznać - powiedział Desi Pierwszy, wychodząc z cienia i stając nad leżącym w plamie księżycowego światła majorem. - Jesteś teraz jeńcem wojennym, *amigo*, i będziesz odpowiednio traktowany.

- Co?! - major sięgnął po broń, ale zrobił to zdecydowanie za wolno. But Desiego Pierwszego trafił go w czoło, w sam środek wytatuowanego wulkanu.

- Nie chciałem tego, panie więzień, ale ty chyba zamierzałeś zrobić mi krzywdę, a ja tego strasznie nie lubię.

Jennifer Redwing obudziła się raptownie; coś się stało, czuła to, słyszała! Oczywiście, że słyszała, gdyż do jej uszu docierało coś w rodzaju stłumionych skowytów i pojękiwań. Zraniony pies? Zwierzę schwyte w pułapkę? Zerwała się z łóżka, podbiegła do okna... i na chwilę przestała wierzyć własnym oczom.

ICiedy Sam Devereaux usłyszał jakieś odległe hałasy, naciągnął drugą poduszkę na swoją zmaltretowaną głowę i po raz pięćset któryś przyrzekł sobie, że już nigdy nie weźmie alkoholu do ust po wyjściu z baru OToole'a. Hałas jednak nie ucichł, a kiedy Sam otworzył cokolwiek zmęczone oczy, przekonał się, że nie ma on nic wspólnego z jego stanem fizycznym. Niezbyt pewnie wstał z łóżka i podszedł do okna. Cholera!

Aaronowi Pinkusowi śniła się Shirley - r o z g n i e w a n a Shirley z jedenastoma tysiącami różowych papilotów na głowie, z których każdy wrzeszczał na niego, poruszając z prędkością karabinu maszynowego małymi, uzębionymi ustami. Czyżby znowu znalazł się na plaży Omaha? Nie, przecież leży w swojej ulubionej sypialni w chacie narciarskiej. Skąd więc bierze się ten hałas? Zwłókł się z wygodnego łóżka i lekko utykając zbliżył się do okna. Boże Abrahama, dlaczego mi to uczyniłeś?!

298

Nieprzyjemny zgiełk wdarł się do snu Eleanory Devereaux, która nie otwierając oczu sięgnęła po telefon, by wydać córce polecenie zaarrestowania niezdolnych sąsiadów lub zrobienia z nimi tego, co robi się z ludźmi zachowującymi się w ten sposób w Weston w stanie Massachusetts. Niestety, przy łóżku nie było telefonu. Ogarnięta wściekłością wysunęła nogi spod kołdry, postawiła stopy na podłodze, podniosła się z łóżka i podeszła do okna.

Boże, cóż za niezwykły widok!

]VlacKenzie Hawkins otworzył raptownie oczy, wciąż miętosząc w ustach to samo cygaro, które wetknął tam z samego rana. Co to jest, do nagłej cholery? Wietnam? Korea? Zarzynane świnie? Jezus, Maria! Gdzie się podziarli adiutanci? Dlaczego nie zawiadomili go o ataku nieprzyjaciela?... Nagle poczuł, że leży w miękkiej pościeli, a takiej nigdy nie dawano w wojskowych obozach. Skoro tak, to gdzie jest, do wszystkich diabłów?... Na legiony Hannibala, w narciarskiej chacie komendanta Pinkusa! Generał wyskoczył z wygodnego cywilnego łóżka, wściekły za siebie na to odstępstwo od dyscypliny, i podbiegł w gatkach do okna.

Wybacz mi, Dżyngis-chanie, ale nawet ty nie wpadłbyś na coś takiego!

Chwilowi mieszkańcy narciarskiej chaty zeszli się w głównym salonie niczym przechodnie pragnący zobaczyć rezultat strasznego wypadku drogowego, a jednocześnie bojący się tego, co mogą ujrzeć. Powitali ich Desi Pierwszy i Desi Drugi, stojący po dwóch stronach długiego kuchennego stołu, na którym leżały: cztery pistolety maszynowe MAC-10, dwadzieścia magazynków z amunicją, szesnaście granatów, cztery miniaturowe walkie-talkie, dwa miotacze płomieni, cztery noktowizory oraz zdemontowana bomba w kształcie jaja, która mogłaby zmieścić z powierzchni ziemi co najmniej jedną czwartą stanu New Hampshire.

- Nie chcieliśmy was budzić - oznajmił Desi Pierwszy - ale henerał kazał nam, żebyśmy przestrzegali praw jeńców wojennych. Cholernie się staraliśmy, ale coś mi wygląda na to, że akurat ci mają

299

paskudne charaktery - zresztą, sami popatrzcie na to wszystko. Henerale, czy sierżanci D-Jeden i D-Dwa mogą się teraz trochę kimnąć?

- Do licha, chłopcy, jesteście już porucznikami! Ale co się dzieje na zewnątrz, do jasnej cholery?

- Proszę bardzo, *senores y senoras* - odparł Desi Drugi, otwierając frontowe drzwi. - Zobaczcie sami. Kiedy znaleźliśmy pistolety i to wszystko, pomyśleliśmy sobie, że to chyba w sam raz, mając na względzie nasze dobre intencje.

Na zewnątrz, na zreperowanym wyciągu narciarskim, mniej więcej w połowie stoku, na wysokości około pięciu metrów wisały głowami w dół cztery ciała z ustami zaklejonymi taśmą i nogami związanymi grubymi sznurami.

- Co godzinę ściągamy ich na dół i dajemy trochę wody - wyjaśnił z uśmiechem Desi Pierwszy. - Są traktowani jak na jeńców wojennych przystało.

Koniec tomu pierwszego